

TERESA MEDEIROS

Pamiętni

k

Prolog

Londyn, 1780

Krzyk kobiety przerwał ciszę nocy.

Nikt na ulicy nie zwrócił uwagi na rozpaczliwe wołanie. Rozklekotane wozy toczyły się po wyboistej drodze, sprzedawcy zachwalali swoje towary, prostytutki próbowały zwabić klientów. Chłopiec przykucnął obok leżącej na zwiniętej kołdrze matki i podsunął jej do ust rdzewiejący czerpak.

- Napij się, mamó - powiedział zachęcająco.

Z trudem przełknęła maleńki łyżeczek. Chłopiec niespokojnie zerknął na jej sterczący brzuch. Wypukłość zupełnie nie pasowała do zwiotczalej skóry, pod którą wyraźnie widać było żebra.

Jest już za stara na dziecko, pomyślał z niepokojem. Miesiąc temu skończyła dwadzieścia osiem lat. Nagle kobieta zaczęła wic się z bólu. Złapała syna za rękę i wpiła paznokcie w kostki. Wypuścił czerpak. Zacisnął zęby i z całej siły chwycił jej dłonie. Za stara. Za chuda. Zbyt biedna.

Jej uścisk słabł. Zmęczona krzykiem i przeszywającym bólem, popadła w zamroczenie. Zamilkła. Cisza przeraziła chłopca jeszcze bardziej niż jęki cierpiącej matki. Czuł, że straciła ostatnią nadzieję. Już miał nią potrząsnąć, gdy ktoś gwałtownie otworzył drzwi za jego plecami.

Do środka wtargnął marynarz w zniszczonym ubraniu.

- Molly! - huknął, roztaczając wokół siebie intensywny zapach ginu. - Gdzie jesteś, moja ślicznotko?

Chłopak poderwał się na równe nogi.

- Wynoś się stąd! Jakim prawem tak się tu rządzisz! Nie jesteś u siebie!

Zdziwiły go własne słowa. Mężczyzna mógł być przecież ojcem dziecka, pomyślał. Po chwili z goryczą uświadomił sobie, że równie dobrze ciąża matki mogła być dziełem tuzina innych marynarzy.

Mężczyzna popatrzył na niego bezmyślnie. Na szczęście jego ośpienie było skutkiem nadużycia ginu, a nie butnej postawy chłopaka.

- Bezczelny gówniarzu! Przez dziesięć miesięcy byłem na morzu, nawet buziaka nie miał kto dać. - Odepchnął chłopca na bok. - Nie bądź zazdrosny, chłopcze. Między nogami Molly jest dość miejsca dla nas obu!

Chłopak zatrząsnął się z gniewu. Bez namysłu chwycił za nóż, który matka zawczasu przygotowała, by przeciąć pępowinę. W uszach mu szumiało. W tym momencie słyszał lubieżne jęki tych wszystkich mężczyzn, z którymi chodziła do łóżka, by zarobić na kawałek chleba.

- Wynoś się, zanim poderżnę ci gardło - powiedział cicho.

Marynarz opuścił pięść. Widząc groźne błyski w oczach chłopaka, nagle wytrzeźwiał. Niejeden raz zaglądał śmierci w oczy. Od dwudziestu lat pływał w Marynarce Królewskiej, stoczył zbyt wiele bitew z piratami, by nie rozpoznać, że dzieciak mówi poważnie. W powietrzu poczuł zapach swojej krwi.

Nim zdążył się wycofać, w ciemnym kącie rozległ się rozdzierający, nieomal zwierzęcy krzyk. Chłopak odwrócił się i upadł na kolana tuż przy starej kołdrze. Zaciekawiony marynarz zerknął mu przez ramię. Dostrzegł zapadnięte policzki, wytrzeszczone oczy i ogromny brzuch.

Poczuł nagły skurcz żołądka. Marynarze zwykle chętnie rozsiewają nasienie, ale kiedy pojawiają się owoce, uciekają na morze. Zasłonił dłonią usta i pospiesznie wyszedł z chałupy.

Instynkt podpowiadał mu, że za chwilę będzie świadkiem nie tylko narodzin, ale i śmierci.

- Dziecko... to już... - szepnęła przez zaciśnięte usta Molly.

Chłopiec zapomniał o intruzie. Pospiesznie sprawdził, czy przygotował wszystko, o co prosiła matka. Miska z wodą, czyste szmatki, kawałek starego sznurka. Przerażony, przełknął ślinę i zdjął kape, którą była przykryta.

Wbiła pięty w zwinięty w nogach koc, odchyliła głowę w tył i wypięła brzuch. W milczeniu zagryzła dolną wargę, aż pojawiły się na niej ślady krwi. Nie odezwała się, dopóki na rękach syna nie znalazło się czerwone, pomarszczone dzieciątko. Dopiero wtedy z jej gardła wyrwało się westchnienie ulgi.

Choć posłusznie wykonywał wszystkie polecenia matki, nie był w stanie spojrzeć na noworodka, który sprawił jej tyle cierpienia. Przeczuwając ból, jaki zada i jemu, już go nienawidził. Owinął niemowlę w stare prześcieradło i położył w ramionach matki.

Kiedy zobaczyła twarz dziecka, jej usta drgnęły w ledwo zauważalnym uśmiechu. Widząc to, chłopiec zrozumiał, dlaczego jego ojciec uległ przed laty jej urokowi.

Odwrócił się, próbując uniknąć jej spojrzenia, ale zatrzymała go. Złapała za rękaw, przyciągnęła do siebie i popatrzyła przenikliwie w oczy.

- Dobry z ciebie chłopiec, synku. Taki jak ojciec. Zawsze o tym pamiętaj.

Zamknął oczy. Skoro ojciec był taki dobry, to dlaczego ich zostawił i uciekł na morze? Dlaczego wybrał słone odmęty, porzucając wierną i kochającą żonę, która do dziś czeka na jego powrót?

Usłyszał ciężkie westchnienie. Podniósł głowę i spojrzał na jej beznamietną twarz. Żal i gorycz ścisnęły mu gardło. Pochylił się nad nią i pocałował w chłodne czoło.

- Dobranoc, mamus - szepnął, delikatnie zamykając jej oczy.

Dziecko zaczęło kwilić w jej bezwładnych ramionach. Przez chwilę patrzył na nie z niesmakiem, po czym wziął na ręce.

Wiedział, że mama by sobie tego życzyła. Dziecko. Nie potrafił inaczej o nim myśleć. Przytulił je do piersi i ugięły się pod nim kolana, gdy uświadomił sobie, jaka odpowiedzialność na nim spoczywa.

Będzie musiał znaleźć dla niego jakąś mamkę. Z tym nie powinno być problemu, wszak narodziny są dziś równie częste, jak śmierć. Jego wzrok spoczął na twarzy noworodka. Chyba powinien go umyć. Dziecko było brudne, ale czy urodził się tu kiedyś ktoś czysty? Niebawem i ten dzieciak będzie czarny od sadzy, jak reszta mieszkańców tej okolicy.

Pogładził palcem policzek maleństwa. Jakim cudem z brzucha chudej i głodnej matki mogło wyjść coś tak pulchnego? Niemowlę spojrzało na niego, ich oczy spotkały się. Ciekawość przewyciężyła niechęć i chłopiec rozchylił szmatkę.

Uśmiechnął się, rozbawiony doskonałością budowy miniaturowego człowieczka.

- No, chłopcze, wszystko masz na swoim miejscu.

Chłopcze. Chłopczyk. Braciszek.

Jego braciszek. Nagle poczuł, że pragnie zaopiekować się tym bezbronnym maleństwem. Biedactwo, mała sierota. W oczach chłopca stanęły łzy. Otarł je rękawem. On przynajmniej miał ojca, który dał mu nazwisko. Ten mały nie ma nikogo poza nim.

Z ulicy dobiegał głośny śmiech pijaków. Chłopiec czuł, że ani chwili dłużej nie wytrzyma w jednym pomieszczeniu z martwym ciałem, które kiedyś było jego matką. Przytulił dziecko do piersi, wstał z kolan i nie zważając na to, że zapadła już noc, wyszedł na ulicę.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, kiedy biegł brukowaną uliczką, szukając miejsca, w którym mógłby zmyć z siebie zapach śmierci. Maszty statków cumujących w porcie zdawały się wzywać go niczym latarnia morska zagubionych żeglarzy.

Kłęcząc na mokrym pokładzie zastanawiał się, czym morze przyciągnęło jego ojca. Czy śpiewem syren? A może pieśnią łagodnie uderzających o burtę fal?

Wiedział, co ma robić. Musi zabrać małego braciszka jak najdalej od tego miejsca. Zamieszkają tam, gdzie zapachu morza nie maści odór brudnej rzeki.

Odkrył szmatę i jeszcze raz spojrzął na twarzyczkę maleństwa, które Bóg oddał mu pod opiekę.

- Zabiorę cię stąd - szepnął. - Przysięgam, znajdę miejsce, gdzie obaj będziemy mogli swobodnie oddychać.

Malutka piątka uśmiechniętego noworodka trafiła go prosto w nos. Chłopiec odrzucił głowę w tył i roześmiał się, na moment zapominając o złych przeczuciach.

Część

pierwsza

1

Kanał La Manche, 1802

Powiadają, że to duch kapitana Kidda mści się na zdrajcach.

Lucy Snow podniosła głowę znad książki. Krwawe opowieści żeglarzy okazały się ciekawsze od lektury, w którą na drogę zaopatrzył ją ojciec: *Lord Haweli, geniusz współczesnego żeglarstwa*, wydana skromnym nakładem autora. Zapadający zmierzch i tak uniemożliwiał czytanie.

Brodaty mężczyzna, nieświadomy jej badawczego wzroku, oparł się o burtę. Pokład HMS „Tiberiusa” skrzypiał jednostajnie. Pasjonująca historia wciągnęła grupę marynarzy i młodziutkiego stewarda.

- Nikt go nigdy nie widział, a tych, co widzieli, nie ma już między żywymi. Ponoć jednym spojrzeniem zmiata człeka z pokładu, niczym piorun kulisty. Tak, tak... kapitan Doom to bezwzględny bandyta.

Lucy prychnęła szyderczo. Kapitan Doom, mityczny pirat, zaczynał przypominać bohatera gotyckich horrorów, jakimi zaczytywała się Sylvie, córka lorda Howella.

Jeden z marynarzy był podobnego zdania co ona. Lucy zmarszczyła nos, kiedy wypluł przeżutą tabakę na świeżo wyszorowany pokład fregaty.

- Nie wydziwiał. Słyszałem tę historię, toż to pijackie gadanie. Na tych wodach od siedemdziesięciu pięciu lat nikt nie widział żadnych piratów -powiedział, przekrzywiając zawadiacko czapkę. - Dziś nie ma już takiego bezprawia jak za czasów kapitana Kidda. A ten łotr od razu by wpadł w łapy Straży Kanałowej. Lucy nie przytaknęła tylko dlatego, że ojciec zawsze jej powtarzał, iż nie należy wtrącać się do prywatnych rozmów. Wojna z Francją zakończyła się niepewnym rozejmem. Choć znad rosnącego w potęgę imperium Napoleona wiał spokojny wiatr, marynarka królewska była coraz bardziej zdesperowana. Legendarny kapitan Doom musiałby być albo ryzykantem, albo szaleńcem, by wystawiać się na cel marynarzom, którzy aż się palili do wojenki.

- No, chyba że on naprawdę jest duchem - szepnął z przejęciem steward. - Taki to nie

ma nic do stracenia. Absolutnie.

Mimo że nie wierzyła w taką możliwość. Lucy zadrżała. Otuliła się szalem. *Lucinda, ludzie morza są przesądni, ale ty masz przecież swój rozum*, usłyszała w duszy słowa admirała. Po raz pierwszy jego surowy głos nie sprawił jej przykrości, tylko podniósł na duchu.

Marynarz w zniszczonej kurtce wyjął z kieszeni fajkę z wielorybiej kości. Kiedy ją zapalał, na jego wysmaganej wiatrem twarzy igrały cienie rzucane przez płonącą zapalną.

- Widziałem go - powiedział chłodno. Wszyscy, łącznie z Lucy, spojrzeli na niego z zainteresowaniem. - Z bocianiego gniazda. Był wieczór, spokojny, tak jak dziś. Wkoło nic, tylko morze i niebo. Nagle, ni stąd, ni zowąd, na horyzoncie pojawił się ten szkuner, jakby go piekło wyrzuciło ze swoich czeluści.

Lucy otworzyła szeroko oczy.

- W tym momencie odebrało mi mowę. Nie mogłem ruszyć nawet małym palcem. Widok zmroził mi krew w żyłach. Zanim zdążyłem otworzyć gębę i ostrzec załogę, statek zniknął tak nagle, jak się pojawił. Morze go zabrało, a nie zerwała się przy tym nawet jedna fala. W życiu czegoś takiego nie widziałem. - Marynarz otrząsnął się nerwowo. - I mam nadzieję już nie zobaczyć.

Ciszę mąciło jedynie miarowe skrzypienie masztów i łopot żagli na wietrze. Zasluchani w niesamowitą opowieść, nie zauważyli, że zapadł zmrok. Znad czarnej wody, niczym mityczny potwór, pełzła gęsta mgła. Lucy dostrzegła, że jeden z marynarzy, zerknął przez ramię, po czym niepewnie nakreślił na piersi znak krzyża. Wszyscy mężczyźni w jednej chwili zaczęli mówić, jak gdyby w ten sposób próbowali zagłuszyć złe przeczucia.

- Podobno na ciałach ofiar zostawia swój znak. To diabeł.

- Ludzie powiadają, że nie znosi jęku ofiar. Ponoć dziewczce, co to nie przestawała krzyżeć, zaszył usta dratwą.

- Słyszałem, że jednym uderzeniem tasaka przepołowił dwumetrowego chłopca.

Młody marynarz, który jeszcze niedawno wątpił w istnienie legendarnego kapitana, uśmiechnął się z drwiną.

- Idę o zakład, że to nic w porównaniu z tym, co robi z kobietami. Mój znajomek przysiągł, że kapitan Doom w ciągu jednej nocy zgwałcił dziesięć dziewczec.

- Eee tam - parsknął właściciel fajki. - Mnie też się trafiło coś takiego, kiedy przybiliśmy do portu po siedmiu miesiącach na morzu.

Młody mężczyzna szturchnął go w bok.

- Tak, ale te twoje pewnie od dawna nie były dziewicami, co?

Marynarze wybuchli śmiechem. Lucy z ociąganiem uznała, że lepiej będzie, jeśli wyjdzie z ukrycia i przypomni im o swojej obecności, nim dowie się całej prawdy o romantycznej naturze wilków morskich. Podniosła się ze zwoju lin, na których siedziała, i podeszła do grupy. Na jej widok mężczyźni zamarli w bezruchu, jak gdyby ujrzeli samego admirała, sir Luciena Snowa.

Lucy nie była zaskoczona. Odkąd podrosła na tyle, by samodzielnie wdrapać się na trap, zdążyła przywyknąć do takich reakcji. Wszak ojciec zawsze był najbardziej uwielbianym admirałem w marynarce Jego Królewskiej Mości.

Uśmiechnęła się życzliwie.

- Dobry wieczór, panowie. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam w pasjonującej dyskusji o zaletach piractwa. Proszę sobie nie przerywać - zwróciła się do młodego marynarza, który mimo silnej opalenizny zaczerwienił się po czubki uszu. - Sir, zdaje się, że zamierzał się pan podzielić domysłami na temat podbojów miłosnych kapitana Dooma.

Jeden z mężczyzn chrząknął znacząco. Marynarz zdjął czapkę i zaczął ją gnieść w dłoniach.

- P-p-panno Snow... - wyjąkał. - Nie wiedziałem, że panienka jest w pobliżu. Nasza rozmowa nie bardzo nadaje się dla uszu damy.

- A zatem zdaje się, że trzeba będzie pana powiesić za burtą.

Chłopak nerwowo przełknął ślinę. Lucy westchnęła. Nie wiedzieć czemu prawie wszyscy mieli problem z rozpoznaniem jej żartów. Wiedziała, że większość znajomych uważa ją za osobę całkowicie pozbawioną poczucia humoru. Nikt nie dostrzegwał, że los pobłogosławił ją wyjątkowym poczuciem absurdu. Marynarz w zniszczonej kurtce zrobił krok w jej kierunku, jak gdyby obawiał się, że Lucy lada moment zdejmie z szyi delikatny szal i zrobi z niego pętlę.

- Panienka pozwoli, że odprowadzę panienkę do kajuty. Takiej damie nic przystoi kręcić się po zmierzchu po pokładzie.

To powiedziawszy, podał jej ramię. Lucy wyczuła w jego słowach nutę wyższości.

- Nie, dziękuję - odparła chłodno. - Zaryzykuję spotkanie z kapitanem Doomem.

Podniosła dumnie głowę i oddaliła się, ignorując ich szepty. Zamiast udać się do kajuty, z wrodzonej przekory skierowała się w stronę rufy.

Przez chwilę wahała się, patrząc na tom wspomnień lorda Howella, ale w końcu rzuciła je do spienionego morza. Oprawiona w skórę księga natychmiast zatoneła.

- Wybacz, Sylvie - szepnęła do nieobecnej przyjaciółki.

Lord Howell nigdy nie był bliskim przyjacielem ojca. Zdaje się, że admirał polecił

jej lekturę tylko ze względu na pochlebny, o ile nie przesadzony, opis jego własnych bohaterskich wyczynów podczas amerykańsko-angielskiej rebelii.

Zastanawiała się, jak ojciec znosi żeglugę drogą śródlądową. Odkąd sześć lat temu rana nogi zmusiła go do przejścia w stan spoczynku, admirał nie przepuścił żadnej okazji, by wrócić na pokład, choćby nawet miała to być wycieczka turystyczna z letniej rezydencji w Kornwalii do skromnej posiadłości w Chelsea nad brzegiem Tamizy.

Otuliła się szalem. Kapryśni londyńscy bojkotowali wszystko, co pochodziło z Francji, z wyjątkiem mody. Okazało się, że cienka spódnica i lekki płaszczyk nie chronią przed podmuchami wiatru od Morza Północnego. Lucy wolała chłód niż duszną i ciasną kajutę, w której o jej losie decydowali współpasażerowie. Jeśli zostanie na pokładzie wystarczająco długo, być może na wpół głucha matka kapitana uda się na spoczynek i tym samym zaoszczędzi jej swojego towarzystwa przy stole podczas kolacji.

Lucy lubiła wieczorne spacerować po pokładzie, jednak tym razem nie znalazła tam upragnionego spokoju. Rytmiczne pokrzykiwania z maszynowni, które zazwyczaj kołysały nerwy, dziś wydawały się niewyraźne, dziwnie odległe.

Zmarszczyła brwi i oblizała słone usta. Przy pogodzie takiej jak tego wieczoru zwykle dokładnie słycać wszelkie odgłosy, tymczasem noc była zadziwiająco cicha, jak gdyby morze powstrzymywało oddech. Lucy wyteżala wzrok, jednak we mgle widać było jedynie, jak wschodzący księżyc flirtuje z chmurami.

Przez cienki muślin sukienki czuła chłód nocy. Nie mogła przestać myśleć o niesamowitych opowieściach o kapitanie Doomie. W taki wieczór nie trzeba mieć zbyt wybujałej wyobraźni, by na horyzoncie ujrzeć statek piracki. Lucy gotowa była przysiąc, że słyszy pieśń zemsty zdradzonych żeglarzy i dudniący odgłos dzwonu, który przypieczętuje jej los.

Wstrząsnął ją dreszcz. Wyobraziła sobie, co powiedziałby admirał, gdyby przyłapał ją na rozmowach z załogą.

Już miała wracać do swojej kajuty, gdy kątem oka dostrzegła coś dziwnego. Nagle zza zasłony ciemności wyłonił się statek widmo.

Przez moment serce Lucy biło jak oszalałe, by po chwili prawie się zatrzymać. Czuła, że podłoga usuwa jej się spod nóg. Chwyliła się burty. Szal zsunął się z jej szyi i upadł na deski pokładu.

Księżyc, który w tym momencie wyłonił się zza chmur, oświetlił przecinający tafle wody szkuner. Maszty spowite były mgłą, olinowanie przypominało olbrzymią sieć pajęczą, wiatr wydymał czarne żagle. Statek płynął zupełnie bezszelestnie, nie paliła się żadna

latarnia, na pokładzie nie było śladu życia.

Lucy zamarła ze strachu. Choć silny wiatr rozwiewał jej włosy i poruszał żagle statku widma, ogarnęło ją przedziwne wrażenie, że znajduje się w zupełnej próżni. Nie była w stanie zebrać myśli. Nie mogła oddychać. Ani krzyczeć.

I wtedy zobaczyła banderę, powiewającą na najwyższym maszcie - na czarnym tle biała dłoń zaciśnięta na krwawiącym sercu. Skrzyżowała ręce na piersi, jak gdyby chciała upewnić się, że to nie jest jej serce. Jeśli jest jedynym świadkiem tego niesamowitego zjawiska, ponura wiadomość z pewnością przeznaczona jest dla niej.

Statek widmo zbliżał się z porażającym dostojeństwem. Lucy przypomniała sobie słowa marynarza. Zacisnęła powieki, przekonana, że gdy je otworzy, widmo zniknie. Nieokreślona tęsknota ścisnęła jej gardło. Choć w spokojnym, poukładanym życiu, jakie wiodła, nie było miejsca na takie fantazje, nieziemsko piękny widok poruszył jej duszę.

Wystrzał z armaty przerwał ciszę nocy. Lucy ze zdziwieniem otworzyła oczy. Oto statek widmo najzwyczajniej w świecie wysłał w ich stronę sygnał wzywający do poddania się.

2

Błysk towarzyszący wystrzałowi na sekundę oświetlił dziób, na którym Lucy dostrzegła nazwę statku: „Retribution”.

Na pokładzie „Tiberiusa” zawrzało. Rozpoczęła się nerwowa bieganina. Załoga w panice na zmianę to wołała na alarm, to domagała się, by poddać statek. Lucy była tak zaskoczona, że nie mogła się poruszyć. Nagle na ramieniu poczuła czyjąś dłoń. Młody marynarz, który jeszcze niedawno wątpił w istnienie kapitana Dooma, odciągnął ją od burty ze śmiałością, na jaką w innych okolicznościach nigdy by sobie nie pozwolił.

- Lepiej niech się panienska schowa w kajucie. Tu za chwilę będzie gorąco. - Chłopak był blady jak ściana.

Lucy posłusznie poszła w kierunku zejściówki. Schodząc wąskim korytarzem pod pokład, w duchu dziękowała Bogu, że nie miała na sobie ciężkiej sukni z rozłożystymi halkami.

Ledwie zatrzasnęła za sobą drzwi kajuty, statkiem wstrząsnął wystrzał armatni. Lucy upadła na kolana i zasłoniła uszy, próbując powstrzymać się od krzyku. Kiedyś, jako dziecko, biegając po ogrodzie, zaplątała się w olbrzymią pajęczą sieć. Wpadła w histerię. Małymi rączkami zdejmowała z twarzy lepkie niteczki i krzyczała jak opętana. Czuła, że teraz znów ogarniają ta sama bezsilność i strach. Nie mogła tego znieść. Odebrano jej kontrolę nad własnym losem. Czuła się jak zwierzę złapane w pułapkę.

Podczas gdy admirał spokojnie patrzył, jak córka, wystraszona, smarka w rękaw płaszczyka, służący cierpliwie wypłatywał z jej włosów pajęczynę. Nigdy nie zapomni tego, co ojciec wtedy powiedział: „Mały głuptas. Histeryzuje tak jak jej matka. Od razu widać, że to Francuzka”.

Lucy opuściła zaciśnięte dłonie. Wyprostowała się. Ona, Lucinda Snow, córka admirała, sir Luciena Snowa, nie pozwoli, by jakiś śmieszny duch wpędzał ją w histerię.

Nagły przypływ zdrowego rozsądku nakazał jej zajrzeć do walizy w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń. Okazało się, że jedynie nożyk z kości słoniowej do

otwierania listów nadaje się do takiego celu. Zdjęła buty, by nie zdradził jej stukot obcasów, i wsunęła nożyk za pończochę. Wzięła do ręki małą latarenkę i ukryła się za walizą.

Na korytarzu słychać było męskie głosy rzucające najgorsze pogrózki. Pokład aż dudnił od tupotu ciężkich butów. Lucy zacisnęła dzwoniące zęby. Uchwyt latarenki wrzynał jej się w dłoń. Czuła, że w ten sposób się nie uratuje. Od dziecka wiedziała, że pożar na statku to największe z możliwych niebezpieczeństw. Umrze straszliwą śmiercią, ale wcześniej rzuci latarenką w napastnika.

Drzwi do kajuty otwarły się z łoskotem i do środka wtoczyła się olbrzymia, bezkształtna postać. Zdawało się, że lada moment Lucy będzie musiała zrealizować swój makabryczny plan, jednak w ostatniej chwili zdmuchnęła płomień i zamknęła oczy, naiwnie licząc, że opryszek jej nie zauważy.

Jej nadzieja przysnęła niczym bańka mydlana, gdy nagle ktoś zakneblował jej usta, a na głowę zarzucił wilgotny worek.

Niech to wszyscy diabli porwą!

Kapitan Doom rzucał przekleństwa straszliwsze niż wystrzały armatnie. Deski skrzypiały miarowo, gdy wściekły przemierzał pokład. Choć statek kołysał się na falach, kapitan ani razu nie stracił równowagi, ani razu się nie potknął. Gdyby jego wrogowie ujrzeli go w tym momencie, umarliby ze strachu, przekonani, że zaraz zaczną miotać piorunami.

- Jak mogłeś sprowadzić na pokład kobietę? – Zręcznie uchylił się przed kołyszącym się żaglem. - Wiesz, że Tam i Pudge są przesądni. Jeśli się o tym dowiedzą, gotowi skoczyć w morze.

Olbrzym o ciemnej od słońca i wiatru skórze zdawał się nie przejmować jego furii. Tylko ktoś, kto dobrze znał kapitana, mógł wyczuć nutę sarkazmu w jego melodyjnym, niskim głosie.

- Sir, czy mam przynieść bat, żeby mnie pan wychłostał?

- Nic drażnij mnie - warknął kapitan. - Powinienem być pozwolić, by cię powiesili, wtedy w San Domingo.

Doom pochylił głowę dokładnie w momencie, gdy tuż nad nim przesunęła się lina fokmasztu. Idący tuż za nim marynarz przykucnął.

Kapitan drapał się po brodzie.

- Do cholery, chyba spędziłeś na morzu zbyt dużo czasu! Nie zauważyłeś, że to kobieta?

- Kręciła się jak szczur. W dotyku była delikatna. Myślałem, że admirał tak zmiękł, odkąd przeszedł w stan spoczynku. Jak zgnita brzoskwinia.

- Chyba tobie głowa gnije.

- Na drzwiach kajuty było wszak dokładnie to nazwisko, o którym pan mówił, sir: L-U-C, kropka, S-N-O-W.

Doom miał ochotę skłąć go za to, że umie czytać. Pokiwał głową z dezaprobatą i ruszył w kierunku ładowni.

- Jeśli to ktoś ważny, zaraz będziemy mieć na karku całą Straż Kanałową. Nie mogłeś jej zapytać, jak się nazywa?

- Pan wybaczy, sir, ale Kevin zajął naszą kajutę. A poza tym to pan ponoć lubi się znęcać nad niewinnymi dziewczycami.

Doom rzucił mu ponure spojrzenie. Zatrzymali się przed zaryglowanymi od zewnątrz drzwiami.

- Pewnie zaniemówiła ze strachu. Angielskiej dziewicy wystarczy, że cię raz zobaczy, by zaczęły ją prześladować koszmary.

Towarzysz wyszczerzył w uśmiechu zęby. Jego łysina połyskiwała niczym lustro. Przez ułamek sekundy kapitan dostrzegł w niej nawet własne odbicie. Choć nie było człowieka, którego Doom chętniej widziałby u swego boku w czasie bitwy, teraz miał ochotę udusić go gołymi rękami.

Doom przygładził palcami zmierzwione włosy i zdawałoby się, przypadkowym gestem poprawił koszulę.

- Będzie ją pan przesłuchiwał czy uwodził? - zapytał z przekąsem marynarz.

- Jeszcze nie wiem. Może jedno i drugie, a może zrobię coś całkiem innego. - Na twarzy kapitana nie było śladu rozbawienia. Ponury grymas jego ust zastanowiłby nawet tych najbardziej wątpiących w jego legendę. - Zrobię wszystko, co będzie trzeba, by się dowiedzieć, dlaczego szlachetny admirał Snow ukrywał w swojej kajucie kobietę.

Doom odsunął prowizoryczną zasuwę, przekręcił w zamku klucz i wszedł do swojego gabinetu.

To jeszcze dziecko, pomyślał ze zgrozą. Jego towarzysz uprowadził małą dziewczynkę.

Okazało się jednak, że się mylił. To nie wzrost, ale obrażona mina i zachowanie porwanej sprawiały, że wyglądała na nie więcej niż dwanaście lat. Siedziała sztywno na krześle, udając, że nie przeszkadza jej fakt, iż ma związane ręce i nogi.

Bał się, by dziewczyna nie wpadła w histerię. Choć była blada, na jej policzkach nie było śladu łez. Nie widział jej oczu, bo zasłoniono je jedwabną przepaską. Wydęła usta, jak gdyby nudziła ją ta sytuacja. Od razu zauważył, że usilnie stara się ignorować jego obecność. Bawiło go to, ale i trochę irytowało.

Dokładnie się jej przyjrzał. Jego towarzysz widać nie skorzystał z okazji, bo jedynie jej proste blond włosy, opadające na plecy, były w nieładzie.

Doom skrzywił się z niesmakiem. Niepokoił go jej idiotyczny strój. Czyżby chłopcy wyciągnęli ją prosto z koi? Przecież w ciągu tych sześciu lat moda nie mogła zmienić się aż tak drastycznie. Kiedyś dokładnie znał każdą koronkę, haftkę i guziczek damskiej toalety.

Tymczasem suknia tej kobiety bezwstydnie pozbawiona była tych przeszkód. Cienka, niczym gaza spódnica przylegała do jej rozchylnych nóg, przezroczysta halka z pewnością miała prowokować mężczyzn, a nie zasłaniać widoki. Drobne stopy ukryte były w błękitnych jedwabnych pończochach. Pod stanikiem sukienki przeżyły się zgrabne piersi, tym wyraźniej zarysowane, że dziewczynie związane z tyłu ręce. Wzrok Dooma zatrzymał się w tym miejscu na dłużej. Mylił się jego towarzysz, twierdząc, że jest miękka jak gnijąca brzoskwinia. Ona była świeżą brzoskwinia. Dojrzałą i soczystą.

Jego ciało gwałtownie zareagowało na ten widok. Może ona i przypomina dziecko, ale on zdecydowanie czuł się mężczyzną. Zaalarmowany niespodziewanym kierunkiem, w jakim podążyły jego myśli, podszedł do barku w nadziei, że znajdzie tam ukojenie dla rozbudzonej namiętności. Nalał sobie brandy.

Wytarł dłonią usta, z trudem powstrzymując się przed ukaraniem jej za własną słabość, jednak bezsilność dziewczyny sprawiła, że opanował złość.

Odstawił szklankę. Zadanie wymagało, by przybrał pozę pozbawionego uczuć i skrupułów łajdaka. W twardym sercu kapitana Dooma nie było miejsca na współczucie i namiętność. Szczególnie gdy w grę wchodziła dziwka Luciena Snowa.

Stał tuż przed nią. Ręce trzymał złożone z tyłu, stopy w rozkroku. Milczał. Z lekkim rozbawieniem zauważył, że się zarumieniła. Przysiągłby, że powodem nie był strach, lecz gniew.

Kiedy mężczyzna przekroczył próg kajuty, Lucy wiedziała, że będą kłopoty. Od razu

domyśliła się, że to nie on ją pojmał. Tamten miał delikatne dłonie i miły głos, był uprzejmy, jak gdyby chciał przeprosić, że ją wystraszył.

Ten, który teraz przed nią stał, nie zamierzał przeproszać. Wokół tego mężczyzny gęstniało powietrze. Lucy czuła, że kapitan Doom to nie żaden duch, tylko prawdziwy człowiek z krwi i kości.

Ponieważ ograniczono jej możliwość obserwowania, Lucy wyostrzyły się pozostałe zmysły. Dokładnie słyszała każdy jego oddech, jej nozdrza bezbłędnie zidentyfikowały niezwykłą mieszaninę aromatów - sól, brandy i naturalny ostry zapach mężczyzny. Pachniał jak drapieznik. Wiedziała, że przegra, gdy pozwoli, by wyczuł jej strach.

W pierwszym odruchu wpadła w panikę. Na szczęście teraz zamiast przerażenia, przepełniał ją gniew. Była oburzona, bo związano ją niczym geś na Boże Narodzenie. Z początku, kiedy wszedł do kajuty, postanowiła milczeć, by nie zdradził jej drżący głos. Teraz powodował ją zwyczajny upór. Nie przerwie tej nieznośnej ciszy.

Plecy proste, Lucindo, usłyszała w duszy słowa admirała. Stopy razem, siedź jak mała dama.

Niestety, to nie było możliwe. Jej stopy przywiązano do nóg krzesła. Była zupełnie bezsilna, nie mogła się poruszyć. Zawstydziała się, przypomniawszy sobie upomnienie ojca.

Czuła na twarzy spojrzenie obcego mężczyzny, ale nie odwróciła głowy. Zaciśnięte szczęki zaczynały ją już boleć. Wyobrażała go sobie, jak stoi w rozkroku, na wprost niej.

- Nazwisko.

Lucy poderwała się, jak gdyby ją uderzył. On nie zapytał o jej nazwisko, on po prostu żądał odpowiedzi. Gdyby równie władczy tonem zażądał od niej duszy, nie potrafiłaby mu odmówić.

- Lucinda Snow - odparła chłodno. - Przyjaciele nazywają mnie Lucy, ale ze względu na okoliczności, myślę, że pan powinien zwracać się do mnie panno Snow.

Przez kilka chwil milczał, jednak widać było, że ta informacja zrobiła na nim wrażenie.

W miejscu tłumionej agresji pojawiło się dzikie zadowolenie. Lucy obawiała się, że ta zmiana może przynieść jeszcze gorsze skutki.

- Panna Snow? - odezwał się w końcu. - Czy mam rozumieć, że nie ma żadnego pana Snowa, który umierałby z niepokoju po pani zniknięciu?

Głos miał być ostry, a jednocześnie łagodny. Przeszły ją dreszcze, choć podejrzewała, że jego surowość była jedynie maską. Modliła się, by nic dostrzegł jej reakcji.

- Admirał, sir Snow, to mój ojciec. Zapewniam pana, że kiedy dowie się, że zostałam porwana przez piratów, nie będzie umierał z niepokoju, tylko natychmiast podejmie odpowiednie działania.

- Ach tak, godny przeciwnik. - Zaniepokoiło ją jego zadowolenie.

Zaczął wokół niej krążyć. Jego miarowe kroki drażniły ją jeszcze bardziej niż to, że nie potrafiła zlokalizować, w którym miejscu stoi. Na pewno się jej przyglądał, zastanawiając się, jak zaatakować.

Strach sprawił, że straciła zimną krew.

- Słyszałam o pańskich tchórzliwych praktykach, kapitanie. Wiem, że pańskimi ulubionymi przeciwnikami są niewinne dzieci, które się boją duchów, oraz bezbronne kobiety.

Za jej plecami zaskrzypiała deska. Lucy znów się wystraszyła. Gdyby jej teraz dotknął, z pewnością wybuchnęłaby płaczem. Pochylił się nad nią. Usłyszała jego ironiczny szept.

- A pani, panno Snow? Jest pani niewinna czy bezbronna? A może jedno i drugie? - Nie odpowiedziała na prowokację, więc zaczął znowu krążyć po kajucie. - Zazwyczaj osoby porwane przez piratów krzyczą i płaczą. Dlaczego pani tego nie robi?

Lucy nie przyznała się, że boi się, by nie ozdobił jej twarzy czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

- Gdyby krzyk mógł mi w czymś pomóc, pewnie nadal miałabym zakneblowane usta. Z kołysania statku wnoszę, że rozwijamy pełną prędkość, by umknąć pościgowi. A co do łez, to uważam, że są nieskuteczne.

- Och, to niezwykle. - Nie była pewna, czy z niej kpi, czy rzeczywiście ją podziwia. - Inteligencja i logika, na dodatek w tak uroczym opakowaniu. Proszę powiedzieć, czy tatuś zawsze pozwala pani samotnie podróżować? Młode damy zwykle pływają po morzach pod opieką przyzwoitki. Czyżby szanowny papa nie dbał o pani reputację?

Lucy omal nie wykrzyknęła, że ojciec dba wyłącznie o jej reputację, ale w ostatniej chwili się pohamowała. Wyjawianie bolesnej prawdy obcemu człowiekowi to jak sypanie soli na świeże rany.

- Towarzyszyła mi matka kapitana. - No i na wiele się to nie zdało, dodała w myślach Lucy. Niedołężna staruszka pewnie przespała w najlepsze cały napad. - Kapitan „Tiberiusa” jest serdecznym przyjacielem mojego ojca. Zna mnie od dziecka. Może mi pan wierzyć: gdyby ktoś z jego załogi znieważył mnie choćby niewłaściwym spojrzeniem, zostałby wychłostany.

- Zapewne dla pani rozrywki.

Lucy skrzywiła się na taką uwagę.

- W przeciwieństwie do pana, ja nie znajduję przyjemności w torturowaniu

niewinnych osób - odparła słodko.

- Rozumiem, panno Snow. Zdaje się, że nie jest pani tak bezbronna, jak sądziłem. Gdybym miał jeszcze taką pewność co do pani niewinności...

Niedopowiedziana groźba zawisła nad głową Lucy. W ostatniej chwili powstrzymała się od komentarza. Z trudem hamowała się przed wygłoszeniem cierpkich uwag, cisnących się jej na usta. Nigdy mu tego nie zapomni. Nie dość, że jest panem jej życia, to jeszcze śmie wątpić w jej cnotę.

Zaczął krążyć, a jego głos zdawał się oplatać ją niczym niewidzialna pajęczyna.

- Może zechce mi pani wytłumaczyć, czemuż to tatuś odmówił sobie przyjemności towarzyszenia pani podczas podróży.

- Ojciec rozchorował się przed wyjazdem z Kornwalii. Grypa żołądka. Uznał, że nie powinnam z jego powodu przerywać rejsu. Sam obawiał się, że podróż morska jedynie pogorszy jego stan.

- Cóż za przewidujący człowiek. Ten rejs mógł okazać się dla niego śmiertelny. A co spowodowało tę niestrawność? Zbyt dużo herbaty? Zepsuty śledź?

Lucy pokręciła głową.

- Niestety, nie wiem. Podczas śniadania ojciec jak zwykle czytał „Timesa”. Nagle zbladł, przeprosił wszystkich i wyszedł. Później poinformował, że postanowił jechać powozem. Doom przestał krążyć. Zatrzymał się za jej plecami.

- I wysłał panią na swoje miejsce. Biedna, mała Lucy.

Nie była pewna, co bardziej ją drażni - jego ponure współczucie czy fakt, iż jej imię pojawiło się na jego diabelskich ustach.

- Jeśli zamierza mnie pan zamordować, proszę bardzo - wyrzuciła z siebie. - Dopiero potem może pan wygłaszać panegiryki na moją część.

Krzesło aż się zatrzęsło, gdy położył ręce na oparciu. Lucy zamarła, wyobraziwszy sobie, jak zaciskają się na jej gołej szyi.

- A więc to tak mnie nazywają, panno Snow? Morderca? Ze strachu zamknęła oczy pod przepaską.

- Między innymi.

- A poza tym?

- Duch - wyszeptała.

Pochylił się nad nią od tyłu i dotknął policzkiem jej twarzy. Poczowała kłujący zarost mężczyzny i jego zapach.

- A ty co powiesz, Lucy? Jestem duchem czy prawdziwym człowiekiem?

Jego dotyk był aż nazbyt rzeczywisty. Natrętna męskość poruszyła jej zmysły. Nikt wcześniej nie dotykał jej tak intymnie. Smythe był dumny z tego, że potrafi zachować rezerwę, admirał zaś nigdy nie pochwalał okazywania uczuć.

Lucy wahała się o ułamek sekundy za długo, co zepsuło efekt.

- Nie znajduję w panu nic z ducha.
- Za to nie wątpię, że dostrzega pani ciało.

Jego ciepła dłoń wsunęła się pod jej włosy. Dotknął jej karku tak łagodnie, jak gdyby próbował odpędzić jej strach i pokonać resztki oporu. Lucy zadrżała, zaskoczona jego delikatnością i odwagą. Na szyi czuła gorący, pachnący brandy oddech.

- Opowiedz mi coś o łotrostwach kapitana Dooma - zachęcał.

Lucy robiła wszystko, by opanować zdenerwowanie. Wzięła głęboki wdech, próbując się uspokoić.

- Powiadają, że jednym spojrzeniem potrafi pan unieruchomić wroga.

- Pochlebia mi to. W rzeczywistości stosuję bardziej konwencjonalne metody. - Jego palec wędrował tuż nad jej uchem. -Mów dalej, Lucy.

Szczerzość wzięła w niej górę nad rozsądkiem.

- Podobno w ciągu jednej nocy zgwałcił pan dziesięć dziewczyc - powiedziała ku własnemu zaskoczeniu.

Spodziewała się, że wybuchnie śmiechem, tymczasem on ujął jej podbródek i odchylił jej głowę do tyłu.

Głos miał spokojny i jednocześnie uroczy, a może tylko kpił.

- Ach, zatem jedna chuda dziewczica, taka jak ty, zaostrzy tylko mój apetyt.
- Słyszałam też, że nie znosi pan jęku ofiar - wyrzuciła z siebie szokującą prawdę. - Ponoć tym, którzy się panu sprzeciwiają, zaszywa pan usta dratwą.

Czuła na ustach jego oddech.

- W twoim przypadku byłaby to nieodżałowana strata, zwłaszcza że znam przyjemniejsze sposoby, by je uciszyć.

Doom stapał po grząskim gruncie. Wiedział o tym już w chwili, gdy zanurzył palce w jedwabście miękkich włosach dziewczyny, gdy poczuł świeży, cytrynowy zapach jej skóry. Zacisnął dłonie na oparciu krzesła, by powstrzymać się przed dotykiem jej, ale jego ręce nagle przestały być posłuszne woli. Czuł, jak ogarnia go pożądanie, wdychał jej zapach, a każdy oddech wprawiał go w jeszcze większe szaleństwo. Najbardziej na jego zmysły działały jej pełne usta, łagodnie kontrastujące z drobną budową i subtelnymi rysami twarzy.

To trwało zbyt długo. Złożył swą namiętność na ołtarzu zemsty, wyrzekł się

wszystkich emocji, które mogłyby przeszkodzić mu w realizacji okrutnego planu. Jak na ironię, pierwsze zwycięstwo, miał zaspokoić pragnienie zemsty, wyzwoliło tłumione pożądanie.

Kiedy dziewczyna zdradziła swoją tożsamość, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Początkowa euforia wkrótce ustąpiła miejsca podejrzliwości. Co za zbieg okoliczności, że akurat ona trafiła w jego ręce. To zbyt piękne, by było prawdziwe. Czyżby wpadł we własne sidła? Przecież tak dokładnie zbadał przeszłość Snowa, a nie wiedział nic o żonie ani dziecku. Czy dziewczyna była prawdziwą córką Luciena Snowa, a może ktoś posłużył się nią jako przynętą? Snow chce, by wyszedł z ukrycia, a ją potraktował jak kozła ofiarnego. Jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

Jego kciuk pieścił aksamitny płatek jej ucha. Skórę miała miękką, jak u owieczki. Ciekawe, czy dziewczyna jest równie podatna na dotyk w innych miejscach. Zastanawiał się, czy nie zrobić tego, o czym mówią legendy. Miał przecież reputację bezwzględnie deprawatora niewinnych panienek. Mahoniowe łoże kusilo. Stał przed dylematem, z jakim mierzył się każdy mężczyzna, któremu choć raz zdarzyło się, by piękna kobieta zdana była na jego łaskę.

Nie skrzywdzi jej, przysięgał sobie. Będzie delikatny, przekona ją. Nie zostawi na jej apetycznym ciele siniaków ani żadnych śladów. Tylko wspomnienia o kochanku duchu, który posiadał ją pod osłoną nocy, a o świcie zniknął.

- Proszę - szepnęła błagalnie, jak gdyby czytała w jego myślach.
- Cóż za maniery - mruknął, zadowolony, że nie widzi jej oczu. Obawiał się, że łzy mogłyby zniweczyć jego niegodziwe zamiary. - Powiedz mi, Lucy, o co tak pięknie prosisz? O życie? - Przesunął palcami po jej włosach. - A może o duszę?

- O pańską duszę, sir. - Jej cichy szept całkowicie go zaskoczył. - To ona będzie w niebezpieczeństwie, jeśli popełni pan ciężki grzech.

Roześmiał się gorzko, zwalniając uścisk.

- Zapomniałaś, Lucy, że już jestem martwy? - zapytał, gładząc jej czoło. - Przestałem się martwić o spokój sumienia i duszy.

- Dusza jest nieśmiertelna, kapitanie. Podejrzewam, że pańska nie jest aż tak czarna, jak mi pan wmawia. Ale do czasu.

Wzrok Dooma zatrzymał się na jej ustach. Miękkie, zdradzieckie.

Umierał na wspomnienie czasów, kiedy nie szukał zemsty, tylko sprawiedliwości. Wtedy dostrzegał jeszcze różnicę. Jeśli posiadzie dziewczynę wbrew jej woli, nie będzie lepszy od bezimiennego ojca, który zdobył miłość matki, a potem uciekł w morze,

zostawiając brzemienną kobietę na pastwę losu, odbierając jej całą radość życia. To przez niego matka zmarła podczas porodu.

- Wzrusza mnie ta troska o moją duszę, panno Snow - powiedział łamiącym się głosem, - Gdybym miał ochotę na kazania, porwałbym księdza. Zamiast związywać ci oczy, trzeba było cię zakneblować.

Doom podejrzewał, że jej oczy mogłyby okazać się równie niebezpieczne, co usta. Rozchyliła je pod dotykiem jego palców. Znał siłę swojego dotyku. Dziewczyna była uległa niczym mała kotka. Ciekawe, jak zachowałaby się, gdyby pozwolił sobie na coś więcej, jak by się pod nim poruszała, jakie wydawałaby odgłosy?

Zaklął pod nosem. Potrafi odmówić sobie jej rozkosznego ciała, ale będzie przeklęty, jeśli nie zakosztuje jej zmysłowych ust. Pochylił się nad nią i delikatnie ją pocałował. Poczul, jak rozpala się w nim ogień. Jego język wędrował po jej miękkich wargach, sposobiąc ją do łagodnej inwazji.

W tym momencie rozległo się walenie w drzwi.

- Kapitanie, od północy zbliża się uzbrojony okręt. - Spokojny głos towarzysza świadczył o tym, że wiadomość jest wyjątkowo pilna. - Straż Kanałowa, sir. Okręt flagowy „Argonauta”.

3

Doom wyprostował się. Spojrzał na usta dziewczyny, ciągle jeszcze rozchylone i wilgotne od jego pocałunku. Szczerze żałował, że nie zdążył się przekonać, czy choć w połowie była tak dobrą dziwką, jak aktorką.

Przeklinał się za to, że nie posmakował soczystego owocu. T tak dał Lucienowi Snowowi wystarczająco dużo czasu, by dogonić ich okrętem Straży Kanałowej. Przez ułamek sekundy Doom wahał się, był gotowy ulec żądzy i ostatnim spazmem rozkoszy wynagrodzić sobie kłopoty, jednak patrząc na jej drżące usta, nie mógł przestać zastanawiać się nad jednym pytaniem.

A jeśli się myli?

A jeśli „Retribution” przypadkowo wpłynął na kurs „Argonauty”, a dziewczyna nie jest żadną przynętą?

A jeśli jest niewinna?

Tak czy inaczej, nie mógł sobie teraz pozwolić, by zaspokajać własne zachcianki, podczas gdy jego ludzie szykowali się do otwartej potyczki z uzbrojoną po zęby załogą okrętu Marynarki Królewskiej. „Tiberius”, statek pasażerski, był łatwym łupem. Załoga poddała się bez walki. Tym razem jednak nie pójdzie tak gładko. „Argonauta” nie da się zwieść pogrożkom.

- Zrzucić żagle, zmniejszyć prędkość - rozkazał.

Towarzysz Dooma nigdy dotąd nie sprzeciwił się jego rozkazom. Tym razem za drzwiami przez chwilę panowała cisza, jak gdyby marynarz się wahał.

- Tak jest, sir - odparł niepewnie, po czym się oddalił.

Doom wyjął z kieszeni nóż i ukląkł przed dziewczyną, by przeciąć więzy.

Lucy wzdrygnęła się, gdy zimna stal dotknęła rozgrzanej skóry. Jej usta ciągle drżały po gwałtownym spotkaniu z jego ustami.

Kapitan posługiwał się nożem z prawdziwą wprawą. Jego muskularne ramiona ocierały się o wnętrze jej ud, kiedy kuczał między jej kolanami. Na kostce poczuła ciepłe palce. Trzymał jej nogę, rozcinając sznur.

Szybko rozmasował jej zaczerwienione nadgarstki.

- Wygląda na to, że będziemy mieć nieproszonych gości. Czy to pani przyjaciele?

- Nie, ale jestem przekonana, że to pańscy wrogowie -odparła, próbując uspokoić oddech.

- Jak wszyscy- stwierdził z nutką rezygnacji w głosie. Poruszył tym Lucy bardziej, niż chciała.

Szarpnął ją, by wstała. Niestety, zeszytywniałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Lucy omal nie upadła. W ostatniej chwili niezdarnie oparła się na jego piersi, zmuszając go, by złapał ją w pasie. Zastygli w tej pozycji, jak zawieszeni w czasie. Usta przy ustach, ich oddechy mieszały się, ich ciała były niebezpiecznie blisko. Lucy zdawało się, że cały świat drży w posadach.

Wiedziona nieodpartym impulsem, delikatnie dotknęła dłonią jego twarzy. Westchnął niespokojnie, ale jej nie powstrzymywał. Jej palce błądziły po jego brodzie.

Rozdzieliło ich nagle szarpnięcie okrętu.

Doom pierwszy odzyskał świadomość. Złapał ją za rękę, tym razem mocniej, i pociągnął ku drzwiom kajuty.

Lucy nie miała wyjścia. Poszła za nim bez sprzeciwu. W pośpiechu przemierzali ładownię. Za każdym obrotem i zakretem boleśnie objęła się o ściany.

Zaskoczona, krzyknęła, gdy chwycił ją w pasie.

- Pochyl głowę - rzucił, podnosząc ją w górę i wypychając przez wąskie wejście.

Usłyszała. Nie wiedziała nawet, że dzięki niemu nie rozbiła sobie głowy. Kiedy wydostała się z ciepłej maszynowni na pokład, nie mogła opanować drżenia. Silny wiatr wiejący na pokładzie sprawił, że cienka sukienka przyłgnęła jej do ciała. Po chwili obok niej pojawił się Doom. Bez namysłu przytuliła się do niego, szukając schronienia przed zimnem. Tym razem cieszyła się, że nie był duchem.

Jej ciałem wstrząsnęły jeszcze silniejsze dreszcze, gdy objął ją swym ciepłym ramieniem.

- Głupia dziewczyno - szepnął, wtulając twarz w jej włosy. - Skoro jesteś taka mądra, nie powinnaś dać się porwać w nocnej koszuli.

Lucy otworzyła usta, by zapytać, co miał na myśli, nazywając jej modną sukienkę nocną koszulą, ale nie zdążyła. Doom złapał ją za rękę i już ciągnął w inną część okrętu. Ogarnęło ją dziwne uniesienie. Czowała, że mogłaby iść za nim na koniec świata, stawić czoło

każdemu niebezpieczeństwu.

Czyżby na tym właśnie polegała grzeszna słabość ludzkiego ciała, którą odziedziczyła po matce, a przed którą ostrzegał ją admirał? A może to zwyczajne, prymitywne podniecenie, jakie ogarnia marynarzy przed bitwą?

Nastawiła uszu, ciekawa, jak załoga „Retribution” przygotowuje się do potyczki. Na pokładzie panowała cisza. Słychać było jedynie wycie wiatru i stukot butów Dooma.

- A załoga?! - krzyknęła, próbując przekrzyczeć wiatr. - Gdzie są wszyscy? Nic nie słyszę.

- Obawiam się, że trafiłaś na rejs z załogą duchów.

- To nawet pasuje do demonicznego kapitana.

Doom zatrzymał się tak nagle, że Lucy wpadła mu na plecy. Złapał ją za obie ręce i zaciągnął w miejsce, gdzie wiatr nie wiał tak porywicie. Kiedy się zatrzymali, oparł ją o coś twardego. Ze zdziwieniem poczuła, że się śmieje.

Wziął jej twarz w dłonie. Nawet nie wyobrażała sobie, że może być tak delikatny.

- Ach, słodka Lucy, będzie mi ciebie brakowało.

Z oddali dobiegło ich stłumione wołanie. Doom szarpnął ją, dając znak, by przykucnęła. Sam zamarł w bezruchu.

- Zostań. Nie ruszaj się. Bądź cicho - rozkazał. - Ani kroku.

I już go nie było. Lucy została sama, na mokrych deskach pokładu.

Najwyraźniej przywykł do tego, że spełniano jego rozkazy. Jego delikatność pomieszana z surowością przyprawiła ją o zawrót głowy. Miał tak władczy ton, że Lucy przez kilka minut tkwiła w bezruchu, wsłuchując się w niespokojne bicie własnego serca. Dopiero po chwili dotarło do niej to, co powiedział.

„Będzie mi ciebie brakowało”.

Równocześnie usłyszała w duszy głos rozsądku, dziwnie przypominający szept admirała. „Lucy, porwali cię okrutni piraci. Dokąd się wybierasz?”

Do Kornwalii? Do Chelsea? Do nieba?

I co z tego, że pachniał tak upojnie? Co z tego, że kiedy się śmiał, jego głos brzmiał tak kojąco? Ten mężczyzna zamierzał ją zamordować, a ona kulila się tu ślepa i nieprzytomna ze strachu, jak mała myszka, czekająca na powrót żarłocznego kocura.

Zdenerwowała się, uświadomiwszy sobie własną głupotę. Dopiero teraz odważyła się zerwać przepaskę. Morskie powietrze podrażniło oczy. Przez chwilę widziała tylko ciemność. Wytarła łzy i zamrugła. Rozejrzała się wokół siebie i stwierdziła, że Doom ukrył ją w cieniu, pod górnym pomostem.

Tuż obok niej, przy prawej burcie, stał mężczyzna, kurczowo trzymając się relingu. Pod obcisłą jasną koszulą wyraźnie rysowały się pięknie umięśnione plecy. Nogawki czarnych spodni włożył do cholewek wysokich, skórzanych butów. Na jego widok serce Lucy zabiło mocniej. Wystraszyła się, że ją usłyszy.

Ukryty za żaglem, obserwował zbliżającego się „Argonautę”. Okręt płynął tuż za nimi. Załoga prawdopodobnie była przekonana, że ma przed sobą jeszcze jeden statek widmo. Choć w „Retribution” mierzyły potężne działa okrętu admirałskiego, Doom stał spokojnie. Zdawało się, że się nie boi.

Lucy wiedziała, jak się ratować. Wyjęła z pończochy nóż do otwierania listów. Z całej siły zacisnęła palce na trzonku, by broń nie wysliznęła się jej ze spoconej dłoni.

Ten człowiek to morderca, przypomniała sobie. Złodziej. Bezlitosny, żądny krwi bandyta. Niewiele brakowało, by ją zniesławił i udowodnił, że jest równie słaba i bezwolna jak jej matka Francuzka. Ten okręt pojawił się w samą porę. Doom odwrócił się od relingu. Przez chmury przebiły się pierwsze promienie księżyca.

Lucy zagryzła wargi. Czowała, że gdy ujrzy jego twarz, nie zdobędzie się na realizację swojego planu. Na szczęście księżyc znów schował się za chmurą. Ciemność mogła być jej zbawieniem, a jego zgubą. Doom zniknął jej z oczu, stał się bezosobowym cieniem, który zaraz wpadnie w jej pułapkę.

Chwyciła nożyk obiema rękami i pchnęła go prosto w serce.

Czując, że nie zniesie tego widoku, zamknęła oczy i w ostatniej chwili skierowała nóż w jego ramię.

Doom zachłysnął się powietrzem. Oddychał przez zaciśnięte zęby. Lucy puściła nóż. Kiedy w końcu odważyła się na niego spojrzeć, jedyne, co dostrzegła, to jego stalowe oczy.

- Ty wredna mała dziwko! Pchnęłaś mnie nożem! - powiedział z niedowierzaniem.

Wyjął z ramienia sterczący nożyk i bez namysłu zacisnął ręce na jej gardle. Popchnął ją w tył, po czym przygwoździł kolanem do masztu. Pod palcami czuł jej szaleńczy puls. Pochylił się nad nią, słyszała jego urywany oddech, czowała, że płonie żądzą zemsty.

Myliła się. Ten człowiek nie zamierzał posłać jej do nieba. Osobiście odprowadzi ją do piekieł. W ręce trzymał zakrwawione ostrze, w którym odbijały się nieśmiałe promienie księżyca.

„Podobno na ciałach ofiar zostawia swój znak. To diabeł”.

Choć umierała ze strachu, że wbije ostrze w jej policzek, odwróciła głowę.

Doom szarpnął ją za włosy na karku i spojrzał jej prosto w oczy.

- Powinienem cię... - wychrypiął.

Bez ostrzeżenia wpił się w jej wargi. Jego język wdarł się do jej ust w pocałunku tak mrocznym, że ugięły się pod nią nogi. Początkowo broniła się, jednak z każdym ciosem coraz słabiej. W końcu zrozumiała, że jest bezsilna. Poddała się. Świat przestał dla niej istnieć, liczył się tylko zakazany smak jego pocałunku, język odważnie drażący jej usta, ostry zapach wypełniający nozdrza, napór kolana między jej udami. Poczowała rozkoszne ciepło w miejscach, których nigdy nie odważyła się nawet nazwać.

Nagle obok nich odezwał się czyjś głos.

- Kapitanie, nie ma czasu. „Argonauta” siedzi nam na rufie.

Doom niechętnie oderwał się od jej ust. Nim Lucy zdołała zebrać myśli, odsunął ją od siebie i popchnął na środek pokładu.

Sam szedł tuż za nią, zataczając się jak pijany. W dłoni trzymał nożyk do otwierania listów.

Lucy cofała się niepewnie. Czowała się naga, wystawiona na widok publiczny.

Jego włosy powiewały na wietrze. Na lekko zarośniętej twarzy igrały cienie olinowania, sprawiając, że przypominał istotę z innego świata.

- Panno Snow, niech pani przekaze ojcu wiadomość ode mnie! - krzyknął, próbując zagłuszyć porykiwanie wiatru. - Niech mu pani powie, że kapitan Doom niebawem upomni się o swój dług.

Zbliżył się do niej. Lucy zrobiła jeszcze jeden krok w tył.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytała przez ściśnięte gardło.

- Chyba słyszała pani, że piraci wystrzeliwują swoje ofiary z dział.

W milczeniu kiwnęła głową. Kiedy wycofując się dotarła do relingu przy prawej burcie, poczuła mrowienie na plecach. Przybliżył do niej twarz, tak że ich nosy prawie się dotykały.

- Cóż, nie mamy na „Retribution” dział.

Nożyk uderzył o deski pokładu, gdy złapał ją w ramiona i pocałował. Znow ją zaskoczył. A potem wypchnął ją za burtę.

Doom upadł na kolana, głowę oparł o reling. Szok i ból po stracie dziewczyny odebrały mu siłę.

- Kapitanie! - krzyknął z bocianiego gniazda Tam. Nie był tak opanowany jak towarzysz Dooma. Słysząc było, że jest na granicy hysterii. - Dwa okręty na lewej burcie! Idą w szyku bojowym, zaraz nas otoczą!

Gdzie, do cholery, podział się Kevin, zastanawiał się lekko zdenerwowany Doom. Czyżby ciągle jeszcze spał? No tak, pewnie odzyskuje siły po całonocnej rozpuście.

- Zrzucić żagle! - zawołał, wpatrując się w ciemne morskie odmęty.

Chyba zwariował z utraty krwi. Sam nie mógł uwierzyć, że ryzykuje życie i wolność załogi tylko po to, by przekonać się, czy dziewczyna potrafi pływać. A przecież to Kevin uchodził za największego ryzykanta w rodzinie.

- Kapitanie!

Doom zignorował okrzyki przerażonego Tama.

Dziewczyna niezdarnie machała rękoma, pływała w kółko, niczym ranny żółw. Do diabła, zanosi się na to, że będzie musiał sam ją ratować. Już prawie zebrał siły, by skoczyć za nią do wody, gdy w końcu się opamiętała. Odzyskała równowagę i ruszyła w kierunku najbliższego okrętu.

Doom zmrużył oczy. Widząc, jak instynktownie walczy o przetrwanie, nabrał pewności, że to prawdziwa córka Luciena Snowa.

Tam, który nie miał już siły krzyżeć, mamrotał pod nosem zdrowaśki. Doom nadal czekał. Dziewczyna odziana w białą sukienkę była bardzo dobrze widoczna.

- Człowiek za burta! - rozległo się w końcu wołanie z pokładu „Argonauty”.

- Teraz! - krzyknął Doom. - Postawić żagle! Zabieramy się stąd!

Na rufie otwarto zapadnię, z której gwałtownie buchnęła para, spowijając „Retribution” niczym całun. Czarne jak heban żagle załopotwały na wietrze. Po chwili okręt z gracją sunął po falach. Tam wrzasnął radośnie, obwieszczając sukces.

Jeden z okrętów towarzyszących „Argonautcie” wypalił ze spiżowego dział, jednak odległość dzieląca uciekających piratów była zbyt duża. Wkrótce zaprzestano pościgu. Załoga „Argonauty” miała ważniejsze zadania, niż łapanie duchów. Teraz należało uratować czarującą młodą damę, która zeskoczyła z pokładu.

Wyczerpany Doom opadł ciężko na zwój olinowania. Zamknął oczy. Pragnął ukryć się w najciemniejszym kącie, wyleczyć z ran i to nie tylko tych, które było widać na pierwszy rzut oka. Przeżył na morzu pięć lat prawdziwego piekła tylko po to, by omal nie zginąć z ręki angielskiej panienci. Zawroty głowy spowodowane utratą krwi nie pozwoliły mu wstać. Uśmiechnął się, gdy głowa bezwładnie opadła mu na pierś.

- Do diabła, kapitanie, zamierza pan wykrwawić się tu na śmierć czy pozwoli się pan pozszywać?

Doom z wysiłkiem podniósł głowę.

- Jeszcze ci się dobiore do tyłka, a wtedy pożałujesz, że nie pozwoliłeś mi zdechnąć, Pudge. Co z ciebie za pirat? Dlaczego nie przeszukałeś dziewczyny? Miała broń. - Mówił z wielkim trudem.

Mężczyzna przykucnął obok niego i z zadziwiającą delikatnością przyłożył mu do rany chustkę.

- Nic wyglądała groźnie - tłumaczył się, pomagając wstać krwawiącemu kapitanowi.

Doom patrzył za znikającym w oddali „Argonautą”. Nie mógł się uwolnić od słodkiego spojrzenia pięknych szarych oczu.

- Mylisz się, przyjacielu - powiedział i położył rękę na piersi. - Ta mała dziwka omal nie ugodziła mnie w serce.

4

Londyn

Łajdak!

Lucy poderwała się, gdy admirał huknął pięścią w rozłożoną na biurku gazetę.

- Znowu kapitan Doom, ojczy? - zapytała, odkładając pędzel na brzegu słoiczka z wodą. Nie chciała, by zauważył, że drżą jej ręce.

- A któż by inny? Tylko posłuchaj, co ten łotr zrobił tym razem.

Jak zwykle w chwilach uniesienia, admirał zapomniał o swojej lasce. Wstał i zaczął nerwowo przemierzać salon, gniotąc w dłoniach gazetę.

- „Po wejściu na pokład »Lothario« przebiegły kapitan zmusił załogę do posłuszeństwa” - czytał wzburzonym głosem. – Nie wystarczyło, że złupił okręt, bo nakazał marynarzom zdjąć mundury”. Przebiegły kapitan! Dobre sobie. Przebiegły, istotnie, ale nie kapitan! To zwyczajny pirat! Utrapienie uczciwych żeglarzy! A prasa ma czelność robić z niego malowniczego łotra! Co za skandal.

Lucy uśmiechnęła się za sztalugą, wyobraziwszy sobie dzielnych wilków morskich trzęsących się z zimna w samych kalesonach.

- Za to dziennikarzom płacą.

Z niesmakiem rzucił gazetę na stół.

- Zapewniam cię, że dużo więcej dostają za milczenie. Gdybym nie wypełnił ich sakiewek złotem, kto wie, co wypisywaliby na temat twojego zniknięcia. Byłabyś zrujnowana.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Kto jak kto, ale ojciec powinien wiedzieć, że nikt nie „zrujnował” jej życia. Po tym, jak uratował ją patrol Straży Kanałowej, admirał nie dość, że zadawał jej wielce nietaktowne pytania, to jeszcze zarządził, by poddała się szczegółowym

badaniom lekarskim. Choć od tych wydarzeń minął ponad miesiąc, Lucy ciągle czuła dreszcze na samo wspomnienie bezosobowego dotyku zimnych dłoni.

Ojciec uznał jej reakcję za objaw strachu.

- Nie ma powodu do hysterii, dziewczyno - warknął. Zaskoczona Lucy strąciła na podłogę pędzel. - Ten łajdak już nigdy cię nie dotknie.

Lucy podniosła pędzel i zanurzyła w niebieskiej wodzie. Przypomniała sobie mroczne chwile, kiedy jej życie spoczywało w rękach okrutnego kapitana Dooma. Właściwie jedyne, co знаła, to dotyk jego dłoni. Delikatny, bezwzględny, łagodny, szyderczy. Czuła jego palce we włosach. Na karku. Na policzkach. Miał nad nią władzę. Uległa mu całkowicie.

Ocknęła się z rozmarzenia. Wytarła pędzel o brzeg słoiczka.

- Ojczy, nie boję się kapitana Dooma. Powiedział, że to z tobą chce się spotkać, nie ze mną. Przyjdzie odebrać dług.

- To ty tak twierdzisz - powiedział sceptycznie.

Unikając jego wzroku, Lucy nałożyła na pędzel odrobinę białej farby i namalowała kolejną puszystą chmurę. Ojciec uwielbiał jej morskie pejzaże. Miała cichą nadzieję, że choć w ten sposób go zadowoli. Nigdy nie potrafiła przed nim niczego ukryć. Jako dziecko, chcąc uniknąć wyrzutów, przyznawała się do psot, zanim wyszły na jaw.

Tym razem przemilczała szczegóły spotkania z Doomem w obawie, że ojciec w swej zaciętości wyolbrzymi wszystko do rozmiarów śmiertelnego grzechu. Nawet w tej chwili mierzył ją surowym wzrokiem, jak gdyby to ona, a nie Doom, popełniła przestępstwo.

- Czy jesteś pewna, że ten łotr nie powiedział dokładniej, dlaczego chce się na mnie mścić? Nie przedstawił żadnego zarzutu? Nie znieważył mojego dobrego imienia?

Lucy westchnęła. Zabrała się do składania sztalug, gotowa na kolejne wyczerpujące przesłuchanie. Wiedziała, że za chwilę ojciec zmusi ją, by jeszcze raz szczegółowo opisała całe zajście i dokładnie powtórzyła każde słowo pirata. Prawie każde.

Uratował ją Smythe, który w tym momencie pojawił się w drzwiach salonu. Ojciec gardził powszechnym obyczajem panującym wśród arystokracji, a nakazującym odziewanie służby w liberie. Preferował wojskową prostotę, dlatego lokaj nosił krótką granatową marynarską kurtkę i sztywne białe bryczesy do kolan. Smythe w młodości pływał z admirałem jako młodszy oficer, a po odejściu z marynarki wstąpił do niego na służbę. Jako były żeglarz chętnie nosił ten nietypowy strój. Trudno było określić wiek kamerdynera. Jego ciemne włosy przyprószyła siwizna, ale trzymał się prosto, jak niejeden młodzieniec.

Stuknął obcasami i uklonił się admirałowi.

- Sir, przyszedł niejaki pan Benson.

Admirał wyjął z kieszeni kamizelki najpierw kompas, potem astrolabium, w końcu udało mu się odnaleźć ukochany zegarek. Zajęty poszukiwaniami, nie zauważył uśmiechu, jaki lokaj posłał Lucy, wychodząc z salonu.

- Dwunasta co do minuty - ogłosił admirał. - Doskonale! Nie znoszę braku punktualności. Kandydat powinien być zorganizowany i zdyscyplinowany.

- Kandydat? - powtórzyła za nim Lucy.

Tym razem ojciec sięgnął po gazetę z triumfalną miną. Położył ją na kolanach Lucy i wskazał palcem ogłoszenie.

- „Poszukiwany odpowiedzialny mężczyzna obeznany ze sztukami walki. Preferowane doświadczenie wojskowe. Oferty kierować do pana Hieronima Bensona” - przeczytała.

Nim zdążyła wyrazić swoją opinię, do salonu wparował pan Hieronim Benson we własnej osobie i od razu uściśnął wyciągniętą dłoń admirała.

-To dla mnie zaszczyt, admirale. Nie co dzień człowiek ma okazję rozmawiać z żywą legendą.

- To prawda - potwierdził zadowolony z pochlebstwa admirał.

Lucy z kwaśną miną przyglądała się ogłoszeniu, podczas gdy mężczyźni wymieniali grzeczności. Groźba Dooma musiała zrobić na ojcu większe wrażenie, niż podejrzewała. Lucien Snow, którego znała, nigdy nie ukrywał się za niczymi plecami. Admirał zaproponował gościowi kieliszek sherry, ale pan Benson odmówił. Usiadł w skórzanym fotelu i nerwowo przyglądał resztkę rzadkich włosów.

- Mój współpracownik przez cały tydzień spotykał się z kandydatami. Uważa, że wybrał dla pana najlepszych z najlepszych.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki, a po chwili wołanie Smythe'a.

- Młody człowieku, proszę się natychmiast zatrzymać!

Zdziwiona Lucy upuściła gazetę. Nigdy nie słyszała, by Smythe podniósł głos. Jeszcze bardziej zaskoczył ją widok statecznego lokaja ślizgającego się po błyszczącym parkiecie tuż przed drzwiami salonu. Trzymał za kołnierz młodego mężczyznę, który próbował mu się wyrwać.

Admirał wstał zza biurka. Nie tolerował tego rodzaju zgiełku, chyba że sam był jego powodem.

Smythe unikał jego wzroku.

- Proszę wybaczyć, sir. Wyprzedził mnie.

Admirał rzucił niecierpliwemu przybyszowi pogardliwe spojrzenie.

- Chłopcze, jeśli jesteś dostawcą, radzę korzystać ze schodów kuchennych.

Jeniec Smythe'a zaczął się szarpać tak gwałtownie, że lokaj zmuszony był go puścić.

Chłopak spojrzał na Smythe'a triumfalnie, po czym zdjął wymiętą czapkę. Jego przyszczata twarz była dokładnie wyszorowana, ale na szyi miał grubą warstwę brudu.

- Nie jestem żadnym służącym, sir. Jeszcze nie. Przychodzę w sprawie pracy.

Lucy uśmiechnęła się ze współczuciem, słysząc jego silny irlandzki akcent. Ojciec zawsze nienawidził Francuzów, ale na widok Irlandczyków wpadał po prostu w szal. Wyrostek otwarcie odwzajemnił jej uśmiech.

- Lucindo! - surowo upomniał ją ojciec. - Proszę nie spoufalać się z tym drabem!

- Wybacz, ojcze. - Lucy oblała się rumieńcem. Zerknęła na niedokończony obraz, żałując, że nie może wskoczyć w niebieskoszare odmęty morza.

Admirał usiadł w swoim fotelu i zaczął strzelać kostkami dłoni.

- Dziękuję, możesz odejść.

Lucy odetchnęła z ulgą i wstała, szykując się do wyjścia.

- Nie ty, on. - Ojciec wskazał głową młodego Irlandczyka.

Rozczarowana Lucy opadła na krzesło.

Chłopiec chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Smythe złapał go za kołnierz.

- Niech się pan tak nie spieszy, sir - błagał chłopak. - Mogę stanąć w zawody z nimi wszystkimi. Jestem mały, ale zręczny.

- Tak jak i ja, chłopcze - powiedział Smythe i zadowolony z własnego zwycięstwa, wyprowadził chłopaka z salonu.

Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwi wejściowych i stłumione dudnienie. Lucy domyśliła się, że chłopak właśnie zleciał ze schodów. Wyobraziła sobie, jak Smythe z obrzydzeniem otrzepuje dłonie.

Benson poruszył się w fotelu, ale admirał natychmiast zmroził go jednym spojrzeniem. Lucy zajęła się składaniem farb, ciesząc się w duchu, że choć raz to nie ona musi znosić wzrok ojca.

Zdawało się, że nawet kosmyki rzadkich włosów notariusza zeszywniały, gdy admirał groźnie mruknął:

- Najlepsi z najlepszych, tak?

Słowa admirała okazały się prorocze. Irlandzki młodzieniec był o ile nie najodważniejszy, to z pewnością najczystszy. Lucy w życiu nie widziała takiej zbieraniny. Żaden z nich chyba nie wiedział co to mydło, a i woda musiała być im obca.

Gentleman o azjatyckich rysach uparł się, by zaprezentować znajomość sztuk walki. Admirał odprawił go po tym, jak podczas pokazu przypadkowo strącił ulubione popiersie kapitana Cooka. Inny dryblas nieśmiało przyznał się, że jego znajomość świata przestępczego sprowadza się do tego, że przez kilka lat był złodziejem kieszonkowym. Pospieszenie wyproszono go z domu, bo Smythe przyłapał go na kradzieży srebrnych łyżeczek z tacy z herbata.

Z pojawieniem się każdego kolejnego kandydata pan Benson coraz głębiej zapadał się w fotel. Zdawało się, że zaraz zupełnie zniknie. Spocił się jak mysz, a jego włosy przylepiły się w strączkach do lśniącej łysiny. Zegar nieprzerwanie odliczał upływające minuty. Admirał siedział bez ruchu za biurkiem i w milczeniu palił fajkę. Kiedy wypuszczał nosem dym przypominał wściekłego smoka.

Lucy, zamroczona duszącym dymem i upałem, kiwała się smętnie nad filiżanką zimnej herbaty, kiedy w drzwiach salonu znów pojawił się Smythe.

- Niejaki pan Claremont pyta o pana, sir - powiedział głosem jakby zza światów.

Lucy zmarszczyła brwi. Czyżby jej się zdawało, czy też Smythe wymówił to nazwisko z lekkim niesmakiem?

- Wprowadzić. Pewnie to zbiegły morderca albo kapitan Doom we własnej osobie pojawił się, by nam poderżnąć gardła i zakończyć tę farsę - powiedział zrezygnowany admirał.

Benson poruszył się, jak gdyby przygotowywał się do ucieczki. Lucy, bardziej z nudów niż z ciekawości, otworzyła oczy, by przyjrzeć się stojącemu w drzwiach mężczyźnie.

Zupełnie zwyczajny, pomyślała sennie. Brązowy płócienny frak, nogawki dopasowanych spodni włożone do niskich cholewek skórzanych butów. Strój skromny, ale czysty i odprasowany. Nawet bezwstydnie podsłuchujący za drzwiami Smythe nie miał jego ubiorowi nic do zarzucenia. Buty, choć niemodnego już kroju, były dokładnie wypastowane.

Na widok kandydata o tak doskonałej prezencji, pan Benson podniósł czujnie głowę. Wyglądał jak ogar, który właśnie zwietrzył lisa.

Mężczyzna podszedł do biurka. Miał szczupłe biodra, długie nogi i szerokie ramiona. Kiedy przechodził obok Lucy, zauważyła, że bardzo zgrabnie się porusza i intrygująco pachnie wawrzynowym mydłem do golenia.

Zadowolona, że gość nie zwrócił na nią uwagi, Lucy przyglądała mu się z rosnącym

zainteresowaniem. Na nosie miał okulary. Kiedy zdjął kapelusz, na kark opadły równo przycięte włosy. Pospolita fryzura i całkiem zwyczajne włosy, uzupełniła w duchu. Ciemnobrązowe, z jaśniejszymi, czerwonawymi pasmami, świadczącymi o częstym przebywaniu na słońcu.

Wyciągnął do admirała rękę.

- Gerard Claremont, pański sługa, sir. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Lucy odnalazła w jego głosie coś niezwykłego. Przywodził na myśl ukradkowy łyk zakazanego jamajskiego rumu.

- Pan w sprawie pracy, nieprawdaż? - Admirał zignorował wyciągniętą dłoń.

Pan Claremont taktownie cofnął rękę i zaczął wyglądać brzeg kapelusza. Lucy obserwowała jego palce.

- Zgadza się.

- Mów głośniej, chłopcze. Nie znoszę mrużenia pod nosem.

Claremont śmiało patrzył admirałowi w oczy.

- Zgadza się - powtórzył głośniej. - Mam referencje.

Admirał chrząknął i wyciągnął rękę. Tym razem to Claremont zignorował jego gest. Sięgnął do kieszeni fraka, wyjął brązową kopertę i rzucił na biurko. Lucy wstrzymała oddech, przekonana, że dotknięty jego bezczelnością ojciec każe mu wyjść.

Admirał wyduł usta i zmierzył Claremonta od stóp do głów, po czym pokiwał głową. Lucy ze zdziwieniem dostrzegła błysk aprobaty w jego oczach.

Claremont cierpliwie czekał, podczas gdy admirał szperał w szufladzie, mrużąc coś pod nosem.

- Do stu tysięcy starych diabłów, dziewczyno. Zgubiłaś mój ulubiony nożyk do otwierania kopert. Ten z trzonkiem z kości słoniowej. A sam ustrzeliłem tego słonia podczas ostatniej wyprawy do Afryki.

Lucy skuliła się w swoim kącie. Nie przyznała się ojcu, że tym właśnie nożykiem ugodziła w ramię kapitana Dooma.

Westchnęła, widząc, że w dłoni Claremonta pojawił się lśniący przedmiot. Nie był to nożyk do otwierania listów, ale całkiem spory nóż, którego ostrze nagle błysnęło przy twarzy admirała. Pan Benson z podziwem przyglądał się pokazowi zręczności.

Claremont uniósł brwi.

- Pan pozwoli, sir - powiedział, balansując na granicy kpiny i szacunku.

Admirał podniósł ręce w geście poddania.

- Naturalnie, proszę bardzo.

Claremont otworzył kopertę. Nóż zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Ojciec wyjął list, przeczytał i spojrzał na Claremonta z zadowoleniem.

- Pańskie referencje robią wrażenie. Widzę, że zasłużył się pan dla bezpieczeństwa Londynu. Podejrzewam jednak, że nie ma pan doświadczenia wojskowego. Służył pan w wojsku? Marynarka handlowa? - zapytał z nadzieją. - A może Marynarka Królewska?

Claremont roześmiał się. Lucy, poruszona jego pogodnym, donośnym głosem, próbowała sobie przypomnieć, czy w tym salonie kiedykolwiek słychać było śmiech.

- Obawiam się, że nie - przyznał się z czarującą szczerością. - Niestety, cierpię na chorobę morską. - Oparł dłonie na biurku, pochylił się nad admirałem i dodał konspiracyjnym szeptem - Cóż, nawet wchodząc do pańskiego domu, miałem zawroty głowy.

Lucy rozumiała dlaczego. Ojciec nazwał ich dom „Jonia”, na część Morza Jońskiego, gdzie pierwsze sukcesy odniosła sławna flota rzymska, która z czasem okazała się najpotężniejszą na świecie. Admirał z uporem maniaka urządził dom w stylu marynistycznym. Choć Lucy mieszkała tu od ponad dziewiętnastu lat, ciągle obawiała się, że któregoś dnia pod jej stopami przechyli się podłoga.

Nad kominkiem wisiał ster z HMS „Evangeline”, pierwszego okrętu, którym dowodził admirał. Ciężkie, ciemne dębowe i mahoniowe meble nie należały do najpiękniejszych, ale też nie wybrano ich z powodu urody, tylko funkcjonalności. W całym domostwie nie było orientalnych dywanów, wazonów z kwiatami, falbanek przy firanach ani koronkowych serwet, które łagodziłyby przytłaczający, typowo męski wystrój wnętrza. Zamiast tego, wszędzie pełno było globusów, map, obrazów o tematyce morskiej - większość pędzla Lucy - oraz popiersi ulubionych bohaterów ojca.

Na szczęście przez ogromne okna wpadało dużo światła. Przestrzenne pokoje tonęły w promieniach słońca. Z tarasu widać było rozległy niczym morze i dokładnie przystrzyżony trawnik.

Słyszając wyznanie Claremonta, pan Benson stracił pewność siebie. Lucy, pokonując własną skłonność do pogardy, z przykrością czekała na zjadliwy komentarz ojca. Martwiła się, że ten dzielny młodzieniec z hukiem zleci ze schodów, zaplątując się w poły fraka.

Admirał westchnął.

- Ach, to bez znaczenia. I tak nie zamierzam zabierać pana w morze, dopóki ten pies, Doom, nie zawiśnie na stryczku. Angażuję pana.

Tym razem admirał uściśnął wyciągniętą dłoń Claremonta.

- Nie będzie pan żałował, sir. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by był pan bezpieczny. Nawet jeśli trzeba będzie zapłacić za to życiem.

- Takiej ofiary nie wymagam, panie Claremont. Nie o moje bezpieczeństwo będzie się pan troszczył, ale mojej córki.

- Zanim do Lucy dotarły beznamiętne słowa ojca, Claremont obrócił się na pięcie i spojrzał na nią z nieomylną pewnością. "Natychmiast domyśliła się, że od początku zdawał sobie sprawę z jej obecności.

Zesztywniała, widząc niechęć w jego przymrużonych orzechowych oczach.

5

Niechęć to mało powiedziane. Gerard Claremont jej nienawidził.

Lucy zdawała sobie sprawę, że nie jest najsympatyczniejszą osobą pod słońcem. Natura nie obdarzyła jej urokiem Sylvie Howell czy choćby jowialnością ojca, nie mogła jednak pojąć, czym zasłużyła sobie na pogardę tego mężczyzny. Kiedy wszedł do salonu, przez ułamek sekundy wydawał jej się dziwnie znajomy.

Lucy nie widziała jego oczu, bo w okularach odbijały się promienie słoneczne. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie odziedziczyła po matce zbyt bujnej wyobraźni. Mężczyzna nie był nadzwyczajnie wysoki, jednak wyraźnie ją przewyższał. Pochylił się i ujął jej dłoń. Początkowo sądziła, że zamierza ją pocałować, ale on tylko uściśnił ją na powitanie.

- Proszę wybaczyć to zaniedbanie - mruknął. - Nie wiedziałem, że moim obowiązkiem będzie opieka nad tak czarującą damą.

Zdaje się, że to odkrycie nie sprawiło mu radości, pomyślała Lucy. Ciepło jego dotyku wytrąciło ją lekko z równowagi. Odpowiedziała coś niewyraźnie przez zaciśnięte usta.

- Lucindo! - upomniał ją ojciec. Lucy ocknęła się z letargu, jak gdyby ktoś podłożył pod jej krzesło ogień. - Gdzie twoje maniery, dziewczyno? Wyprostuj plecy. Patrz przed siebie.

Kolana razem. - Przewrócił oczyma, jak zawsze, kiedy zwracał się do mocy niebieskich. - Dobry Boże, gdyby twoja matka o tym pamiętała, oszczędziłaby nam tego skandalu. Lucy wzięła się w garść i przybrała dumną pozę.

- Miło mi pana poznać, panie Claremont. Jestem Lucinda Snow. Moi...

- Domyślam się, że przyjaciele nazywają panią Lucy - przerwał jej z uśmiechem. Kiedy przechylił na bok głowę, w jego oczach zauważyła błysk wesołości.

Lucy chłodno wycofała dłoń.

- Niektórzy tak. Pan może się do mnie zwracać panno Snow.

- Będę zaszczycony. - Jego ukłon świadczył o czymś wręcz przeciwnym. W

jego wzroku wyczuła szyderstwo. Wiedziała, że nie może spodziewać się szacunku, do jakiego przyzwyczaili ją służący i podwładni ojca.

Mężczyzna okazał się źle wychowanym gburem i nawet jej nie przeprosił za to, że odwraca się do niej plecami. Lucy zawrzała. Jak ojciec mógł najać tak wstrętnego typu?

Czekał, obracając w dłoniach kapelusz, aż admirał wypisze panu Bensonowi przekaz bankowy i odprawi zadowolonego notariusza. Ojciec wskazał Claremontowi pusty fotel. Mężczyzna usiadł i skrzyżował wyciągnięte nogi. Admirał nalał mu kieliszek sherry.

- Pański notariusz wspomniał, że jest pan wrogiem Dooma. Czy może mi pan powiedzieć, o co poszło? - spytał Claremont.

- Każdy, kto zajmuje tak odpowiedzialne stanowisko i od tylu lat wiernie służy ojczyźnie, chcąc nie chcąc, ma do czynienia z przeróżnymi kryminalistami. - Admirał napił się sherry. -Przypuszczam, że ten łajdak jest Francuzem. Bóg mi świadkiem, że przez połowę życia walczyłem z Francuzami. A przez resztę z tymi niewdzięcznymi kolonistami.

- Ależ ojczy, mówiłam ci, że ten mężczyzna nie miał akcentu...

- Milcz, Lucindo. Gdybym był ciekaw twojej opinii, zapytałbym. - Machnął niecierpliwie dłonią w jej kierunku.

Lucy poczuła, że jest dla ojca równie ważna jak rosnąca w kącie salonu paprotka. Ustąpiła więc, wiedząc, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Ojciec na pewno by jej wypomniał, że w jej żyłach płynie francuska krew.

Claremont jednym haustem wypił cały kieliszek sherry.

- Proszę wybaczyć, sir, ale pański notariusz sugerował, że będę ochraniał pana. Czy ma pan jakikolwiek powód podejrzewać, że Doom, lub któryś z jego ludzi, może zagrażać życiu panny Snow?

- Przecież już raz ją porwał. To dowód na to, że ten łajdak nie zawaha się przed niczym, byle tylko osiągnąć swój cel. Nawet przed zamachem na życie niewinnej dziewczyny. Kiedy Lucy asystowała mi podczas pisania wspomnień, wtajemniczyłem ją w różne tajne strategie militarne. Jeśli jeszcze raz wpadnie w łapy Dooma, może na tym ucierpieć marynarka Jego Królewskiej Mości. Uznałem, że należy córkę przygotować na wszelkie możliwości. Lucindo, podejdź.

Lucy posłusznie stanęła przed biurkiem. Zawsze wzruszało ją, kiedy admirał otwarcie przyznawał, że jest jego córką.

- Powiedz panu Claremontowi, co zrobisz, jeśli ten łotr porwie cię jeszcze raz.

Lucy przyglądała się swoim pantoflom w nadziei, że uniknie badawczego wzroku Claremonta.

- Odmówię udzielania wszelkich informacji, nawet podczas tortur, a przy najbliższej nadarzającej się okazji wyskoczę za burtę.

Admirał pochylił się nad biurkiem i z dumą uściśnął jej dłonie.

- Moja krew.

Lucy, dumna z pochwały, wróciła na swoje miejsce, by przysłuchiwać się rozmowie mężczyzn.

- Naturalnie, oprócz pensji, zapewniam panu wikt i dach nad głową- wyjaśnił ojciec- Tak się składa, że mamy wolny pokój w podziemiach, w części dla służby...

- Nic z tego - powiedział zdecydowanie Claremont. Najwyraźniej nie odczuwał żadnych skrupułów, przerywając także i ojcu.

Lewe oko admirała lekko zadrgało.

- Czyżby?

- Jaki pożytek będzie ze mnie miała pańska córka, jeśli będę siedział w piwnicach? Potrzebny mi pokój, z którego widać jej okno.

Lucy pomyślała, że od tej pory jej zasłony będą cały czas zaciągnięte.

Admirał przez chwilę mamrotał coś pod nosem, ale w końcu się poddał.

- To się da zrobić. Mamy domek przy furcie, obawiam się jednak, że Fenster nie będzie szczęśliwy z powodu przeprowadzki.

- Nalegam, chyba że ten Fenster chce zająć moje miejsce.

Lucy uśmiechnęła się dyskretnie, wyobraziwszy sobie starego woźnicę, biegnącego jej na ratunek.

- Więc dobrze - powiedział ojciec. - Zacznie pan od jutra. Smythe dostarczy panu rozkład zajęć Lucindy. Na piśmie. Oczywiście uprościłem go dla pańskiej wygody. Moja córka wstaje punktualnie o szóstej, o ósmej je śniadanie. Od dziewiątej do jedenastej przebywa w bibliotece, gdzie spisuje moje wspomnienia.

- Jestem pewien, że to fascynujące zajęcie.

Lucy skrzywiła się. W uroczystym głosie pana Claremonta wychwyciła nutkę sarkazmu, zdaje się jednak, że ojciec pozostał głuchy na takie szczegóły.

- O, tak. Od jedenastej trzydzieści do pierwszej w południe bywa na lunchach lub przygotowuje się do spotkań towarzyskich zaplanowanych na popołudnie.

Nie była pewna, czy dostrzegła błysk w oczach, czy w okularach pana Claremonta.

- O ile nie wybiera się na żadne spotkanie, od trzeciej do piątej pije herbatę - kontynuował ojciec. - Następnie przebiera się do kolacji. Niestety, sam rzadko wieczorami bywam w domu, jak pan wie, zajmuję odpowiedzialne stanowisko doradcy do spraw strategii

w admiracji. Jeśli jednak zdarzy się, że podejmę gości, Lucy czyni honory domu. Późne kolacje wydajemy o dziesiątej wieczorem. Naturalnie, rozkład jej zajęć urozmaicają różnego rodzaju zobowiązania towarzyskie, właściwe dla dziewcząt w jej wieku i ojej pozycji. Moja córka bywa na herbatkach, balach, rautach, wychodzi do teatru, et cetera, et cetera. -Admirał czuł się już na tyle swobodnie, by uśmiechnąć się do słuchaczy. - Z doświadczenia wiem, że produktywnie życie czyni człowieka szczęśliwym. Zgodzi się pan ze mną?

- Niewątpliwie. - W uśmiechu Claremonta nie było wcześniejszej werwy.

Mosiężny zegar stojący na kominku wybił godzinę. Lucy wstała i dygnęła w wyćwiczony sposób.

- Czy mogę odejść, ojcze? Pora przebrać się do kolacji.

Admirał zerknął na swój zegarek, po czym kiwnął przyzwalająco. Zanim zdążyła uciec, Claremont poderwał się z krzesła i stanął na jej drodze. Grzeczność nakazywała zatrzymać się, spojrzeć mu w oczy i się uklonić. Wziął ją za rękę. Jego ciepła dłoń zacisnęła się na jej pięści, jednak zamiast podnieść ją do ust, Claremont położył ją na sercu. Lucy, zaszokowana taką poufałością, pospiesznie cofnęła rękę.

- Proszę się nie obawiać, panno Snow -powiedział przeciągle. W jego głosie znów wyczuła ironię. - Obiecuję, że od tej chwili pani życie będzie mi równie drogie jak moje.

07.00 - odpowiadanie na listy.

12.30 - układanie kart wizytowych i zaproszeń według alfabety i rangi.

Gerard Claremont przyglądał się precyzyjnemu rozkładowi, przepisane starannym pismem kamerdynera. Krateczkę wsunięto wieczorem pod drzwiami. Zdaje się, że wczoraj, podczas rozmowy, napsuszony pracodawca nie wspomniał o kilku barwnych szczegółach z życia córki, jak choćby przeglądanie prasy i polerowanie mosiężnych guzików w jego mundurach. Dziwne, że nie podano dokładnego czasu, kiedy dziewczyna załatwia potrzeby fizjologiczne.

- Produktywne życie czyni człowieka szczęśliwym - powtórzył, złośliwie przedrzeźniając admirała. Zmiał kartkę i wrzucił do ognia. Chłód jesiennego wieczoru zmusił go do rozpalenia ognia w kominku.

Uspokoił się, patrząc, jak kartka zamienia się w popiół. W oczach tej dziewczyny nie było widać szczęścia.

Pocierając w zamyśleniu brodę, przemierzał pokój. Domek urządzone był w równie spartańskim stylu, co rezydencja. Długi, wąski salonik świetnie nadawał się do spacerowania.

Nie było otoman z poduszkami ani porcelanowych figurek, które tak łatwo strącić łokciem. Najważniejszym meblem było drewniane łóże, przykryte grubą, wysłużoną kołdrą. Przy łóżku ustawiono mały stolik nocny, a w kącie, pod ścianą, zniszczoną szafę. Wokół stołu stały cztery stare białe krzesła, które prawdopodobnie przeniesiono z jadalni rodziny. Choć mrukliwy woźnica mieszkał tu przez trzydzieści lat, Gerard nie zauważył żadnych śladów jego bytności.

Surowa drewniana podłoga skrzypiała pod stopami. Wyglądało na to, że jego misterny plan legł w gruzach. Gerard liczył, że jego praca będzie polegać na ochranianiu nadętego podstarzałego bohatera wojennego, tymczasem przypało mu w udziale niańczenie wyniosłej pannicy. Co gorsza, dziewczyna, zamiast żyć własnym życiem, musi dokładnie wypełniać polecenia ojca. Admirał twierdzi, że robi to, by zapewnić córce bezpieczeństwo, ale zdaje się, że chodzi o to, by Doom nie wyjawiał jej jakiejś niewygodnej prawdy, w razie gdyby jeszcze raz wpadła w jego ręce.

Zauważył, że Lucy jest jedyną kobietą, jaką Lucie Snow toleruje w swoim domu. Do służby przyjął tylko byłych marynarzy, i to takich, którzy pływając pod jego komendą wykazali się ślepym posłuszeństwem. Córka również udowodniła, że bez sprzeciwu wykonuje wszystkie jego polecenia.

Im bardziej się irytował, tym salon wydawał się mniejszy. Miał wrażenie, że ściany wokół niego zaczynają się kurczyć, choć w porównaniu z większością domów, w których mieszkał, ten był całkiem przestrzenny, a nawet luksusowy. Gerard odczuwał coraz większą pogardę wobec gospodarza. Jego wzburzenie powoli rosło. W pewnym momencie zaczęło mu się zdawać, że lada chwila jego głowa zajmie się od ognia w kominku.

Otworzył na oścież drzwi i wybiegł przed dom, by odetchnąć chłodnym jesiennym powietrzem. Wyciągnął przed siebie drżące palce, jak gdyby chciał się upewnić, że ciągle jeszcze żyje. Nie znosił takich chwil słabości. Wyjął z kieszeni cygaro i zapalił je w nadziei, że aromatyczny dym ukoi jego skołatane nerwy.

W oddali słychać było szczekanie psa. Świadomość obecności zwierzęcia nieco go uspokoiła. Ukrył się w cieniu pod ścianą i zapatrzył na rozgwieżdżone niebo. Znajome konstelacje tańczyły przed oczyma, jak okruchy kryształu. Kiedyś prowadziły go w różne miejsca - egzotyczne, niebezpieczne, malownicze - ale nigdy nie przypuszczał, że przywiodą go tutaj.

Spojrzał na podwójne okno na piętrze, należące do córki admirała. Tylko tam wisiały zasłony. Gerard zażądał, by zakwaterowano go w domku przy furcie tylko dlatego, że pragnął w ten sposób uniknąć wzroku ciekawskiej służby. Zamiast gapić się na okno Lucy

Snow, powinien zastanawiać się, jak wyciągnąć korzyść z takiego obrotu spraw. Przeszkadzały mu w tym jednak niezwykle szare oczy i ponętne usta dziewczyny.

Prześladowało go wspomnienie dotyku jej lodowatej dłoni, wystudiowany sposób mówienia, bunt pojawiający się w jej oczach, kiedy ich wzrok się spotykał.

Był ciekaw, czy rozkazy ojca tyrana wywołają ten sam gniewny błysk, ale dziewczyna nie okazała żadnych emocji. Zachowała się jak dobrze wytresowany terier. Stała sztywno przed admirałem, posłusznie odpowiadając na jego pytania, a dramatyczny opis porwania wyrecytowała niczym tabliczkę mnożenia. Już widział, jak wpisuje go do swojego rozkładu zajęć: *8.00- oprzeć się torturom, 8.30- rzucić się za burtą, 9.00- pozwolić się rozszarpać rekinom*. Dla szlachetnego admirała i marynarki królewskiej żadne poświęcenie nie byłoby zbyt wielkie!

Gryzący dym podrażnił mu gardło. Cała przyjemność zepsuta. Rzucił cygaro na trawę i zdusił niedopalek butem, tak jak admirał dusił wszelkie ślady indywidualizmu swojej córki.

Gerard ciężko westchnął, widząc, jak w oknie na piętrze pojawia się cień. Dziewczyna była chuda jak patyk. Skromna koszula nocna podkreślała subtelne krągłości jej niewątpliwie kobiecej figury. Jasne lśniąco włosy splecione w warkocze w świetle księżyca wyglądały jak dwa srebrne promienie.

Patrzyła w kierunku domku. Zastanawiał się, czy to możliwe, by go szukała. Choć to mało prawdopodobne, Gerard gotów był przysiąc, że mimo ciemności ich wzrok się spotkał tuż przed tym, nim gwałtownie zasunęła zasłony.

Odkrycie to pewnie sprawiłoby mu przyjemność, gdyby jego myśli nie zaprzętało coś innego. Wiedział, że nie może dopuścić, by ktokolwiek mu przeszkodził w realizacji planu, a jednocześnie musiał pamiętać, że córka admirała to nie suche krzesiwo, lecz wilgotny lont od beczki z prochem - pali się powoli i nie sposób przewidzieć, kiedy nastąpi eksplozja.

6

Następnego ranka, punktualnie o szóstej, w drzwi domku zastukał Smythe. Gerard zignorował grzeczne, choć natarczywe pytania kamerdynera, gdyż uznał, że życiu panny Snow nie grozi żadne niebezpieczeństwo podczas porannej toalety. Gdy tylko Smythe się oddalił, natychmiast naciągnął na głowę kołdrę i zasnął. Kiedy w końcu o dziewiątej zdecydował się wstać, głowa pękała mu z niewyspania i nadmiaru trosk.

Skrupulatnie się ogolił, wyczyścił okulary, zjadł kawałek suchego chleba i dopiero wtedy udał się do domu, by objąć swój posterunek. Okazało się, że zamiast zapoznać się z rozkładem Jonii, ma towarzyszyć panie Snow podczas załatwiania jakichś trywialnych spraw.

Po krótkiej rozmowie z rozgorączkowanymi służącymi zorientował się, że roztrzępiana panienska zgubiła gdzieś drogocenny tekst źródłowy, niedawno opublikowane wspomnienia admirała lorda Howella. Za karę miała udać się do wiejskiej rezydencji lorda, by zdobyć drugi egzemplarz. Ojciec postanowił, że Lucy najlepiej wykorzysta ten czas, jeśli przy okazji złoży towarzyską wizytę córce lorda, Sylvie.

Gerard czekał w holu, niecierpliwie obracając w dłoniach kapelusz, kiedy na schodach pojawiła się Lucy. Miała na sobie prostą sukienkę z białego muślinu, związaną pod biustem pasteloworóżową wstążką. Identyczna kokarda zdobiła słomkowy kapelusz. W delikatnych sandałach wyglądała tak dziewczęco i niewinnie, że Gerard nie mógł powstrzymać uśmiechu.

I wtedy zobaczył jej oczy. Spojrzenie miała zimne, jak styczniowy poranek. Zszedł jej z drogi, włożył kapelusz i niezrażony wskazał dłonią drzwi.

Nie zatrzymując się, wcisnęła mu do ręki niewielką mosiężną lunetę.

- Na przyszłość proszę nocą korzystać z tego, panie Claremont.

Gdyby lokaj nie rzucił się, by otworzyć drzwi, Lucy pewnie przeszłaby przez zamknięte.

Patrząc, jak kręci zgrabnym tyłeczkiem, Gerard mruknął pod nosem:

-Dzień dobry, panno Snow. Ja też życzę pani miłego dnia.

Odłożył lunetę na stolik i ruszył za nią.

Słońce raziło Gerarda w oczy, kiedy czekali, aż woźnica przyprowdzi ze stajni powóz. Z lazurowego nieba lał się żar, sprawiając, że korony klonów wyglądały tak, jakby stały w płomieniach. Gerard łapczywie wdychał rześkie powietrze. Słońce i świeże powietrze zawsze poprawiały mu humor. Teraz admirał może mu kazać choćby tańczyć przed dziewczyną, nawet to nie wytrąci go z równowagi.

Zdradliwy wiatr co chwilę strącał z drzew kaskadę liści. Ogrodnicy uzbrojeni w grabie cierpliwie sprząтали z nieskazitelnie równego trawnika szpecący złoto-bordowy dywan. Gerard miał ochotę rozrzucić zgrabione w kupę liście, lecz zamiast tego podniósł ręce w górę i rozciągnął zastale mięśnie.

Za plecami usłyszał ciche chrząknięcie. Odwrócił się. Panna Snow przyglądała mu się, pogardliwie wydymając pełne usta. Gdyby nie fakt, że to fizycznie niemożliwe, przysięgłby, że patrzyła na niego z góry.

- Żałuję, że nie zdążyłem na śniadanie - odezwał się, czując w powietrzu cierpki zapach jej perfum. - Cytryny musiały być dziś wyjątkowo smaczne.

Zamiast jej odpowiedzi usłyszał stukot powozu nadjeżdżającego brukowaną alejką. Co za pech, taki piękny dzień, a tu trzeba podróżować zamkniętym pojazdem! Liczył na kariolkę albo choćby sportową bryczkę, którą mógłby sam powozić. Tymczasem na ławce siedział sztywno stary Fenster. Minę miał jeszcze bardziej gorzką niż jego pani.

Lucy oparła dłoń na ramieniu Gerarda i uśmiechnęła się słodko.

- Mam nadzieję, że kołysanie powozu panu nie zaszkodzi - zakpiła.

Próbując zignorować jej czarujący uśmiech, poprawił palcem kapelusz.

- Jestem wzruszony pani troską, panno Snow, ale zwykle jazda powozem nie wywołuje u mnie choroby morskiej - powiedział, otwierając przed nią drzwi.

Wsiadła z pomocą lokaja. Nim zdążyła zatrzaskać drzwi, Gerard odepchnął nieszczęsnego sługę i zgrabnie wskoczył do środka. Usadził się na ławeczce naprzeciwko Lucy.

Oburzona jego bezczelnością, odsunęła się w kąt i skuliła kolana, by uniknąć fizycznego kontaktu. Zawsze ceniła swoją niezależność. Teraz na myśl, że jakiś obcy

mężczyzna, zwyczajny najemnik, ma zakłócić jej prywatność, zawrzała w niej krew.

Kiedy powóz ruszył, nie wytrzymała.

- Czy nie byłoby bezpieczniej, gdyby siedział pan na zewnątrz, razem z woźnicą? A jeśli napadną na nas rozbójnicy? Albo piraci? Albo... Indianie?

Uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że w Chelsea grasują Indianie. – Znacząco spojrział na jej jedwabiste włosy, spływające na ramiona spod słomkowego kapelusza. - Przyznam, że taki skalp byłby dumą nawet najbardziej cywilizowanego dzikusa.

Lucy zadrżała pod spojrzeniem jego przymrużonych oczu.

- Tym bardziej powinien pan usiąść obok Fenstera.

Westchnął, jak gdyby za chwilę miała wyczerpać się jego cierpliwość.

- Jeśli pani ojciec uzna to za stosowne, zatrudni kogoś, by jeździł na zewnątrz powozu. Moim obowiązkiem, jako pani osobistego ochroniarza, jest pozostawanie w pobliżu pani. -Na jego twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny grymas. - Przez cały czas.

Ta myśl była dla Lucy równie nieznośna, jak dla Claremonta. Świadomy jej przerażenia, wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza książkę i zaczął czytać. Udając, że poprawia rękawiczki, Lucy obserwowała go spod kapelusza.

Zamyślony i w okularach na prostym nosie przypominał raczej nauczyciela niż wojownika. Ciekawe, co by zrobił, gdyby napadli na nich bandyci, zastanawiała się Lucy. Wy-chłostał by ich laską? A może trzepnąłby ich po rękach książką?

Jej pogarda minęła, gdy przypomniała sobie, jak się przeciągał, kiedy czekali na powóz. Plecy miał szerokie i dobrze umięśnione. Pomyślała wtedy, że wygląda jak dzika bestia, którą zbyt długo więziono w klatce. Zmysłowa przyjemność, jaką sprawił mu ten prostacki odruch, poruszyła Lucy.

Zastanawiała się, dlaczego od początku czuła wobec niego taką niechęć. Może z powodu jego wzrostu? Przy każdym spotkaniu wydawał się coraz większy. Nawet teraz Lucy wtulała się w skórzane obicie ławki, by przypadkiem nie potrącić jego muskularnych ud. Za każdym razem, gdy powóz podskakiwał na wybojach, ich kolana się zderzały. Jego obecność sprawiała, że brakowała jej powietrza. Jej oddech stawał się coraz szybszy i płytszy, jak gdyby obawiała się, że w powozie jest za mało tlenu dla dwóch osób.

Zniechęciły ją jego maniery, to ledwo wyczuwalne balansowanie na granicy szacunku i kpiny. W końcu należał do klasy pracującej. Nie był gentlemanem, więc nie powinna porównywać go do swoich znajomych. Lucy, wiedzona poczuciem sprawiedliwości, postanowiła dać mu szansę.

Kiedy nie zareagował na jej chrząknięcie, zmusiła się do uśmiechu i zapytała:

- Mogę wiedzieć, jaka lektura tak zaprzęta pańską uwagę?

Nie oderwał wzroku od książki.

- *Przygody Robinsona Crusoe* pióra Daniela Defoe. Czy pani to czytała?

Lucy pokręciła głową.

- O nie, ojciec nie pozwala mi czytać fikcji. Uważa, że to osłabia umysł.

- A co pani sądzi na ten temat? - Podniósł głowę.

Zaskoczona pytaniem, nie odpowiedziała. Nikt nigdy nie był ciekaw jej opinii. Rozbawiony, uniósł brew.

- Panno Snow, czy chce pani powiedzieć, że nie czytała pani żadnych powieści po kryjomu?

Wiedząc, że dziewczyna nieprędko się zorientuje, że ją obraził, Gerard wsadził nos w swoją książkę. Zasadnicza panna Snow nigdy nie podróżowałaby bez przyzwoitki w towarzystwie mężczyzny ze swojej sfery. W oczach jej ojca służący nie był mężczyzną. Pewnie ona też tak uważała. Ironia sytuacji nie rozbawiła go, choć chciałby, żeby tak było.

Ponieważ mimo jej wysiłku, pan Claremont wrócił do lektury, Lucy postanowiła spróbować innego sposobu.

- Zdaje się, że jestem pierwszą osobą, która przeżyła spotkanie z kapitanem Doomem - ogłosiła.

Claremont mruknął coś niewyraźnie.

- To bezlitosny łotr. Całe szczęście, że miałam zawiązane oczy. Podobno jednym spojrzeniem zamienia swoje ofiary w kamień. Jego okręt bezszelestnie wylania się z mgły. Ludzie mówią, że to duch kapitana Kidda szuka zemsty na współnikach, którzy go zdradzili.

Gerard powoli odłożył książkę. Lucy wiedziała, że opowiada bzdury, ale teraz, kiedy zwróciła jego uwagę, była gotowa zrobić wszystko, by jej nie stracić. Postanowiła bezwstydnie ubarwić plotki, jakie usłyszała podczas rejsu „Tiberiusem”.

- Doom nosi naszyjnik z ludzkich uszu. Gołymi rękami wyrywa ludziom serca i rzuca na pożarcie rekinom. Na śniadanie pije ludzką krew. Podobno jednej z ofiar wytatuował na piersiach cały kodeks piracki.

Wzrok Claremonta wędrował po śnieżnobiałej skórze jej odsłoniętego dekoltu.

- Pani, zdaje się, nie poniosła większego uszczerbku na zdrowiu. Nie widzę nawet siniaka.

Zaniepokojona jego dociekliwością, Lucy zakryła ramiona szalem.

- Miałam ogromne szczęście - powiedziała, nieświadoma wrażenia, jakie jej

rozmarzona mina wywarła na towarzyszu. - Doom nie zna litości, jeśli idzie o zaspokajanie własnych żądz. Plotka głosi, że w ciągu jednej nocy potrafi zniesławić dziesięć dziewczic. I to przed północą- podpowiedziała jej rozpalona wyobraźnia.

Gerard był oczarowany rumieńcami, jakie pojawiły się na policzkach Lucy. Jej zmysłowe usta wręcz domagały się pocałunku. Nagle przyłapał się na tym, że zazdrości duchowi. Bębnił palcami w grzbiet książki, próbując zamaskować swoją słabość.

- Musi pani przyznać, że drań ma zdrowie - rzucił chłodno. - Dziewice bywają szalenie kłopotliwe.

Lucy przez chwilę milczała, jak gdyby zastanawiała się nad jego uwagą.

- Bałam się, że i mnie zamierza zniesławić.

Jej szczere wyznanie nie poprawiło mu humoru. Zamknął książkę i spojrzał na jej zgrabną kibić z tak wyraźnym krytycyzmem, że miała prawo wymierzyć mu policzek.

- Nie sądzę, panno Snow. O ile wiem, Doom gustuje w kobietach, które oprócz kości mają trochę ciała.

Lucy zbladła. Odwróciła twarz w stronę okna, jak gdyby nagle zainteresowały ją wiązy rosnące wzdłuż alei.

Gerard od razu pożałował okrutnych słów. Odłożył na bok książkę.

- Proszę wybaczyć mój brak taktu, panno Snow. Jestem profesjonalistą. Nie takich obowiązków się spodziewałem.

Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że tak dawno przestał być szczery, że teraz nawet prawda brzmiała w jego ustach fałszywie.

Wiejska rezydencja lorda Howella w niczym nie przypominała surowej Jonii. Tu kolorowe liście tańczyły wesoło na wietrze, umykając maleńkim rączkom. Rozczochrane dzieci z hałasem wskakiwały w szeleszczące bursztynowe stosy, przygotowane specjalnie ku ich radości.

Gerard westchnął z goryczą. Kiedyś tak wyobrażał sobie swoją przyszłość. Niestety, jego marzenia rozwiały się jak liście na zimnym wietrze. Od tej pory nigdy nie zapomniał, że pory roku mijają zaskakująco szybko, a nadzieje pryskają jak bańki mydlane.

Próbując oderwać się od przynębiających myśli, gorliwie otworzył drzwi powozu. Wysiadającą Lucy powitała para spanieli i chudy wyżeł. Tuż za nimi pojawiła się młoda

jasnowłosa kobieta w kapeluszu ze wstążkami w kolorze lawendy. Jej okrzyk zachwyty zagłuszył nawet radosne ujadanie wyraźnie podnieconych psów.

- Lucy! Moja droga Lucy! Cóż sprowadza cię o tak wczesnej porze? Czyżby admirał znowu pomylił zegarek z barometrem?

Gerard schylił głowę, by ukryć uśmiech. Od razu polubił pannę Howell.

- Dzień dobry, Sylvie. Mam nadzieję, że nasza niezapowiedziana wizyta nie sprawi ci kłopotu. - Lucy zeszywniała w objęciach przyjaciółki. Z rezerwą musnęła rumianą Sylvie bladym policzkiem.

Znając temperament panny Snow, to chyba najwylewniejsza deklaracja miłości, na jaką ją stać, zauważył cynicznie Gerard.

Błękitne oczy Sylvie aż zaiskrzyły, gdy zerknęła przez ramię Lucy i zauważyła mężczyznę opierającego się o drzwi powozu.

- Na Boga! - odezwała się teatralnym szeptem. - Gdzie znalazłaś takiego przystojniaka? Te włosy! Co za ramiona! Wyjątkowo apetyczny! Czy to twój adorator?

Lucy czuła na plecach szyderczy wzrok Claremonta. Niemądrze zrobiła, pokazując go Sylvie. Postanowiła jakoś rozwiązać jej zachwyty.

- Och, skądże. On się nie liczy. To służący - wyjaśniła. Wytwornie wyregulowane brwi Sylvie uniosły się.

- Opowiedz!

- Skoro nalegasz. Ojciec zatrudnił go, by mnie ochraniał. Sylvie roześmiała się dźwięcznie. Pochyliła się nad Lucy

i zaczęła coś szeptać jej do ucha. Widząc minę Claremonta, Lucy uświadomiła sobie, że odgadł każde skandaliczne słowo przyjaciółki.

Uśmiech wyższości ustąpił miejsca ostrożności, kiedy Sylvie przybrała swoją najbardziej uwodzicielską pozę. Próbował grzecznie wykręcić się od obowiązku dotrzymywania im towarzystwa, ale gospodyni chwyciła go za rękę i siłą odciągnęła od powozu.

- Och nie, panno Howell. Muszę tu zostać. Na tym polega moja praca. Czuwam, na wypadek gdyby pojawili się tu jacyś bandyci albo piraci.

- Albo Indianie - wtrąciła Lucy i rozkoszując się jego zakłopotaniem, powiedziała: - Proszę z nami, panie Claremont. Czy to nic pan jeszcze niedawno twierdził, że pilnowanie powozu nie należy do pańskich obowiązków? Pan ma się zajmować moją osobą.

W jego wzroku wyczuła ostrzeżenie, że chętnie by się nią zajął, ale trochę później. Na osobności.

Nie miał wyboru. Ruszył w ślad za szczebioczącą radośnie Sylvie. Wchodząc na niewielki pagórek, minęli kilkoro biegających dzieci, w końcu jednak dotarli na miejsce pikniku. Na niedokładnie wykoszonej trawie rozłożono koc, na którym siedziało pulchne dziecko, przypominające dobrze odżywionego Buddę.

W dali, u stóp pagórka, stał mężczyzna w mundurze w towarzystwie eleganckiej kobiety. Oboje zamachali na widok gości. Gerard domyślił się, że to rodzice tej rozbrykanej gromadki.

-To mama wpadła na pomysł, by zjeść dziś śniadanie w ogrodzie - wyjaśniła Sylvie, nalewając do filiżanek herbaty. Obok porcelanowej zastawy na stoliku czekało jedzenie.

Sylvie podała przyjaciółce talerz. Lucy pożądliwie patrzyła na jajecznicę na maśle, soloną szynkę i apetyczne kromki świeżego chleba z marmoladą. Z trudem oderwała wzrok od nęcącego śniadania i ukradkiem spojrzała na srebrny zegarek przypięty do stanika sukienki. Gerard nie wytrzymał.

Wyrwał jej talerz z ręki.

- Ależ panno Snow. Czyżby pani zapomniała, że śniadanie jada o jedenastej trzydzieści? Co by powiedział admirał?

Tak, jak się spodziewał, Lucy podniosła swój talerz. W jej szarych oczach dostrzegł bunt.

- Proszę nie zapominać, gdzie pana miejsce, sir. Moje zwyczaje kulinarne to nie pańska sprawa.

Sylvie spojrzała na nich z ciekawością. Gerard zastanawiał się, czy to możliwe, by po raz pierwszy zauważyła u myszki kły. Wygląda na to, że panna Lucy pokazywała je tylko pod nieobecność ojca. Widząc rozbawienie na twarzy Sylvie, domyślił się, że nie była zaskoczona.

Podczas gdy gospodyni szykowała mu coś do zjedzenia, Lucy odsunęła się na kraj koca i zdjęła rękawiczki. Szybko gryzła kawałki szynki, jak gdyby obawiała się, że znów odbierze jej talerz.

Gerard z zadowoleniem przyłączył się do uczy. Sucha piętka, którą zjadł wczesnym rankiem, od dawna była mglistym wspomnieniem.

- Jest nas dwanaścioro - ni stąd ni, zowąd powiedziała Sylvie. - Ja jestem najstarsza, a siedzący tu Gilligan najmłodszy. Mama mówi, że tato, nim wyruszy w morze, zawsze zostawia jej coś na pamiątkę.

Kiedy Sylvie zabawiała Gerarda opowieściami o swojej rodzinie, Lucy próbowała zdusić poczucie winy, jakie wzbudziła w niej jego wcześniejsza uwaga. Rzeczywiście, co by

powiedział admirał, widząc ją z kawałkiem szynki w dłoni o dziesiątej rano?

Sylvie smutno potrząsnęła głową.

- Nikt nie słyszał jeszcze z ust Gilligana jednego słowa. Chyba będzie z nim tak jak z Christopherem, który zaczął mówić, gdy skończył cztery lata.

Pewnie wcześniej nie dali mu dojść do słowa, pomyślała złośliwie Lucy. W towarzystwie Sylvie nigdy nie przejmowała się tym, że nie ma jej nic do powiedzenia. Przyjaciółka i tak nie dałaby jej szansy. Zadaniem Lucy było przytakiwanie i od czasu do czasu wydanie jakiegoś pomruku.

Szykownie upięte loki Sylvie trzepotały, gdy opisywała, jak jeden z braci, Philip, spadł ze schodów. Lucy nigdy nikomu się do tego nie przyznała, ale zawsze wyobrażała sobie, że jej matka była podobna do Sylvie. Zawsze w dobrym humorze, nieco roztargniona, piękna. Urzekająco piękna.

Zerknęła ukradkiem na swojego ochroniarza, spodziewając się, że już uległ urokowi przyjaciółki, tymczasem on zajęty był czym innym. Rzucił spanielom szynkę, a małemu Gilliganowi kawałki chleba, koncentrując się na tym, by nie pomylić rąk.

Spojrzała na niego oczyma Sylvie. W przeciwieństwie do większości mężczyzn, korzystnie prezentował się w promieniach słońca, choć teraz wyraźniej widać było drobne zmarszczki w kącikach oczu. Niemodna brązowozłota opalenizna w świetle nabierała jeszcze cieplejszego koloru. Trudno było odgadnąć jego wiek.

Miał ciekawe rysy. Szerokie kości policzkowe i gęste brwi podkreślały młodzieńczy wygląd, choć na jego twarzy widać było upływ czasu. Musi mieć sporo życiowego doświadczenia. To te cechy tak ją na początku irytowały. Ku własnemu zaskoczeniu, nie mogła przestać mu się przyglądać. Jego orzechowe oczy zawsze się uśmiechały. Lekko wykrzywione usta zdawały się wyrażać zadowolenie i wesołość, jak gdyby przed chwilą usłyszał dobry żart, który umknął reszcie świata.

Widząc, jak podnosi do ust szklanekę z wodą, uznała, że jej ochroniarz może podobać się kobietom.

- Z drogi, łajdaku! Powieszę cię za nogę na maszcie albo nie nazywam się kapitan Doom!

Claremont zakrzuszył się, rozlewając na koc wodę i moczając dziecko i spaniele. Zza kupy liści wybiegli dwaj chłopcy, nie przestając się pojedyńkować na patyki.

- Przepraszam - mruknął, wycierając chusteczką głowę dziecka. - Przestraszyli mnie. Sylvie machnęła ręką.

- Bawią się w kapitana Dooma. To ich ulubiona zabawa, odkąd usłyszeli o

niesamowitej przygodzie Lucy. – Urwała i zasłoniła dłonią usta. - Och, wybacz, moja droga, zapomniałam, że to tajemnica. Admirał w zaufaniu zwierzył się mojemu papie, ten w zaufaniu powiedział o tym mamie, która w zaufaniu powtórzyła wszystko mnie. Ależ ze mnie papla!

Lucy już otwierała usta, by jej przytaknąć.

- Sylvie, pan Claremont nie szpieguje dla „Timesa”. Zna tę historię. Właśnie dlatego ojciec go zatrudnił.

Oczy Sylvie błyszczały z podziwu.

- Kto by pomyślał, że nasza Lucy okaże się taka dzielna? Jest odważniejsza niż bohaterki *Nawiedzonego zamku* pióra pani Edgeworth! - Wyrwała świerszcza z rączki Gilligana, nim ten zdążył go połknąć, i spojrzała znacząco na Lucy. - Myślę, że ten łotr spodobał się naszej Lucy. Rumieni się, kiedy o nim mowa.

- Nieprawda! - zaperzyła się Lucy. Czując na sobie badawczy wzrok Claremonta, spuściła głowę w nadziei, że włosy zakryją jej płonące policzki.

Niezrażona Sylvie wzięła na ręce braciszka i ruszyła w stronę domu, by ułożyć go do snu. Obiecała, że wracając, przyniesie egzemplarz wspomnień papy. Lucy została sama ze swoim ochroniarzem.

Nie sprawdziły się jej obawy. Claremont wyjął z kieszeni cygaro i włożył je w zęby. Zmrużył oczy i z ponurą miną zajął się obserwowaniem bawiących się dzieci. Lucy miała wrażenie, że nagle się ochłodziło.

Uświadomiła sobie, że znowu zrobiła coś, co go zdenerwowało.

A niech sobie pali w milczeniu, pomyślała. Nie da mu satysfakcji. Od dziewiętnastu lat mieszka z admirałem. Nikt na świecie nie jest bardziej uodporniony na obojętność otoczenia.

Nie pytając jej o zgodę, w skupieniu zapalił cygaro i zaciągnął się aromatycznym dymem.

Lucy uznała, że to bluźnierstwo, by mężczyzna miał upodobanie w tak cielesnych i grzesznych przyjemnościach. Może właśnie za to go nie lubiła. Zachowywał się tak, jakby robił wszystko po raz pierwszy i ostatni w życiu. Zakrztusiła się dymem.

Podsunał jej chusteczkę.

Poczuła się dotknięta tym gestem. W jej sercu pojawiła się nowa emocja, niebezpieczna i egzotyczna. Gniew, pałący i słodki, przepędził melancholię.

Od lat pozwalała ojcu sobą pomiatać, traktować się z taką samą pogardą, z jaką odnosił się do podwładnych. Czowała przed nim paniczny strach, a jednocześnie pragnęła, by

okazał jej choć odrobinę ciepła. Nauczyła się postępować tak, by być dla niego prawie niewidzialna. Bała się, że niedługo zupełnie zniknie.

Udawana obojętność pana Claremonta przyniosła odwrotny efekt. Obudził się w niej duch buntu. Początkowo w jej piersi tlił się mały płomyk, który wkrótce miał buchnąć z niebezpieczną siłą.

Zignorowała chusteczkę. Jeśli ten łajdak myślał, że wywoła jej reakcję, grubo się pomylił.

Chusteczka znikła. Twarz Lucy spowił kolejny obłok dymu.

- Panie Claremont! - Jego nazwisko wprost eksplodowało na jej ustach. Poderwała się na równe nogi, uderzając rękawiczkami w uda. - Od samego początku było oczywiste, że nasza znajomość nie ma przyszłości. Nie pasujemy do siebie zarówno pod względem temperamentu, jak i charakteru.

Oparł się na łokciu, nic sobie nie robiąc z krytyki. Jego usta znowu drgnęły w szyderczym uśmiechu.

- Całe szczęście, że jestem pani ochroniarzem, a nie mężem.

Lucy wrzała z gniewu. Zdawało jej się, że zaraz braknie jej powietrza. Czowała, że po plecach spływa jej strużka potu. Było to bardzo nieeleganckie.

- Kapitan Doom jest wrogiem admirała, nie moim. Nie widzę powodu, bym musiała tak cierpieć za winy ojca. - Włożyła rękawiczki. - Sama doskonale sobie radzę. Zrobię wszystko, by przekonać o tym ojca.

Ruszyła w kierunku powozu. W pośpiechu potknęła się, nadepnąwszy na rąbek sukienki.

Gerard rzucił niedopałek na trawę i wstał. A więc mała panna Myszka myśli, że się go tak łatwo pozbędzie? Uważa, że zadba o swoje sprawy bez pomocy źle wychowanego prostaka?

Przydepnął cygaro. Nie pozwoli, by ta rozpuszczona pannica pokrzyżowała mu plany. Nie pozostawiła mu wyboru. Udowodni jej, jak bardzo potrzebuje opieki kogoś takiego jak on.

7

Następnego ranka o szóstej Smythe pukał bardziej natarczywie niż poprzednio. Walenie nie ustawało, aż na wpół śpiący Gerard wyszedł z łóżka. Nie dotarł do drzwi, bo zaplątał się w kołdrę i runął jak długi. Kiedy już się pozbierał, nagi i rozczochrany otworzył kamerdynerowi.

Smythe mrugnął do niego z takim spokojem, że Gerard mógłby przysiąc, że wiedział o jego nocnej wyprawie do Londynu i czterech piwach wypitych w tawernie Whitechapel. Kiedy przed świtem kładł się do łóżka, miał pewność, że już wkrótce panna Snow będzie błagać go, by nie rzucał posady.

- Admirał Snow zaprasza pana na śniadanie.

Admirał zaprasza! Dobrze sobie, już ja dobrze wiem, kiedy król wydaje rozkaz, pomyślał Gerard. Podejrzewał, że w ten sposób admirał chce go wyciągnąć z łóżka przed dziesiątą.

- Cała cholerna przyjemność po mojej stronie - mruknął, zatraskując drzwi przed nosem nieporuszonego kamerdynera.

Lucy i jej ojciec siedzieli na przeciwnych końcach długiego dębowego stołu. Przed admirałem piętrzył się stos porannych gazet, wprowadzając w sterylnej jadalni lekki nieład. Znad „Timesa” wystawał jedynie czubek jego siwej głowy. Troska o bujną fryzurę była jedyną słabością admirała. Nigdy nie nosił peruk. Nie dał się na nie namówić nawet wtedy, gdy cały Londyn szalał na ich punkcie.

Lucy chrząknęła i wlała do herbaty odrobinę mleka. Ojciec wyglądał bardzo dostojnie. Miał na sobie niebieską płócienną marynarkę, ozdobioną złotą aplikacją i lśniącymi mosiężnymi guzikami. Lucy nigdy w życiu nie widziała ojca w innym stroju, od

dziewiętnastu lat niezmiennie nosił mundur. W jego obecności zawsze czuła się mała i nieważna. Przytłaczał ją swym autorytetem. Sama dziwiła się, że jej stopy, drgające nerwowo pod stołem, dosięgają jeszcze podłogi.

Od wczoraj czekała na okazję, by porozmawiać z ojcem, ale za każdym razem, gdy na niego spojrzała, strach odbierał jej mowę. Znała to od dziecka, uwielbienie pomieszane z poczuciem winy, bo nie zdołała spełnić nadziei, jakie w niej pokładał, bo ciągle musiała walczyć z odziedziczoną po matce słabością charakteru, bo urodziła ją kobieta na tyle nierozsądna, by poślubić tak wyjątkowego mężczyznę.

Ojciec sprawiał, że nadal czuła się jak pięcioletnia dziewczynka, która stoi w doku, ściska rękę Smythe'a i razem z wiwatującym tłumem dumnie czeka na triumfalny powrót admirała z kolejnej zwycięskiej wyprawy. Zawsze chciała zawołać: „To mój tatuś!”, ale nigdy się na to nie zdobyła.

Opanowała zdenerwowanie.

- Ojczy, jest coś, o czym muszę z tobą...

Szelest gazety.

- Mów głośniej, dziewczyno. Wiesz, że nie znoszę mamrotania pod nosem.

Sięgnęła po filiżankę. W duszy przeklinała Claremonta za to, że sprowokował ją do ogłoszenia tej głupiej pogroźki.

- Ojczy, nalegam, by...

Słowa uwięzły jej w gardle, bo w tym momencie w drzwiach salonu stanął powód jej zmartwienia.

- Panno Snow - uklonił się grzecznie Claremont.

- Panie Claremont - odpowiedziała chłodno.

Ignorując służącego, który z uwagą śledził każdy ruch admirała i tylko czekał na jego skinienie, Claremont wziął talerz i podszedł do marmurowego stołu. Lucy dostrzegła na jego twarzy rozczarowanie. Na pewno porównuje ich skromny posiłek z ucztą u Howellów, pomyślała. Zapomniała o ojcu. Jej uwagę przykuły detale, których wcześniej nie zauważyła - wypchane łokcie we fraku Claremonta, pęknięcia na jego butach, których nie mogła ukryć żadna pasta. Chyba bardzo potrzebował tej pracy.

Usiadł za stołem i zaczął smarować tost odrobiną masła. Nie przejął się tym, że służący patrzy na niego z wyrzutem.

Lucy zamyśliła się. Pan Claremont z pewnością lubił jeść. Ciekawe, czy gdyby zmusiła ojca do zwolnienia go ze służby, odszedłby od stołu głodny?

- No, co to za sprawa, dziewczyno? - Admirał uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły

sztuńce. Lucy podskoczyła, rozlewając na spodeczek herbatę. - Cóż jest tak ważne, że przerywasz mi śniadanie? Powiedz wreszcie.

Dlaczego ojciec musiał akurat teraz wyjść ze swojego kokonu, którym była gazeta, rozpaczliwie zastanawiała się Lucy.

- No więc... pomyślałam, że... właściwie...

Claremont nie odrywał od niej wzroku. Minę miał spokojną, ale Lucy wiedziała, że chętnie zakneblowałby jej usta serwetką.

- Potrzebne mi pieniądze na farby - wyrzuciła jednym tchem. - Zabrakło mi błękitu, a bez niego nie dokończę pejzażu Kornwalii.

Admirał uśmiechnął się z taką wyższością, że miała ochotę schować się pod stół, by uniknąć kazania.

- Moja droga Lucindo. Ty zawsze z najmniejszej nawet błahostki potrafisz zrobić dramat. - Ugryzł tost i na powrót zniknął za zasłoną „Timesa”. - Twoja matka także miała do tego szczególny talent.

Lucy odsunęła talerz. Spojrzała na swojego ochroniarza, przekonana, że na jego twarzy ujrzy rozbawienie.

Claremont zniknął. Jego miejsce zajął niebezpieczny nieznajomy. Patrzył na admirała z nienawiścią w oczach. Poczula na plecach dreszcze. Intuicja podpowiadała jej, że to wszystko źle się skończy. I to nie dla ojca, lecz dla niej. Zanim zdołała przekonać samą siebie, że to gra jej wybujałej wyobraźni, ojciec zakrztusił się, a twarz Claremonta przybrała całkowicie obojętny wyraz.

Przerażona Lucy patrzyła, jak z ręki ojca wypada gazeta, a jego twarz nabiera koloru buraka. Przez ułamek sekundy była przekonana, że to Claremont zrobił coś admirałowi swym morderczym wzrokiem.

Ochroniarz poderwał się z miejsca, odepchnął zszokowanego lokaja i już był przy admirał. Złożył ręce i objął krztuszącego się mężczyznę na wysokości klatki piersiowej. Admirał nie mógł złapać powietrza, oczy miał pełne łez, zdawało się, że za chwilę wyzionie ducha. Lucy wzięła karafkę z wodą i ruszyła z pomocą.

Claremont ścisnął admirała silniej, niż to wydawało się konieczne. Lucy zauważyła, że sprawiło mu to przyjemność.

- Następnym razem niech pan posmaruje tost masłem, sir. Łatwiej przełknąć.

Lucy skrzywiła się, ale ojciec najwyraźniej nie miał zamiaru karcić Claremonta za jego bezczelność.

- To nie chleb - syknął, pukając palcem w gazetę. - To on! Ten łajdak wpędzi mnie

kiedyś do grobu!

Claremont sięgnął po gazetę, jednak Lucy była szybsza. Od razu znalazła artykuł, o który chodzi.

- „Kapitan Doom” - przeczytała cicho, nieświadoma, jak błagalnie zabrzmiało to w jej ustach.

Gerard dziękował w duchu, że admirał ciągle jeszcze pozostawał zaafierowany swoim nagłym atakiem. Był przekonany, że wystarczy jedno spojrzenie na twarz córki, by admirał zamknął ją w wieży i wyrzucił klucze. Jej policzki zarumieniły się lekko, usta nagle stały się miękkie i zmysłowe. Ku własnemu niezadowoleniu, Gerard uzmysłowił sobie, że chętnie by ich dotknął, skosztował, jak smakują, wsunął język między nęcące wargi.

Oto otwierał się przed nim świat nowych, szalenie niebezpiecznych możliwości.

- „Zmusiwszy fregatę do zaprzestania zbrojnego oporu, zamaskowany pirat przystawił kapitanowi do skroni pistolet i zaprosił na towarzyską partyjkę faraona na pokładzie HMS »Guenevere«. Plotka głosi, że choć kapitan MacGower wygrał ponad tysiąc funtów, zrabowanych przez piratów z Królewskiego Skarbcza, nie rozbawiły go figle pirata”.

Gerard także nie widział w tym nic zabawnego.

Lucy oderwała rozmarzony wzrok od gazety. Jej oczy zaszyły mgłą tajemniczości, barwą przypominały teraz morze po zachodzie słońca. Tęsknota, jaką dostrzegł na jej twarzy, ukłuła go bardzo blisko serca.

Zaczynał nienawidzić kapitana Dooma równie mocno, jak admirał.

- Jak on śmiał? Czy kto kiedy słyszał o takiej bezczelności? Co za tupet! - Admirał huknął karafką w stół.

Gerard, nie wiedząc, czy chce ratować Lucy, czy samego siebie, wyrwał jej z rąk gazetę. Lucy natychmiast opanowała słabość.

Z rosnącym zdenerwowaniem doczytał artykuł do końca.

- Ten łotr jest coraz bardziej nieostrożny. Jeśli dalej będzie się tak zabawiał, lada dzień zawiśnie.

- Wypijmy za to! - Admirał podniósł karafkę. Lucy spojrzała triumfalnie na Gerarda.

- Ojczy, skoro Doom jest na morzu, nie ma powodu, by...

Zwalniać naszego ochroniarza - dokończył za nią Gerard. Nie przejął się jej pełnym nienawiści spojrzeniem. - Doom prawdopodobnie ma swoich ludzi w całej Anglii. Załoga fregaty marynarki królewskiej da mu wyśmienite alibi. Teraz ma najlepszą okazję, by dokonać porwania.

- Święte słowa, sir - podchwycił admirał. - Musimy być szczególnie czujni.

Lucy z wściekłością gniotła w dłoni serwetkę. Ojciec wypił wodę. Widząc, jak drżą mu ręce, poczuła nagły przypływ czułości. Gerard czuł, że nie dokończy śniadania. Widok Lucy, płaszczącej się przed admirałem, odebrał mu apetyt.

Wytarła ojcu pot z czoła.

- Ojczy, czy dolać ci wody?

Odepchnął jej rękę.

- Wiesz, jak nie znoszę zamieszania wokół mojej osoby. Zajmij się lepiej swoimi sprawami. Idź, kup tę farbę. Ten łajdak wyprowadził mnie z równowagi. Nie będę dziś pracował nad moimi wspomnieniami.

Gerard powstrzymał przekleństwo, cisnące mu się na usta. Przepadła kolejna szansa.

- Jak sobie życzysz, ojczy - odparła posłusznie Lucy.

Wychodziła z salonu z pochyloną głową, ale w jej spojrzeniu czaił się bunt. Gerard zamyślił się. Tylko czekać, aż zbierze siły i upomni się, by admirał go zwolnił. A może ten dzień nie będzie stracony? Wyprawa po zakupy to dobra okazja, by zastawić pułapkę na tę pyską Myszkę.

Gerard wstał i ruszył za nią. Admirał chrząknął, jak gdyby znów zakrztusił się okruszkiem chleba.

- Dziękuję, chłopczy. Uratowałeś mi życie.

Gerard uklonił się.

- Na tym polega moja praca, sir - powiedział, uśmiechając się tajemniczo.

Kiedy nieco później tego ranka ich powóz powoli toczył się w kierunku Oxford Street, Gerard zastanawiał się, czy wszystkie stroje panny Snow są białe. Jej cieniutki szal zaczynał go już nudzić.

Jego wzrok zatrzymał się na jej kremowych ramionach i nagiej szyi. Niechętnie przyznał w duchu, że biel znakomicie pasuje do tego typu urody. Jej skóra była jak świeży

śnieg - miękka, dziewicza, kusząca. Szkoda, że dziewczyna ma tak chłodny temperament.

Otrząsnął się z niebezpiecznego zamyślenia i wyjrzał przez tylną szybę na ulicę. Uspokoił się, widząc, że podąża za nimi jeździec. Trzymał się wystarczająco daleko, by nie wzbudzać podejrzliwości woźnicy. Jeszcze dziś Lucy poprosi ojca, żeby podwyższył mu pensję.

Pojazd zatrzymał się przed rzędem bogatych wystaw sklepowych, kuszących klientów wytwornymi perfumami, tkaninami, biżuterią, słodyczami i książkami.

- Co to będzie? - zapytał Gerard, pomagając Lucy wysiąść z powozu. Wbrew własnej woli, ścisnął jej dłoń o moment za długo, niż to było konieczne. - Artykuły piśmienne? To straszne, że nie może pani dokończyć pejzażu Kornwalii.

Otworzyła parasolkę, chroniąc twarz przed promieniami słońca. Intuicja ostrzegła Gerarda przed niebezpieczeństwem, kiedy Lucy słodko się do niego uśmiechnęła.

- Wstąpię do sklepu z jedwabiem po... - Urwała i nieśmiało zerknęła na swoje stopy, odziane w delikatne pończoszki i obute w sandaalki.

- Zakupy, o których nie wypada rozmawiać na ulicy - dokończył za nią.

- Istotnie. Nie musi mi pan towarzyszyć. Obawiam się, że śmiertelnie by się pan nudził.

Au contraire, ma cheric, pomyślał Gerard. Miał ochotę pójść z nią tylko po to, by jej udowodnić, że więcej wie o jedwabnych damskich tajemnicach, niż ona nauczy się przez całe życie.

Najwyraźniej sądziła, że znalazła sposób, by się go pozbyć. Nie wiedziała jednak, że zaraz sama wpadnie w jego szatańskie sidła.

Odprowadził ją pod drzwi eleganckiego sklepu. Wysokie witryny pyszniły się włoskim jedwabiem, brukselskimi koronkami, muślinami jeszcze bardziej przezroczystymi niż ten, z którego uszyto jej sukienkę.

- Zaczekam na zewnątrz. Proszę się nie spieszyć – łaskawie ją zachęcił.

Spojrzała na niego, jak gdyby ta uprzejmość wytrąciła ją z równowagi. Gerard delikatnie popchnął ją w kierunku drzwi.

Po chwili, nie mogąc się powstrzymać, zerknął ukradkiem do wnętrza salonu. Jeden ze sprzedawców skakał wokół Lucy, obładowany próbkami materiałów.

- Szanowna pani, to najwspanialszy włoski jedwab. Proszę tylko zobaczyć, jaka delikatna tkanina, jaka chłodna - zachęcał, wciskając jej do ręki kolorowe skrawki.

Lucy pogładziła jeden z materiałów, nieświadoma, że jest obserwowana. Delikatna, ale wcale nie taka chłodna, myślał Gerard, walcząc z rozgorączkowaną wyobraźnią, która

podsuwała mu coraz bardziej zdradliwe obrazy. Jej palce gładzące jedwab. Jego palce gładzące jej skórę.

Zacisnął pięści i oddalił się od drzwi, wiedząc, że lepiej nie być zbyt blisko pułapki, kiedy zwierzyna złapie się na przynętę.

Godzinę później Lucy wyszła z salonu. Oczy przyzwyczajone do półmroku eleganckiego wnętrza, zaskoczone oślepiającym słońcem ulicy, zaczęły teraz lekko łzawić. Była z siebie podwójnie zadowolona. Nie dość, że zdołała wymknąć się na chwilę spod opieki natrętnego ochroniarza, to jeszcze wytargowała dziesięć szylingów za jard prawdziwego włoskiego jedwabiu. Kiedy dostarczą tkaninę do domu, admirał będzie dumny z jej oszczędności.

Zasłoniła się parasolką i zaczęła niepewnie się rozglądać. Po ulicy pędził tłum przechodniów, ale nie było śladu Claremonta ani powozu. Wzdłuż drogi stały jakieś nieznanne pojazdy, zaprzężone w zmęczone popołudniowym upałem konie. Prawdopodobnie Fenster zaparkował gdzieś dalej, a ochroniarz schował się przed palącym słońcem w powozie.

Powinna się cieszyć, że Claremont nie kręci się w pobliżu i nie czeka na okazję, by jej dokuczyć. Musi obmyślić bardziej subtelny plan ataku. Ostrzegając go przed swoimi zamiarami, dała mu czas na przygotowanie obrony.

Przechyliła parasolkę pod odpowiednim kątem i samotnic ruszyła w stronę sklepu z artykułami piśmiennymi. Pospiesznie minęła handlarza ulicznego, próbując zignorować apetyczny zapach pieczonych jabłek i gorących ciasteczek. Niepohamowany apetyt na słodczyce był jedną ze słabości, jakie odziedziczyła po matce.

Uśmiechnęła się, wyobraziwszy sobie minę pana Claremonta, kiedy po powrocie przed sklep zorientuje się, że złoty ptaszek uciekł z gniazdka.

Z zamyślenia wyrwała ją czyjaś ręka. Ktoś chwycił jej torebkę i gwałtownie ją szarpnął, kierując w kierunku bocznej uliczki.

8

Gerard, z rękami w kieszeniach, stał oparty o uliczną latarnię i powoli liczył do dziesięciu. Czekał, aż rozlegnie się kobiecy krzyk...

Tymczasem w ulicze, w której znikła Lucy, panowała cisza.

Wyjął zegarek i sprawdził, ile czasu upłynęło. Miał złe przecucie. Zamierzał pozbyć się córki admirała, która stała mu na przeszkodzie w realizacji planu, ale nigdy nie chciał, by spotkało ją coś złego. A jeśli zemdląca? Albo upadła i rozbiła sobie głowę? Wyobraził sobie Lucy, leżącą na brukowanej ulicy, z włosami rozsypanymi wokół bladej twarzy. Natychmiast ruszył w kierunku alei.

Na widok tego, co czekało na niego za rogiem, zupełnie osłupiał.

Na chodniku leżał zamaskowany mężczyzna, kuląc się pod naciskiem przystawionej do gardła parasolki. Nad nim stała Lucy. Była tak spokojna, jak gdyby właśnie wyszła z pikniku w ogrodzie. Kiedy zauważyła Gerarda, jej jedyną reakcją było lekkie uniesienie brwi.

- Błagam, panienko, niech mi panienska nie robi krzywdy! - skomlał złodziej. Miał tak silny irlandzki akcent, że ledwo zrozumiała, co do niej mówi. - Nie chciałem zrobić paniencie nic złego, przysięgam. - Widząc niesmak na twarzy Gerarda, zaczął jęczeć jeszcze żałośniej. - Dobry panie, niech mi pan pomoże, niech jej pan co powie. Oj, panie, to dopiero było, walnęła mnie w głowę, przewróciła, mało co mnie nie zabiła tą parasolką. Już myślałem, że się pan nigdy...

Gerard przerwał nieskładną gadaninę złodzieja, zaciskając mu ręce na gardle i podnosząc go z ziemi.

- Proszę wybaczyć, panno Snow, muszę uprzątnąć śmieci.

Otrzepała zakurzone rękawiczki.

- Ten łajdak próbował ukraść mi torebkę. Czy nie powinien go pan zaprowadzić na posterunek?

Gerard jeszcze silniej zacisnął dłonie.

- Kiedy z nim skończę, będzie żałował, że tego nic zrobiłem - obiecał ponuro.

Gerard wrócił po chwili. Lucy stała, z rozmarzeniem wpatrując się w okno wystawy sklepu cukierniczego.

Zatrzymał się tuż za jej plecami. Wiedział, że stoi niestosownie blisko, ale był zbyt wściekły, by się tym przejmować. Nie złościł się na nią za to, że zniweczyła jego plan, ale na siebie, bo przez krótką chwilę naprawdę przejął się jej bezpieczeństwem. Na Boga, chyba już wystarczy tej litości. Pora zacząć działać.

- Dlaczego, do jasnej cholery, nie wołała pani o pomoc? - zapytał, przyglądając się jej odbiciu w szybie. - Gdybym się nie pojawił, nie wiadomo, co by pani zrobił.

Odwrociła się, nie okazując najmniejszego zażenowania jego bliskością.

- Jeden nieudolny złodziejasek to za mało, bym zaczęła krzyczeć. Poza tym sama doskonale sobie radziłam. Mam nadzieję, że to wystarczający dowód, panie Claremont. - Otworzyła parasolkę, jak gdyby dając mu do zrozumienia, że on może być jej następną ofiarą.

- Dowód na co?

- Na to, że potrafię sama się o siebie troszczyć. Nie potrzebuję pańskiej opieki. - Spojrzała na niego spod koronkowej parasolki w taki sposób, że gdyby na jej miejscu była inna kobieta, a nie córka -admirala, Gerard uznałby to za zaproszenie do flirtu. - Doszłam jednak do wniosku, że nie mam prawa pozbawiać pana zajęcia. Od tej chwili, jeśli nadal chce pan pracować w Jonii, pańskie obowiązki będą polegać na dostarczaniu mi rozrywki.

To powiedziawszy, odwróciła się i odeszła, furkocząc parasolką. Gerard rozmyślnie nie pobiegł za nią, jak posłuszny piesek.

Zdjął kapelusz i otrzepał go o udo, żałując, że nie ma czasu, by pokazać jej, jak wielu rozrywek mógłby jej dostarczyć.

Gerard w pośpiechu wychodził z domu, jak gdyby gonił go czart z samego piekła. Kiedy usłyszał skrzypnięcie otwieranego na piętrze okna, przyśpieszył kroku.

- Panie Claremont! Halo! Przepraszam! Panie Claremont?

Wzdrygnął się, słysząc znajomy melodyjny głos i przez sekundę rozważał, czy nie lepiej ruszyć biegiem, minąć domek przy furcie, samą furtę, dotrzeć do Londynu, znaleźć najszybszego konia, powóz lub statek, który wywiózłby go jak najdalej stąd, gdzieś, gdzie nie

będzie go prześladowało jej ciągle nawoływanie. Od początku spodziewał się, że admirał będzie tyranem, ale w porównaniu z nim, jego córka okazała się wcielonym Czyn-gischanem.

- Panie Claremont! Ach, tu się pan ukrywa! - zawołała, choć widzieli się niecały kwadrans temu, kiedy to poleciła mu zaostrzyć ołówki i węgiel tępym kuchennym nożem. Dobrze, że nie kazała mu zrobić tego zębami.

Mrugnął, przybierając mniej morderczy wyraz twarzy, odwrócił się i pomaszzerował z powrotem do domu. Zatrzymał się pod oknem swojej młodej pani jak jakiś zakochany łąbędź.

- Tak, panienko? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Czy mógłby pan zejść do zielonego salonu? Potrzebuję pańskiej pomocy.

Gerard, mrużąc pod nosem o pomocy, jakiej chętnie by jej udzielił, takiej, po której zamknęłaby choć na chwilę usta, okrążył dom i skierował się do wejścia dla służby.

W ciągu minionego tygodnia był zmuszony zajmować się tak trywialnymi obowiązkami, jak trzymanie na kolanach formy do haftów, podczas popołudniowej herbaty. Kiedy znużony konwersowaniem o niczym przysypiał, Lucy kłuła go igłą. Na spacerach i podczas zakupów podnosił jej rękawiczki, które ona celowo upuszczała. Przewracał strony przerażająco nudnego pamiętnika lorda Howella, jak gdyby ona sama nie potrafiła tego zrobić lub była na to zbyt słaba.

Pewnie lepiej znosiłby jej tyranie, gdyby czuł, że powoduje nią złośliwość. Tymczasem Lucy wydawała mu polecenia tonem słodkim i przymilnym. Uśmiechała się przy tym rozbijając, a wtedy w policzkach robiły jej się urocze dołeczki. Najwyraźniej zmieniła taktykę. Zamiast nalegać, by ojciec go zwolnił, czekała, aż sam rzuci pracę. Albo ją udusi. Było to tak oczywiste, że aż zabawne. Ale i denerwujące.

Zajmowała mu każdą chwilę. Dopiero późnym wieczorem udawało mu się znaleźć trochę czasu dla siebie. Humor ostatnio mu nie dopisywał, a zmęczenie przeszkadzało myśleć o realizacji własnych zamierzeń, jednak cały czas pamiętał, że za minuty zmarnowane na sen będzie musiał zapłacić godzinami w jej towarzystwie.

Zielony salon, w którym mieściła się pracownia malarska, znajdował się w odległym skrzydle domu. Maską doskonale udawanej obojętnościomal nie opadła z twarzy Gerarda, kiedy ujrzał Lucy skuloną na sofie i w napięciu wpatrującą się w mebel. Jej przezroczysta muślinowa sukienka przyłgnęła do roztrzęsionych ramion.

- Do usług, panienko - powiedział, kłaniając się. Wyciągnęła drżącą rękę i wskazała coś na drugim końcu sofy.

- To przerażające. Proszę się pospieszyć.

Gerard mruknął coś pod nosem, obszedł sofę i pochylił się nad wskazanym

miejszem.

- Niczego nie widzę, panienko. - Jak zwykle przesadnie zaakcentował ostatnie słowo.

- Ależ proszę spojrzeć jeszcze raz. Jest odrażający. Zapewniam pana, że nie fantazjuję, nie jestem kobietą tak łatwo ulegającą fantazjom.

Gerard z westchnieniem zdjął okulary i jeszcze raz pochylił się nad sofą. Po cieniutkiej nici, w górę oparcia, wspinał się maleńki pająk, prawie niedostrzegalny gołym okiem. Na widok biednego, wystraszonego robaczka, Gerarda ogarnęło współczucie. Pomyślał, że obaj mają ze sobą wiele wspólnego - kroczą po niebezpiecznej drodze, zdani na łaskę i niełaskę Lucy.

Założył na nos okulary.

- Co mam z nim zrobić, panno Snow? - zapytał cierpliwie.

Położyła rękę na szyi.

- To pan jest moim ochroniarzem. Ma pan chronić mnie przed niebezpieczeństwem.

Czuł, że ogarnia go dziwny spokój.

- Dobrze, panienko.

Z kieszeni płaszcza wyjął pistolet, odbezpieczył go i wymierzył w bezbronnego pajęczka.

Lucy jęknęła, jej strach był autentyczny. Na widok lśniącej broni otworzyła ze zdziwieniem szare oczy. Tak przypuszczał. Nie miała pojęcia, że jest uzbrojony. Tymczasem on nigdy nie rozstawał się ze swoim pistoletem.

- Panie Claremont, co pan zamierza? Opuścił broń.

- Chronię panią, przecież o to pani chodziło, prawda?

- Chyba nie zastrzeli pan tego nieszczęśnika?

- A co pani sugeruje? Mam go wychłostać? Deportować do Australii? Ująć i oddać w ręce pani ojca?

Usiadła swobodniej.

- Może wyniesie go pan do ogrodu - wymamrotała, potrząsając włosami.

Do ogrodu, żeby zaraz go znalazła, pomyślał Gerard. I wszystko zaczęłoby się od nowa.

Jej szczerą litość poruszyła go bardziej niż jej obłuda. Schował pistolet do kieszeni i spojrzał na nią złowieszczo.

- A nie wolałaby pani, żebym go rozgniółł obcasem? - podniósł nogę.

Odgarnęła włosy z twarzy.

- Och, nie! W końcu to też stworzenie boże. Z pewnością nie chciał zrobić mi krzywdy.

Podbiegła do kominka i przyniosła mosiężne pudełeczko, które, sądząc po nieskazitelnym wieczku, jeszcze nie było używane. Bez wahania zgarnęła pajęczka do środka i wręczyła Gerardowi.

Wystraszony robaczek biegał w kółko po dnie pudełka. Gerard zastanawiał się, czy on też czuje się tak beznadziejnie.

- A teraz proszę dopilnować, by nic mu się nie stało - powiedziała, machając władczo dłonią.

- Potraktuj to jak mój święty obowiązek. - Skłonił się z przesadną dwornością.
- Dla pani wszystko.

Było to w marcu, osiemdziesiątego pierwszego roku, podczas bitwy nad zatoką Chesapeake. Płynęliśmy do Yorktown, na pomoc armii brytyjskiej, kiedy ci przekłęci Francuzi urządzili blokadę. Thomas Graves był wtedy kontradmirałem. Próbowałem go ostrzec, by nie tracił czasu na formowanie okrętów w szyk bojowy. Mówiłem mu: Tommy, stary druhu...

Admirał smęcił i smęcił. Gerard gotów był przysiąc, że piasek w starej mosiężnej klepsydry stojącej na biurku zastygł w bezruchu całe godziny temu.

Słuchając, jak Lucien Snow dyktuje swoje wspomnienia, Gerard zrozumiał, że admirał miał ogromny żal do całego świata. Człowiek ten poświęcił życie na walkę z Francuzami. Niestety, z powodu odniesionych ran, nie oddano mu dowództwa nad angielską flotą, która wtedy święciła największe triumfy. Admirał uważał, że to on powinien był pokonać flotę francuską podczas bitwy o Nil. To jemu należał się tytuł barona i dożywotnia pensja od Parlamentu. To on zasługiwał na sławę i fortunę, a nie jakiś nieopierzony kontradmirał nazwiskiem Horatio Nelson.

Lucy siedziała przy biurku. Włosy miała spięte na karku błękitną aksamitną wstążką. Jej delikatny profil rozmazywał się w promieniach słońca, wpadających przez ogromne okno. Pochylona nad notatkami, nie odrywając pióra, starannie spisywała słowa ojca.

Jakim cudem jeszcze nie zasnęła, zastanawiał się Gerard. Musiała słyszeć tę opowieść z tysiąc razy. Pewnie tak uwielbia ojca, że jego słowa są dla niej ważniejsze od

Biblii. Aż trudno było uwierzyć, że ta mała potulna myszka była taką despotką. O świecie wezwała go z domku przy furcie tylko po to, by wydobył jej spinkę do włosów, która wpadła w szczelinę w parkiecie. Podniósł do ust porcelanową filiżankę, by ukryć wzbierającą niechęć.

- Może jeszcze kawy, sir?

Gerard gwałtownie ocknął się z zamyślenia, gdy za plecami usłyszał słowa Smythe'a. Kamerdyner swym skradaniem się zawsze wyprowadzał go z równowagi. Gerard kolejny raz w tym tygodniu miał ochotę wypatroszyć mu wnętrzności choćby za pomocą łyżki.

Tej zbrodni szczerze by żałował. Smythe, odkrywszy, że Gerard nie znosi lury, która w domu admirała uchodzi za herbatę, co rano, specjalnie dla niego, parzył dzbanek mocnej, aromatycznej kolumbijskiej kawy.

- Poproszę. - Gerard spojrzał na kamerdynera z wdzięcznością, kiedy ten napelnił jego filiżankę po sam brzeg. Miał nadzieję, że pachnący napój ożywi jego słabnącą uwagę.

- ...rok, w którym stary Jerzy w końcu przełknął dumę i nadał mi tytuł szlachecki - dyktował admirał. - Omal nie zalała go żółć, kiedy publicznie przyznał, że syn prostego garbarza uratował jego królewską głowę. Osiemdziesiąty, nieprawdaż? A może osiemdziesiąty pierwszy?

- Osiemdziesiąty drugi, sir - odpowiedział Smythe. - To było zaraz po pańskim szlachetnym wyczynie w czasie bitwy o Sadras.

- Ach, tak, Sadras! - Oczy admirała zaszyły mgłą wspomnień. Gerard zacisnął zęby, by nie parsknąć śmiechem.

Lucy, nie przestając pisać, rzuciła mu groźne spojrzenie, przypominając, że zaniedbuje obowiązki. Sam z własnej woli zaproponował, że posegreguje stertę pleśniejącej korespondencji admirała. Na razie dowiedział się jedynie, że wszyscy przyjaciele admirała są takimi samymi nadętymi nudziarzami jak on.

- ...A kiedy rankiem opadła mgła, okazało się, że celuje w nas osiemdziesiąt sześć francuskich dział. Nie pozostało mi nic innego, jak wydać rozkaz...

- Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty szósty - wyrzucił z siebie Gerard, zanim admirał zaczął ich zamęczać kolejną niekończącą się opowieścią o jeszcze jednym zwycięstwie. - Czy to wtedy został pan ranny, sir? - Patrzył z uwielbieniem na swojego przełożonego i mrugał niewinnie zza okularów.

Brwi admirała uniosły się w największym zdziwieniu. Lucy zamarła. Smythe,

próbując uniknąć wzroku Gerarda, z zacięciem polerował idealnie czysty globus.

Nie przerywa się admirałowi, kiedy dyktuje wspomnienia.

Zakładając, że admirał złapie się na pochlebstwo, Gerard postawił na szali swoją niepewną przyszłość. Udając szczere zainteresowanie, wstał i podszedł do biurka Lucy.

- W jednym z opisów bitwy wyczytałem, że choć w pańskiej łydce tkwił odłamek, nie oddał pan dowództwa. Mimo przeszywającego bólu, kazał pan przywiązać się do masztu i w tej pozycji poprowadził pan flotę do zwycięstwa.

- Smythe, pudełko - warknął admirał.

Smythe rzucił się ku sekretarzykowi i wyjął z szuflady mosiężną kasetkę. Gerard oparł się o biurko, z trudem odrywając uwagę od cytrynowego zapachu włosów Lucy i jej niepewnego spojrzenia.

Kamerdyner z wielkim namaszczeniem podał kasetkę. Admirał zdjął z szyi tasiemkę, na której wisiał mały kluczyk i otworzył pudełko. Gerard czuł, że w środku znajduje się para pistoletów. Admirał zastrzelił go za taką bezczelność.

- Największe tajemnice admiralicji - szepnęła Lucy. Uspokoił go nabożny ton jej głosu. - Nikt, nawet Smythe, nie ma do nich dostępu.

Zamiast broni, admirał wyjął pożółkłą gazetę. Jego usta drgnęły w nostalgicznym uśmiechu.

- Zdaje się, że o ten opis panu chodzi. Obawiam się, że przesadzono, relacjonując moje czyny - powiedział skromnie. - Nigdy nic wygralibyśmy tej bitwy, gdyby nie wspierali mnie moi oficerowie.

Lucy, nie czekając na słowa zachęty, pisała jak szalona. Admirał ze szczegółami opisywał bitwę na Morzu Śródziemnym, która tak nieszczęśliwie zakończyła jego karierę.

Gerard słuchał jak zaklęty. Patrząc na jego minę, nikt by się nie domyślił, że nie dotarło do niego nawet jedno słowo. Jego uwagę przykuwała otwarta kasetka leżąca na biurku admirała.

Późnym wieczorem Lucy siedziała przy toalecie i czesała włosy srebrną szczotką, która kiedyś należała do jej matki. Ta zmysłowa przyjemność zawsze wprawiała ją w dobry nastrój. Odchyliła lekko głowę w tył. Admirał spędzał ten wieczór poza domem, uczestnicząc w kolejnej niekończącej się sesji rady admiralicji. Lucy marzyła o chwili tylko dla siebie, ale

pozbawiona nadzoru ojca, który rozliczał ją z każdej minuty, czuła się zagubiona. I samotna.

Prawdopodobnie niewyczerpana energia jej ochroniarza była zaraźliwa. Jego zwyczaje irytowały ją i bawiły jednocześnie. Nigdy nie uważał, kiedy admirał coś mówił. Nigdy nie sprawdzał, która godzina, nigdy nie przeglądał rozkładu jej zajęć, choć Smythe uparcie co rano mu go dostarczał.

Naturalną koleją rzeczy, wiecznie się spóźniał, apaszkę wiązał siedząc przy stole, podczas śniadania, a rozkład zajęć zawsze gubił. Lucy co jakiś czas znajdowała go w najdziwniejszych miejscach, jak choćby w zielonym salonie pod doniczką z paprotką, za rogami jelenia wiszącego w bibliotece czy przerobiony na trójkątny kapelusik i wciśnięty na głowę gipsowego popiersia, wykonanego niedawno na zamówienie admirała. Jedyne, do czego jej ochroniarz przykładął wagę, to posiłki. Pochłaniał niesamowite ilości jedzenia w tempie tak oszałamiającym, jak gdyby się bał, że lokaj zabierze mu wszystko, zanim skończy.

Lucy nic miała pojęcia, czyjej tyrania przynosi efekty, jakich się spodziewała. Pan Claremont niezmordowanie spełniał każdą jej zachciankę, dusząc w sobie sprzeciw czy odruch buntu, by ona nie wykorzystała tego przeciw niemu. Widząc, że jego niechęć wobec niej z dnia na dzień rośnie, Lucy wymyślała coraz to dziwniejsze zadania. Zachowywała się dziecinnie, ale sama nauczona absolutnego posłuszeństwa wiedziała, że kiedy gra tę rolę, nie sposób się jej oprzeć.

Skrzywiła się, kiedy szczotka nagle utknęła na niewidocznym kołtunie. Lucy nigdy nie lubiła swoich jasnych prostych włosów. Trudno było uczesać je w jakąś elegancką fryzurę, nie mówiąc już o lokach. Gdyby odważyła się spiąć je w modny kok, jaki nosiła Sylvie, wyglądałaby jak mały elf.

Odsunęła na bok kryształowe buteleczki zaplątane we wstążki i zaczęła z uwagą przyglądać się swojemu odbiciu. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi w lustrze zupełnie obcą osobę. Na szczęście w pobliżu nie było admirała, który skarciłby ją za próżność. Upięła włosy na czubku i przechyliła głowę, by dokładniej zbadać rysy twarzy. Wystające kości policzkowe, ostry nos, zbyt szerokie usta przy zbyt mocno sterczącej brodzie, a wszystko zdominowane przez zdecydowanie zbyt duże oczy. Pasowałyby raczej do pieska. Albo kurtyzany.

Westchnęła i rozpuściła włosy. Co za pech! Dlaczego zamiast urody, odziedziczyła po swej legendarnie pięknej mamie same wady?

Otworzyła buteleczkę z perfumami o zapachu cytrynowej werbeny i dotknęła karku kryształowym korkiem. Przesunęła zimną twardą zatyczkę po rozpalonej szyi. Wrażenie było tak niezwykle, że aż jej serce szybciej zabiło. Patrzyła na piersi, niespokojnie falujące pod

jedwabną koszulką, ich czubki ocierały się o delikatną koronkę.

Odkąd spotkała Dooma, co jakiś czas ogarniało ją takie rozgorączkowanie. Budziła się w środku nocy, zaplątana w pościeli i drżąca z tęsknoty za nieznanym dotąd, słodko-gorzkim spełnieniem, które coraz bardziej się od niej oddala. Tak jak „Retribution” i tajemniczy kapitan.

Jej palce dotknęły rozpalonej skóry między piersiami. Wyobraziła sobie, że to dłoń kochanka. Dłoń Dooma. Zamknęła oczy, ale zamiast ukrytego w ciemnościach kochanka ducha, ujrzała ręce mężczyzny, skąpane w promieniach jesiennego słońca. Silne, długie palce i opalone dłonie delikatnie zamykające się na jej nabrzmiewających piersiach.

Otworzyła ze zdziwieniem oczy. Gdyby nie fakt, że na jej twarzy malowało się przerażenie, wyglądałaby komicznie. Szybko sięgnęła po zajęczką łapkę i przypudrowała rumieńce na policzkach, po czym wstała i podeszła do okna. Jej wzrok automatycznie podążył ku domkowi przy furcie. Choć było już dobrze po północy, w oknach paliło się światło. Czy ten mężczyzna w ogóle nie sypia? - zastanawiała się poirytowana.

W sercu poczuła dziwną pustkę. Teraz i ona nie będzie mogła zasnąć. Admirał zawsze potępiał marnowanie czasu, pomyślała więc, że zrobi mu niespodziankę i dokończy kornwalijski pejzaż. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu sztalugi i wtedy przypomniała sobie, że zostawiła ją w bibliotece.

Włożyła skromny szlafrok i wyszła z sypialni. Od razu potknęła się na porzuconych na korytarzu sandałach. Trzymając się poręczy, na palcach przemknęła po schodach. Zawsze miała poczucie winy, opuszczając sypialnię w czasie przeznaczonym na sen.

Bezszelestnie prześlizgnęła się przez hol. Na posadzce odbijało się wpadające przez okna światło księżyca. Popiersie admirała patrzyło na nią z piedestału surowym wzrokiem. Lucy przyspieszyła kroku. Stojąc przed drzwiami biblioteki marzyła, by jak najszybciej zabrać sztalugę i ukryć się w swojej sypialni, zanim ojciec wróci do domu i przyłapie ją na myszkowaniu po jego królestwie.

Drżącą dłonią nacisnęła klamkę. Zamiast chłodu mosiądzu, jej palce trafiły na coś ciepłego, szorstkiego i z całą pewnością ludzkiego. Usłyszała stłumione przekleństwo i odgłos odbezpieczanej broni. Zanim zdążyła krzyknąć, ręka wyrwała się z jej uścisku i zamknęła jej usta. Ktoś popchnął ją, aż jej plecy trafiły na ścianę.

W świetle księżyca okazało się, że obiekt jej grzesznych fantazji właśnie trzyma ją na muszce

9

- Zastanawiam się, co trzeba zrobić, żeby zaczęła pani krzyczeć.

Lucy spojrzała na swojego ochroniarza. Claremont nie spieszył się ze zwracaniem jej wolności. Nadal trzymał rękę na jej ustach, a lufę pistoletu przy szyi. Czowała, że krew pulsuje dziko w jej skroniach. Pan Claremont wyglądał na człowieka, który strzela bez ostrzeżenia. Mimo że chował oczy za szklami okularów, Lucy dostrzegła w nich błysk niezadowolenia. Wiedziała, że to zapowiedź nadchodzącego sztormu.

Zaczęła się wiercić. Jeszcze przez chwilę zaciskał dłoń na jej ustach, ale w końcu zdecydował się ją puścić.

Ukradkiem zerknęła na pistolet. Od razu przypomniała sobie wszystkie upokorzenia, na jakie naraziła go w minionym tygodniu. Przełknęła głośno ślinę.

- Jeśli mnie pan postrzeli, ojciec obniży panu pensję.

Z wprawą zabezpieczył pistolet i schował do kieszeni.

- Nie zniósłbym, gdyby admirał zdegradował mnie do funkcji ogrodnika. Służba u pani przynosi mi dużo większą satysfakcję.

Ubrany był skandalicznie. Koszulę miał rozpiętą, nie włożył apaszki ani kamizelki. Lucy dziękowała w duchu, że ojciec jeszcze nie wrócił. Surowo potępiał brak odpowiedniego stroju.

Claremont nasłuchałby się uwag o swoim niechlujstwie. Był przecież prawie nagi.

Lucy, zaskoczona własnymi myślami, szybko przybrała obojętną minę. Okazało się to dużo trudniejsze, niż się spodziewała, zwłaszcza że pamięć ciągle jeszcze podsuwała jej niepokojący obraz jego dłoni.

Poprawiła szlafrok, zasłaniając szyję. Koszulka, którą jeszcze przed chwilą uważała za skromną, pod jego badawczym spojrzeniem okazała się grzesznie wyuzdana.

- Panie Claremont, dlaczego, jeśli można spytać, skrada się pan po domu w tak nikiemny sposób?

- To moja praca - odparł chłodno. - Co noc sprawdzam cały dom. Drzwi, okna, wszystko.

Uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Ale co pan robił w bibliotece?

- Przyłapała mnie pani, panno Snow. Przyznaję się. -Pochylił się nad nią i szepnął - Lubię czytać.

- W bibliotece ojca nie znajdzie pan żadnych powieści. On zbiera tylko dzieła prawdziwej literatury.

- A zatem, proszę wybaczyć, że się oddalę. Muszę jeszcze sprawdzić parter.

Uklonił się i odszedł. Lucy podniosła głowę i popatrzyła za nim. Jego odejście dziwnie ją zabolalo. Nie chciała zostać w holu sama. Nie chciała wracać do sypialni pustym korytarzem.

- Panic Claremont?

Zatrzymała go niepewność w jej głosie. Gerard zaklął pod nosem. Czy ta piekielna kobieta-dziecko zawsze będzie mu stać na drodze? Ciągle jeszcze czuł jej chłodne palce, delikatnie zaciskające się na jego dłoni. Kiedy w świetle księżycy ujrzał ją otuloną w jedwab i koronki, poczuł, że krew odpływa mu z głowy i zaczyna gwałtowniej krążyć w innych, zaskakujących miejscach. Od tak dawna nie miał kobiety. Pewnie na widok Smythe'a w nocnej koszuli zareagowałby tak samo, wmawiał sobie.

Mięśnie zeszytywniały mu od napięcia. Odwrócił się. Zapewne z dumnie uniesionym podbródkiem rozkaże, by przyniósł jej w zębach pantofle lub opróżnił nocnik.

Istotnie, głowę trzymała wysoko niczym królowa, Gerard gotów był jednak przysiąc, że jej broda drżała, kiedy otworzyła drzwi biblioteki i zaprosiła go do środka.

- Przyszłam po sztalugę. Zechce pan zanieść ją do mojej sypialni? - W jej uśmiechu nie było pewności siebie. - Zawsze, kiedy pana potrzebuję, jest pan w pobliżu.

Gerard z trudem panował nad nagłym przyplływem sympatii.

- Właśnie po to pani ojciec mnie zatrudnia.

Lucy nie była zaskoczona. Żaden mężczyzna nie wytrzymałby w jej towarzystwie, gdyby mu za to nie płacono.

Jej praca stała pod oknem. Kiedy pakowała porozrzucone farby, Gerard ostrożnie zerknął w stronę sekretarzyka admirała.

Zbierała pędzle, gdy pan Claremont stanął tuż za jej plecami. Jak zwykle zbyt blisko. Jego fizyczna obecność była natarczywa jak dotyk. Lucy dostała gęsiej skórki.

Próbując uwolnić się od zapachu jego wawrzynowego mydła, zajęła się płukaniem

zaschniętego pędzla.

- Panie Claremont, proszę powiedzieć, co pan sądzi o moim obrazie. Śmiało, znajomi ojca uważają, że gdybym nie była kobietą, mogłabym zostać malarzem. -Wytarła pędzel, skromnie czekając na pochwałę.

Claremont, przyglądając się pejzażowi, zrobił krok do tyłu.

- Zastanawiam się, czy pani kiedykolwiek widziała morze.

Lucy spojrzała na niego z niedowierzaniem. Na jego twarzy

nie było śladu ironii. Pierwszy raz w życiu zdawał się mówić zupełnie poważnie.

Choć jego opinia nie miała dla niej większego znaczenia, Lucy poczuła się nieco urażona.

Przechyliła głowę i popatrzyła na swoją akwarelkę.

- Nie podoba się panu?

Potrząsnął głową. Przez chwilę liczyła, że ukoi jej urażone ego.

- Raczej nic. - Powiedział to tak szczerze, że nie mogła się obrazić. Pochylił się za jej plecami i wskazując obraz, dodał - Pod względem technicznym jest bez zarzutu. Świetnie pani sobie radzi z grą światła i kolorami. - Jego głos był głęboki, miękki. Za uchem czuła jego ciepły oddech, od którego poruszały się włoski na jej karku. - Ale nie ma w tym życia. Brakuje pasji, namiętności.

Lucy, nie mogąc się oprzeć, odwróciła głowę i spojrzała na jego profil. W kapryśnym świetle księżyca jego oczy nie wydawały się już bursztynowe, tylko szarozielone. Gdyby mogła go teraz namalować, nie powiedziałaby, że jej pracy brakuje namiętności.

Uniósł dłoń, jak gdyby pokazywał jej bezmiar oceanu.

- Lucy, morze o wschodzie jest jak katedra.

Jej imię zabrzmiało w jego ustach jak melodia.

- W odwiecznej bitwie światło pokonuje ciemność. Widok słońca, zwycięsko wylaniającego się zza horyzontu, godzien jest najwyższej czci. Człowiek powinien oglądać go na kolanach, wyrzec się cynizmu, uwierzyć, że fale zalewające piasek mogą zmyć całe zło tego świata.

Lucy odjęło mowę. Już dawno pogodziła się z myślą, że nie zasługuje na miłość, teraz znów poczuła w gardle dawną tęsknotę. Zazdrościła, że istnieje coś, co wzbudza w tym człowieku takie uwielbienie. Miała nadzieję, że towarzystwo Claremonta pozwoli jej zapomnieć o samotności, tymczasem on sprawił, że dostrzegła jej bezmiar.

W oknie ukazały się światła powozu admirała. Wchodził już w zakręt przed podjazdem. Wystraszona Lucy wyrwała się spod zakłącia Claremonta. Pospiesznie zebrała farby i pędzle. Zdjęła obraz ze sztalugi i nie przejmując się tym, że go zniszczy, włożyła pod

pachę.

- Jak na kogoś, kto cierpi na chorobę morską, ma pan wyjątkowo poetyckie spojrzenie na morze.

Założył ręce na piersiach.

- To typowe, panno Snow. Czyż nie pociąga nas to, co niebezpieczne i zakazane?

Wykrzywił usta z ironią, do której zaczęła się już przyzwyczajać. Widząc jego posępne spojrzenie, zapomniała o sztaludze i czym prędzej wróciła do sypialni.

Następnego ranka Gerard z rozpaczą stwierdził, że ma towarzyszyć pannie Snow podczas przyjęcia u lady Cavendish. Czekając w holu na Lucy, obserwował kropelki deszczu spływające po ogromnych oknach. Miał ochotę na cygaro. Lokaj rozpałił ogień w kominkach w zielonym salonie i bibliotece. Niestety, w holu panował chłód, zapowiadający rychłe nadejście zimy.

Gerard czuł to w kościach. Dni coraz krótsze, noce zbyt długie. Świat wczesnie pogrąża się w mroku. Pomyślał, że wolałby spędzić zimę z dala od Anglii. Kiedy nadejdą prawdziwe chłody, będzie daleko, w jakimś ciepłym, bezpiecznym miejscu, gdzie deszcz, zamiast odzierać drzewa z liści, pobudza je do życia.

Z rozmarzenia wyrwał go odgłos kroków. Po schodach schodziła Lucy. Gdyby się tak nie wtrącała w jego sprawy, może byłby już w drodze. Dziwne, ale na jej widok zrobiło mu się trochę cieplej.

Zamiast tradycyjnego już białego muślinu, włożyła kremowy jedwab. Sukienka była tak cienka, że pod spodem widać było pasteloworóżowe pończochy. Smukłą kibić podkreślała szeroka, złota szarfa, którą Lucy opasała się pod biustem. Włosy upięła w grecki kok. Romantyczny nieład jej fryzury miał sugerować, że jest dziełem dłoni kochanka. Gerard zaklął w duszy, uprzytomniwszy sobie, jak bardzo pragnął, by była to jego dłoń.

Klasyczna moda znakomicie pasowała do jej figury. Płynęła po schodach niczym antyczna Persefona. W koronkowych rękawiczkach wyglądała świeżo jak wiosenny poranek.

Gerard poczuł nagły znajomy impuls. Kiedy się przy nim zatrzymała, pochylił się i pocałował jej dłoń. Jego usta przez chwilę syciły się gładkością pachnącej skóry.

Ich oczy się spotkały. Gdy patrzyła na niego zaskoczona, wyzywająco zmrużył oczy. Gdyby poznali się w innym miejscu, w innym czasie, gdyby on był innym mężczyzną... rozmarzył się.

Lucy uprzytomniła sobie śmieszność sytuacji. Ona - wystrojona w najbardziej wytworną kreację, obwieszona perłami, on - w prostym fraku i kapeluszu, który wyszedł z mody dwa sezony temu. Puścił jej dłoń.

Smythe pojawił się zupełnie bezszelestnie. Przyniósł kaszmirowy szal, który narzucił na nagie ramiona Lucy. Gerard skrzywił się. Delikatny jak mgła szal nie ochroni jej przed chłodem.

- A ojciec? - zapytała.

- Obawiam się, że pogoda nie służy admirałowi, panno Lucy. Rozboliła go noga - wyjaśnił Smythe. - Nie wybierze się dziś na przyjęcie. Prosi, by przekazała pani wyrazy ubolewania i przeprosiła lady Cavendish.

Wsiedli do powozu. Gerard podejrzewał, że niedyspozycję admirała wywołał raczej kapitan Doom, który ostatnimi czasy pojawiał się przy brzegu jego ukochanej Kornwalii. „Times” i „Observer” od kilku dni rozpisywały się na temat poczynań pirata.

W milczeniu jechali zatłoczonymi ulicami miasta. Nieznośną ciszę macił jedynie szum deszczu. Lucy nie miała ochoty na swą zwykłą tyranię, ale też nie udało jej się wskrzesić tej odrobiny zażyłości, jaką nawiązali wczoraj, podczas rozmowy w bibliotece. Obojętnie przyglądała się kroplom deszczu spływającym po szybie. Jej twarz, na tle rozświetlonej latarniami mgły, zastygła w bezruchu.

Pewnie martwi się o cenne zdrowie ojca, pomyślał z przekąsem Gerard. Albo marzy o kapitanie Doomie.

Jego irytacja rosła z każdą minutą. Jeśli admirał chciał, by jego rozpieszczona córka pokazywała się na mieście w towarzystwie mężczyzny, mógł jej kupić jakiegoś cholernego kochanka. Albo męża. Biblioteka Jonii czeka, a on będzie spędzał wieczór, przyciskając nos do okna w pomieszczeniu dla służby. Co za niesprawiedliwość losu.

Powóz zatrzymał się, a w drzwiach pojawił się lokaj w płaszczu z ceraty.

- Na drodze był wypadek. Przewrócił się powóz.

Gerard już otwierał usta, żeby wydać odpowiednie polecenia, ale uprzedziła go Lucy.

- Niech Fenster nawróci i jedzie inną drogą, tak jak pozostałe powozy.

Gerard opadł z powrotem na fotel. Postara się nie zapominać, gdzie jego miejsce. W końcu jest tylko służącym.

Po dłuższej chwili staruszek woźnica zdołał wydostać ich z zakorkowanej ulicy. Wkrótce podążali w ślad za powozem, którego drzwi zdobił herb przedstawiający orła z rozpostartymi skrzydłami.

Opuścili główną arterię miasta i wjechali w wąską boczną uliczkę. Obcą Lucy, ale nie Gerardowi. On znał tu każdy kamień, każdą dziurę. Duszący odór rzeki przywiódł gorzkie wspomnienia z dzieciństwa. Nic nie pozostało z chłopca, który się tu urodził i wychował. Zmienił nawet imię.

Jakiś szlachcic, obdarzony dość perwersyjnym poczuciem humoru, nazwał dzielnicę Ogród. Najwyraźniej jego arystokratyczny nos nie czuł odrażającego fetoru gnijących ryb, zwietrzałego ginu i płynących ulicami ścieków. Rzeka była żyłą, w której tętniła bieda, a jednocześnie nigdy nie wystarczało wody, by się umyć czy napić. Nie ma się co dziwić, że cytrynowy zapach skóry Lucy urzekł Gerarda swym erotyzmem.

Na ulicy tłoczyli się brudni, obszarpani ludzie. Ignorowali deszcz, bo i tak nie mieli się gdzie przed nim schować. Na widok lśniących złotem powozów, żebracy, dziwki, uliczni kupcy, wszyscy rzucili się w jego kierunku, licząc, że może tym razem jakiś cud odmieni ich los. Ich ochryple głosy były równie przerażające, jak wychudzone twarze.

- Panie, rzuć kalece dziesiątaka!
- Kocie mięso! Świeże kocie mięso!
- Szefie, chodź pan ze mną na jednego. Nie pożałujesz. Jestem Anioł, zabiorę cię do nieba!

Gerard obserwował twarz Lucy. Chciał zobaczyć w niej niesmak. Sam nie rozumiał, dlaczego jej reakcja na to miejsce jest dla niego taka ważna. Patrzyła przed siebie, była niewzruszona jak grecki posąg, a jej wzrok zimny jak marmur. Ta kobieta ma serce z kamienia, pomyślał rozgoryczony Gerard. Żal i rozczarowanie ścisnęły mu żołądek. Spojrzał za okno, wiedząc, że nie zobaczy tam niczego straszniejszego od jej obojętności.

Powóz, za którym jechali, znacznie ich wyprzedził, próbując uciec oblegającym go biedakom. Ogromny pojazd pędził coraz szybciej, woźnica bez litości smagał piękne siwki.

Lucy gwałtownie odwróciła się w stronę okna. Podskoczyła w miejscu, a z jej ust wyrwało się pełne przerażenia westchnienie. Gerard wyrzwał na ulicę i zobaczył, jak do pędzącego powozu podbiega mała dziewczynka. Wyciągnęła przed siebie brudną rączkę, próbując dotknąć bajkowego pojazdu. Ułamek sekundy później leżała bez ruchu na drodze, a powóz z hałasem zniknął za zakrętem.

Gerard krzyknął do Fenstera, by ten zatrzymał konie. Zanim powóz stanął, Lucy otworzyła drzwi i nie przejmując się deszczem, wyskoczyła na ulicę.

10

Lucy klęczała na ulicy, trzymając nieprzytomne dziecko na kolanach.

Podniosła głowę i spojrzała na Gerarda. Na jej bladych policzkach łązy mieszały się z kroplami deszczu.

- Czy ci ludzie są ślepi? - W jej głosie rozbrzmiewał ból i gniew. - Jak mogli jej nie zauważyć? Nawet się nie zatrzymali! Na miłość boską, nawet nie zwolnili!

- Pewnie nie chcieli ryzykować, że ktoś zajmie ich miejsca przy stole - odparł ponuro Gerard. Ukłękł przy dziewczynce, by sprawdzić puls.

Kręciła się niespokojnie, kiedy sprawdzał, czy nie jest połamana. Po chwili otworzyła wielkie, głodne oczy.

- Umarłam, panienko? Jesteś aniołem? - zapytała, patrząc z podziwem na Lucy.

Lucy roześmiała się. Ten szczerzy wybuch radości trafił Gerarda prosto w serce. Uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie słyszał jej śmiechu.

- Nie, kochanie, nie jestem aniołem. Mój ochroniarz chętnie by cię o tym przekonał.

Gerard odgarnął strączki mokrych włosów z twarzy dziewczynki.

- Jest w szoku. Na szczęście ma tylko kilka siniaków i zadrapań. To wszystko.

Do klęczących podbiegła kobieta. Sztuczna biżuteria, rozpięty gorset, półnagie piersi i bosa stopy oznaczały, że najprawdopodobniej trudni się prostytutką. Widać było, że w panice wybiegła wprost z ramion kochanka; wprawdzie nie zdążyła się pozapinać, ale znalazła czas, by założyć dziurawy kapelusz. Gerard nie dziwił się. Zbyt dobrze znał ludzi takich jak ona, często żalonych w swej brawurze, których jedynym majątkiem była duma.

Kobieta wyrwała dziecko z rąk Lucy.

- Zabieraj od niej cholerne łapy!

Dziewczynka przyłgnęła do szyi matki, jak małpka, ale ciągle nie odrywała od Lucy pełnego uwielbienia wzroku.

Lucy wstała, nie wypuszczając z ręki przybrudzonej torebki.

- Proszę pani, zdaje się, że córeczka nie ma żadnych złamań. Wyjdzie z tego.

- Na pewno nie dzięki takim jak pani - warknęła kobieta.

Gerard nieświadomie wstrzymał oddech. Czekał, aż Lucy wygłosi kazanie, jakim to brakiem odpowiedzialności jest pozwalanie dziecku na zabawę na ulicy. Tymczasem ona milczała i ze stoickim spokojem słuchała tyrady ośmielonej kobiety.

Nie mógł spokojnie słuchać, jak Lucy przyjmuje upomnienia, na które nie zasłużyła. Kiedy kobieta przerwała, by nabrać w płuca powietrza, odważył się wtrącić.

- Proszę wybaczyć, szanowna pani, ale to nie powóz panny Snow potrącił dziewczynkę. Panna Snow była tak uprzejma, by zatrzymać się i sprawdzić, czy dziewczynce nic się nie stało.

Kobieta zrobił krok w tył. Pióra przy kapeluszu nasiąkły wodą i opadły jej na twarz.

- A co za różnica, kto ją przejechał. Wszyscyście tacy sami. Cholerne samolubne łotry! Wszyscy!

Lucy zaczęła się szarpać z torebką. Zanim Gerard zdołał ją powstrzymać, wyjęła plik banknotów jednofuntowych i podała kobiecie.

- Proszę, niech pani weźmie. To za pani kłopot. Niech pani idzie z dzieckiem do lekarza i kupi coś ciepłego do jedzenia - powiedziała. Gerard uświadomił sobie, że kobieta dostała więcej, niż on zarabia przez cały miesiąc.

Kobieta spojrzała na elegancką dłoń w koronkowej rękawiczce, ofiarowującą jej niemalą fortunę, wzięła pieniądze i rzuciła Lucy w twarz. Lucy zbladła, ale nic nie powiedziała. Chrząknęła zdenerwowana, zasłaniając twarz rękawem.

- Wypchaj się swoją dobroczynnością. Ja zarabiam uczciwą pracą i jestem z tego dumna. - Spojrzała na Gerarda, wciąż tuląc dziecko do obfitego biustu. - Jeśli ma pan ochotę, niech pan odwiezie księżnę do domu i wpadnie tu do nas. Dobry Bóg obdarzył mnie talentem. Chętnie zarobię jaki grosz.

Gerard zacisnął usta, zdjął kapelusz i uklonił się kobiecie.

- Niech pani zabierze dziecko do domu.

Żadna z nieudolnych prób wynagrodzenia kobiecie strachu nie wprawiła jej w taką wściekłość jak grzeczna uwaga Gerarda. Zerwała z głowy kapelusz i klnąc szpetnie pod nosem, odeszła w swoją stronę. Wtulona w jej ramię dziewczynka cały czas na nich patrzyła. Jej smutne oczy długo jeszcze prześladowały Gerarda. Zbyt dobrze wiedział, że za kilka lat ta mała także będzie musiała sprzedawać swe chude ciało za kilka pensów.

Chcąc oderwać się od ponurych myśli, spojrzał na Lucy.

Stała sztywno, odprowadzając dziewczynkę wzrokiem. Mokre od deszczu włosy przykleiły się jej do głowy, piękna suknia ociekała wodą i błotem. Przemoczony jedwab

przyłgnał do smukłego ciała. Wyglądała jak Wenus, która właśnie wyszła z morskiej piany. Gdzieś w błocie tkwił jej pantofelek, zgubiła także kaszmirowy szal. W lewej pończosze zrobiła jej się dziura, przez którą wyglądały bosa palce stopy.

Gerard zrozumiał, jak bardzo się pomylił. Nie była tą kobietą, za którą ją uważał. Od tamtej mógłby odejść bez mrugnięcia okiem. Ta Lucy była inna. Jej usta drżały, a oczy błyszczały od łez. Wiedział już, że tej kobiecie się nie oprze.

Zdjął płaszcz i otulił jej zziębnięte ramiona.

- Lucy, powóz czeka.

Stąpając po rozrzuconych banknotach, Gerard odprowadził ją do pojazdu. Wiedział, że szczodrość Lucy nie pójdzie na marne. Cienie, ukryte w mroku uliczki, tylko czekały na ich odjazd.

- Jeszcze nigdy nie było mi tak wstyd - wyznała, gdy już siedzieli w skórzanych fotelach w powozie.

- To nie ty ją potrąciłaś.

Bawiła się rękawiczką. Gerard musiał nadstawić uszu, by usłyszeć jej odpowiedź.

- Nie o tym mówię. Chodzi mi o tych ludzi. Wcześniej. - Podniosła głowę i spojrzała na niego szarymi oczyma. – Dlaczego ja mam wszystko, a oni nie mają niczego?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, choć przez większą część życia się nad tym zastawiał.

- Czy pozwalając tej kobiecie, by na ciebie krzyczała, i dając jej pieniądze, uspokoiłaś sumienie?

- Było mi jej żal.

- Widziałeś, ile dla niej znaczy twój żal.

Lucy otworzyła szeroko oczy. Dopiero teraz zrozumiała to, co się stało.

- Ona nie chciała mojej dobroci, prawda? Jej potrzebny był powód, by mogła się wyłóścić. Ona chciała czuć gniew. Bo jest dumna. Skąd o tym wiedziałeś?

- To proste. Moja matka była dziwką.

Opadł na skórzane oparcie, bezczelnie się jej przyglądając. Chciał zobaczyć na jej twarzy niesmak, wywołany jego szczerością. Czekał na zamaskowany wstręt i współczucie, które zabijają rodzący się dla niej szacunek.

Najmniej spodziewał się uśmiechu.

- Moja też. Ale nie brała za to pieniędzy.

Gerard nie zdążył zareagować na jej odpowiedź, bo w drzwiach powozu pojawił się zniecierpliwiony lokaj.

- Proszę panienki, czy mam jechać dalej?

Rozbawiona Lucy wykręciła przemoczony dół sukni i otrzepała błoto. Jej śmiech brzmiał jak atak czkawki.

- Lady Cavendish dostałaby spazmów, gdybym pojawiła się u niej w takim stanie. Nie pozostaje nam nic innego, jak wrócić do domu.

Widząc jej próby rozładowania napięcia, Gerard zatrzymał lokaja.

- Zaczekaj chwilę, zaraz wracam.

Zanim Lucy przypomniała sobie, że ma na plecach jego płaszcz, ochroniarz zniknął w strugach deszczu. Poprawiając się i szczerzej otulając, poczuła ciepło i męski zapach wawrzynowego mydła, jakim przesiąknięte było jego ubranie.

Jan Claremont wrócił dwadzieścia minut później z dwiema niewielkimi paczkami. Usiadł, rozwiązał krawat i niedbałym gestem zdjął z głowy kapelusz. Mokra od deszczu koszula przykleiła mu się do ramion.

Chrząknął. Dopiero wtedy Lucy oderwała od niego wzrok. Zawstydzona się, bo przyłapał ją na tym, że mu się przygląda. Uśmiechnął się z dawną ironią.

Próbując ukryć zakłopotanie, Lucy spojrzała w okno.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Jak to, dokąd? Na kolację. Przecież jestem pani ochroniarzem, prawda? Moim obowiązkiem jest dbanie, by niczego pani nie brakowało.

Lucy poruszyła nozdrzami. W powozie unosił się smakowity zapach. Mruknęła z zadowoleniem.

- Cóż pan wymyślił tym razem, panie Claremont?

- Wprawdzie lady Cavendish została dziś pozbawiona naszego czarującego towarzystwa, ale nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy sami zjedli kolację.

Położył na kolanach jeden z pakunków. Lucy ciekła ślinka, gdy po kolei prezentował zawartość pachnącej paczki. Pieczone jabłka, sznur apetycznych kielbasek, ciasto z kruszonką i cynamonem, słodkie drożdżowe paluszki z konfiturami, dzban piwa i bochen gorącego chleba, na widok którego żołądek Lucy skurczył się, głośno burcząc.

- Och, co za wspaniałości! - szepnęła.

- Nabrzeże nie jest takie straszne. Król żebraków ciągle jeszcze może urządzić

tu ucztę. - Wyjął z wewnętrznej kieszonki fraka bukietek lawendy. - I znaleźć kwiaty dla swej damy.

Uśmiech zniknął z jego ust. Pochylił się nad nią i delikatnie wpiął jej we włosy gałązkę lawendy. Jego ciepły dotyk wywołał jej drzenie. Znow to robił. Zabierał jej powietrze, myślała z przerażeniem. Powóz kurczył się, tak że ich kolana musiały się stykać. Ich oddechy się mieszały. W jej oczach dostrzegł zaproszenie.

- Nic powinnam... - szepnęła.
- Nonsens.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Ochroniarz szperał w jej torebce.

- O! Wiedziałem, że znajdę tu gdzieś zegarek. Pewnie jest i barometr, i sekstant, żeby zmierzyć dokładne położenie powozu. - Machnął srebrnym zegarkiem przed jej nosem. - Tak jak myślałem. Punkt dziesiąta. - Zegarek zniknął na powrót w torebce. - Co według rozkładu dnia powinna pani robić o tej porze, panno Snow?

Nie mogła się oprzeć jego dowcipowi. Próbowwała powstrzymać uśmiech, ale nie zdołała.

- Jeść kolację?

Powóz zwolnił i zatrzymał się. Lucy wyjrzała przez okno. Stali wśród połyskujących kroplami deszczu drzew. Gdyby była kobietą obdarzoną wybujałą wyobraźnią, mogłaby pomyśleć, że otaczająca ich mgła ma w sobie coś bajkowego.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała szeptem, by nie zepsuć nastroju tajemniczości.
- Las Barkley. Zna pani to miejsce?
- Oczywiście. Tak jak i każdy londyński opryszek. Do czego pan zmierza? Chce pan sprowokować złodziei?

Claremont założył ręce na piersi i spojrzał na nią z wyrzutem. Pod mokrą koszulą zarysowały się jego doskonale umięśnione ramiona.

- No cóż, panno Snow. Pani wiara w moje umiejętności jest doprawdy wzruszająca.

Spuściła oczy, poruszona widokiem jego muskulatury.

- A służba?
- Pewnie schronili się pod płaszczem Fenstera i popijają piwo.

Lucy podejrzewała, że celowo nie rozumiał jej pytania. Chodziło jej o to, co pomyśli woźnica i lokaj? Czy nie będą zszokowani jej zachowaniem? Ku własnemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu nie interesuje ją ich opinia. Umierała z głodu, a jedzenie pana Claremonta pachniało tak apetycznie!

Zerknęła na kielbaski.

- Mam nadzieję, że to nie kocie mięso.
- Oczywiście, że nie - uspokoił ją. Odłamał kawałek i poczęstował Lucy.

Łapczywie wbiła zęby w soczystą kiełbasę. -To ulubiony spaniel córki admirała Snowa.

Lucy zakrztusiła się. Claremont podał jej chusteczkę i klepnął w plecy.

- Żartowałem. Czyżby przypomniał się pani ukochany piesek z dzieciństwa?
- Och nie, ojciec nie lubi zwierząt - odparła, wycierając załzawione oczy.
- Nawet na kolację?

Lucy znów się zakrztusiła. Tym razem ze śmiechu. Claremont podsunął jej dzban piwa.

Podziękowała nieokreślonym machnięciem ręki, ciągle próbując złapać oddech.

- Nie pijam alkoholu, sir. To osłabia charakter i morale. Uśmiechnął się i podniósł do ust dzban.

- Naturalnie.

Kiedy pił, Lucy ukradkiem patrzyła na jego opaloną szyję. Oblizwała suche usta.

- No, może jeden mały łyczek...

Podał jej dzban. Zanim upiła łyk, dokładnie wytarła brzeg naczynia. Zbyt późno uświadomiła sobie swój nietakt. Zawstydzona, podniosła głowę, Claremont przyglądał jej się z rozbawieniem.

- Nie martw się, kochanie. Niczym się nie zarazisz, pijąc z tego samego dzbana.

Zaczerwieniła się. Skosztowawszy piwa, skrzywiła się i szybko oddała mu dzban. Czowała, że gorycz napoju rozgrzewa ją od środka. Claremont pochylił się nad dzbanem i zlizął ściekającą kropelkę.

Poruszona intymnością tego gestu, Lucy mimowolnie sięgnęła po kawałek ciasta z kruszonką.

Złapał ją za rękę.

- O nie, nie pozwalam. Jako pani ochroniarz, muszę skosztować pierwszy. Nigdy nie wiadomo, może to ciasto jest zatrute - dodał, dramatycznie zniżając głos.

Ugryzł ciasto, po czym oddał je Lucy. Sięgnęła, by je od niego wziąć, ale w ostatniej chwili cofnęła rękę. Apetyczny placek był o kilka centymetrów do jej ust. Lucy podniosła oczy i spojrzała na Claremonta. Nikt nigdy nie odważył się tak jej prowokować. Jeśli nie przestanie, zamiast ciasta ugryzie jego dłoń.

Wiedziona kobiecym instynktem, postanowiła rozegrać to inaczej. Zrezygnowała z kawałka, który jej oferował, i ugryzła dokładnie w tym miejscu, w którym pozostał ślad po jego ustach. Wbiła zęby w chrupiącą kruszonkę. Zamknęła oczy i westchnęła z

zadowoleniem, gdy zakazane słodkości topniały w jej ustach.

Otworzyła oczy, gdy poczuła na wargach delikatny dotyk jego palca. Wytarł z nich cynamonowy puszek.

- Panie Claremont - powiedziała cicho. - Zaparowały panu okulary.

- To przez tę wilgoć - odparł szorstko, cofając dłoń.

Nie zastanawiając się zbyt długo, Lucy zdjęła mu z nosa okulary, by wyczyścić je rąbkiem sukienki, ale kiedy ujrzała jego oczy, zapomniała o wszystkich planach, tych dawnych, aktualnych i przyszłych.

Jak mogła uważać go za łagodnego człowieka? Jak mogła myśleć, że jest nieszkodliwy? Niewinny? Zawsze wierzyła w swój rozsądek, lecz tym razem zaskoczyła ją głębia własnej naiwności. Ten szelmowski błysk w jego orzechowych oczach, te uwodzicielsko długie rzęsy! Nigdy nie widziała u mężczyzny tak pięknych rzęs. Miała ochotę ich dotknąć, sprawdzić czubkiem palca, czy nie są posypane cynamonem, jak ciasto z kruszonką.

Powstrzymała ją nieufność w jego spojrzeniu, chyba najbardziej niebezpieczna.

Odniosła wrażenie, że bez okularów widzi jeszcze wyraźniej. Lucy przywykła do tego, że ją ignorowano, traktowano jak powietrze. Okazywanie jej zainteresowania było dla niej czymś zupełnie nowym. Wpatrywał się w nią badawczo, a jej się zdawało, że czyta w jej samotnej duszy.

Jej zmysły nagle się obudziły. Uświadomiła sobie, że ich mokre ubrania przylegają do ciał tak ściśle, jak gdyby były przezroczyste. Zapach jego wilgotnej skóry zdominował wszystkie inne aromaty. Byli sami, deszcz odciął ich od całego świata, ich usta dzieliło kilkanaście centymetrów. Admirant miał rację, istotnie odziedziczyła po matce słabość moralną, myślała z desperacją. Jej sytuacja była jeszcze gorsza niż samo zniesławienie. Jeśli ten mężczyzna zechce wykorzystać jej brak rozwagi, nie będzie miała siły, by mu się oprzeć.

- Lucy?

Głośno przełknęła ślinę, gotowa oddać mu wszystko, czego zażąda. Nawet duszę.

- Tak, panie Claremont?

- Czy możesz oddać moje okulary? Bez nich jestem ślepy jak nietoperz.

Lucy mrugnęła, nie dowierzając własnym zmysłom.

W ułamku sekundy, między jednym oddechem a drugim, znikło badawcze spojrzenie Claremonta. Wziął z jej ręki okulary i włożył na nos.

Nie zdążyła zastanowić się nad jego przemianą, bo oto jej ochroniarz sięgnął po paluszkę z konfiturami, włożył go w zęby i zaczął bezbłędnie naśladować admiranta, palącego

z namaszczeniem fajkę. Lucy powinna była upomnieć go za brak szacunku, ale nie zdołała wydusić z siebie ani słowa, bo zanosła się od śmiechu.

Choć na zewnątrz panował chód, z czasem w powozie robiło się coraz cieplej i przytulniej. Krople deszczu dzwoniły o dach, wygrywając nastrojową melodię. Zjedli pieczone jabłka, chleb i po kolei kosztowali wszystkich słodkości, kiedy otworzyły się drzwi pojazdu.

Wystraszona Lucy zachłysnęła się powietrzem. Na szczęście był to Fenster. Woźnica ledwo stał na nogach, kołysząc się niczym młoda brzoźka na wietrze.

- Dokąd, panie?! - ryknął, nie zwracając na Lucy najmniejszej uwagi. - Skończyło się nam piwo. Może skoczyć „Pod Niedźwiedzia”?

Claremont uśmiechnął się do Lucy.

- Zdaje się, że wystarczająco osłabiliśmy morale i charakter Fenstera. Zastąpię go.

Kiedy wysiadał, Lucy chwyciła go za rękaw.

- Dziękuję, panie Claremont.

- Za co?

Za uprzejmość. Za śmiech. Za zabawę.

- Za kolację - odparła. Położył rękę na jej dłoni.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Myszko.

JLsaun Gerard się zorientował, Fenster zgrabnie wdrapał się na ławeczkę, ale zaraz zsunął się z drugiej strony, prosto w błoto. Dziwnie zadowolony z siebie, leżał teraz na ziemi, niczym się nie przejmując. Lokaj też nie był w lepszym stanie. Chwiejąc się i śpiewając coś pod nosem, wspiął się na swoje miejsce z tyłu powozu.

Gerard musiał poprosić Lucy o pomoc. Śmiejąc się, wsadzili Fenstera na ławeczkę i przypięli go pasem. Przemokli przy tym do suchej nitki.

Zmarznięta Lucy schroniła się w powozie, Gerard usiadł z przodu, wziął lejce i pojechali opustoszałymi ulicami. Zatrzymali się tylko raz, kiedy pieśń lokaja stała się zbyt nieprzyzwoita dla uszu Lucy. Panna Snow szybko podchwyciła melodię, na szczęście nie słyszała słów.

Pokrzykiwania pana Claremonta dodawały jej otuchy. Przyzwyczała się już do jego ciągłej obecności. Choć nie chciała się do tego przed sobą przyznać, jego szerokie ramiona

dawały jej poczucie bezpieczeństwa.

Gdyby знаła ten stan, mogłaby nazwać go szczęściem. W brzuchu czuła przyjemną sytość, stopy wystukiwały o podłogę rytm wesołej piosenki lokaja, a ona nie mogła się już doczekać następnego dnia. Pierwszy raz w życiu ogarnęła ją taka euforia.

Powóz wjechał na podjazd i zatrzymał się. Odgłosy dobiegające z zewnątrz nagle umilkły. Przed domem zapanowała niepokojąca cisza. Lucy zamarła w bezruchu, przestała nawet poruszać palcami w butach. Odsunęła firankę i wyjrzała przez okienko. W całym domu paliły się światła.

11

Gerard chciał krzyknąć z żalu, kiedy zobaczył pobladłą twarz Lucy. Zamiast ciepłej, czarującej towarzyszkii kolacji, z powozu wysiadła kobieta zimna jak lód. Jej skóra była bielsza niż śnieg i tak przezroczysta, że na skroniach widać było sieć cieniutkich żyłek. Zignorowała wyciągniętą dłoń, jak gdyby jego dotyk miał ją poparzyć.

Wystraszeni niezwykłą jak na tę porę dnia iluminacją, lokaj i woźnica natychmiast wytrzeźwieli. Podtrzymując się wzajemnie, ruszyli w kierunku wejścia dla służby. Gerard wiedział, że najlepiej byłoby rzucić pod nosem jakąś wymówkę i czym prędzej ukryć się w domku przy furcie, ale w tej sytuacji nie potrafił zostawić Lucy samej. Odprowadził ją pod drzwi, podtrzymując lekko za ramię, na wypadek gdyby nagle poczuła się słabo.

Smythe i admirał już na nich czekali. Kamerdyner stał pod oknem. Jego koszula i szlafmyca były tak sztywne, że Gerard zastanawiał się, czy przypadkiem Smythe nie sypia na stojąco, jak koń. Admirał, w swojej purpurowej koszuli i w koronie srebrzystych włosów, wyglądał dostojnie jak król. Przemierzał salon w tę i z powrotem, stukając nerwowo laską o posadzkę.

Gerard czuł, że jego pozycja w tym domu jest zagrożona, jednak ani przez chwilę nie żałował tego, co zrobił. Cudowny uśmiech Lucy wart był więcej, niż dożywotnia posada.

Stała przed ojcem z pochyloną głową, niczym młoda królowa przed gilotyną. Na ramionach nadal miała płaszcz Gerarda.

- Lucindo. kochanie! - ryknął admirał, a każda sylaba nasączona była nienawiścią.
- Cieszę się, że w końcu do nas dołączyłaś. Nie wyobrażasz sobie, jak się niepokoiłem, kiedy późnym wieczorem dotarłem na przyjęcie u lady Cavendish i cię tam nie zastałem. Umierałem ze strachu.

Lucy wzięła głęboki oddech i już miała odpowiedzieć, ale uprzedził ją Gerard.

- Sir, na drodze był wypadek. A właściwie dwa...

- Proszę milczeć, panie Claremont! - Głos Lucy był twardy jak stal. - Mój ojciec nie płaci panu za to, by dzielił się pan swoimi opiniami.

Gerard był przygotowany na to, że admirał go skarci, ale uwaga Lucy wytrąciła go z równowagi. Spojrzał na nią, mrużąc oczy, ale nie zareagował. Kogo ona chce bronić, zastanawiał się. Jego czy samą siebie?

- Pan jest tu tylko służącym, sir- zaczął admirał, dając Gerardowi do zrozumienia, że jego status niewiele różni się od lokaja. - Nie spodziewam się, by miał pan choć odrobinę przyzwoitości, ale moja córka... - ciągnął, krążąc wokół Lucy niczym wygłodniały lew wokół jagnięcia.

Gerard schował do kieszeni zaciśnięte w pięści ręce. Jeśli Snow choćby tknie Lucy, Gerard nie będzie musiał szukać od jutra nowej pracy. Jeszcze dziś trafi za kratki, oskarżony o zabójstwo.

Lucien Snow był jednak zbyt kulturalny, by sięgnąć do przemocy fizycznej. Po co nadwierać sobie rękę, narażać się na sińce, kiedy można zastosować inne środki, równie skuteczne jak bicz? Lucy spuściła głowę. Ojciec mierzył ją zimnym wzrokiem, od ubłoconych bucików, przez przemoczoną i brudną suknię, po mokre, rozplecione włosy.

Kiedy jego milczenie zaczęło nieznośnie ciążyć, Lucy westchnęła i odezwała się drżącym głosem.

- Ojczy, proszę, ja...

- Powściągnij swój język, dziewczyno. Na nic się zdadzą twoje mętne wykręty i dramatyczne opowieści. Bóg mi świadkiem, słyszałem je wszystkie od twojej matki. Nieraz przez całą noc czekałem na jej powrót do domu. Pojawiała się o świcie... - Podeszedł do niej i pociągnął nosem. Uśmiechnął się złośliwie, bo znalazł to, czego szukał. - Zalatywała alkoholem. - Poglądził Lucy po głowie. Gerard dostrzegł w tym geście taką nienawiść, że z trudem powstrzymał się przed odejściem. - Włosy miała w nieładzie... suknię pomięta... usta nabrzmiałe od pocałunków kochanka.

Lucy zaczerwieniła się. Gerard widział, że przypomniała sobie, jak jego palce niewinnie dotykały jej ust. Smythe patrzył na niego z tajemniczą miną. Zachowanie maski obojętności przychodziło Gerardowi z coraz większym trudem. Emocje zaczynały brać górę nad rozsądkiem.

- Sam się dziwię, że ciągle jeszcze pozwalam się zwodzić słabej płci - ciągnął admirał. - Kobiety zawsze były nieodpowiedzialne i rozwiązłe. Nic się nie zmieniło od czasów, kiedy Ewa wzięła od węża jabłko, przyczyniając się do upadku rodzaju ludzkiego. Lucindo, czy masz coś na swoją obronę?

Nie rób tego, błagał w duszy Gerard. Niech to szlag, Lucy, nie rób tego.

Podniosła głowę i spojrzała ojcu w oczy. Jej twarz była blada jak papier.

- Wybacz, ojcze.

Smythe kiwnął smutno. Teraz wyglądał na swój wiek.

- Dobrze - powiedział admirał. Pokora i uległość córki zmiękczyły jego twarde serce. - Zrobię wszystko, by ci wybaczyć.

Podpierając się laską, udał się na górę do swojego gabinetu. Lucy odprowadziła go wzrokiem. W mokrej, zniszczonej sukience wyglądała jak mała dziewczynka, która włożyła ubranie matki.

Gerard podszedł, by ją objąć.

- On nie ma prawa - syknął, nie przejmując się tym, że słyszy go Smythe.

Uniosła dumnie czoło.

- Owszem, ma prawo. On jest doskonały, a ja jestem jego jedynym życiowym błędem - powiedziała cicho. Gorycz w jej głosie sprawiła, że Gerarda ogarnęła złość.

Lucy strząsnęła jego rękę, wyprostowała się i ruszyła po schodach śladem ojca. Widać było, jak ściągnęła pod płaszczem łopatki. Odwracając się do wyjścia, Gerard poczuł, że nadepnął na coś miękkiego.

Na podłodze leżał bukietik lawendy. Pochylił się, by podnieść kwiaty. Bukiet był tak pognieciony, że ledwo można było rozpoznać kolor, ale nadal lekko pachniał. Przypomnił sobie uśmiech Lucy, kiedy wpinał jej go we włosy.

Uczta dla króla żebraków... i kwiaty dla jego damy.

Smythe, obchodząc hol, wygasił wszystkie lampy i zniknął w zielonym salonie. Gerard ścisnął w garści resztki bukietu. Tym razem błogosławił ciemność. Doskonale korespondowała z jego nastrojem.

Przez chwilę stał wściekły, zastanawiając się, co robić. Ogarnęło go dziwne wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Kiedy wzrok przyzwyczał się do mroku, zauważył popiersie admirała, sir Luciena Snowa, łagodnie uśmiechającego się z dębowego piedestału.

Uderzył z pięści. Popiersie z hukiem spadło na parkiet i roztrzaskało się na drobne kawałki. Ktoś za plecami Gerarda chrząknął znacząco.

To Smythe, pomyślał Gerard, próbując uspokoić emocje. Na pewno to Smythe, lojalny, wszechwiedzący, wszystko widzący kamerdyner admirała.

Odwrócił się.

- Och, jak mi przykro. Bardzo przepraszam, ale nie zauważyłem posągu w ciemności. - Jego dumna postawa przeczyła słowom.

- Rozumiem, sir - odparł łagodnie Smythe. W jego głosie nie było nagany. - Każdemu mogło się to przydarzyć. Zaraz przyniosę miotłę.

- Gerard, marszcząc czoło, patrzył na znikającego w cieniu kamerdynera i zastanawiał się, czy tajemniczy sługa admirała jest jego wrogiem, czy przyjacielem.

jego wielkiemu zdziwieniu, Smythe nie zapukał rano do drzwi. Po ciężkiej nocy, spędzonej na ponurych rozmyślaniach i obserwowaniu ognia w kominku, Gerard spał do dziesiątej. Kiedy wstał, pod drzwiami znalazł cienką kopertę. Przekonany, że to nakaz opuszczenia domu, otwierał ją z ulgą, ale i niepokojem.

Zamiast zwolnienia, w środku znalazł liścik od Smythe'a. Kamerdyner informował, że panna Snow przez kilka dni pozostanie w domu, w związku z tym nie będzie potrzebowała opieki ochroniarza. Korzystając z tej sytuacji, admirał prosi go o pomoc przy redagowaniu wspomnień. Pod spodem był własnoręczny dopisek pracodawcy, zawiadamiający, iż koszty zniszczonego popiersia będą potrącane w ratach z następnych pensji.

Gerard uśmiechnął się, szybko jednak wrócił wzrokiem do zdania „Panna Snow przez kilka dni pozostanie w domu...”

Czyżby córka admirała była więziona we własnym domu, niczym średniowieczna królewna, zastanawiał się Gerard, niszcząc list. A jeśli nawet, to co go to obchodzi. Lucinda Snow nie powinna go interesować. Skoro postanowiła spędzić resztę życia, bez sprzeciwu poddając się tyranii ojca, on nie będzie się wtrącał. Jednak obraz tej drugiej Lucy nie dawał mu spokoju. Nie mógł zapomnieć o roześmianej dziewczynie, która chowała do kieszeni ciasteczka, niczym niegrzeczne dziecko.

Kolejne dni nużyły monotonią. Zaczął tęsknić do chwili, gdy wyrwie się z Jonii i uwolni od młodej gospodyni. Nigdy nie lubił samotności, choć już dawno temu nauczył się tolerować ponure chwile we własnym tylko towarzystwie. Teraz jednak pustka doskwierała mu wyjątkowo boleśnie. Kiedy ostatnie liście uległy nieuchronnie nadchodzącej zimie, Gerard zaczął tracić cierpliwość. Z dnia na dzień coraz trudniej przychodziło mu znoszenie tyranii admirała. Nagroda za posłuszeństwo, jaką była możliwość przeglądania jego korespondencji, przestawała mu wystarczać. Niechęć i irytacja zaczynały mu doskwierać, jak pętla na szyi.

Ostatnio coraz gorzej sypiał. Codziennie budził się przed świtem, by bez celu snuć się po rozległych trawnikach posiadłości. Choć późną jesienią poranki w Londynie bywają wyjątkowo zimne, jeszcze bardziej przerażał go chłód, który od przejażdżki po ulicach

nabrzeża wdzierał się do jego duszy.

Wmawiał sobie, że córka admirała jest poważnym zagrożeniem dla jego planu, jednak zawsze podczas spacerów zachodził pod rozłożysty stary dąb, rosnący pod jej oknami. Opierał się o pień i szukał wzrokiem jej okien, licząc, że kiedyś mignie w nich jej biała sylwetka.

Lucy, opatulona kocem, klęczała na aksamitnym fotelu pod oknem. Jej stopy były lodowato zimne. Przez szparkę w zasłonach przyglądała się ochroniarzowi, obserwującemu jej okna. Sama nie potrafiła już określić, w którym momencie jego obecność przestała ją drażnić, a zaczęła uspokajać. Wiedziała, że zawsze, kiedy w środku nocy wyjdzie z ciepłego łóżka i zerknie przez okno, on będzie tam stał ze swoim nieodłącznym cygarem, pilnując jej bezpieczeństwa.

Widząc, jak wiatr rozwiewa poły jego płaszcza i smaga mu twarz, Lucy drżała z zimna. Claremont postawił kołnierz, wsadził ręce do kieszeni i ruszył w kierunku drzwi kuchennych.

- Dzień dobry, panie Claremont - szepnęła Lucy, przytulając dłoń do szyby.

Pięć dni po tym, jak Lucy zamknęła się w swoim pokoju, Gerard zaszedł do biblioteki i z zaskoczeniem stwierdził, że jest sam. Korzystając z chwili samotności, usiadł w fotelu admirała i zaczął przeglądać stos pożółkłych dzienników pokładowych. Zerwał się z miejsca, gdy nagle w drzwiach pojawił się Smythe. Szybko schował dzienniki pod plik perfumowanych listów od pewnej zamężnej księżnej, która niegdyś uważała się za ukochaną admirała.

- Gdybyś jeszcze nauczył się puszczać kółka z dymu, mógłbyś występować na scenie - powiedział Gerard.

- Zawsze marzyłem o pracy w cyrku, sir. Ze słoniami. - Smythe stał w drzwiach bez ruchu.

- Szukasz czegoś, Smythe? - Gerard zaczynał tracić cierpliwość. Chciał przejrzeć jak najwięcej dokumentów, zanim nadejdzie admirał.

Kamerdyner ocknął się z zamyślenia i stuknął obcasami.

- Przychodzę powiadomić, że admirał Snow wyszedł i nie będzie go w domu przez cały ranek.

- Ranek? - powtórzył jak echo Gerard. - Cały ranek? -upewnił się.

- Cały ranek, sir. Mamy nie czekać na niego z lunchem.

Gerard spojrział na Smythe'a podejrzliwie. Dlaczego kamerdyner zadał sobie tyle trudu, by poinformować go o nieobecności Snowa? Czy to przypadkiem nie pułapka? Może admirał wyskoczy za chwilę z komina i przyłapie go na gorącym uczynku, rzeczywistym albo wymyślnym? Jego wyobraźnia zaczęła podsuwać jeszcze dziwniejsze obrazy, kiedy Smythe z namaszczeniem zamknął drzwiczki sekretarzyka, kryjącego największe tajemnice admirała. W powietrzu unosił się wyraźny zapach fajki.

Gerard, drapiąc się po brodzie, przemierzał salon niczym kot, któremu kazano pilnować śmietany. Nadal nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wypolerowane biurko zdawało się samo zapraszać, by zajrzał do środka. Klepsydra mrugała zalotnie. Sekretarzyk aż się prosił, by ktoś wykradł jego sekrety. Taka okazja może się nie powtórzyć.

Zdjął buty i otworzył drzwi do biblioteki. Przeszedł przez opustoszały hol i ruszył schodami na piętro.

Gerard stał przed drzwiami pokoju Lucy, zastanawiając się, czy zapukać. W końcu zdecydował, że nie będzie ryzykował. A jeśli odmówi? Położył rękę na klamce. Ułożył zawiłą historię o tym, jak to pod jej oknem nocami sterczy jakiś ciemny typ. Nie miał zamiaru mówić jej, że tym ciemnym typem jest on sam.

Nacisnął klamkę, gotowy wycofać się, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dziewczyna może się przecież przebierać lub robić coś równie krępującego. Kiedy otworzył drzwi, zrozumiał, że nie wycofałby się nawet, gdyby przystawiono mu do skroni pistolet.

Wchodząc do środka, czuł się jak ktoś, kto po latach tułaczki na pustyni trafił do opustoszałego haremu, w którym nadal unosi się kuszący i zmysłowy zapach perfum.

Pokój Lucy był całkowitym przeciwieństwem domu, urządzonego z męską powściągliwością i surowością. W kominku wesoło płonął ogień. Niezaścielone łóżko spowite było koronkową kapą, wokół stały lekkie, rzeźbione meble z jasnego drewna. Na podłodze leżały puszyste dywany. Ich liczba i różnorodność wskazywały na to, że Lucy przygarnęła je po tym, jak admirał pozbył się ich, bo nie pasowały do jego wizji.

Gerard, uśmiechając się, krążył po pokoju. To dopiero odkrycie! Ułożona, porządna panna Snow, była straszną bałaganiarą! Nieład jej sypialni miał swój urok. Gerard pogładził dłonią nie pościelone łóżko, pociągnął za stopę różowej pończochy, przewieszanej przez

ramę, zanurzył palce w jedwabiach, wylewających się z szuflady bielizniarki.

Bałaganiarą z upodobaniem do dekadencjonalnej bielizny, pomyślał, biorąc do ręki kremową halkę. Szybko odłożył ją na miejsce. Lucy nie byłaby zadowolona, gdyby zastała go bawiącego się jej bielizną.

Podszedł do toaletki, na której stała odkorkowana kryształowa buteleczka. Powąchał; cytrynowy zapach nierozdzielnie kojarzył mu się z Lucy. Obok fotela pod oknem znajdował się stary, wysłużony wózek na kółkach, a na nim miniaturowe doniczki z kwitnącymi kameliami. Na fotelu leżał patchworkowy koc.

Dotknął go, wyobrażając sobie, że Lucy co wieczór się nim otula. Kiedy go podnosił, na podłogę wypadła teczka z rysunkami.

Gerard przykucnął, by je dokładniej obejrzeć. Z każdą stroną jego zawstydzenie ustępowało miejsca rozbawieniu.

Nie były to mdłe akwarele, ale odważne, pełne pasji szkice węglem. Większość przedstawiała motywy kwiatowe, subtelne, ale nakreślone pewną ręką. Między kwiatami znalazła się też dosadna karykatura oficera marynarki królewskiej. Lucy pewnie wyparłaby się w żywe oczy, ale według niego portret bardzo przypominał admirała.

Uśmiech zniknął z twarzy Gerarda, kiedy trafił na rysunek młodej kobiety z kwiatem kamei w włosach. Choć czarnowłosa piękność zdawała się uśmiechać, w jej oczach widać było ogromny smutek.

Nagle ktoś wyrwał mu z ręki teczkę.

- Panie Claremont! Jak pan śmie!

Nad nim stała Lucy. Jej włosy były wilgotne, a jedwabna koszulka nocna przylegała ciasno do ciała, podkreślając jego subtelne krągłości. Trzymała teczkę przed sobą, jak gdyby próbowała zasłonić przed nim nie tylko rysunki, ale i siebie. Kiedy poczuł jej cytrynowy zapach, natychmiast zapomniał historyjkę, którą miał opowiedzieć na swoje usprawiedliwienie.

- Kim jest ta kobieta? - zapytał, powoli się prostując. Lucy wiedziała, o który portret mu chodzi.

- Moja matka.

- Pamiętasz ją?

- Niestety, nie. - W jej głosie wyczuwał pogardę. - Była na tyle taktowna, by umrzeć w tydzień po moim narodzeniu. Oszczędziła ojcu wstydu z powodu skandalicznego zachowania.

Brawo, Lucy, pomyślał Gerard. Admirał zasługuje na sarkazm.

- Dobry szkic. Masz jej portret? A może miniaturę?

Schowała się przed jego wyglodniałym wzrokiem za stolikiem z kwiatami.

- Smythe mi ją opisał. - Lucy nieświadomie przesuwała doniczki. - Kochała kamelie.

Te tutaj wyhodował dla mnie Smythe z zaszczepki jej kwiatów. Pielęgnował je, zanim urosłam na tyle, by sama o nie dbać.

Gerard nastawił uszu. Zdaje się, że nie docenił człowieka, który przez dwadzieścia lat troszczył się o to, by pamięć o tej niezwykłej kobiecie przetrwała nie tylko w duszy jej córki, ale i w kwiatach, które kochała.

- Nic wiem, dlaczego wybrała akurat kamelie – mówiła Lucy, obrywając suche liście. - To najbardziej kapryśne kwiaty, jakie znam. Trzeba je podlewać od spodu, ciągle zraszać i uważać, by nie zaszkodziły im zbyt ostre promienie słońca. Kamelie lubią światło poranka.

Gerard nie mógł sobie nawet wyobrazić losu narzeczonej admirała.

- Może potrzebowała czegoś, czym mogłaby się opiekować.

W szarych oczach Lucy pojawiły się srebrne iskierki.

- Bzdura! Ona się nie opiekowała. Była kobietą pozbawioną moralności, interesowały ją jedynie przyjęcia, szampan i kochankowie, których zmieniała jak rękawiczki.

Gerard wiedział, że Lucy jest zbyt rozgoryczona, by zastanawiać się nad nielogicznością swojego zachowania. Krytykowała matkę, a równocześnie pielęgnowała w duszy jej obraz, robiła wszystko, by wskrzesić pamięć o niej.

Dopiero teraz Gerard uświadomił sobie, że to nie admirał zamknął Lucy w jej przytulnym pokoju. Ona sama próbuje ukarać się w ten sposób za grzechy matki, zarówno te prawdziwe, jak i te, które zrodziła pokręcona pamięć admirała. Co gorsza, podejrzewał, że Lucy nie pierwszy raz odcięła się tak od nieuzasadnionych oskarżeń i tyranii ojca.

Gerard zrobił ku niej krok i wyciągnął rękę. Postanowił ożywić wibrującą emocję, której iskrę dostrzegł w jej rysunkach.

- Chciałbym zobaczyć więcej twoich prac.

Zapomniała o kwiatach i matce. Z determinacją ścisnęła teczkę ze szkicami.

- Nie sędzę, sir. Z racji zawodu może mnie pan szpiegować, ale nie ma pan prawa dotykać moich rzeczy osobistych.

Obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem, który topił najzatwardzialsze serca.

- Lucy, nie ukrywaj swojego talentu. Twoje rysunki są bardzo dobre.

- A pan jest bardzo niegrzeczny - odparła i odsunęła się od niego. Cofając się,

wpadła na stolik z ukochanymi kwiatami.

- Już mi to mówiono.

Sięgnął po jej teczkę, ale ona pochyliła się z zamiarem przemknięcia pod jego ramieniem. Gerard ćwiczył refleks, polując na zwinniejszych uciekinierów niż ona. Przydepnął brzeg jej nocnej koszuli i chwycił w pasie, gotów zmusić ją do uległości, choćby łaskotkami.

Nie wziął jednak pod uwagę tego, jak na jej drżącą bliskość zareaguje jego ciało. Rozsądek zdradził go, gdy tylko poczuł zapach jej włosów. Jego ciało poddało się ciepłu jej skóry, otulonej w miękkim jedwabiu.

- Nie! - szepnęła błagalnie. - Nie lubię, gdy ktoś mnie dotyka.

Wtulił twarz w jej włosy, wzdychając cicho, gdy jej ciało powoli poddawało się jego dłoniom.

- Wprost przeciwnie, Lucy. Myślę, że bardzo to lubisz.

Jego palce szukały już drogi pod jej koszulę. Zapomniała się pod jego umiejętną pieśczętą i upuściła teczkę. Na podłogę wypadły szkice przedstawiające imponujący szkuner we mgle. Na burcie widać było jedno słowo. „Retribution”.

12

Pi a widok rysunku Lucy zastygła w ramionach Claremonta. Gerard bezlitośnie unieruchomił ją, przyciskając do piersi muskularnym ramieniem. W jej uszach dudnił jego przyspieszony oddech.

Drżała, oszołomiona jego intensywnością, siłą, męskością postawy. Zawstydzila się, uświadomiwszy sobie, że pragnie odwrócić się do niego twarzą, przytulić się do jego twardego ciała, oddać mu swoje usta, jak ofiarę pogańskiemu bożkowi. Lata spędzone na uleganiu admirałowi okazały się niczym w porównaniu z tym, co czuła w tym momencie. Zamknęła oczy. Miała dziwne wrażenie, że tańczyła już kiedyś ten taniec, w innym miejscu, w innym czasie.

- Przestań! To boli! - skłamała. Chciała uwolnić się od niego, zanim całkiem straci panowanie nad oszalałymi zmysłami.

Złagodził uścisk tak nagle, że przestraszyła się, że to ona rani jego. Kolana uginały się pod nią, więc przykucnęła, udając, że chce pozbierać rysunki. Gerard wyrwał jej teczkę z ręki. Wiedziała, że zabawa w kotka i myszkę się skończyła.

- A to co, u diabła? - mrużył oczy za okularami, ostrożnie przeglądając szkice.

Lucy milczała. Cóż, sam znał odpowiedź na to pytanie. Plik rysunków przedstawiał statek widmo, który prześladował ją, odkąd zobaczyła jego piękną sylwetkę we mgle własnej wyobraźni. „Retribution”¹ w promieniach jesiennego księżyca w pełni. Srebrzysty zarys w poświacie księżyca. Okręt zmagający się ze spienionymi falami.

- To jest coś w porównaniu z tymi mdłymi pejzazami, prawda? Namiętność aż kipi. - W głosie Claremonta wyczuła irytację i napięcie.

Nagle zamilkł. Jego spokój przeraził ją bardziej niż dociekliwość, z którą przed chwilą oglądał jej prace. Kiedy obrócił się na pięcie i stanął z nią twarzą w twarz, wystraszona Lucy jęknęła. Był wściekły. W jego oczach czaiły się gniewne błyski. Przy nim częste wybuchy ojca wydały jej się ledwie dziecinnymi humorami. Zrobił ku niej krok, a ona krok w

tył.

Niestety, ściana, na którą trafiła plecami, przeszkodziła w dalszym wycofywaniu. Lucy przyłgnęła do niej, rozważając, czy nie wezwać na pomoc Smythe'a.

- Panno Snow, proszę mi powiedzieć, czy w pani rodzinie zdarzały się przypadki obłądu? - odezwał się łagodnie Claremont.

Zasłoniła ręką dekolt i szyję.

- Nie wiem, o co panu chodzi. To tylko rysunki. Nie mają żadnego znaczenia.

Rzucił jej w twarz szkicem - mężczyzna, a może raczej duch, wyłaniający się z mgły; cienie olinowania przecinały się na jego zarośniętej twarzy.

- To on, prawda? Ten pani tajemniczy kapitan Doom.

Pochyliła głowę i zaczęła przyglądać się rysunkowi, jak gdyby nigdy wcześniej go nie widziała.

- Nie pamiętam.

Spojrzał na nią ponuro.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? - zapytał spokojnie. - Narażasz się na niebezpieczeństwo. Czy myślisz, że kiedy Doom dowie się o istnieniu tych rysunków, daruje ci życie? - Gerard prawie krzyczał. - Odpowiedz!

Lucy wzdrygnęła się. Claremont zaklął, odwrócił się i zaczął spacerować po pokoju.

- Panno Snow, widzę, że robi pani wszystko, by utrudnić mi pracę - powiedział, bezwiednie poprawiając włosy. - Domyślam się, że marynarka królewska będzie wdzięczna za tak szczegółowe szkice. Kiedy wpadną na trop Dooma, pani żalosne życie przestanie mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. - Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. - Admirał musiał być z pani dumny, gdy dowiedział się, że robi pani tak szlachetny użytek ze swojego talentu.

Lucy uśmiechnęła się głupkowato, po czym nieśmiało wyznała:

- Ojciec nie widział tych rysunków. Nikt ich nie widział. Tylko pan.

Claremont usiadł na brzegu łóżka i patrzył na nią tak, jak gdyby nagle zaczęła mówić w jakimś niezrozumiałym języku. Lucy uznała, że nie pora teraz zwracać mu uwagi na niestosowność jego zachowania.

- Może zechce mi pani wyjaśnić dlaczego?

Uspokojona jego rzeczowym tonem, Lucy podeszła do niego i odebrała mu rysunki. Stała z portretem Dooma przy oknie i delikatnie dotknęła brodatej twarzy mężczyzny. Wspomnienia tak ją pochłonęły, że nie zauważyła zaniepokojenia Claremonta.

- Może się pan zdziwi, ale pracując nad tym portretem, bardzo dużo myślałam. Doszłam do wniosku, że to człowiek honoru. Zauważyłam w nim pewną szlachetność,

rozumie pan?

- Pani wybaczy, ale czy my nadal mówimy o tej samej osobie? O człowieku, który swoim ofiarom wrywa serca i obcina uszy?

Lucy skrzywiła się.

- To tylko plotki. Jeszcze jedna niesprawiedliwość, jak spotkała go z mojej strony.

Claremont patrzył na nią z rosnącą irytacją.

- A co on pani zrobił? Porwał. Wyrzucił za burtę, jako przynętę dla rekinów.

Policzki Lucy płonęły tak samo jak podczas spotkania z piratem.

- Panie Claremont, nie chodzi o to, co mi zrobił, ale raczej, czego nie zrobił.

Jej spokojne słowa zawisły ciężko w powietrzu. Gentleman udawałby, że zrozumiał. Claremont nie był gentlemanem.

Położył się na plecach i podparł łokciem. Najwyraźniej w jej niezaścielonym łóżku czuł się jak u siebie w domu.

- Śmiało, proszę mówić dalej.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że... - powiedziała powoli, zaginając rogi rysunku. - W tamtych okolicznościach mógł... nietrudno było... on mógł mnie... - szukała odpowiedniego eufemizmu.

- Zgwałcić? - podpowiedział chłodno Claremont. - Skraść cnotę i zostawić na pewną śmierć? Jego szczerość powinna ją zszokować, tymczasem Lucy patrzyła na niego, zafascynowana niepokojącym błyskiem w jego oczach, ponurym grymasem, który miał być uśmiechem. - A więc przez cały ten czas broniła pani tego człowieka tylko dlatego, że powstrzymał swe żądze?

Pokiwała głową.

- To jedyne, co mogłam dla niego zrobić, po tym, jak osądziłam go tak niesprawiedliwie.

Claremont wstał. Był wyższy, niż jej się wcześniej wydawało. Na jego twarzy nie było śladu rozbawienia ani ironii.

- Nie musi pani czytać powieści awanturnych. Pani nimi żyje. Proszę mi wierzyć, wbrew pani romantycznej fantazji, Doom nie jest niezrozumianym przez świat bohaterem. To zdesperowany, bezwzględny łotr, który nie ma nic do stracenia, a któremu wydaje się, że może zdobyć wszystko.

- Mówi pan tak, jak gdyby go pan znał.

- Znam wielu takich jak on. W moim zawodzie to nieuniknione. - Zrobił krok w jej kierunku, ale tym razem nie drgnęła. Pierwszy raz wyczuła w jego głosie akcent

londyńskiej ulicy. - Żaden z nich nigdy by nie pozwolił, żeby jakaś zepsuta pannica...

Zabolała ją jego niesprawiedliwość.

- Nie jestem...

- ...Choćby nie wiem jak piękna- poprawił jej humor- stanęła mu na drodze do zdobycia fortuny. - Ujął ją pod brodę. - Jeśli jeszcze kiedyś, nie daj Boże, spotka pani kapitana Dooma, niech pani będzie ostrożna. Następnym razem może się okazać, że nie jest gentlemanem.

Lucy mrugnęła, próbując ukryć łzy. Zranił ją, krytykując jej bohatera.

- A więc uważa mnie pan za sentymentalną idiotkę? - wyszeptała.

Zwolnił uścisk. Jego palce delikatnie musnęły jej policzek, kiedy odgarniał z jej twarzy kosmyk wilgotnych włosów. Jego czułość zapierała jej dech w piersiach.

- Wprost przeciwnie, moja droga Lucy. Uważam, że to twój szlachetny kapitan Doom jest głupcem. Gdybym to ja miał w rękach taką kobietę, nigdy nie pozwoliłbym jej odejść.

Ale Claremont nie dotrzymał słowa. Wyszedł z pokoju i nawet się nie obejrzał.

Następnego dnia, kiedy punktualnie o dziewiątej Lucy weszła do biblioteki, zastała ojca spacerującego przed biurkiem. Smythe polerował mosiężny sekstant z takim zapalem, jak gdyby od tego zależało jego życie. Ochroniarza nie było nigdzie w pobliżu.

Przez całą noc Lucy wierała się w pościeli, nie mogąc się zdecydować, czy Gerard prawil jej komplementy, czy chciał ją obrazić, ostrzegał czy straszył, chronił czy zamierzał skompromitować? Wiedziała tylko, że za każdym razem, kiedy zamyka oczy, zamiast portretu kapitana Dooma widzi pełną emocji twarz Gerarda.

Usiadła na swoim krześle w nadziei, że codzienne obowiązki przywrócą jej spokój ducha. Pragnęła zająć umysł czymś innym niż rozpaczliwymi rozmyślaniami.

Ojciec, stukając laską o podłogę, podszedł do niej, pochylił się i zaczął się jej przyglądać. Jego krzaczaste brwi wyglądały jak chmury, z których lada chwila spadnie śnieg. Tak samo patrzył na nią, kiedy uratowano ją z pokładu „Retribution”. Ten wzrok pamiętała z dzieciństwa. Admirał miał taką minę wtedy, gdy chcąc mu zrobić przyjemność, pomalowała mu buty niebieskim atramentem, by pasowały do munduru.

Lucy próbowała skoncentrować się na układaniu pędzli i farb. Bała się, że zaraz

zacznie drzeć, że przyzna się do grzechów i namiętności, którym oddawała się jedynie w najskrytszych marzeniach.

Z największym trudem zmusiła się do rozmowy z admirałem.

- Dzień dobry, ojciec. Czy dobrze spałeś? - zapytała, udając, że nie unikała go przez pięć ostatnich dni.

Prychnął z niesmakiem.

- O, z pewnością nie tak dobrze jak pan Claremont. - Wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził czas. Jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. - Chciałbym zobaczyć, co do stu diabłów, stało się z obowiązującą w tym domu dyscypliną? Co dalej, Smythe? Czy i ty zaczniesz się wylegiwać w łóżku do południa?

- Nie sędzę, sir - kamerdyner zdawał się wzburzony samą wzmianką o takim braku obowiązkowości. Wszyscy w tym domu wiedzieli, że opieszałość zajmowała drugie miejsce na prywatnej liście grzechów głównych admirała. Tuż za niewiernością, a przed ojcobójstwem.

W drzwiach pojawił się pan Claremont, z otwartą książką w ręce. Na jego widok nadzieje Lucy legły w gruzach. Admirał bezlitośnie spojrzał na zegar stojący na kominku i znacząco chrząknął.

Claremont podniósł głowę i popatrzył na obecnych niewinnym wzrokiem. Lucy zamarła z wrażenia

- Proszę wybaczyć, sir. Tak wciągnęły mnie wspomnienia lorda Howella, opisującego pański triumf podczas bitwy o Sadras, że zupełnie straciłem poczucie czasu.

Był tak przekonujący, że nawet Lucy była skłonna mu uwierzyć. Ten człowiek to urodzony kłamca. Będzie musiała to zapamiętać.

Claremont usiadł na krześle i od razu przystąpił do przeglądania poślizgniętych listów. Nie zwracał uwagi na admirała, który nie spuszczał go z oka. Lucy czuła, że w głowie ojca zaczynają pojawiać się wątpliwości.

Ogarnęły ją złe przecucia. Wiedziała, że jeśli ktoś raz nadużyje zaufania admirała, nigdy go już nie odzyska.

Lucy siedziała samotnie w powozie. Od kiedy pan Claremont przesiadł się na ławeczkę obok Fenstera, wnętrze pojazdu zdecydowanie się powiększyło. Nawet największe deszcze i mrozy nie były w stanie skłonić go do dotrzymywania jej towarzystwa.

Jechali do teatru Drury Lane, by zobaczyć słynną Sarah Strumpet w roli lady Makbet. Ta tragedia świetnie pasuje do nastroju Lucy. Próbowwała zanucić melodię, której nauczyła się od lokaja, ale już pierwsze takty przypomniały, jak puste stało się jej życie, dopóki nie wkroczył w nie pan Claremont.

Od kiedy ochroniarz znalazł szkice przedstawiające kapitana Dooma, ich kontakty ograniczyły się do jego czysto zawodowej obecności gdzieś z boku. Mężczyzna, który igrał z nią z taką przewrotnością i rozbawił improwizowaną kolacją w powozie, zniknął, a jego miejsce zajął zupełnie obcy człowiek, traktujący ją z szacunkiem i obojętnością zwykłego służącego.

Claremont nie dawał jej najmniejszego powodu, by mogła się poskarżyć ojcu. Zdejmował kapelusz i kłaniał się w pas. Zjawiał się na każde jej skinienie. Podczas spotkań towarzyskich czekał w powozie lub stał czujnie w kącie, płosząc gości swą wyniosłą postawą. Nawet Sylvie zauważyła, z jakim zaangażowaniem wypełniał obowiązki.

Lucy nawet się nie spodziewała, że jego obojętność i dystans tak ją zabolą. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo lubiła jego ironiczny uśmiech, bezczelność, otwarte znudzenie opowieściami ojca. Jego pełna emocji twarz stała się zupełnie nieczytelna.

Bawiła się rękawiczkami. Zachowanie Claremonta zmusiło ją do odgrywania roli prawdziwej damy, choć jej serce było temu przeciwne.

Powóz zatrzymał się. Ulica tętniła życiem, w końcu był sobotni wieczór. Słysząc było rozmowy przechodniów, pokrzykiwania woźnicy, stukot kół o bruk, rzenie koni.

Kiedy drzwi nie otwierały się przez dłuższą chwilę, Lucy zastukała wachlarzem w szybę. Natychmiast pojawił się Fenster.

- Przepraszam, panienko. Straszny ścisk na drodze. Musimy przeczekać.

Lucy założyła rękawiczki i wzięła torebkę.

- Sylvie by mi nie darowała, gdybym się spóźniła na pierwszy akt. Teatr jest tuż za rogiem, pójdę pieszo.

- Nie radzę, panno Snow - odezwał się Claremont z kozła, nawet nie odwracając głowy.

Tym bardziej trzeba się przekonać, pomyślała złośliwie.

- John, proszę mi pomóc! - zawołała.

Tym razem, zamiast lokaja, drzwi otworzył Claremont. Szarpnął z taką złością, że Lucy zdziwiła się, że nie wyrwał klamki. Nie spodziewała się, że na widok jego nadąsanej twarzy zrobi jej się gorąco. Miała ochotę go dotknąć, położyć palce na jego wydętych ustach i poczekać, aż z jego oczu zniknie napięcie.

- Odradzam pieszą wycieczkę - powiedział. - W tłumie będzie trudno panią chronić.

- Bzdury, panie Claremont. Wierzę w pańskie umiejętności.

Nie ruszył się z miejsca, nie podał jej ręki. Wsiadając, zmuszona była go potrącić. Przelotny kontakt przyprawił ją o zawrót głowy. Ignorując chłodny wiatr, przewiewający jej cienką pelerynę, ruszyła przed siebie. Nie pozostawiła mu wyboru, musiał pójść za nią. Rozproszone światło latarni ledwo przedzierało się przez mrok nocy. Nie uszli zbyt daleko, kiedy Lucy upuściła wachlarz.

- Czy będzie pan tak miły i poda mi wachlarz?

Zrobił, o co prosiła.

Kilka kroków dalej wypadła jej z ręki satynowa torebka.

- Och, jaka ze mnie niezdara - rzuciła mu swoje najbardziej czarujące spojrzenie. -

Czy mógłby pan...?

Oddychał nierówno, wypuszczając z nosa kłęby ciepłego powietrza. Przeczuwając zwycięstwo, szła przed siebie, a kiedy Claremont pochylił się, by podnieść torebkę, czmychnęła do pobliskiej ciemnej bramy, gdzie mieściła się księgarnia. Zbyt zajęta prowadzeniem swojej gry, nie zauważyła trzech cieni, przemykających jej śladem.

Zerknęła zza rogu. Claremont wyprostował się i rozejrzał za nią. Wpatrywał się w przechodniów z takim skupieniem, że aż się zawstydzila. Szybko przypomniała sobie, że prawdopodobnie bardziej przejmuje się swoją pensją, niż jej bezpieczeństwem. Poprawiła pelerynę i już miała ukryć się w innym miejscu, gdy ktoś złapał ją za ramię.

Twarz Claremonta była poważna. Prowadził ją prosto do powozu. Lucy, potykając się, szła przed nim świadoma zainteresowania, jakie wzbudzają wśród przechodniów.

- Dokąd idziemy? Teatr jest na drugim końcu ulicy.

- Nie idziemy do teatru. Wracamy do domu. To moja praca. Jeśli chce się pani zachowywać jak krnąbrne dziecko, tak będę panią traktować.

- Jest pan moim ochroniarzem, a nie niańką. - Szli tak szybko, że Lucy z trudem utrzymywała równowagę. - Proszę natychmiast przestać! Robi pan z nas widowisko. Czy chce pan skandalu?

Nie zastanawiając się zbyt długo, skręcił w boczną uliczkę, przenosząc przedstawienie w cichsze miejsce. Uspokajający szum ulicy nagle zniknął gdzieś w oddali.

Zatrzymał się i odwrócił ją twarzą do siebie. Nie zwolnił uścisku, a ona w końcu uświadomiła sobie, że wygrała. Ma to, czego chciała. W jego oczach nie było śladu obojętności, na twarzy malowała się wściekłość. Gdy pochylił się nad nią, znajoma sylwetka tonęła w mroku ciemnej uliczki. Lucy nie czuła ciepła jego muskularnego ciała. Teraz

odczuwała jedynie zagrożenie.

To nie duch, którym karmiła swoje fantazje, a który zniknął wraz z nadejściem poranka. Stał przed nią prawdziwy mężczyzna, doświadczony, pełen namiętności.

Słodycz zwycięstwa zepsuła nuta goryczy. Lucy podniosła głowę, próbując opanować drżenie.

- Nie chcemy zniszczyć reputacji pani ojca, prawda, panno Snow? - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Proszę iść ze mną do powozu albo Bóg mi świadkiem, sam panią zaniosę.

Lucy wydeła buntowniczo usta. Admirał zawsze jej powtarzał, że to nie wstyd poddać się, kiedy wróg przystawia do skroni pistolet lub ma przewagę. Pan Claremont właśnie to robił.

- Zgoda - powiedziała.

Puścił ją i ruszył ku głównej alei, najwyraźniej spodziewając się, że za nim pójdzie.

Przegrana sprawiła, że Lucy przestała być ostrożna. Rzuciła rękawiczkę.

- Ale wcześniej musi pan podnieść moją rękawiczkę.

Powoli odwrócił się i z nienawiścią popatrzył na leżący na chodniku kawałek jedwabiu. Jego usta wykrzywiły się w nieładnym uśmiechu. Zaalarmowana Lucy zrobiła krok w tył. Trafiła na ścianę.

- Kochanie, sama podniesiesz swoją rękawiczkę. Sama będziesz trzymać sobie robótkę i ostrzyć cholerne ołówki. Mam dość usługiwania takim jak ty. Nie jestem nianką ani damą do towarzystwa. Mam dość, rozumiesz? Możesz biec z płaczem do ojca. Oboje jesteście siebie warci. - Rzucił torebkę. Na szczęście Lucy ją złapała, nim wylądowała na ziemi. - Odchodzę!

Wpadła w panikę, widząc, że zamierza ją zostawić. A jeśli rzeczywiście widzi go ostatni raz? Co zrobi, kiedy on wtopi się w tłum i zniknie z jej życia tak nagle, jak się pojawił? Poczowała dziwny skurcz w sercu.

Rozejrzała się wokół siebie, desperacko szukając powodu, by go zatrzymać.

- Nie może mnie pan tak zostawić! - zawołała. - A jeśli porwie mnie kapitan Doom?

- A niech panią porywa! Boże, miej go wtedy w swojej opiece! - Nie zatrzymał się, machnął tylko z niecierpliwością ręką.

Lucy, urażona jego uwagą, wyprostowała się.

- Nie przyjmuję pańskiej rezygnacji - powiedziała, z trudem pokonując strach. - Panie Claremont, jest pan zwolniony.

Zniknął za rogiem.

Nie ucieszył jej fakt, że to do niej należało ostatnie słowo. Zadowolenie minęło

równie szybko jak odwaga. Została sama jak palec. Tak żałośnie nie czuła się od chwili, gdy wbiła ulubiony nożyk ojca w ramię kapitana Dooma. Wtedy miała wrażenie, że nie tylko zraniła człowieka, ale przede wszystkim zadała śmiertelny cios samej sobie.

Powinam się cieszyć, próbowała przekonać samą siebie. Przelknęła łyżę. Przecież właśnie tego chciała. Pozbyła się Claremonta. Doprowadziła do tego, że sam zrezygnował. Odzyskała wolność, prywatność. Samotność.

Odwrociła się twarzą do ściany. Za późno zrozumiała, że nieobecność Claremonta będzie jeszcze trudniejsza do zniesienia niż jego apatia.

Na domiar złego zaczęło padać. Jesienne niebo nie żałowało lodowatego deszczu. Peleryna przemokła w mgnieniu oka. Lucy, pochłonięta uzalaniem się nad sobą nie zauważyła tajemniczych postaci wyłaniających się mroku.

- Co to, panienko? Piękny pan dał nogę?

Lucy podniosła głowę. Przed sobą zobaczyła usta pełne czarnych zębów i poczuła nieświeży oddech rozmówcy. Kiedy oprzytomniała, dojrzała dwóch ponurych, odzianych w łachmany mężczyzn.

Drugi z intruzów, o długich, poplątanych włosach, puścił do niej oczko.

- Chodź no tu, mała, nie bądź taka smutna. Może nie mamy tyle w sakiewce, ale wiemy, jak zabawić damę.

Jeszcze kilka minut temu była przekonana, że osiągnęła już dno egzystencji. Teraz odkryła, że choć przez całe życie dbała o swój wygląd, tu, gdzieś na tyłach Drury Lane, została uznana za prostytutkę. Chyba zepsuł ją perwersyjny humor pana Claremonta, bo zamiast się rozplakać, wybuchnęła śmiechem.

Wytarła z twarzy krople deszczu, zakłopotana tym dziwnym zajściem.

- Panowie, obawiam się, że zaszło nieporozumienie.

- Jacy tam z nas panowie? - odezwał się jeszcze inny głos, niski i zachrypnięty. -

A i z ciebie żadna dama.

Rozgoryczenie ustąpiło miejsca zdenerwowaniu, kiedy z cienia wyłoniła się trzecia postać, mężczyzna o wąskiej twarzy, przypominający lisa.

Jego wzrok spoczął na jej torebce. W środku znajdowała się chusteczka i nieodłączny zegarek.

- Tak się składa, że my nie mamy sakiewek, ale ty masz. Zapłacisz nam za nasze usługi, paniusiu. Zobaczysz, że znamy się na tej robocie. Wszystkie nam to mówią.

Ich obleśny śmiech irytował Lucy. W uszach słyszała dudnienie własnego serca. Chciała dyskretnie przesunąć się ku wylotowi uliczki, niestety, mężczyźni zatarasowali

przejście. Nie miała parasola, by się bronić, nie było przy niej ochroniarza, który zadbałby o jej bezpieczeństwo.

Walcząc z paraliżującym strachem, zmusiła się do uśmiechu. Pomachała torebką przed nosem mężczyzny o lisiej twarzy. Poruszył niecierpliwie zaniedbanymi wąsiskami.

- Wątpię, byście byli warci tego złota - powiedziała.

Złapał się na przynętę. Zadowolona, że jej zegarek nie należy

do najlżejszych, Lucy huknęła go torebką w ucho. Niestety, zanim zrobiła krok, dwaj pozostali rzucili się na nią z wściekłością.

Gerard zaczął się za rogiem i czekał na pojawianie się Lucy. Przypuszczał, że załapał się łzami i czeka, aż zmięknie, wróci do niej i podniesie jej rękawiczkę. Jego pogarda dla samego siebie urosła, kiedy uświadomił sobie, że znów tak się wczuł w rolę, że nieomal sam uwierzył, że jest jej ochroniarzem. Skąd mu przyszło do głowy, że może ją bronić, skoro on sam był dla niej największym zagrożeniem?

Oparł się plecami o ścianę, pozwalając kroplom zimnego deszczu schłodzić rozgrzane czoło. Niestety, chłodny deszcz nie pomagał opanować gniewu. Czas kończyć tę idiotyczną szaradę. Wiedział to już w chwili, kiedy zobaczył te przekłete portrety Dooma i usłyszał, jak Lucy go broni. Szkoda, że ten pirat nigdy nie doceni lojalności córki swojego największego wroga.

Wyprostował się. Zastanawiał się, czy odprowadzić dziewczynę do domu. Nawet ktoś tak pechowy jak panna Snow poradziłby sobie bez ochrony. Od powozu dzieliła ją przecież zaledwie jedna ulica.

Powinien się cieszyć, że wreszcie skończył z tą farsą. Tak rozmyślając, zdjął okulary, schował je do kieszeni płaszcza i ruszył przed siebie. Z każdym krokiem w jego głowie pojawiały się coraz to wyraźniejsze obrazy: Lucy okryta jego płaszczem, drżąca z zimna, je z jego ręki ciasteczka. Kiedy trzymał ją w ramionach, czuł, że odnalazł swoją drugą połowę. Całe życie szukał kogoś, kto wypełniłby pustkę w jego życiu.

Nie musiał zbytnio wysilać wyobraźni, by poczuć, jak topnieje w jego ramionach, przypomniał sobie upojny zapach jej ciepłej skóry, otulonej w cienki jak mgła jedwab nocnej koszuli, dotyk jej wilgotnych włosów na policzku, subtelne krągłości smukłej sylwetki. Te wspomnienia stały się torturą dla jego ciała. Zasłużył sobie na to, pomyślał ponuro

Przyspieszył kroku. Wprawdzie rzucił posadę ochraniacza panny Snow, ale nie dokończył jeszcze interesów z jej ojcem. Twarda lufa pistoletu cisnęła go w zębra.

Za plecami usłyszał zduszony krzyk. Zatrzymał się. Nikt z przechodniów nie zareagował.

- Jej cholerna wysokość pewnie chce, żebym rozdeptał karalucha, bo ona mogłaby sobie pobrudzić pantofelki - mruknął. -Wybacz, księżniczko, nie tym razem.

Ignorując dziwny skurcz żołądka, ruszył w drogę. Tym razem jego kroki były długie i pewne. Miał serdecznie dosyć odgrywania roli rycerza w służbie kapryśnej panny Lucy Snow.

Nagle zamarł. Mimo hałasu ulicy usłyszał coś, czego nie spodziewał się usłyszeć już nigdy w życiu. Jedno słowo, wykrzyczane z mrożącym krew w żyłach dramatyzmem.

- Gerard!

13

Pierwszy cios Gerarda wstrząsnął nią niczym wystrzał armatni.

Nawet nie zdążyła poczuć ulgi. Natychmiast upadła na kolana i wyczołgała się spod plątaniny spiętych w bójce ciał. Nie mogąc opanować drżenia, schowała się pod peleryną i skoncentrowała uwagę na własnych zębach, które dzwoniły jak oszalałe.

Jej ochroniarz poradził sobie z chuliganami po mistrzowsku. Największego złapał za włosy i rzucił nim o ścianę. Mężczyzna z jękiem osunął się na chodnik.

Drugi z napastników zaatakował Gerarda od tyłu. Lucy chciała krzyknąć, by go ostrzec, ale z jej zaciśniętego gardła wydobył się jedynie cichy pisk. Gerard, jako człowiek ulicy, instynktownie wiedział, jak postępować. Obrócił się i uderzył opryszka prosto w twarz. Ten zatoczył się i wypluł resztkę czarnych zębów. Rozsierdzony utratą uzębienia, okazał się na tyle nierozsądny, by sięgnąć po nóż. Nim zdążył zaatakować, Gerard wykrcił mu rękę.

Przerażona jatką Lucy zamknęła oczy.

Otworzyła je, kiedy usłyszała znajomy odgłos.

Gerard stał w rozkroku, wyglądał jak ktoś, kto dokładnie wie, co robi. W wyciągniętej ręce trzymał błyszczący pistolet. Lucy zamarła. Kiedy uświadomiła sobie, jak niebezpiecznym mężczyzną jest jej ochroniarz, poczuła prymitywny dreszcz emocji. Prymitywny, bo zamiast odrazy, jej serce przepełniała duma.

Gerard trzymał na muszce wąsatego przywódcę, który korzystając z zamieszania próbował wymknąć się na tył uliczki.

Opryszek podniósł drżące ręce w błagalnym geście.

- Panie, litości - wybełkotał. - Po co od razu strzelać? Nie chcieliśmy skrzywdzić tej pani. Myśleliśmy, że jak pan skończył, to i my się z nią zabawimy.

Gerard dokładnie wycelował, a Lucy przez ułamek sekundy myślała, że zastrzeli łajdaka z zimną krwią. On jednak opuścił broń. Wystraszony złodziejaszek czmychnął wzdłuż muru, nawet się nie oglądając.

Pistolet dziwnie ciążył mu w dłoni. Stał spokojnie, próbując opanować wściekłość.

Serce waliło mu jak młot. Krew pulsowała z rykiem przypominającym syrenę tonącego okrętu. W ustach miał smak śmierci, czuł jej zapach. W głowie przelatywały mu francuskie i hiszpańskie słowa, słyszał czyjś śmiech, brzęk łańcuchów, kopnięcie ciężkiego buta. Ktoś szarpnął go za rękaw.

Obejrzał się. Wściekłośćomal nie rozsadziła mu czaszki.

- Nic ci nie jest? - zapytała szeptem Lucy.

Ogarnęło go zniechęcenie. Miał jej bronić, tymczasem to ona patrzyła na niego z troską w oczach. Jej palce zaplątały się w rękaw jego płaszcza.

Była tak wystraszona, że słyszał dzwonięcie jej zębów. Jej mokre włosy w nieładzie opadły na twarz. Pod oczami pojawiły się cienie, podkreślając bladość skóry. Otuliła się przybrudzoną peleryną.

Zawstydził się, widząc, jak dzielnie powstrzymuje łzy. Lód w jego piersi zaczął topnieć. Tylko raz w życiu czuł coś podobnego. Uderzenie ciepła. Gwałtowny przypływ czułości. Pragnienie, by ją chronić, opiekować sienią. Niebezpieczną uległość.

Schował pistolet do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyciągnął do niej rękę, ale szybko ją cofnął. Jego dłonie były czerwone od krwi. Od krwi... tamtych.

Może to i lepiej. Może dobrze, że poznała jego prawdziwe oblicze. Krew na rękach przekonają o jego naturze. Czekał, aż otrząśnie się z szoku, odkrywszy, jakim się okazał potworem.

Zamurowało go, kiedy rzuciła mu się w ramiona. Wtuliła twarz w jego pierś i zacisnęła dłonie na klapach płaszcza z taką determinacją, jak gdyby już nigdy nie miała ich puścić.

Nie był przygotowany na taką wylewność. Objął ją w pasie. Zapominając o krwawych plamach na rękach, zaczął głaskać jej mokre włosy i szeptać do ucha słowa otuchy. Niektóre nie miały żadnego sensu. Widząc, że to nie skutkuje i dziewczyna nadal cała się trzęsie, otulił ją peleryną i wziął na ręce.

Tłum przechodniów, nie zrażony coraz silniejszym deszczem, zebrał się u wylotu uliczki i z nadzieją oczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Ich apetyt na skandal nie został jeszcze zaspokojony. Gerard, nie chcąc narażać Lucy na komentarze i ciekawskie spojrzenia, postanowił wybrać inną drogę i przeskoczył przez mur. Później będzie ją przeproszał, żałował za grzechy i błagał o wybaczenie.

Teraz zależało mu jedynie na tym, by zabrać ją w jakieś ciepłe i suche miejsce. Dom nie wchodził w rachubę. Admirał, ze swoją podejrzliwością, zrobił z niego więzienie, a Lucy potrzebne było schronienie. Gerard, nie zatrzymując się, minął powóz i skierował się w stronę

skromnej, ale przytulnej gospody.

Kiedy weszli do środka, łysiejący właściciel przerwał polerowanie baru. Goście, oblegający stoliki wokół kominka podnieśli głowy znad kufli i kart i spojrzeli na nich z wyraźnym zainteresowaniem.

Właściciel szybko domyślił się, że Gerard trzyma na rękach kobietę.

- Hola, hola, drogi panie! - zawołał, rzucając na stół ścierkę. - Nic z tego nie będzie. To przyzwoita gospoda!

Lucy, słysząc wrogie głosy, wyjrzała spod kaptura. Gerard wyjął z kieszeni płaszcz ciężką skórzaną sakiewkę i rzucił oberżystcie. Spadła na bar z obiecującym brzękiem. Lucy przez chwilę zastanawiała się, skąd u Gerarda wzięła się taka fortuna. Admirał był przecież znany ze skapstwa.

Oberżysta nie od razu podniósł sakiewkę, choć widać było, że ma na to wielką ochotę. Z wyrachowaną uprzejmością przymknął oko na dziwny wygląd gości.

- W łóżku jest świeża pościel, sir. Czy przynieść państwu piwo?

- Ciepłą wodę i gorącą kawę - rzucił Gerard głosem nie znoszącym sprzeciwu. -

I proszę dopilnować, by nam nie przeszkadzano.

- Tak jest, sir. Wedle pańskiego życzenia.

Kiedy wąskimi schodami wnosił Lucy na górę, wtuliła twarz w jego przekrzywioną apaszkę. Wdychała ostry męski zapach, próbując zapomnieć o cuchnącym dżinem napastnika.

Znaleźli pusty pokój. Gerard położył ją na prostym, drewnianym łożu. Delikatnie uwolnił się od jej uścisku, zdjął płaszcz i przykrył jej ramiona. Lucy nie odrywała od niego wzroku. Zapalił świecę, rozejrzał się po pomieszczeniu, po czym przykrył ją starą, nieco zniszczoną kołdrą.

Krople deszczu dzwoniły o szyby. Choć nie było kominka, pokój wydawał się całkiem przytulny. Wytarła dłonią nos i ze smutkiem stwierdziła, że to nie schronienie, ale obecność tego mężczyzny daje jej poczucie bezpieczeństwa.

Chwilę później żona oberżysty przyniosła dzban ciepłej wody i kawę dla Gerarda. Stała w progu i wyciągając szyję próbowała dojrzeć łóżko, ale Gerard szybko zamknął drzwi tuż przed jej wścibskim nosem.

Kiedy nalewał wodę do miednicy, Lucy wykręciła mokre włosy. Była pewna, że wygląda jak straszdyło. Odkąd weszli do pokoju, Gerard nawet na nią nie spojrział.

Zamiast zaproponować jej skorzystanie z ciepłej wody, zanurzył w misce brudne ręce, a po chwili zaczął je zawzięcie szorować. Kiedy skończył, wytarł je do sucha, wypił

gorącą kawę, włożył okulary i dopiero wtedy spojrzał na Lucy. Jego twarz była dziwnie obca. Obojętna mina oznaczała, że nie ma zamiaru zbliżyć się do niej nawet na krok.

Troskliwość Gerarda zrobiła na Lucy większe wrażenie niż sam napad. Admirał nigdy nie brał jej na ręce, nigdy nie zanosił do łóżka, nie głaskał, nie całował na dobranoc, nie przytulał, kiedy spała. Do dziś ze wzruszeniem wspominała swoje dziesiąte urodziny, kiedy Smythe, w tajemnicy przed ojcem, nieśmiało pocałował ją w policzek.

Serce biło jej niespokojnie. Bawiąc się rękawem płaszcza, marzyła o dotyku kochającej, czulej dłoni. Jego dłoni.

Po jej policzku spłynęła łza. Zawstydziała się, że nie potrafi zapanować nad tak poniżającą oznaką słabości.

Przestań się mazać, Lucindo, mówiła sobie. On po prostu wykonuje swoje obowiązki. Tylko się nie rozpłacz.

Usiadła prosto, opierając się plecami o drewnianą ramę łóżka.

- Nigdy wcześniej nie zwróciłaś się do mnie po imieniu - odezwał się w końcu, przerywając męczącą ciszę. - Nie byłem pewien, czy je w ogóle znasz.

Nieraz, udając, że robi notatki, Lucy wypisywała na marginesie jego imię. Przełknęła łzy i zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Mówiąc szczerze, wiedziałam tylko, że zaczyna się na G, Gaston... Gomer, jakoś nie pasowały...

Ich oczy się spotkały. Jej głos załamał się, a ciałem wstrząsnęła niespodziewana czkawka. Zanim zdążyła zasłonić usta dłonią, z jej gardła wyrwał się szloch.

Gerard już był przy niej. Usiadł na łóżku i przytulił ją jak dziecko.

- Już dobrze, Myszko. Nie pozwolę, by ktoś cię skrzywdził.

Myszko. Słyszając, jak pieszczotliwie ją nazywa, pragnęła, by już nigdy nie wypuścił jej z ramion. Ciekawe, co czuła mama, kiedy ogarniała ją słodka namiętność, jakiej nie sposób się oprzeć.

Jej kruchym ciałem wstrząsnęły konwulsje. Gerard przycisnął ją do piersi i wtulił policzek w jej włosy. Dobrze wiedział, ile ją to kosztowało. Lucy nie była kobietą, która płakałaby bez wyraźnego powodu. Tłumiła łzy od dzieciństwa, odkąd odeszła jej matka, a teraz nadszedł moment, by się wypłakać.

Kiedy w końcu opanowała szloch, próbowała wyswobodzić się z jego uścisku. Gerard nie zamierzał wypuścić jej z ramion. Zdjął z szyi apaszkę i wytarł jej mokre policzki.

- Pewnie uważa mnie pan za płacziwa ciamajdę – powiedziała między jednym a drugim pociągnięciem nosa. Podał jej apaszkę, a ona bez zastanowienia wytarła w nią nos. -

Takie ataki hysterii są niewybaczalne. Ci mężczyźni nie zrobili mi krzywdy. Trochę mnie przestraszyli. Obawiam się, że mnie pan przejrzał. – Ukryła twarz w jego kamizelce. - Jestem strasznym tchórzem.

Czule głaskał ją po plecach. Oparł brodę na jej głowie i zamyślił się. Przypomniawsobie pierwszy raz, kiedy ją zobaczył. Od tej pory nosił w sercu jej obraz.

- Jesteś bardzo dzielna, Lucindo Snow. Nikt inny nie odważyłby się bronić takiego łajdaka jak Doom.

Lucy znów załkała. Gerard objął ją z taką pewnością, że sam poczuł dreszcze. Miał nadzieję, że wyleczyła się już z dziecinnego zauroczenia Doomem, tymczasem ona drżała na samo wspomnienie nazwiska tego łotra.

- Nie płacz - szepnął, wtulając twarz w jej włosy. - On nie jest wart twoich łez.

Podniosła głowę i spojrzała na niego wilgotnymi oczyma. Ku jego zaskoczeniu, nie było w nich smutku, lecz rozbawienie. Roześmiała się gardłowym kontraltem.

- Mówi pan zupełnie jak Sylvie - powiedziała. - Nie chciałabym szargać swojej reputacji nieustraszonej bohaterki wyjętej żywcem z powieści pani Edgeworth, ale przyznam się, że moje spotkanie z Doomem od początku do końca było farsą.

Ładna farsa. Na samą myśl o tym, jak mogło skończyć się to spotkanie, Gerarda ogarniała wściekłość.

Patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Splątane włosy. Zaróżowiony czubek nosa. Szare oczy, błyszczące od łez. Jego wzrok zatrzymał się na jej szyi. Na bladej skórze pojawił się ciemny siniec.

- Bydlak - rzucił, delikatnie dotykając śladu. Sam nie był pewien, czy ma na myśli mężczyznę, który jej to zrobił, admirała, czy może siebie.

Jej serce biło coraz szybciej. Pod palcami wyczuwał przyspieszony puls. Pochylił się i pocałował gładką szyję. Odrzuciła głowę w tył, jedwabiste włosy rozsypały się na plecach, łaskocząc go po ręce. Nigdy nie przypuszczał, że cytryna może pachnieć tak słodko. Pocałunek, zamiast zaspokoić, wzmógł jego pragnienie.

Gerard podniósł głowę, oszołomiony upojnym smakiem jej skóry, smukłością nagiej szyi, dyskretnym rumieńcem na policzkach, zmysłowo rozchylonymi ustami. Zamknęła oczy, jak gdyby nie wierzyła w to, co się dzieje. A może wyobrażała sobie jeszcze jedno spotkanie z kochankiem duchem?

Kiedy na niego spojrzała, jej wzrok był zamglony z pożądania. Dotknęła jego skroni, ale tylko po to, by zdjąć mu okulary. Zrobiła z niego głupca.

- Panie Claremont? - szepnęła cicho. - Gerard?

Okulary wysliznęły się z jej drżących palców, kiedy zamknął jej usta pocałunkiem. Pieścił ją z czułością, sprawiając, że ich oddechy się mieszały, a serca zaczęły bić w jednym rytmie. Nieznana dotąd intymność przyprawiała ją o dreszcze. Wsunął palce w jej włosy i odchylił jej głowę w tył. Całował tak umiejętnie, że jej wargi same się dla niego rozchyliły, zdradzając jej największą tajemnicę. Jego język z wyczuciem wsunął się do jej ust.

Zdawało się, że pocałunek doprowadzi ją do utraty zmysłów. Smakował jeszcze lepiej niż pachniał - jak gorące korzenne ciasteczka w bożonarodzeniowy poranek, jak ciepły cydr w chłodny jesienny wieczór, jak egzotyczna kawa w dalekim porcie. Utonęła w upojnej mgle pożądania.

Gerard, rozkoszując się słodyczą jej ust, nie mógł przestać się zastanawiać, czy całe jej ciało tak serdecznie przyjęłoby jego pieszczoty. Wyobrażenia podsuwała mu coraz odważniejsze obrazy, rozpalając w lędźwiach żar namiętności. Próbując złagodzić palący ból, całował ją tak, jakby miał zaraz umrzeć. Instykt podpowiadał mu, że gdyby teraz położył ją na poduszkach, poddałaby się w miłosnym uniesieniu.

To on przerwał pocałunek. Wiedział, że nie wytrzyma kolejnego nieśmiałego muśnięcia jej języka. Bał się, że ta upojna tortura doprowadzi go do utraty panowania nad sobą.

Odsunęła się od niego, ale ciągle trzymała ręce na jego ramionach. Spojrzała mu w oczy z rozbrajającą szczerością. Uświadomił sobie, że być może właśnie popełnił największy błąd w swoim życiu.

- O co chodzi? - zapytał.

- Muszę stwierdzić, że całujesz zupełnie inaczej niż kapitan Doom - powiedziała swawolnie.

Roześmiał się. Poczul ulgę, choć powinien się na nią obrazić. Jej wargi były wciąż wilgotne od pocałunku. Kiedy dotknął ich czubkiem palca, zareagowała drżeniem.

- Czy admirał nie mówił ci, że nie należy porównywać pocałunków? A ja przez cały ten czas wierzyłem, że Doom zachował się przy tobie jak gentleman. Jestem rozczarowany.

Oboje zapragnęli nagle wyrzucić Dooma z pamięci.

- Ale kapitan Doom mógł... - Nim zdążyła dokończyć myśl, złapał ją w ramiona. Kiedy zamknął jej usta mrocznym pocałunkiem, pomyślała, że tym razem nie będzie miał dla niej litości.

- Chciałaś coś powiedzieć o kapitanie Doomie? - zapytał, z trudem się od niej odrywając. Jej oddech stał się płytki i gorący. Na karku czuła dotyk jego delikatnych palców.

- O jakim kapitanie? - zapytała, pochylając głowę i opierając policzek na jego

ramieniu.

Gerard poczuł skurcz żołądka. Patrzył w jej zamglone oczy. Wiedział, że to nie żaden pirat zjawia wzbudził jej pożądanie, że pragnęła tylko jego. Chciał cieszyć się zwycięstwem, za którym tęsknił od tak dawna. Pragnął poddać się oszałamiającemu uniesieniu. Dlaczego czuł, że ogarnia go paniczny strach?

Dobrzy Boże, skąd weźmie siłę, by odwrócić się i odejść, by zostawić te oczy? Dlaczego od początku ignorował sygnał ostrzegawczy, jakim było pragnienie opieki nad nią? Nie usłuchał intuicji i teraz był w niebezpieczeństwie. Ona także.

Podjął pracę u admirała, by wykonać swój plan, przypomniał sobie chłodno. Nic i nikt nie może mu w tym przeszkodzić. Nawet uwodzicielska córka pracodawcy.

Walcząc z własnym rozgoryczeniem, podniósł okulary i wsunął je na nos. Oczy Lucy pociemniały. Wyczuła barierę, jaka zaczęła ich nagłe oddzielać.

- Przedstawienie zaraz się skończy- powiedział szorstko, unikając jej spojrzenia. Zarzucił jej na ramiona swój płaszcz. - Lepiej wracajmy do domu, bo inaczej będziemy zmuszeni wysłuchać kolejnego wykładu admirała.

- Czy o czymś nie zapominasz?

Zaniepokoił go wyzywający ton jej głosu.

- O rękawiczkach? - zapytał, unosząc brew. - A może o torebce?

- O posadzie. Już jej nie masz. - Założyła ręce na piersiach. - Moje położenie nie powinno cię interesować.

Gerard popchnął ją na łóżko i oparł się nad nią, zamykając ją w pułapce ramion. Posłusznie opadła na poduszkę i patrząc mu w oczy, oblizwała usta. Konał z pragnienia, by nie bacząc na konsekwencje, jeszcze raz ją pocałować.

Nie zrobił tego. Pochylił się nad nią, tak że ich nosy prawie się dotykały i mruknął:

- Niech Bóg ma nas w opiece, ale twoje położenie bardzo mnie interesuje.

14

Lucy zatkała koreczkiem kryształowy flakonik perfum, zastanawiając się, czy istnieje jakiś sposób, by zamknąć w buteleczce uczucia. Od kiedy jej ochroniarz odprowadził ją pod drzwi domu, ukłonił się i odszedł, nie zaznała chwili spokoju. Wzburzone emocje nie pozwalały zasnąć. Pierwszy raz w życiu żalowała, że nie ma przy niej matki, której mogłaby zwierzyć się z tajemnicy. Potrzebowała kogoś starszego, mądrzejszego, kto by pomógł jej pogodzić targające nią sprzeczne uczucia.

Wytarła z marmurowego blatu toaletki rozsypany puder, po czym zaczęła nerwowo czyścić szczotkę do włosów. Mogłaby przynajmniej w swoim pokoju zaprowadzić jaki taki porządek. Wyczyściwszy szczotkę, podeszła do łóżka, by uprzątnąć leżącą tam pończoszkę.

Może ojciec miał rację? Może rzeczywiście odziedziczyła po matce skłonność do hysterii? To tłumaczyłoby ciągle zmiany nastroju, wahania między desperacją a egzaltacją.

Zamknęła oczy, oddając się wspomnieniom. Znowu poczuła na policzku muśnięcie jego palców, szorstkość jednodniowego zarostu. Pończoszka wysliznęła się z ręki i upadła na podłogę. Myśli Lucy podążyły ku miękkiej pościeli łóżka.

Otworzyła oczy. Nie była taka jak matka. Nie mogła sobie pozwalać na uleganie niebezpiecznym, zmysłowemu impulsom.

Musi być dla siebie bardziej surowa. Matka drogo zapłaciła za swoją słabość.

Stała przed odsuniętą szufladą, z której wysypywała się jedwabna bielizna. Pospiesznie zgarnęła z podłogi porozrzucane ubrania, wrzuciła je do środka i zdecydowanym ruchem zasunęła szufladę. Płatanina koronek i jedwabiu nadal wymykała się ze schowka. Lucy trzy razy próbowała ujarzmić nadmiar bielizny, w końcu się poddała. Zrezygnowana podeszła do okna.

Tak jak podejrzewała, w domku przy furcie nadal paliło się światło.

Na szybach osiadały płatki śniegu, pomieszane z kroplami deszczu. Lucy poczuła się jak bezbronna istota, uwięziona w klepsydrze. Gerard przewrócił jej świat do góry nogami, po czym beztrąsko odszedł.

Zakochała się w nim, nie mogła temu zaprzeczyć.

Zarzut zabrzmiał w jej wyobraźni tak realistycznie, że przez moment zdawało jej się, że za szybą ujrzała twarz ojca. Zamknęła oczy, czekając, aż zwidy znikną.

Do tej pory, przed niesprawiedliwymi oskarżeniami admirała zasłaniała się swoją niewinnością. Cnota dodawała jej siły. Mając czyste serce, potrafiła opanować gniew, przełknąć łzy i milczeć, choć chciało jej się krzyczeć, zaprzeczać.

Teraz nie pozostało jej nic na swoją obronę. Była winna, a wszelkie oskarżenia miały podstawę. Była przeklęta, zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie.

Oparła czoło o zimną szybę. Kapitan Doom skradł jej duszę, ale jeszcze bardziej niebezpieczne było to, że tym razem sama, dobrowolnie, oddała ją Gerardowi Claremontowi.

Świt zastał Lucy pod starym dębem. Stała i w napięciu obserwowała, jak jej oddech zamienia się w kłęby pary. Już dawno zrozumiała, że podstępem nie pokona pana Claremonta. Zbyt szybko potrafił przejrzeć każdy jej plan. Lepiej będzie szczerze z nim porozmawiać. Jak dorosły z dorosłym. Gerard z pewnością doceni jej logiczny sposób myślenia.

Usłyszała czyjeś kroki. Ktoś szedł w jej kierunku po oszronionej trawie. Lucy przyłgnęła do sękatego pnia i zamknęła oczy. Zapachniało perfumowanym cygarem. Nabrała powietrza w płuca, jak gdyby wierzyła, że magiczne kadzidło doda jej odwagi.

Przez chwilę walczyła ze sobą, próbując, zgodnie z naukami admirała, oddzielić intelekt od wzburzonych emocji. Poprawiła welnianą opończę i wyszła zza drzewa.

Gerard zatrzymał się nagle. W jego oczach, zamiast zaskoczenia, czaiła się alarmująca nieufność. Wiedział, że spotkanie było nieuniknione, ale i tak ciągle miał nadzieję, że jakimś cudem do tego nie dojdzie.

Nie mogła wydusić ani słowa, bo na jego widok serce podeszło jej do gardła. Pod niedbale narzuconym na plecy płaszczem zauważyła nie zapiętą koszulę. W kącik ust wetknął cygaro. Jego włosy były w nieładzie, jak gdyby dopiero wstał z łóżka i jeszcze nie zdążył się uczesać. Połyskiwały ciepło w promieniach zimowego słońca.

Jej opanowanie zburzył cyniczny wyraz jego chłopięcej twarzy.

Włożył ręce do kieszeni spodni i spojrzał na nią zagadkowym wzrokiem.

Teraz jest najlepszy moment, dodawała sobie w duchu odwagi. Na chłodno wyrecytuje mu analizę swoich uczuć i przedstawi stojące przed nimi perspektywy. Ćwiczyła

to przez całą bezsenną noc.

Otworzyła usta.

- Kocham cię - wyrzuciła.

W Gerarda jakby trafił piorun. Stał przed nią głuchy i niemy. Nie ufał sobie, nie był pewny, czy potrafi zachować obojętność, czy zdoła ukryć przed nią, jak bardzo jej pożąda. Nawet nie jest w stanie uwolnić jej od tyranii ojca. Jedyne, co może jej ofiarować, to inny rodzaj niewoli, zmysłowej, przelotnej, takiej, której będzie potem długo żałować.

Cygaro wisiało mu bezwładnie w ustach. Kiedy się wypaliło, spadło na trawę. Niedopałek zgasł, jak marzenia Lucy. Gerard bez słowa odwrócił się i ruszył w kierunku swojego domku.

- Czy powiedziałam coś niewłaściwego? - zapytała cicho.

Szukając pocieszenia, oparła się o pień. Kiedy pierwsze promienie słońca odbiły się od okna na trzecim piętrze, z oczu Lucy popłynęły łzy.

Admirał wypuścił z ręki lunetę, gdy do gabinetu wszedł Smythe, niosąc w jednej ręce tacę ze śniadaniem, a w drugiej plik gazet.

- Do diabła, człowieku! - warknął admirał. - Ile raz mam ci powtarzać, żebyś pukał, zanim wejdziesz?

- Proszę wybaczyć, sir. Miałem zajęte ręce.

- Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na takim skradaniu się, twoje ręce będą zajęte szukaniem nowej pracy.

Smythe postawił tacę na stoliku, a admirał bez skrępowania wrócił do szpiegowania. Pod pozorem układania papierów admirała, kamerdyner ulokował się w pobliżu okna. Kątem oka zauważył Lucy, która z opuszczoną głową szła w kierunku domu. Najwyraźniej była czymś przygnębiona. Smythe zmarszczył czoło.

- Cholerna dziewczucha, zrujnuje mnie, tak jak jej przeklęta matka - burknął admirał, zamykając lunetę. — Nie powinienem był zatrudniać tego Claremonta. Myślałem, że jest twardszy, że nie da się nabrać na te babskie sztuczki.

- Wydaje mi się, że panu Claremontowi trudno coś zarzucić, sir. Od początku uważnie mu się przyglądałem i nie zauważyłem, by jego zachowanie wobec panny Lucy było pod jakimkolwiek względem niewłaściwe. - Smythe modlił się w duchu, by nie musiał

żałować, że broni Claremonta.

- Smythe, zapamiętaj sobie, że pod względem obyczajowości jestem bardziej wymagający niż zwyczajny kamerdyner. - Admirał opadł na fotel i zajął się śniadaniem. Na tacy, pod srebrną pokrywą, znalazł pachnącą jajecznicę i wędzonego śledzia. Po takiej przystawce admirał zwykł udawać się do jadalni, gdzie wspólnie z córką jadł śniadanie składające się z tosta i słabej herbaty. - Piszą coś o Doomic? - zapytał, wskazując gazety.

- Nie, sir. Może w końcu zrozumiał, że nie ma sensu wypowiadać otwartej wojny człowiekowi o takiej odwadze i zasługach jak pan.

Na szczęście dla Smythe'a, jego pracodawcy przez myśl nawet nie przeszło, że ktoś mógłby sobie pozwalać na sarkazm w jego obecności.

- Powinienem był rozgnieść go obcasem jak robaka, kiedy miałem szansę - powiedział admirał, otwierając widelcem śledzia. - Czy Lucy ma na dziś jakieś plany?

- Tak, sir. Bał maskowy w rezydencji lorda Howella.

- Znakomicie! - Wziął do ust porcję ryby i powoli przeżuwał. - Dopilnuj, by wyprasowano mój mundur. Pojadę nieco wcześniej, a potem zajmę się swoimi sprawami.

- Według rozkazu, sir. - Kamerdyner odwrócił się do wyjścia.

- Smythe?

- Tak jest, sir?

- Jutro rano, przed dziewiątą, skontaktujesz się z panem Bensonem. Niech znajdzie kogoś na miejsce pana Claremonta. I nie obchodzi mnie, co on o tym sądzi.

Twarz Smythe'a nawet nie drgnęła.

- Jaki podać powód, sir?

Admirał machnął widelcem, brudząc gazetę jajecznicą.

- Powiedz, że jestem zadowolony z jego usług i z przyjemnością dam mu najlepsze referencje.

- Oczywiście, sir.

Smythe stuknął obcasami i przepisowo się uklonił. Wychodząc zastanawiał się, jak to możliwe, by człowiek o tak dużym doświadczeniu wojskowym aż tak nie doceniał swych wrogów.

Coroczny bal maskowy u Howellów należał już do tradycji, którą lady Howell zapoczątkowała ponad dziesięć lat temu.

Zamierzała w ten sposób urozmaicić smutne zimowe miesiące, kiedy to londyńskie ogrody pozostają zamknięte, a większość towarzystwa opuszcza miasto i przenosi się do swych wiejskich rezydencji. Dla tych, którzy zostawali w Londynie, bal maskowy był większym wydarzeniem niż Boże Narodzenie.

Wchodząc po marmurowych schodach do sali balowej, Lucy włożyła rękę pod ramię ojca. Tym razem, zamiast dumy i miłości, czuła pustkę. Czyżby, zalewając się łzami przez całą noc, wypłakała wszystkie swoje dziecinne złudzenia?

Spojrzała na twarz ojca, szukając choćby śladu emocji. Maskę ze złotej bibułki była zwykłą formalnością, miała uzupełniać idealnie wypolerowane medale, zdobiące jego pierś. Na balu pojawiała się elita wojskowego świątka, nie było wśród nich nikogo, kto by nie rozpoznał admirała. Odziany w mundur z epoletami i lśniące buty, był uosobieniem dostojności i romantyzmu marynarki królewskiej. Lucy powinna czuć się zaszczycona, że zamiast podierać się laską, opierał się dziś na jej ramieniu.

W blasku kandelabrow jego bujna grzywka srebrzyła się niczym szron. Przez ułamek sekundy, kiedy w odpowiedzi na należne mu honory lekko pochylił głowę, serce Lucy przepełniło uwielbienie. Jej ojciec znów był najprzystojniejszym mężczyzną pod słońcem.

Lucy, przyczepiona do jego łokcia, zdawała się błagać, by ją zauważył, by zatrzymał się i choć raz na nią spojrział.

„Chryste, Smythe, dlaczego ona jeszcze nie śpi? Jak ja nie znoszę tych namolnych bachorów”.

Lucy nieświadomie zacisnęła dłoń, wbijając palce w ramię ojca. Spojrział na nią z niezadowolaniem, a kiedy uwolnił się od jej uścisku, natychmiast poprawił niewidoczne załamanie na rękawie munduru. Na widok zbliżających się gospodarzy jego usta wykrzywiły się w powitalnym uśmiechu.

Ciepłe przyjęcie za strony lorda i lady Howellów nie poprawiło nastroju Lucy. Jej serce stało się puste i zimne, odkąd wiedziona chyba własną głupotą, ofiarowała je Gerardowi Claremontowi.

Co też on sobie musiał o niej wtedy pomyśleć? Że jest zuchwałą, egzaltowaną pannicą? Zakochanym dzieciakiem? Kiedy odprowadzał ich do powozu, unikała jego wzroku, obawiając się, że dostrzeże rozbawienie, wyższość lub, co gorsza, protekcyjną litości.

- Ależ moja droga Lucy, twoje dłonie są zimne jak lód! - zawołała lady Howell,

trzymając ją za rękę.

Wyglądała jak starsza wersja Sylvie, jej twarz była pomarszczona niczym papierowa maska pozostawiona na deszczu.

Lucy chłodno wycofała dłonie, bojąc się, że rozklei się pod ciężarem jej współczucia.

- Proszę wybaczyć, mamy dziś dość chłodny dzień.

Kiedy lady Howell oddaliła się, by pełnić honory domu, wokół Lucy zrobiło się jeszcze zimniej. Ściany w sali balowej ozdobiono białym szyfonem. Na olbrzymich oknach mróz wymalował przepiękne wzory. Marmurowe kominki, umieszczone na dwóch przeciwległych końcach ogromnego pomieszczenia, prawie zupełnie nie dawały ciepła. Większość gości pozostała w pelerynach i kapturach, które stanowiły uzupełnienie przebrania i dodawały aury tajemniczości.

Pod sufitem, na złotych nitkach, zawieszono tysiące kryształków imitujących płatki śniegu. Odbijające się od nich światło raziło Lucy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Howellowie postanowili odtworzyć w domu chłód zimy, która od tyłu tygodni niepodzielnie panowała na zewnątrz.

Lord Howell i jej ojciec z zapalem dyskutowali o ostatnich poczynaniach Napoleona. Lucy została na schodach sama, przypatrując się zamaskowanym gościom, wirującym w takt muzyki po weneckich posadzkach. Skomplikowane figury kadryla sprawiały, że wyglądali jak marionetki na sznurkach.

Lucy jęknęła cicho, kiedy zobaczyła, że w jej kierunku przez tłum tancerzy przedziera się Sylvie z małym braciszkiem na ręku. W przeciwieństwie do matki, Sylvie nie nauczyła się jeszcze rozpoznawać, że jej towarzystwo nie jest pożądane.

Wbrew powszechnej opinii Howellowie uważali, że dzieci nie tylko powinno być widać i słyszać, ale należy trząść się nad nimi, chuchać na nie i dmuchać bez umiaru. Cichutkiego Gilligana przebrano za średniowiecznego mnicha. Miał na sobie sutannę przepasaną konopnym sznurem, starsi bracia przystroili jego łysą główkę w perukę z końskiego włosia. Lucy uśmiechnęła się, widząc, jak dzieciak, za plecami siostry, wziął z tacy garść krewetek i w całości włożył do buzi.

- Tu jesteś! - Sylvie od razu rozwiła jej rozbawienie. - Zaczynałam się już martwić, czy w ogóle się pojawisz. A gdzie się podział twój przystojny pan Claremont?

Co za upokorzenie, pomyślała Lucy, próbując wyswobodzić się z uścisku przyjaciółki. Żeby tylko się nie rozplakać i nie zrobić z siebie przedstawienia.

- To nie jest żaden mój pan Claremont. Przypuszczam, że jest tam, gdzie reszta

służby. Nie chciałam, by czaił się tu gdzieś za palmami i straszył gości twojej matki.

Sylvie przełożyła ciężkiego Gilligana na drugą rękę. Dziecko zajęło się wrywaniem różowych piór z jej maski.

- Czy on przypadkiem nie powinien cię pilnować?

Niewinna uwaga przyjaciółki przywołała wspomnienia: Gerard trzymający ją w objęciach, przytulający ją do swojego ciepłego ciała, niosący ją na rękach w deszczu, całujący jej posiniaczoną szyję* jak gdyby wierzył, że w ten sposób ją uleczy.

- Może szampana? - Głos lokaja wyrwał Lucy z niebezpiecznego rozmarzenia.

- Nie teraz, Davidzie. - Sylvie wiedziała, że Lucy nie znosi alkoholu. - Może później, kiedy...

- Tak, chętnie. Dziękuję. - Sylvie otworzyła ze zdumienia oczy, widząc, jak Lucy jednym haustem pochłania całą zawartość kryształowego kieliszka.

Cierpkie bąbelki laskotały w nos, w brzuchu natychmiast poczuła leniwe ciepło.

- Sylvie, ja nie potrzebuję opieki pana Claremonta. – Lucy z uśmiechem postawiła na tacy pusty kieliszek. - Dziś towarzyszy mi ojciec, a kiedy jesteśmy razem, niepotrzebny nam nikt inny.

To powiedziawszy, ruszyła w stronę umundurowanej grupki, oblegającej admirała. Sylvie patrzyła, jak jej przyjaciółka odważnie przedziera się przez tłum tancerzy. Nie sposób było nie zauważyć zniecierpliwienia admirała, kiedy córka pociągnęła go za rękaw. Lucy nie ustąpiła, zmuszając ojca, by podał jej ramię i zatańczył. Wiedziała, że w razie odmowy, w oczach uwielbiających go oficerów wyszedłby na najgorszego prostaka.

Wyjmując braciszкови z ust mokre piórka, Sylvie zastanawiała się, czy to szampan był powodem łez w oczach Lucy.

Gerard miał ochotę gołą pięścią wybić szybę w oknie na taras. Lucinda Snow znalazła się w końcu tam, gdzie jej miejsce. W ramionach ojca.

Obserwując, jak tańczą, nawet on nie mógł wyjść z podziwu. Powolny krok admirała dodawał mu tragicznej dostojskości. W nieskazitelnym mundurze obwieszonym medalami, wyglądał jak stary król, który właśnie wrócił ze zwycięskiej krucjaty. Kiedyś Gerard darzył takich ludzi ogromnym szacunkiem, marzył, by być jednym z nich.

Lucy delikatnie poprawiła medal na piersi ojca.

Na szczęście naiwne marzenia Gerarda rozwiały się, kiedy po zakończonym tańcu Lucien Snow odepchnął od siebie córkę. Zostawił ją na środku sali, a sam pospiesznie odszedł, zatrzymując się jedynie po to, by uklonić się lordowi i lady Howellom. Choć Lucy uniosła dumnie głowę, nie zdołała ukryć bólu, jaki sprawiło jej zachowanie ojca.

Gerard przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść za admirałem, ale służył w Jonii wystarczająco długo, by wiedzieć, dokąd ten łajdak się wybrał.

Jego wzrok wyłowił z tłumu Lucy. Zamiast wyszukanego kostiumu i kolorowych piór, włożyła białą jedwabną sukienkę w klasycznym greckim stylu i dyskretną maskę, zasłaniającą oczy. Włosy przewiązała złotą przepaską. Na twarzy Lucy malował się wielki smutek. Choć oddzielała ich szklana ściana, Gerard czuł jej cytrynowy zapach.

Szła poważna i wyprostowana, przeciskając się przez rozbawiony tłum. Gerard jako dziecko śnił o miejscach takich jak to, skąpanych w świetle, urządzonych z przepychem. Były tak odległe jak gwiazdy na niebie, baśniowe jak bezmiar oceanu i zupełnie poza jego zasięgiem. Jak samo niebo albo miłość kobiety, takiej jak Lucy Snow.

Jej odważne wyznanie ciągle rozbrzmiewało w jego sercu. Zacisnął pięści. Już raz ślepa ambicja kosztowała go utratę wolności i nazwiska. Pozbawiono go zbyt wielu takich nocy. Chciał, by choć ta jedna, jedyna pozostała do końca życia w jego pamięci jako słodkie wspomnienie.

Z niesmakiem spojrział na swoje znoszone spodnie i zdarte buty. Za kogo, u diabła, się przebrał? Za najniższego rangą służącego? Za podwładnego Lucy?

-Dobry człowieku, potrzebuję pomocy.

Zbliżał się do niego mężczyzna w nienagannym stroju wieczorowym.

- Obawiam się, że wdepnąłem w tarapaty -powiedział wyjątkowo denerwującym tonem. Wykrzywił się tak paskudnie, że wydawało się, że maska wisi mu na haczykowatym nosie. - Ostrzegałem lorda Howella, żeby coś zrobił z tymi przekłętymi spanielami. Te kudłate bydlaki nie mają za grosz manier. Mówiłem, żeby się zajął hodowlą mastifów. No tak, dobry człowieku, daj no jakąś ścierkę, muszę wyczyścić obcas. A już jestem spóźniony.

Mężczyzna najwyraźniej wziął go za służącego Howellów. Gerard już otwierał usta, by zasugerować aroganckiemu dandysowi, żeby sobie wylizał swoje buty, ale zamilkł. Zmierzył mężczyznę wzrokiem, od czubka zamaskowanej głowy, przez starannie zawiązaną apaszkę, po zwężane nogawki spodni, po czym podniósł w górę oczy, zastanawiając się, czym sobie zasłużył na takie szczęście.

- Pospiesz no się, dobry człowieku, nie będę czekał przez całą noc - rzucił niecierpliwie przybysz, poprawiając rękawy koszuli. - Może być chusteczka do nosa.

Gerard zmrużył ukryte za okularami oczy i uśmiechnął się złowieszczo.

- Proszę podejść tu, do tego krzaka, sir. Zaraz się panem zajmę.

Lucy skrzywiła się, kiedy jedenastoletni brat Sophie nadepnął jej na palec.

- Przepraszam - wymamrotał. Uszy mu płonęły niczym dwie pochodnie. - Mam nadzieję że nie widział tego mój nauczyciel tańca. Natrze mi jutro uszy.

- Powiesz mu, że to moja wina - szepnęła Lucy, pochylając się nad chłopcem.

- Nie mógłbym tego zrobić, panno Lucy. - Z uwielbieniem patrzył jej w oczy. - Pani jest wspaniała. Nie bała się pani kapitana Dooma.

Grzecznie stłumił jęk, kiedy stanęła mu na stopie. Lucy nie wiedziała, jak wytłumaczyć temu niewinnemu dziecku, że pocałunek prawdziwego mężczyzny sprawił, iż kapitan Doom przestał dla niej istnieć i wrócił do krainy fantazji?

Nie mając lepszego pomysłu, Lucy przeprosiła chłopca i udała się na poszukiwanie kieliszka szampana. Widząc, że lord Howell szuka jej wzrokiem, szybko ukryła się za grupką gości. Próbując załagodzić niemiłe wrażenie, jakie wywołała ucieczka admirała, Sylvie wraz z matką podsyłały jej do tańca kolejno wszystkich mężczyzn z rodu Howellów. Lucy zaczęła się obawiać, że jak tak dalej pójdzie, będzie musiała raczkować po podłodze z małym Gilliganem.

Miała ochotę uciec jak najdalej od paplaniny gości, od przesłodzonej muzyki. Niestety, jedynym schronieniem był powóz, ale tam musiałaby znosić towarzystwo Claremonta. Tym razem bez opieki admirała.

Zarumieniła się na samą myśl o spotkaniu z ochroniarzem.

Uważnie rozejrzała się, a upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, wzięła z tacy kieliszek szampana i wypila jednym haustem. Odstawiając puste naczynie, uzmysłowiła sobie, że popełniła błąd.

Ktoś ją obserwował.

Jakiś nieznamy, zamaskowany mężczyzna w świetnie skrojonym stroju wieczorowym. Stał oparty o marmurowy kominek. Wyglądał elegancko, a jednocześnie niebezpiecznie. Uśmiechnął się do niej z wyraźnym rozbawieniem, podniósł kieliszek i udał, że wznosi toast za jej zdrowie.

Lucy, zaniepokojona tak obcesowym flirtowaniem, wmieszała się w rozbawiony

tłum w nadziei, że zgubi natręta. Niestety, kiedy się obejrzała, on był tuż za nią.

Patrzył na nią. Na nagich ramionach czuła jego gorący wzrok.

Ogarnęła ją panika. Nagle poczuła się jak zwierzę złapane w pułapkę. Próbując uciec, w desperacji złapała za rękę braciszka Sylvie, ośmioletniego Christophera.

- Zatańcz ze mną - syknęła przez zęby - bo powiem twojemu nauczycielowi tańca, żeby natarł ci uszy.

- Ale ja jeszcze nie mam nauczyciela tańca, panno Lucy - wyjąkał malec.

- Więc sama ci je natrę.

Chłopczyk powstrzymał się przed protestem w obawie, że dziewczyna, która nie lęka się kapitana Dooma, może faktycznie zrobić to, co obiecała. Przemieszczali się po parkiecie posuwistym krokiem, w niewielkim tylko stopniu przypominającym taniec. Lucy co chwilę zerknęła w kierunku kominka. Dziwny mężczyzna gdzieś zniknął.

Nieobecność tego gościa niepokoiła ją jeszcze bardziej niż jego badawcze spojrzenie. Obrzuciła wzrokiem tłum gości, w nadziei, że dojrzy gdzieś jego postać. Serce zabiło mocniej, bo przez ułamek sekundy wydawało jej się, że go widzi, ale po dokładnym przyjrzeniu okazało się, że za maską ukryte są inne, jasnobłękitne oczy. Dwa, trzy razy myślała, że już go znalazła, ale nie, to nie był on. Intrygował ją swą tajemniczością.

- Panno Lucy?

- Tak, Chris? - odparła bezmyślnie, obracając się na palcach, by mieć lepszy widok na salę.

- Muzyka się skończyła. Czy mogę odejść?

Lucy zatrzymała się i spojrzała na uroczą buzię chłopca.

- Oczywiście. Dziękuję, Chris. Jesteś bardzo szarmancki.

Czerwieniąc się, dygnął w niezdarnym ukłonie. Lucy westchnęła, kiedy dzieciak z ulgą dołączył do grupki przyjaciół. Teraz, gdy znikła z oczu tajemniczemu wielbicielowi, czuła się jeszcze bardziej samotna. Po chwili namysłu zdecydowała, że przerwie farsę i wróci do domu. Odwróciła się, by ruszyć w kierunku drzwi, i wpadła prosto na nieznanego gościa.

- Szampana? - ciepły baryton poruszył każdy jej nerw.

Chcąc ukarać bezczelnego typa, odwróciła się do niego plecami.

- Nie, dziękuję. Nie piję - powiedziała, nie zważając na fakt, iż mężczyzna przed chwilą z zaciekawieniem przyglądał się, jak pochłania kieliszek szampana z wprawą godną nałogowego pijaka.

- I bardzo dobrze - szepnął, pochylając się ku niej. Na karku poczuła jego

oddech. - Przecież alkohol osłabia charakter i morale, prawda panno Snow?

Lucy obejrzała się i popatrzyła w orzechowe oczy ukryte pod maską. W jej rozdartej duszy nadzieja walczyła z gniewem. Otworzyła usta, lecz zanim zdążyła rzucić oskarżenie, ochroniarz przystawił do nich brzeg kieliszka. Patrząc mu prosto w oczy, wypła bez wahania.

Gerard nie potrzebował szampana. Upoił go sam widok jej delikatnej szyi, poruszającej się gwałtownie, gdy przełykała, zmysłowy ruch języka, kiedy zlizwała kropelkę alkoholu z kącika ust.

Obracał w palcach pusty kieliszek. Jego wargi drgnęły w uśmiechu.

- Musiałem zamknąć ci usta, bo inaczej byś mnie wydała, a bałem się, że pocałunkiem wywołam skandal.

- Nie większy niż zabawą z szampanem - odparła beztrosko, próbując ukryć niespokojne bicie serca. - Słaby charakter i morale mogą okazać się wielce niebezpieczne.

- Dla kogo? Dla ciebie czy dla mnie?

Wyciągnął do niej rękę, jak gdyby chciał dzielić z nią ryzyko. Nagle znikła dzieląca ich różnica klasowa i Lucy podała mu dłoń. Z wdziękiem porwał dziewczynę do walca.

Marmurowa posadzka sali balowej wirowała pod stopami Lucy jak pokład majestatycznego statku. Niesiona cudownym rytmem muzyki, oddała się ciepłym, muskularnym ramionom Gerarda.

- Gdzie się nauczyłeś tak wspaniale tańczyć? - zapytała, przekrzykując orkiestrę.

Spojrzał na nią z tym tajemniczym uśmiechem, który zawsze przyprawiał ją o dreszcze.

- W moim fachu trzeba posiadać wiele różnych umiejętności.

Lucy czuła się tak, jak gdyby w tym momencie pękł kokon, w którym przez całe życie spętane były jej zmysły. Ten nagły wybuch był nieomal bolesny. Walc wiedeński wprowadził ją w najwyższe uniesienie. W żyłach krążył szampan, sprawiając, że jej ciało płonęło słodkim ogniem. Silna dłoń Gerarda na jej plecach i uścisk jego ud wywoływały zawrót głowy.

Podniosła głowę i śmiało spojrzała mu w oczy.

Kącikiem oka dostrzegła, że tłum stopniowo przestaje tańczyć i zafascynowany flirtem, bacznie ich obserwuje. Wiele osób, tak jak jej ojciec, uważało walca za szczyt deprawacji i domagało się, by go zakazano. Lucy wiedziała, że robią z siebie widowisko. Domyślała się, że z taką samą zawiścią patrzono kiedyś na jej buntowniczą matkę. Ten jeden raz w życiu przestała się liczyć z opinią, zależało jej tylko na mężczyźnie, który trzymał ją w ramionach.

Miała wrażenie, że razem z Gerardem trafili na cudowną, bezludną, lodową wyspę na morzu szampana. Nad głowami, niczym gwiazdy na granatowym niebie, migotały kryształowe płatki śniegu.

Oczy wszystkich gości zwrócone były na porywająco piękną parę. Nikt nie mógł uwierzyć, że osóbką, która z takim zapamiętaniem wiruje w ramionach nieznanego mężczyzny, to ponura córka admirała Snowa.

Policzki Lucy zarumieniły się zmysłowo, w szarych oczach płonął ogień. Z prowokacyjnym uśmiechem tuliła się do partnera. Młodzi mężczyźni, nie mogąc oderwać od niej wzroku, tręcali się z niedowierzaniem. Żaden z nich nie przypuszczał, że Lucinda Snow jest taka piękna. Dopiero teraz uświadomili sobie, jak klasyczną, ponadczasową urodą obdarzyła ją natura. Wszyscy widzieli uwielbienie, z jakim patrzyła na swojego partnera, który skandalicznie mocno przyciskał ją do siebie.

- Na Boga - szepnęła Sylvie, nie spuszczać wzroku z partnera Lucy. - Kim jest ten przystojny mężczyzna?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - Matka odsunęła od oczu teatralną lornetkę. - Eustace, czy nie powinieneś interweniować? Skoro jej ojciec wyszedł w takim pośpiechu, ty musisz go zastąpić.

Lord Howell potrząsnął smutno głową.

- Nie chciałbym jej psuć zabawy. Bóg mi świadkiem, w życiu tej dziewczyny nie ma zbyt dużo radości. Lucien jest przecież tak oddany służbie Jego Królewskiej Mości.

Gilligan, który od jakiegoś czasu zajęty był ssaniem swoich paluszków, w końcu znudził się tym zajęciem, podpełzł do siostry i zaczął szarpnąć brzeg jej sukni. Sylvie, zaabsorbowana obserwowaniem romantycznej pary, nie zwracała na malca uwagi.

Młody Christopher podszedł do rodziców.

- Papo, czy mam go wyprosić z naszego domu? - zapytał, zaciskając dłonie w pięści. - Nie pozwolę, by ktoś dokuczał pannie Lucy.

Kiedy w powietrzu zawisły ostatnie takty walca, Gilligan znowu szarpnął sukienkę siostry. Ta znów go zignorowała, bo wraz z całą salą w napięciu czekała, aż namiętny pocałunek uwieńczy ten porywający spektakl.

Gilligana nie obchodziły żadne pocałunki. Jego uwagę przyciągnęła skradająca się po schodach postać. Mężczyzna, zauważywszy wpatrujące się w niego dziecko, położył na ustach palec, błagając o milczenie.

Gilligan wyjął rączkę z buzi i wyciągnął ją w kierunku przybysza.

- Sylvie! Kapitan Doom! - przemówił pierwszy raz w życiu.

15

Oprócz okrzyku Gilligana goście usłyszeli jeszcze jeden niespodziewany odgłos - szczery, perlisty śmiech Lucy Snow. Postać na schodach zastygła w bezruchu.

Człowiek wyglądał jak pirat z przedstawienia cyrkowego. Poczynając od czarnej przepaski na oku, poprzez kędzierzawą brodę splecioną w warkoczyki, po sześciopistolet u boku, uosabiał wszystkie istniejące stereotypy. Swym brakiem smaku i umiaru w przebraniu gość wzbudził sympatię nawet u lady Howell.

Brakowało mu tylko dziur w czarnych zębach i niedopałka kopającego się w kątku ust. Gdyby pod pachą trzymał jeszcze własną głowę, mógłby uchodzić za ducha tego nikczemnika, Czarnobrodego.

W niczym nie przypominał eleganckiego i bezwzględnego drapieżnika, którego Lucy poznała na pokładzie „Retribution”.

Złapała Gerarda za ramię i krztusząc się od śmiechu, z trudem łąpała oddech.

- Och... wybacz, ale tego już za wiele. Ten... bufon.... to nie jest kapitan Doom.

- Domyślam się. - Muskularne ramię Gerarda zeszywniało.

Lucy nie mogła opanować śmiechu.

- Szkoda, że nie ma z nami admirała. Wyobrażasz sobie jego minę?

- Aż za dobrze.

Lucy nagle uświadomiła sobie, że Gerard wcale nie był rozbawiony tym wydarzeniem. Jego oczy, ukryte pod maską, niebezpiecznie się zwężyły. Zadowolona z faktu, że choć raz to nie ona go zdenerwowała, nawet się nie wystraszyła.

Po chwili konsternacji, goście nagrodzili oklaskami oryginalny kostium przybysza. Muzycy pospiesznie zaintonowali hymn Marynarki Królewskiej, a chłopcy Howellow podbiegli, by dokładniej przyjrzeć się przebierańcowi.

- Wybacz. - Gerard uwolnił się z jej uścisku. - Sprawdzę, czy gospodarz nie potrzebuje pomocy.

Lucy chciała pójść za nim, ale okazało się, że z trudem utrzymuje równowagę. Choć

walc już dawno przebrzmiał, wydawało jej się, że sala ciągle wiruje. A może to jej kręciło się w głowie. Zasłoniła usta, by ukryć rozbawienie.

- Czołem - przywitał nadchodzących pirat. - Niech mnie prąd morski porwie, jeśli to nie najdzielniejsze chłopaki po tej stronie Madagaskaru! Który pierwszy rzuci rodzinę i zaciągnie się na mój statek?

- Ja to zrobię, sir. - Christopher Howell nieśmiało podniósł rękę.

Choć Sylvie stała z tyłu, za braćmi, mały Gilligan i tak wyciągnął rączkę, by szarpnąć pirata za warkoczyk na brodzie.

Mężczyzna odchylił głowę i stuknął zakrzywionym palcem w miękki brzusek dziecka.

- Nie cierpię dzieci. Chyba że na kolację. - Mówiąc to, puścił oko do Sylvie. - A takie ślicznotki zostawiam sobie na deser.

Sylvie zarumieniła się, a bracia wybuchnęli śmiechem.

- Przyznaj się, George, czy to ty? - dociekał lord Howell. próbując zajrzeć pod przepaskę na oku. - Wystarczyłaby zwyczajna maska. Nie musiałeś narażać się na taki wydatek, żeby zabawić dzieci. I tak są rozpieszczone.

Szczupły czternastoletni Layne wziął do ręki zabytkowy pistolet.

- Imponujący, ojczu. Można by pomyśleć, że jest prawdziwy - powiedział, przyglądając się broni, po czym wycelował lufę prosto w matkę.

Gerard natychmiast odebrał mu pistolet. Tylko Lucy nie dała się zwieść jego łagodnemu uśmiechowi.

- Ależ oczywiście, że to prawdziwa broń. Inaczej ten wilk morski nie miałby szans w walce przeciwko marynarce Jego Królewskiej Mości.

Rzucił pistolet piratowi. W tym momencie lord Howell rozpoznał Gerarda i dobrotliwy uśmiech zniknął z jego twarzy. Spojrzał z troską na Lucy. Patrzyła na niego rozmarzonym wzrokiem, myśląc o tym, jak przystojnym mężczyzną musiał być w młodości. Oczywiście nawet w połowie nie tak przystojnym jak jej ochroniarz.

- Claremont? - upewnił się lord Howell. - Co za wieczór. Pełen tajemnic, nieprawdaż?

- Nie zna pan większości z nich, sir - odpowiedział Gerard, kłaniając się dwornie. - Proszę wybaczyć moje wtargnięcie, ale uznałem, że w ten sposób łatwiej będzie ustrzec pannę Snow przed jakimś nieprzewidzianym wypadkiem.

- Czy to naprawdę konieczne? To zwykłe spotkanie towarzyskie. Pod moim dachem naszej drogiej Lucy nic nie grozi. Co najwyżej może się potknąć o .spaniela.

- Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, co może tu czyhać na naszą Lucy.
- No pewnie - wtrącił się do rozmowy pirat. - Musisz pilnować, żeby nie wpadła w łapy łotrów takich jak ja. Na moim statku jest jeszcze sporo miejsca dla ładnych panienek.
-Spojrzał znacząco na Sylvie. Jego zielone oko błysnęło zagadkowo.

Rozbawiona Sylvie parsknęła, nawet lady Howell roześmiała się nerwowo.

Lucy podjęła grę. Podeszła do pirata, dotknęła złotego kolczyka w jego uchu i mrugnęła przekornie.

- A co z nimi robicie, żeglarzu, kiedy już macie je na statku?

Jej śmiałość zaskoczyła pirata nie mniej niż Howellów. Gerard złapał ją za łokieć i ścisnął jak w imadle.

- Panno Snow, niektóre sprawy lepiej pozostawić wyobraźni. Opowieści o okrucieństwach piratów nie nadają się dla tak delikatnych uszu. Niech pani zostawi dochodzenie profesjonalistom.

Jednym szarpnięciem wyprowadził Lucy z tłumu gapiów, po czym wrócił, złapał pirata za kołnierz, podniósł go ze schodów i ruszył w kierunku alkowy.

- Czy zamierza go pan wychłostać? Poznać jego tajemnice? Będzie go pan torturował? - z nadzieją w głosie dopytywał się Christopher.

Gerard wykrzywił usta w nieładnym grymasie, który miał uchodzić za uśmiech.

- Tylko jeśli zajdzie taka konieczność.

- Ciekawa postać, nie sądzisz, kochanie? - szepnął do żony lord Howell. - Myślałem, że to George, ale teraz nie jestem pewien. A może to syn sir Marcela? Słyszałem, że chłopak ma skłonność do takich psikusów.

Lady Howell podniosła do oka lornetkę i potrząsnęła smutno głową.

- Kimkolwiek jest ten człowiek, zupełnie brak mu wyczucia. Jeszcze nigdy nie widziałam, by ktoś przebrał się z taką... przesadą.

Towarzystwo powoli rozchodziło się, tylko Lucy nadal przyglądała się ostrej wymianie zdań między Gerardem a nieznajomym. Jak zwykle, jej uwagę przyciągały nieistotne szczegóły, takie jak pasemko jasnych włosów wystające spod peruki, śmiałe spojrzenie zielonego oka, chuda postura. Pirat był o głowę wyższy od Gerarda i dużo od niego chudszy.

Miała wrażenie, że mężczyzną bawi ta sytuacja, ale po chwili uśmiech na jego twarzy zamienił się w bolesny grymas niezadowolenia.

- Przyjaciel? - zapytała Lucy, kiedy Gerard podeszedł do niej po skończonej rozmowie.

- Dawny znajomy - odparł krótko.
- Zdziwiałę. Nie wiedziałam, że masz takich znajomych.

- - Mało o mnie wiesz. Jeszcze nieraz się zdziwisz. – Złapał ją za ramię i spojrzał w oczy tak intensywnie, jak gdyby chciał nauczyć się ich na pamięć. Desperacja, jaką wyczuła w jego uścisku natychmiast przywróciła jej przytomność.

Rozmowę przerwał hałas dochodzący z za drzwi. W progu stali dwaj speszeni ogrodnicy, między nimi zaś mężczyzna odziany jedynie we flanelowe kalesony. Zszokowani goście zgromadzeni w sali balowej odwrócili się w stronę przybyszów.

- Wepchnął mnie w krzaki! - awanturował się mężczyzna w kalesonach. -Jak jakiegoś śmiecia. Jestem ksiązę Mannington! Na Boga, jestem parem, przysięgam, że ten łajdak zgnije w lochu! Jeszcze dziś trafi do Newgate. - Miotał wściekłym wzrokiem po sali. - To on! Ta maska sporo mnie kosztowała. Wszędzie bym ją rozpoznał. Brać go!

Nie tracąc cierpliwości, lord Howell zdjął maskę. I w samą porę, bo inaczej jego własna służba zaciągnęłaby go do więzienia.

Oskarżyciel, nie zrażony niepowodzeniem, próbował w morzu masek wyłowić złodzieja. Nagle jego twarz pojaśniała.

- Tam! Tam! - wskazał drżącą ręką. - Ukrył się za kolumną! To ten łotr!
- Tym razem trafił na wikarego - szepnęła Lucy.

Ksiązę wpadł w szal. Zaczął oskarżać wszystkich mężczyzn po kolei. Kątem oka, Lucy dostrzegła, że przebrany pirat, korzystając z zamieszania, wymknął się przez okno alkowy.

Gerard pociągnął Lucy ku wyjściu na taras.

- I na nas już pora.

Zatrzymała się gwałtownie i popatrzyła na niego z nadąsaną miną.

- Aleja chcę tańczyć. Zamierzam przetańczyć całą noc!

Gerard popchnął drzwi. Zachłysnęła się świeżym, mroźnym powietrzem i uprzytomniła sobie, że jest środek nocy. Nim ochłonęła, potknęła się na wystającym kamieniu i byłaby upadła, gdyby w ostatniej chwili czujny Gerard nie chwycił jej w ramiona. Ich zamaskowane twarze dzieliły jedynie centymetry. Jego usta były twarde, zaciśnięte; jej - niepewne, lekko rozchylone. Oddechy zmieszały się. W powietrzu wirowały bajkowe płatki śniegu.

Lucy podniosła oczy i spojrzała z zachwytem w niebo. Wyrwała się z jego objęć i śmiejąc się, pobiegła przed siebie.

- Gerardzie, och Gerardzie! Tylko popatrz! Nie pamiętam, kiedy ostatnio w

Londynie padał śnieg. Czyż to nie cudowne?

Gerard dopiero teraz zauważył biały puch spadający z szarego nieba. Widział tylko roześmianą Lucy, unoszącą w euforii nagie ramiona, jak gdyby chciała objąć cały świat. Otworzyła usta i jak dziecko łąpała na język płatki. Wiedział, że nigdy nie pozwolono jej tak się zachowywać.

- Jesteś cudowna.

Słyszając jego poważny ton. Lucy przystanąła. Nagle dotarło do niej, że jest środek zimy. Objęła się rękami, choć to nie chłód nocy wywołał jej dreszcze, lecz dziwny płomień, który dostrzegła w jego oczach. Płomień, który przyciągał ją jak magnes.

Śnieg przyprószył mu włosy i ramiona. Chcąc upewnić się, że to jej wspaniały ochroniarz, a nie jakiś obcy mężczyzna, Lucy zdjęła mu z twarzy maskę.

- Cóż to, panie Claremont, myślałam, że bez okularów jest pan ślepy jak nietoperz - powiedziała z uśmiechem.

W jego oczach nie było wesołości, do jakiej zdążyła przywyknąć i na jaką w tej chwili liczyła.

- Jestem ślepy. Poza tobą nie widzę niczego.

Gerard zdjął jej maskę. W pierwszej chwili, na widok niewinnej tęsknoty w jej oczach, pomyślał, że musi natychmiast odwieźć ją do domu. Byle dalej od siebie.

Chwycił jej dłoń i zaczął biec. Trzymając się za ręce, pędzili przez zasypany śniegiem trawnik. Lucy śmiała się beztrudnie. Przez głowę przelatywały jej jakieś wspomnienia, których teraz, w stanie tak cudownego oszołomienia, nie rozpoznawała.

Zatrzymali się na końcu podjazdu. Gerard rozejrzał się, ale nigdzie nie widział ich powozu.

- Admirał musiał go zabrać. Pewnie przyśle po mnie później - powiedziała Lucy, a widząc minę Gerarda, dodała: - Chyba nie przypuszczałeś, że pójdzie do domu pieszo?

Ruszyli w kierunku najbliższego powozu, stojącego po drugiej stronie podjazdu. Wieczór był jeszcze wczesny, woźnica pewnie przegrywał gdzieś w karty wyplatę. Para wspaniałych gniadoszy poruszyła się nerwowo, słysząc ich kroki. Zaniepokojone konie zarżały, wypuszczając z nozdrzy kłęby pary.

- Ten musi nam wystarczyć. - Gerard chwycił Lucy w pasie, podniósł bez większego wysiłku i wsadził do pięknej kabiny. Kiedy była już w środku, rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi.

Zanim zamknął drzwi, Lucy pokiwała mu palcem przed nosem.

- A teraz się przyznaj. Czy to ty pozbawiłeś tego nieszczęśnika ubrania?

Położył rękę na sercu, jak gdyby zadała mu śmiertelny cios.

- Oskarżasz mnie? Obrońcę prawa i porządku?

- Człowieka, który nie waha się ukraść powozu, jeśli zachodzi taka potrzeba - zauważyła.

- Pożyczyć - poprawił.

Jej oczy błyszczały figlarnie.

- Nie jestem pewna, sir, czy mogę panu towarzyszyć. A jeśli spróbuje pan pozbawić mnie ubrania?

Gerard poczuł ogień w łądźwiach. Chciał położyć ją na pluszowej ławce i zrobić to, co zasugerowała. Westchnął ciężko, po czym objął ją za szyję i przysunął do siebie. Ich usta prawie się dotykały.

- Nie kuś mnie.

Popchnął ją delikatnie. Chichocząc, opadła na miękkie poduszki. Przez ułamek sekundy widział jej koronkową halkę i różowe pończochy.

Z ciężkim sercem zamknął za nią drzwi powozu. Oparł głowę o szybę, w nadziei, że chłodne szkło ostudzi jego rozpalone czoło. Co, go u diabła, podkusiło, by poić stateczną pannę Snow szampanem?

Zanim wsiadł na kozioł, przyjrzał się umieszczonemu na drzwiach herbowi. Rysunek przedstawiał orła w locie. Między rozpostartymi skrzydłami ptaka wykaligrafowano nazwisko właściciela: *Mannington*. Widział już ten herb. Przecież to ten powóz, w deszczowy jesienny wieczór, potracił na ulicy dziewczynkę, po czym odjechał, nawet nie zwalniając.

Gerard odrzucił w tył głowę i uśmiechnął się ponuro. Widać los wybrał go, by wymierzał sprawiedliwość, ale przeklął, nie pozwalając, by sam jej doświadczył.

W drodze do domu Lucy zabawiała Gerarda, śpiewając nieprzyzwoitą piosenkę, której nauczyła się od lokaja. Miał wrażenie, że kilka zwrotek wymyśliła na poczekaniu. Kiedy tekst zaczął robić się coraz bardziej odważny, Gerard przewrócił oczyma. Widział, że Lucy nie ma pojęcia, jakie wrażenie wywiera na nim jej zmysłowy kontralt. Strzelił z bata i popędził konie.

Zatrzymali się na końcu podjazdu. Miał nadzieję, że domownicy nie zauważą, czym przyjechali. Na szczęście nikt nie wyszedł im na spotkanie. Tak jak przewidział, służba nie spodziewała się, że wrócą z przyjęcia tak wcześnie.

Cichutko otworzył drzwi powozu. Na widok rozbawionej Lucy sam już nie wiedział, czy powinien ją ukarać za nieprzyzwoite zachowanie, czy pocałować, by całkiem straciła zmysły.

Otrząsnął się, kiedy chwiejnym krokiem wytoczyła się z powozu, pochyliła do przodu i oparła na nim głowę. Aż się prosi o klapsa, pomyślał. Delikatnie wziął ją na ręce. Na znak protestu zaczęła wierzcąc nogami.

- Do cholery, Lucy, uspokój się - rozkazał, lecz jego gniew nie był szczery.

Nagle stracił kontrolę nad własnymi rękoma. Prawa dłoń wspinała się w górę, pod jej spódnicą, z zamiarem zrobienia czegoś zupełnie szalonego.

- Jak śmiesz! - jęknęła. - Ojciec nigdy mnie nie uderzył.

- A powinien. Codziennie.

Lucy zachichotała.

- Nie dawałam mu powodów. Zawsze byłam grzeczną dziewczynką. Panie Claremont, czyżby nie uważał mnie pan za grzeczną dziewczynkę?

- Anielską - odparł, kiedy jego palce napotkały pod podwiązką, gładką nagą skórę.

- Brat Sylvie nauczył mnie nowej piosenki. Chcesz usłyszeć?

- Nie,

Ignorując jego poważną minę, Lucy odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła wykrzykiwać coś, co miało być piosenką o tym, jak kapitan Doom porwał młodą arystokratkę i pozbawił ją cnoty.

Gerard zacisnął zęby. Boże, jak nienawidził tego pirata! Szkoda, że nie mógł jednocześnie włożyć jednej ręki pod jej spódnicę, a drugiej trzymać na ustach. Na samą myśl o takiej śmiałości spocily mu się dłonie.

Drzwi domu otwarły się, nim zdążył w nie zapukać. Gerard przez chwilę wahał się, czy lokaj powinien oglądać pannę Snow w takim stanie. Odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że przywitał ich Smythe.

Kamerdyner, odziany w powiewającą na wietrze koszulę nocną, trzymał w ręce świecę. Nawet nie mrugnął okiem, widząc Lucy w tak niezwykłej pozie.

- Dobry wieczór, panie Claremont. Panienko Lucy, mam nadzieję, że wieczór się udał - powiedział.

- Było całkiem znośnie - odparł Gerard. - Musieliśmy wyjść trochę wcześniej.

Smythe zerknął na Lucy.

- Roztropnie z pańskiej strony, sir.

Lucy, ciekawa, co się dzieje, zaczęła się wiercić. Gerard usłużnie obrócił się, by mogła lepiej widzieć.

- Nauczyłam się dziś nowej piosenki, Smythe. Chcesz posłuchać? - zapytała z nadzieją w głosie.

Kamerdyner położył palec na ustach.

- Może rano, panienko. Mam potworną migrenę.

Gerard zauważył, że istotnie Smythe jest dziwnie blady. Pod oczami miał sińce. Zastanawiał się, czy kamerdyner nic cierpi przypadkiem na coś poważniejszego niż zwykły ból głowy.

- Biedny Smythe - wzruszyła się Lucy i pochyliła się, by poprawić mu szlafmycę. - Biedny, kochany Smythe.

Kamerdyner postawił świecę na stoliku przy wejściu i wyciągnął rękę.

- Pan pozwoli, sir.

Gerard instynktownie ścisnął bezwładne ciało Lucy. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nie chciał wypuścić jej z ramion.

Smythe uśmiechnął się do niego uprzejmie. Chyba przeczuwał, że Gerard chętnie zniknąłby z dziewczyną w ciemnościach nocy.

- Zaopiekuję się nią, sir.

Gerard niechętnie oddał Lucy w ręce kamerdynera. Choć Smythe był mężczyzną drobnej budowy, zdawało się, że Lucy nie jest dla niego żadnym ciężarem. Oparła głowę na jego ramieniu, uśmiechnęła się i od razu zasnęła.

Gerard nagle poczuł rozdzierającą pustkę.

Kiedy Smythe ruszył w kierunku schodów, Lucy otworzyła jedno oko, zerknęła mu przez ramię i mrugnęła sennie.

- Dobranoc, Gerard.

- Dobranoc, Myszko.

Machnęła ciężką ręką. Na ten widok serce Gerarda omal nie wyskoczyło z piersi. Położył palec na ustach w geście pożegnania, a gdy Smythe i Lucy znikli, wyszedł w mrok nocy.

Przed drzwiami do swojego pokoju Lucy zrzuciła pantofle.

- Byłam bardzo niegrzeczną dziewczynką, Smythe. Wypiłam trzy kieliszki szampana. Czy jesteś zaskoczony?

- Jestem oburzony. - Oschły ton kamerdynera świadczył, że wcale tak nie jest.

Nie tracąc czasu na rozbieranie sennej dziewczyny, położył ją na łóżku, przykrył kapą i ze zwyczajną dla siebie rzeczowością zajął się wygasającym ogniem w kominku.

- To i tak bez znaczenia, prawda? - nastrój Lucy nagle się zmienił.

Smythe odłożył pogrzebacz i wyprostował się.

- Co takiego, panienko Lucy?

- To, czy jestem grzeczna. Choćbym nawet była doskonała, admirał i tak by mnie nie pokochał.

- Myślę, że on nie jest do tego zdolny. To nie twoja wina, Lucy. - Smythe zapatrzył się na trzaskający w kominku ogień.

- Pan Claremont powiedział, że jestem cudowna - odezwała się z dumą.

Smythe podszedł do niej i usiadł na brzegu łóżka. Odkąd sięgała pamięcią, był jej niańką, nauczycielem, najlepszym przyjacielem. To on pochylał się nad jej kołyską, gdy płakała. Znała go na tyle dobrze, że wiedziała, kiedy sprawia mu przykrość.

- Lubisz pana Claremonta, nieprawdaż?

Szampan odebrał jej zdolność formułowania logicznych zdań. Kiwnęła głową, która okazała się tak ciężka, że przez chwilę zdawało jej się, iż odpadnie i potoczy się po dywanie.

- Byłoby ci przykro, gdyby odszedł, prawda?

Przeszył ją dreszcz niepokoju.

- O co ci chodzi, Smythe? - zapytała, ściskając jego dłoń. - Myślisz, że admirał go odprawi, kiedy dowie się, jaką gęś zrobiłam z siebie na przyjęciu? Nie powiesz mu, prawda? Już nigdy nie wezmę do ust szampana, przysięgam, ale nie mów admirałowi, dobrze?

Poprawił jej poduszkę.

- Twoje tajemnice są bezpieczne. Spij, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Kamerdyner wstał i podszedł do drzwi.

- Marny z ciebie kłamca, Smythe - usłyszał, kiedy naciskał klamkę.

Uśmiechnął się do niej smutno.

- Jestem lepszym kłamcą, niż podejrzewasz.

Lucy leżała na plecach i przyglądała się ceniom tańczącym na suficie. Tajemnicze słowa Smythe'a zupełnie popsuły jej nastrój i sprawiły, że zamiast złotych bąbelków

szampana czuła w ustach tylko gorycz. Przyszłość bez Gerarda malowała się w wyjątkowo ponurych barwach.

Właściwie to nie było się nad czym zastanawiać. Jej życie wróci do poprzedniego stanu. Znow będzie uporządkowane i przewidywalne. Smythe i admirał będą się razem starzeli, a jej codzienne obowiązki ustalone będą przez ojca. Minuty znow będą się przeciągać w nieskończoność, a ziarenka piasku w ukochanej klepsydrze admirała zastygać w bezruchu.

Lucy jęknęła cicho i wtuliła twarz w poduszkę. Melodia walca wiedeńskiego nie przestawała jej prześladować. Jeszcze niedawno tańczyła w ramionach ukochanego mężczyzny, czuła się młoda i beztroska. Pierwszy raz w życiu.

Teraz znow miała sto lat. Oczyma wyobraźni widziała swoją suchą, pomarszczoną skórę i sztywne kości. Leżała, użalając się nad sobą, kiedy na schodach rozległy się odgłosy kroków ojca.

Wstrzymała oddech, jak zawsze, gdy ojciec zbliżał się do jej drzwi. Obudziły się w niej dziecięce marzenia. Jeśli nie otworzy oczu i będzie udawać, że śpi, może ojciec otworzy drzwi i podejdzie na palcach do jej łóżka? Może się pochyli, dotknie jej włosów? Może pocałuje w czoło i powie, że jest grzeczną dziewczynką i że jest z niej dumny? A wtedy ona otworzy oczy i rzuci mu się w ramiona. Będą się śmiać i płakać, a w końcu wyznają sobie miłość.

Lucy zacisnęła dłonie na kołdrze. Jeśli ojciec przyjdzie, natychmiast zapomni o Gerardzie, przyrzekła sobie w duchu. I już zawsze będzie posłuszną córką. Tak jak chce admirał.

Poderwała się, kiedy nagle na korytarzu rozległ się hałas i coś uderzyło w jej drzwi.

- Jasna cholera! - ryknął z wściekłością admirał. - Ile razy mam powtarzać tej głupiej dziewczynie, żeby nie rozrzucała swoich rzeczy? Nie nauczy się porządku, dopóki nie skręcę sobie karku!

Lucy otworzyła zaciśnięte oczy dopiero wtedy, gdy ucichły nierówne kroki. Gdzieś na górze głucho trzasnęły drzwi.

Skuliła się i zaczęła cicho płakać.

Kiedy się obudziła, jej oczy były suche. Wstała z łóżka i bezszelestnie wymknęła się z sypialni.

Jej zdecydowanie minęło, gdy dotarła pod okno domku przy bramie. Przydałby się kieliszek szampana. Złociste bąbelki dodałyby jej odwagi.

Wiatr dmuchał ostrymi płatkami śniegu prosto w twarz. Ileż to razy Gerard, stojąc tu, w tym miejscu, patrzył w jej okna? Teraz kolej na nią. Dziś w nocy ona będzie tu drzeć z

zimna niczym żebrak, zastanawiając się, czy ją wpuści.

Przytupując w miejscu, żeby rozgrzać zziębnięte stopy, Lucy podniosła rękę, by zapukać. W ostatniej chwili sparaliżował ją strach. Zaciśnięta pięść zawisła w powietrzu, zanim dotknęła drzwi.

„Nie wahaj się, dziewczyno. Obierz kurs i się go trzymaj, bo inaczej zaczniesz pływać w kółko”.

- Dziękuję, ojcie - szepnęła Lucy, uśmiechając się nad ironią tego skojarzenia.

Podniosła rękę i zdecydowanie zapukała. Za drzwiami natychmiast rozległy się ciche kroki. Na szczęście nie wyciągnęła Gerarda z łóżka.

- Smythe, przecież jeszcze nie ma szóstej. Za oknem ciemno jak cholera, a ty... - powiedział, otwierając.

Podchodząc do drzwi, szamotał się z koszulą, ale kiedy okazało się, że w progu nie stoi kamerdyner, zarzucił ją tylko na ramiona. Lucy nie mogła oderwać wzroku od jego muskularnego torsu.

Westchnęła z rozmarzeniem. Miała ochotę dotknąć kasztanowych włosków na klatce piersiowej, sprawdzić, czy miódowa skóra jest ciepła. Powoli podniosła wzrok i spojrzała Gerardowi w oczy.

Nie miał okularów. Nic jej od niego nie oddzielało.

- Myślałem, że Smythe położył cię spać.

- Wstałam.

Ponieważ nie wykonał żadnego zapraszającego gestu, ale i nic okazał niezadowolenia. Lucy precyzyjnie się obok niego i bez słowa wtargnęła do jego sanktuarium. Nie zwróciła uwagi na to, że zahaczyła pończoszką o deskę, zaintrygowana męską atmosferą sypialni. W środku panowało przyjazne ciepło, w niczym nie przypominające surowego domu ojca.

Na stoliku przy łóżku paliła się lampka nocna, maskując niedoskonałości skromnego umeblowania. Obok lampki leżało kilka książek. W kominku, w rogu pokoju, dogasał ogień. Przez głowę Lucy przebiegła obawa, że przyszła zbyt późno.

Na ramie prostego łóżka wisiał wyblakły koc. Wyobraziła sobie Gerarda chowającego się pod nim przed zimmem. Otulony kocem, uśmiechał się niewinnie jak mały chłopiec. Na karku poczuła powiew mroźnego powietrza. Dopiero teraz przypomniała sobie, że nie zamknęła za sobą drzwi.

- Nigdy tu nie byłam - wyznała. Była gotowa zrobić wszystko, byle tylko nie wyprowadził jej za ucho z tego przytulnego pokoju.

- Wątpię, by Fenster organizował tu jakieś spotkania towarzyskie. Nie wygląda mi na kogoś, kto lubi się bawić. Ja w tej chwili też nie mam ochoty na rozrywki.

Nie zanosilo się, że wyjdzie, więc Gerard odwrócił się do niej plecami i oparł o framugę, jak gdyby czekał na odpowiedni moment, by ukryć się przed nią w mroku. W słabym świetle lampy pod koszulą rysowały się jego napięte mięśnie. Lucy miała ochotę go dotknąć, uspokoić.

Podeszła do niego i wsunęła dłoń pod luźną koszulę. Jej drżące palce dotknęły cieplej skóry. Niestety, efekt okazał się inny, niż oczekiwała. Gerard jeszcze bardziej zeszywniał.

- Nie!

Trzasnął drzwiami i spojrzał na Lucy z niechęcią w oczach. Na jego twarzy widać było desperację. Mimowolnie zrobiła krok w tył.

- Lucy, nie traktuj mnie jak dziewczęcą fantazję. Nie jestem szlachetnym kapitanem Doomem. Jestem człowiekiem z krwi i kości. Jeśli mnie zranisz, będę cierpiał i krwawił. Jeśli sprowokujesz, zaatakuję. Uważaj, bo dla własnej egoistycznej przyjemności mogę wziąć to, co mi oferujesz. Mogę skompromitować naiwną dziewczynę, która wypila zbyt dużo szampana, by myśleć o konsekwencjach swojego zachowania. - Lucy gotowa była przysiąc, że w jego głosie słyszy błagalną nutkę. - Wierz mi, lepiej, żebyś myślała o swoim duchu niż o mnie.

Lucy nic poddawała się.

- Całe życie spędziłam z cieniem ojca i duchem matki. Potrzebuję kogoś, kogo można dotknąć. Kogoś ciepłego. Prawdziwego.

Gerard zacisnął zęby, z trudem powstrzymując gorzki śmiech. Zanim spotkał Lucy, czuł się jak zjawą, cień człowieka. Teraz, kiedy stała przed nim, odważna i zdeterminowana, z dumnie uniesioną głową i jedwabistymi włosami niedbale przewiazanymi złotą przepaską, znów poczuł się mężczyzną. Krew coraz szybciej krążyła w jego żyłach, ciało ogarniała gorączka, a szum w uszach zagłuszał głos sumienia.

Jeszcze ze sobą walczył, jeszcze się opierał, ale kiedy Lucy spojrzała na niego błagalnie, bez śladu uporów i dumy, poddał się.

- Nie musisz mi niczego obiecywać - szepnęła, opuszczając wzrok.

Chwycił ją za rękę i brutalnie przyciągnął do siebie. Wiedział, że to ostatni moment, by zawrócić z drogi wiodącej do nieuchronnej klęski.

- Czego chcesz? Tego?

Popchnął ją na drzwi i przygwoździł, wpychając kolano między uda. Pochylił się i

wsunął język w rozchylone, wilgotne usta. Jęknęła cicho i objęła go, jak gdyby bała się, że straci równowagę i osunie się na podłogę.

Jego usta nagle znalazły się przy jej uchu. Usłyszała zduszony szept.

- Czy po to tu przyszedłeś, moja słodka Myszko? A może raczej po to?

Musnął zębami płatek ucha. Jego dłonie wędrowały po jej plecach, zsuwały się coraz niżej. Przysunął się bliżej i jego biodra przylgnęły do miękkiego brzucha. Westchnęła, kiedy uświadomiła sobie, że gotowa jest ulec jego pożądaniu.

Kontemplując krągłości jej pośladków, odchylił głowę i spojrzał na nią wygłodniałym wzrokiem. Pożądliwie patrzył na jej smukłą szyję, ale jego uwagę najbardziej przyciągały drobne piersi.

Gerard wiedział, że za taką bezczelność należał mu się policzek. Spodziewał się, że Lucy opanuje chwilową słabość, przybierze lodowaty wyraz twarzy i nazwie go nieokrzesanym prostakiem. Albo rozplacze się i z krzykiem pobiegnie po Smythe'a.

Nawet w marzeniach nie przypuszczał, że położy na jego policzku chłodną dłoń i pocałuje z takim zapamiętaniem, że nie będzie miał siły się bronić.

Zawstydzony jej delikatnością, złagodził uścisk, a jego dłoń znalazła bardziej przyzwoite miejsce na plecach.

- Jesteś kompletnie pijana - powiedział, z trudem odrywając się od jej ust.
- Na lekkim rauszu - poprawiła.
- Wykorzystam cię - ostrzegł.
- Obiecujesz?

Roześmiał się, widząc, z jaką nadzieją na niego patrzy. Odgarnął jej z twarzy włosy i spojrzał w błyszczące oczy. Została jej tylko jedna noc, by go kochać, pomyślał. Przez resztę życia będzie go nienawidzić.

Z tą świadomością popchnął ją w kierunku łóżka. Kiedy człowiek raz zagrał w tę grę, jej zasady zapamięta do końca życia.

Lucy poczuła, że spada w nieznaną, upajająco słodką przepaść, niebezpieczną, ale kuszącą. Klęczeli na łóżku, na drapiącym kocu. Ich twarze blisko siebie. Wytrzeźwiała, widząc żądzę w jego oczach.

W obawie, że Gerard zauważy jej strach, sięgnęła do lampki, by zgasić światło.

Złapał ją za rękę.

- Nie, zostaw. Lubię światło.

Kątem oka na stoliku nocnym dostrzegła świecznik i kilka świec. A więc jednak zabezpieczał się przed mrokiem nocy. Wzruszył ją ten widok. Podejrzewała mimo wszystko,

że Gerard równie mocno jak ciemności nienawidzi światła.

Zdjął jej z głowy przepaskę. Jedwabiste włosy rozsypały się jej na ramiona, odbijając blade światło lampy. Skóra nabrała perłowego blasku. Lekka jak powietrze biała sukienka podkreślała jej jasną karnację. Gerard pomyślał, że to nie lampa daje światło. To Lucy jest ucieleśnieniem jasności. Promienna. Ulotna. Nieuchwytna.

Gerard zanurzył palce w jej włosach. Miał wrażenie, że chwycił w dłonie promienie księżyca. Zbyt długo był sługą ciemności. Światło, którego łaknął, było jego wrogiem. Emanująca od Lucy jasność przypominała mu o jego słabości, odkrywała pierwotną żądzę.

Mrucząc pod nosem jakieś niezrozumiałe zaklęcie, zgasił lampę. Oparł się o ramę łóżka i przyciągnął dziewczynę do siebie. Leżała między jego nogami, niczym w kołysce. To najlepszy sposób, w jaki może z nią być - jako pogrążony w mroku bezimienny kochanek. Objął ją od tyłu i nie puścił, choć protestowała.

- Ale Gerard, nie rozu...

- Ciii... - Przytulił się do niej policzkiem, uspokajając ją jak dziecko. - Pozwól mi się sobą zająć. W końcu to moja praca. Pamiętasz?

Przestała się wiercić. Jej delikatne plecy przylgnęły do jego napiętego ciała. Przełknął ślinę, próbując uspokoić oddech. Ależ był naiwny, sądząc, że wie, co to tortury. Prawdziwy ból poznał dopiero teraz, kiedy odczuwając tak wielką rozkosz wiedział, że nie zaspokoi żądzę. Niebo pomieszało się z piekłem.

Zaczął ją pieścić.

Wystarczył jeden jego dotyk, by pękła skorupa, w której Lucy chowała się przed światem od prawie dwudziestu lat. Palce Gerarda musnęły jej skronie, zsunęły się niżej, po szyi, by na chwilę zatrzymać się na karku.

- Mówiłam już, że nic lubię, gdy ktoś mnie dotyka - wymruczała.

- A ja powiedziałem ci wtedy, że kłamiesz - odparł, wsuwając czubek języka za jej ucho.

Udowodnił jej, że miał rację... cudownymi dłońmi magika. Spracowanymi, szorstkimi dłońmi mężczyzny. Lucy jak zahipnotyzowana obserwowała, jak błądzą po jej plecach, zsuwają jej z ramion sukienkę, obnażają małe różowe piersi.

W pierwszym odruchu, zawstydzona, chciała zasłonić swą nagość. Gerard, jej ochroniarz, jej obrońca, zrobił to za nią. Zadrzała z rozkoszy i przerażenia, uświadomiwszy sobie, że patrzy na nią znad ramienia. Jej piersi idealnie mieściły się w jego dłoniach, jak gdyby właśnie dla niego były stworzone. Bawił się jej sutkami, kreśląc wokół nich kółka i delikatnie je masując, aż poczuła ciepło między udami. Ogarniała ją coraz większa rozkosz i

pragnienie. Z jej gardła wyrwał się cichy jęk. Wyprężyła się, przysuwając krągłe pośladki do jego twardego podbrzusza.

Gerard czuł, że szybciej od niej osiągnie granice wytrzymałości. Pocałował ją w kącik ust.

- Czy mam przestać?

Pokręciła głową, potem pokiwała, a potem znów pokręciła. Wykorzystał jej niepewność i podciągnął jej sukienkę i cieniutką haleczkę. Odsłonił koronki u pończoch, różyczki wyhaftowane na podwiązkach, aż dotarł do jedwabnych majteczek.

- *Vive la revolution* - mruknął ochryple. Co za szczęście, że angielskie panienki z dobrych domów uległy dekadencej francuskiej modzie. Wiedział, że od tej chwili nie powstrzymałby go nawet żelazny pas cnoty.

Oszalał na widok frywolnej koronkowej bielizny, kontrastującej z niewinnością jej alabastrowych ud. Chcąc ukryć drżenie rąk, położył je na jej kolanach. Wyczuł, że przeszedł ją dreszcz.

Pochylił się i wtulił twarz w jej szyję.

- Nie bój się, Lucy. Przestanę, gdy tylko tego zażadasz. Przysięgam, nie dotknę cię, jeśli nie będziesz tego chciała.

Jego przyrzeczenie nie złagodziło jej strachu. Chciała, żeby jej dotykał. Wszędzie. Chciała czuć jego dłonie nawet w tych zakazanych miejscach, których nigdy nie śmiała nazwać. Nie bała się jego dotyku. Przerażała ją myśl, że będzie musiała się upokorzyć i błagać go o to.

- Proszę...

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ta prośba nie wyszła z jej ust.

Gerard najdelikatniej, jak potrafił, rozsunął jej kolana. Patrzyła, jak jej uda rozchylają się dla niego. Jego pewne palce błądziły po kremowej skórze, z każdym ruchem jego kciuki przybliżały się do wilgotnego jedwabiu.

Wstrząsnęły nią dreszcze, kiedy ciepłe dłonie wsunęły się pod delikatny materiał i dotknęły jej pulsującego ciała.

Ta intymna pieszczota była najwspanialszym przeżyciem, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Odwróciła do niego twarz i zamknęła oczy. Po policzkach spłynęły jej łzy.

Gerard umiejętnie wziął we władanie całe jej ciało. Jego kciuk z wyczuciem masował zagłębienie pod delikatnymi jak puch włoskami, budząc nieznaną dotąd rozkosz. Lucy poczuła, że zaczyna płonąć.

Jej dłonie w niemym błaganu zacisnęły się na jego umięśnionych udach. Ciało

poddawało się zmysłowemu rytmowi jego pieśczości. W pewnym momencie, bojąc się, że całkowicie się zatraci, w desperacji próbowała złączyć uda, ale Gerard jej na to nie pozwolił. Jej ciało i serce należały już tylko do niego.

Kiedyś, gdy był młody i głupi, zależało mu jedynie na własnej przyjemności. Teraz chciał dać przyjemność tylko jej. Zaciśnął zęby, rozdarty między cierpieniem a ekstazą. Pragnął ją pocieszyć, zapewnić, że będzie przy niej, kiedy wybuchnie tysiącem mieniących się iskier.

Ale co on mógł jej ofiarować? Stek kłamstw? Obietnice, których nigdy nie dotrzyma? Przysięgi, które złamie, nim nadejdzie świt? Bał się odezwać, by nie powiedzieć czegoś, czego za chwilę pożałuje.

Stopniała w jego dłoniach. Kiedy jej szept zamienił się w jęk, wsunął w nią palec, nie przestając prowokacyjnie poruszać kciukiem. Była miękka jak jedwab, gorąca jak ogień. Jej chrapliwe westchnienie dodało mu odwagi. Włożył w nią drugi palec. Jej niewinne ciało przyjęło go z taką gotowością, że aż poruszył się pod jej słodkim ciężarem i z westchnieniem do niej przyłgnał. Pokusa, by odpiąć rozporek, była tak silna, że aż bolesna. Był na skraju utraty zmysłów, pragnął wsunąć w nią coś więcej niż palce. Dużo więcej.

Wtedy poczuł, że ciało Lucy zaczyna spazmatycznie pulsować. Pochłonęła ją fala rozkoszy. Poruszała rytmicznie biodrami, z nadzieją czekając na zaspokojenie dzikiej namiętności. Resztką rozsądku nakazała mu zamknąć jej dłonią usta. W ostatniej chwili powstrzymał ją przed krzykiem, który ktoś mógłby usłyszeć.

Jeszcze drżąca, opadła na jego piersi. Jej ciągle nienasycone dłonie nadal szukały ciepła jego ciała.

Gerard objął ją i przytulił. Jeszcze nigdy nie czuł tak silnej potrzeby, by ją chronić, jak teraz, kiedy była zupełnie bezbronna. Dała mu najcenniejszy prezent - swoje zaufanie, choć oboje wiedzieli, jak bardzo ryzykuje.

Odgarnął kosmyki wilgotnych włosów z jej zarumienionego policzka. Nagle, w przyływie trzeźwości, dotarło do niego, że oto ma w rękach doskonałe narzędzie, by osiągnąć swój cel.

Ziarno skandalu zasiał, tańcząc z nią na oczach wszystkich gości balu maskowego. Teraz należało ją skompromitować, pozostawić sam na sam z wściekłym admirałem i cierpliwie czekać na konsekwencje. Niewykluczone, że mogłoby to być nawet dziecko.

To zbyt banalne. Wyniosła córka admirała uwiedziona przez służącego. W ten sposób spełniłyby się najgorsze przewidywania jej ojca. Cały Londyn trząsłby się od plotek.

Lucy powoli wracała do przytomności. Gerard trzymał ją w ramionach jak w imadle.

Czuła jego twardość napierającą na jej pośladki. Zawstydziała się. On dał jej wszystko, nie prosząc o nic w zamian. Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy. Chciała, by zrobił z niej kobietę. Swoją kobietę.

Dotknęła ustami jego torsu. Skórę miał słoną od potu. Od tak dawna marzyła, by skosztować, jak smakuje. Wplątując palce wilgotne od swoich łez włosy, przesuwała dłoń w górę, by uwolnić go od koszuli, pod którą rysowały się jego muskularne ramiona.

Chwycił ją za nadgarstek.

- Nie!

Lucy podniosła zdziwione oczy i spojrzała pytająco. Jego duszą targają jakieś mroczne demony, które znał tylko on. Poczowała, że ogarnia ją dobrze znane przerażenie. Coś jej mówiło, że bez względu na wynik tej bitwy, i tak to ona przegra.

Przez chwilę patrzył na jej twarz, po czym prowokacyjnie spojrzał na jej piersi. W jego oczach było coś obcego. Lucy uświadomiła sobie, że sukienka bezwstydnie zwinęła się jej na brzuchu, podwiązki miała rozpięte, a pończoszki zsunęły się jej do kolan. Zawstydzenie z powodu nagości pokonało pożądanie.

- O co chodzi, Gerard? Czy zrobiłam coś złego?

Jego uścisk złagodniał, a oczy niebezpiecznie pociemniały.

- Nie, nic. Niczego nie zrobiłaś. I dlatego powinnaś teraz odejść. Zanim będzie za późno.

Niedbale pogłaskał ją po karku, po czym delikatnie odepchnął z kolan i wstał. Z obojętną miną włożył koszulę. Jego palce, które jeszcze przed chwilą doprowadzały ją do ekstazy graniczącej z bólem, teraz zapinały guziki tak niezdarnie, jak gdyby zamieniły się w sople lodu.

Gerard nie mógł sobie pozwolić na żadną delikatność. Nie miał współczucia, które mógłby jej ofiarować. Był zbyt sfrustrowany. Zbyt bliski eksplozji. Jeden jej dotyk, a przekroczyłby granicę. Pragnął jej wystarczająco mocno, by nie przejmować się konsekwencjami.

- Porozmawiamy o tym rano - powiedział ponuro. – Kiedy oboje odzyskamy rozum.

Lucy zerknęła w stronę szafy. Za uchylonymi drzwiami zobaczyła skórzaną walizę, potwierdzając swoje najgorsze obawy.

Poprawiła sukienkę, wstydliwie ukrywając nagość. Ogarnął ją dziwny spokój, przypominający ciszę morza po burzy.

- Nie będzie cię tu rano, prawda? Smythe powiedział mi, że ojciec cię odprawił,
- Odprawił? - Na jego twarzy widać było zaskoczenie. -Moja praca wiąże się z

takim ryzykiem. Jeśli pracujesz wystarczająco dobrze, przestajesz być potrzebny.

Ja cię potrzebuję!

Niewypowiedziane słowa zawisły między nimi. Tęsknota ciążyła jej na duszy jak kamień.

Próbując uniknąć jej wyzywającego wzroku, Gerard podszedł do szafy. Wyjął walizę i zaczął niedbale wrzucać do niej swoje znoszone ubrania.

Lucy przyglądała dół sukienki, po czym stanęła przy łóżku.

- Zabierz mnie ze sobą.

Gerard nerwowo zawiązywał apaszkę, próbując ukryć drżenie rąk. Lucy jest gotowa wszystko dla niego poświęcić - reputację, majątek, być może nawet miłość ojca. Poczł ukłucie w sercu. To dodało mu sił, by zrobić to, co postanowił.

- Panno Snow, powinna pani wracać - powiedział, nie patrząc na nią. Wiedział, że każde jego zimne słowo sprawia jej ból. - Nie chciałbym stracić przez panią referencji.

Za plecami usłyszał skrzypienie podłogi, a po chwili na karku poczuł podmuch zimnego powietrza. Podbiegł do drzwi, by popatrzeć, jak znika w mroku, niczym duch.

Uderzył pięścią we framugę drzwi. Lucy miała rację. Rankiem już by go tu nie było. Nie będzie go tu za godzinę. Bez względu na cenę, jaką zapłaci za pośpiech. Nie zniesie widoku Jonii ani minuty dłużej. Gdyby miał odwagę, wszedłby do jej sypialni, scałował z policzków łązy, ukoił szloch mocnymi, zdecydowanymi pchnięciami napiętego ciała.

Dotknął dłonią czoła, wdychając cytrynowy zapach, jaki pozostał na jego skórze. Piękna córka admirała nigdy nie dowie się, jak niewiele brakowało, by nie pozwolił jej odejść. Kiedy przybył do Jonii, nie miał nic do stracenia. Nie wiedział, że posiada coś, co można mu odebrać.

Serce.

17

Lucy stawiała niepewne kroki po skrzypiącym śniegu. Serce waliło jej jak młot, zagłuszając kołaczące się po głowie obojętne słowa Gerarda. Do twarzy przyklejały jej się lodowate płatki śniegu. Topniały po spotkaniu z ciepłymi łzami, spływającymi po policzkach.

Nie wiedziała, dokąd pójść, aż zobaczyła znajomy stary dąb. Jego sylwetka rozmazywała się w oddali. Podbiegła do samotnego drzewa. Upadła na kolana i objęła ramionami pień, szukając schronienia w cieniu nagich gałęzi.

Wiatr szeptał nocy swe złowrogie sekrety. Lucy patrzyła na przyprószony świeżym śniegiem ogród i choć nastrój miała wyjątkowo ponury, dostrzegła jego dziewicze piękno. Płatki śniegu wirowały po niebie w szalonym walcu, okrywając ziemię błyszczącym całunem. Zadrzała. Świat był taki cudowny. Ale i zdradliwy. Jak miłość.

Schowała twarz w dłoniach. Gerard już jej nie chciał, tak samo jak ojciec. Pewnie pożądał jej, tak jak ci wszyscy mężczyźni pożąдали kiedyś jej matki. Wiedziała, że nigdy nie zdobędzie jego miłości, choć jej ciało temu przeczyło, pamiętając czuły dotyk.

Dlaczego nikt nie był w stanie jej pokochać?

Od jutra nikt nie będzie się o nią troszczył ani czuwał nad jej bezpieczeństwem. Zgaśnie światło w domku przy furcie. Nikt nie będzie stał o świcie pod dębem, palił pachnących cygar i wypuszczał dymu prosto w jej nos. Jutro śmiech Gerarda będzie tylko wspomnieniem.

Objęła się i wbiła palce w ramiona, zanosząc się szlochem. Tym razem płacz nie złagodził rozdzierającego bólu. W końcu podniosła twarz i spojrzała w szare pochmurne niebo. Zimowy wiatr osuszył łzy. Przewiał na wylot jej duszę.

Zauważyła, że w oknie biblioteki pali się słabe światło. Gorycz ścisnęła jej gardło. A więc ojciec, choć zawsze był zbyt zmęczony, by zejść do jej pokoju i powiedzieć dobranoc, miał siłę, by przez całą noc pracować. Pewnie przeglądał wspomnienia, nanosząc na marginesy poprawki.

Lucy wstała. Wiatr, podwiewający jej cienką sukienkę, przypomniał jej tę noc, kiedy stała na pokładzie „Tiberiusa” i obserwowała wyłaniający się z mgły okręt kapitana Dooma. Gerard miał rację. Lepiej pozostać wierną fantazjom, niż czekać, aż prawdziwy mężczyzna złamie jej serce.

Ruszyła w stronę domu. Tym razem wiedziała, co robić. Podjęła decyzję. Nie pozwoli, by to ojciec go odprawił. Gerard odejdzie z własnego wyboru. Jeszcze nie wiedziała, jak o tym poinformować admirała, ale jednego była pewna: już nigdy nie pozwoli mu tak się traktować. Nie będzie się przed nikim płaszczyć i w ukryciu lizać ran.

Po cichu weszła do domu i przeszła przez hol. Jej odwaga nieco osłabła, kiedy zatrzymała się przed masywnymi drzwiami biblioteki. Ileż to razy ta pięknie rzeźbiona brama odgradzała ją od ojca? A tak niewiele potrzeba, by uszczęśliwić samotne dziecko - wystarczy poprawić kokardkę, uśmiechnąć się, a nawet skarcić, ale łagodnym tonem, zamiast karać zimną obojętnością, mrozącą wszystkie uczucia, zanim zdołają rozkwitnąć.

Lucy znów była małą, niezdarną dziewczynką. Przypominała sobie, jak stała na paluszkach, próbując dosięgnąć mosiężnej klamki, i ogarniał ją coraz większy strach. W końcu drżącą ręką otworzyła drzwi.

W pokoju panowała cisza. Czowała dziwny niepokój. Nim zgasło światło zapalki, dostrzegła odsuniętą szufladę sekretarzyka.

Nieśmiało weszła do środka.

- Ojciec? - szepnęła. - Smythe? - Jej głos był nieco pewniejszy.

Pomyślała, że to pewnie któryś ze służących zaszedł na kieliszeczek sherry, kiedy nagle z cienia wyłoniła się postać. Mężczyzna zbliżał się do niej z gracją polującego drapieżnika.

Lucy wpadła w panikę. Otworzyła usta, żeby zawołać na pomoc ojca.

Nic go nie obchodzisz, głupia dziewczyno. Nie licz, że przyjdzie, pomyślała.

Zmieniła zdanie. Postanowiła wezwać jedyne go człowieka, który ofiarował jej schronienie w swoich ramionach. To nic, że tak krótkie.

Gerard.

Bezlitosna dłoń zacisnęła się na jej ustach. Mężczyzna chwycił ją za ramię i zaciągnął do biurka admirała. Nie opierała się. Rozpacz i pustka były silniejsze od strachu.

Gerard nie nadchodził. Tym razem nie będzie pokazowej akcji ratunkowej. Nie pokona tajemniczego napastnika, nie osuszy jej łez.

Była naprawdę sama.

Ta świadomość zaczęła budzić w niej wolę walki. Nagle poczuła, że nie ma nic do

stracenia. Niczym dzika kotka, zwinnie obróciła się i ruszyła z pięściami do ataku. Mężczyzna jęknął cicho, kiedy z całej siły kopnęła go w goleń.

Rzuciła się na niego całym ciałem. Nie mogąc się wycofać, oparł się plecami o ciężkie, mahoniowe biurko. Lucy wykorzystała zamieszanie i wbiła zęby w jego rękę, aż poczuła na języku słony, metaliczny smak krwi.

Klnąc, na czym świat stoi, odsunął od niej dłoń. Zanim zdążyła krzyknąć, zasłonił jej twarz czymś wilgotnym i śmierdzącym. Przez chwilę Lucy myślała, że za karę zamierza ją udusić.

Mdlący słodki zapach drażnił oczy, wypełnił płuca. Członki odmówiły posłuszeństwa. Nie miała siły się poruszyć. Przed oczyma migały obrazy, przypominające pejzaże, które ostatnio malowała. Resztką świadomości podpowiedziała, że napastnik zwolnił uścisk. Chciała się obrócić, chwycić go, nim świat zupełnie się rozmyje.

Złapała go za szyję. Jej dłoń zsunęła się po kołnierzu. Próbując utrzymać się na nogach, ścisnęła poły koszuli, pod którą wyczuła ciepłe ciało. Kiedy ściągnęła mu z ramion ubranie, jej palce, przesuwane po jego skórze, natrafiły na świeżo zagojoną ranę.

Dokładnie taką bliznę mógł zostawić nożyk do otwierania listów.

- Doom - szepnęła.

Zdesperowana wyciągnęła rękę, ostatkiem sił próbując go powstrzymać. Niestety, potrafiła tylko ukochaną klepsydrę ojca, która potoczyła się na skraj biurka.

Czas zatrzymał się z hukiem, piasek wysypał się pod ich stopy. Lucy straciła przytomność, uwięziona w silnych ramionach Dooma.

- Smythe!

Dudniący ryk admirała przerwał poranną ciszę Jonii. Służba, znająca ciężką rękę swojego pana, skryła się w najodleglejszych zakamarkach domu, przeczuwając burzę.

Lucien Snow sunął schodami w dół. W ręce trzymał laskę, która tym razem nie służyła mu do podpierania. Zdawało się, że za chwilę w furii złamie nią komuś kark.

- Co za diabeł dziś w niego wstąpił? - mamrotał pod nosem. - Pewnie mu na starość rozum odjęło. Smythe! - krzyknął, wchodząc do pustego holu. - Gdzie, do stu piorunów, jest moje śniadanie?

W domu nie było dywanów ani tapet, które wyciszyłyby hałas. Ściany holu trzęsły

się. a echo niosło po całym domu złowieszcze porykiwania. Wszyscy mieszkańcy domyślali się, że chodzi o coś dużo poważniejszego niż brak śniadania. Admirał nie znosił niepewności. Każde, najdrobniejsze nawet odstępstwo od codziennej rutyny wprawiało go w roztrzęsienie, bliskie temu, jakie odczuwał jako dziecko podczas pijackich awantur ojca.

Podszedł do otwartych drzwi biblioteki. Uspokoił się na myśl, że za chwilę osobiście ukarze tego, kto ośmielił się swą obecnością sprofanować jego sanktuarium.

Zamarł w drzwiach, zaniepokojony dziwnym widokiem, jaki ukazał się jego oczom.

Przy biurku, na podłodze, siedział Smythe w potarganym uniformie, otoczony kawałkami rozbitego szkła i piaskiem.

- Jasna cholera, Smythe! Tylko nie klepsydra! Najpierw ten łotr Claremont rozbił moje popiersie, a teraz to. Ostrzegam cię, człowieku, zapłacisz mi za to. Bądź pewny, że obetnę ci pensję. A miałem tę klepsydrę od czasu, gdy objąłem dowództwo na HMS...

Admirał urwał. Dopiero teraz zauważył dziwne zachowanie kamerdynera. Smythe nabierał piasek w dłoń, ale mimo że zaciskał pięści, ziarenka wysypywały się z powrotem na podłogę. Jego pocięte kostki krwawiły.

- Smythe? - szepnął zaniepokojony admirał.

Kamerdyner, który zdawał się nie reagować na wcześniejsze wrzaski, teraz podniósł głowę. Twarz miał bladą, oczy podkrążone.

- Znikła, sir. Zabrał ją. - Smythe zacisnął w pięści piasek.

Admirał zrobił krok w tył. Tym razem musiał się podeprzeć, by nie upaść.

Część

druga

18

Łagodne kołysanie ukoilo niepokój Lucy. Znalazła się w łonie jakiegoś czułego, opiekuńczego olbrzyma, który na pewno obroni ją przed niebezpieczeństwem. Poznała ten rytm jeszcze zanim zrozumiała, że to on jest źródłem jej spokoju. Zawsze wyobrażała sobie, że właśnie tak kołysała ją matka.

Powoli otworzyła oczy i zobaczyła znajomą, kochaną twarz Gerarda, wpatrującego się w nią w skupieniu.

Pamięć zaczęła powracać, podsuwając wyraźne, choć niezrozumiałe obrazy. Co za radość! A więc jej nie porzucił. Jakimś cudem usłyszał jej wołanie i przybył z pomocą. Jak zawsze. Nigdy by jej nie zostawił, nigdy nie wyparłby się tego, co do niej czuje. Ma to wypisane na twarzy.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka. Chciała jak najszybciej wymazać z pamięci jego słowa.

Jej dłoń zatrzymała się w pół drogi.

Zmarszczyła czoło. Skoro Gerard wyratował ją z rąk Dooma, to dlaczego jej łóżko kołysze się i trzeszczy niczym pokład statku na pełnym morzu? Dlaczego on patrzy na nią z tak poważną miną, a jego chłopięce rysy przerażają surowością, jak gdyby mężczyzna ten nie miał ani odrobiny litości, delikatności czy zwyczajnej ludzkiej dobroci?

Wyciągnięta dłoń zaczęła drżeć.

Zamknęła oczy, by nie widzieć jego drapieżnego spojrzenia. Wiedział o wszystkim! Dopiero teraz to do niej dotarło. Instynktownie wyczuł jej wahanie.

Dotknęła jego twarzy. Nie drgnął. Nie uchylił się, by uniknąć jej dłoni. Mogłaby go uderzyć, a on nawet nie mrugnąłby okiem.

Niczym zdesperowana kochanka, zacisnęła palce na jego białej koszuli. Od tak dawna chciała poczuć jego ciało, dotknąć jego nagiego torsu. Przez całe życie o tym marzyła. Zsunęła z niego sztywną, wyprasowaną koszulę, obnażając prawy bark.

Na wspaniale umięśnionym ramieniu dostrzegła wąską bliznę. Nie mogąc otrząsnąć się z szoku, czubkiem palca pogładziła jej nierówny brzeg.

Gerard chwycił ją za rękę. Trzymał ją delikatnie, ale zdecydowanie. Pełna obaw, powoli podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Gerard Claremont - powiedział, uśmiechając się ponuro. - Przyjaciele nazywają mnie Gerard, a wrogowie kapitan Doom.

Lucy wzdrygnęła się. Jej świat rozpadł się na drobne kawałeczki jak klepsydra ojca. Krew odpłynęła jej z twarzy, na czole pojawiły się kropelki zimnego potu, w uszach głośno szumiało. Czuła, że lada chwila zatopi się we mgle nieświadomości, uciekając w ten sposób od straszliwej rzeczywistości, której nie sposób zmienić ani przeżyć.

Nie zdążyła zemdleć, bo zrobiło jej się niedobrze. Przez moment bała się, że zwymiotuje na sztywny marynarskie buty Gerarda, ale potem uznała, że nie miałaby nic przeciwko temu.

Jak zawsze, kiedy działo się coś niedobrego, był przy niej. Umiejętnie ją podtrzymywał zwilżając jej spierzchnięte usta wilgotną chusteczką.

- Przestań! - syknęła, odpychając go od siebie. Nie mogła znieść jego dotyku. Zdawało jej się, że on z niej szydzi.

Bez sprzeciwu odsunął się od łóżka. Lucy przeczesła palcami włosy, po czym chwyciła się za głowę, próbując uciszyć skołataną emocje i uspokoić żołądek.

- Szampan i środek usypiający to nie najlepsze połączenie - powiedział cicho. - Kiedy zabierałem to ze stajni, nie wiedziałem, że będę musiał z tego skorzystać.

Lucy przypomniawszy sobie, że przed omdleniem przytknięto jej do twarzy coś miękkiego, co okropnie brzydko pachniało. Do tej pory w ustach czuła jakiś nieznaną mdłący smak.

- Słucham? - Spojrzała na niego spod płataniny włosów. - Chyba nie potraktowałeś mnie środkiem, którym usypia się konie.

Jej złośliwość była zamierzona. Usta Gerarda wykrzywiły się, jakby nieśmiało próbował się uśmiechnąć.

- Wiedziałem, że tylko to podziałałoby na Smythe'a, a przecież musiałem być przygotowany na wypadek, gdyby mi przeszkodził. Kamerdyner twojego ojca to jedyny człowiek, który sypia mniej ode mnie.

- Zamierzałeś mnie porwać, czy może to był tylko nieszczęśliwy wypadek?
Zrobił krok w kierunku łóżka.

- Gdyby takie były moje intencje, zrobiłbym to już dawno temu - powiedział

łagodnie. - Bóg mi świadkiem, nieraz dałaś mi ku temu okazję.

Kiedy ich oczy się spotkały, Lucy przypomniała sobie, czym poza tym go obdarzyła: zaufaniem. Oddała mu serce i niewinność. Co za upokorzenie! Przecież jemu nigdy na niej nie zależało. Chodziło mu tylko o jedno. Była bezbronnym pionkiem w jego niejasnej grze.

Jej oczy zaszyły łzami. Pospieszenie mrugnęła, by je ukryć. Nie poniży się więcej przed tym człowiekiem. A jeśli poda jej chusteczkę, rzuci mu się do gardła.

- Na pewno przez cały ten czas miałeś mnie za straszną gęś! Moje naiwne uwielbienie i absurdalna obrona kapitana Dooma musiały cię nieźle śmieszyć!

Jego milczenie było równie przykre jak wyznanie prawdy.

- Dlaczego? - wyrzuciła z siebie tylko jedno słowo, za którym stała jego zdrada.

Oddalił się od jej łóżka, by dzielący ich dystans nabrał także fizycznego wymiaru. Lucy rozejrzała się wokół siebie. Jeszcze nigdy nie widziała tak przestronnej kajuty. Przez okrągłe okno widać było ponury wieczór, zapadający nad spokojnym, szarym morzem.

Nawet tak duża przestrzeń nie stłumiła nieokiełznanej energii gospodarza. On nic spacerował, tylko krążył jak drapieżnik na łowach.

Kiedy zatrzymał się i obrócił na piecie, nie był już Gerardem Claremontem. Człowiek, który przed nią stał, był kimś obcym, wrogim. Uwięził ją w kajucie w najstraszniejszą noc jej życia. Nawet nie krył, że ma broń; zza pasa czarnych bryczesów wystawał pistolet.

Lucy poczuła ten sam obezwładniający strach, jaki ogarnął ją, kiedy z mroku nocy wyłoniła się sylwetka „Retribution”. Podeszedł do niej, a ona instynktownie podkurczyła nogi, w razie potrzeby gotowa kopać.

- Wbrew temu, co myślisz, piractwo nic jest tym, o czym marzyłem przez całe życie - powiedział.

- Dziwne. Zdajesz się to lubić - odparła z sarkazmem. I spojrzał na nią smutno, po czym znów zaczął krążyć po

kajucie.

- Pływam od dwunastego roku życia. Jako dziewiętnastolatek byłem bosmanem na statku handlowym.

Niemale osiągnięcie, pomyślała Lucy, ale prędzej by sobie język odgryzła, niż pochwaliła jego operatywność.

- Jeśli masz gdzieś kałamarz i papier, chętnie spiszę twoje wspomnienia.

- A może raczej panegiryk? - odciął się. - Kiedy Hiszpanie sprzymierzyli się z Francuzami, każdy kapitan, który odważył się przerwać blokadę na Morzu

Śródziemnym, miał szansę na sporą fortunę.

- Znam historię hiszpańskiej zdrady. Mój ojciec omal nie przypłacił jej życiem. Kosztowała go karierę.

- Zapewniam cię, że nie stracił nawet w połowie tyle co ja. -Drażnił ją jego spokojny, rzeczowy ton. Nie mogła się doczekać, by znów zaczął mówić. - Po powrocie z wyprawy do Gibraltaru, gdzie przypadkiem udało mi się zniszczyć hiszpańską fregatę, transportującą proch dla Francuzów, uznano mnie za bohatera.

- Ta rola z pewnością ci odpowiadała.

Uśmiechnął się smutno.

- Miała swoje uroki. Zapraszano mnie na dwór, zabiegała o mnie marynarka królewska. Salony całego Londynu stały przede mną otworem.

Lucy domyśliła się, że łóżka również. Przystojny młody kapitan musiał budzić uwielbienie wszystkich arystokratycznych piękności. Poczowała ukłucie zazdrości. Jakaż prostą i pospolitą dziewczyną musiała mu się wydawać córka zwykłego szlachcica!

Ukryła zażenowanie pod jadowitym uśmiechem.

- Jak zakończyła się ta idylla?

- Któregoś razu na balu maskowym podszedł do mnie nieznajomy mężczyzna. Powiedział, że reprezentuje wysokiego rangą oficera marynarki królewskiej, który pragnie zaoferować mi coś, czego nie kupię dzięki sławie i szczęściu. Wprawdzie wcześniej zaproponowano mi przystąpienie do egzaminu oficerskiego, ale ten człowiek obiecywał mi dowodzenie własnym statkiem. - Jego głos był łagodny, rozmarzony. - Miałem zostać kapitanem marynarki królewskiej. - Odsunął się od jej łóżka, jak gdyby w tej samej chwili pożałował, że jej o tym powiedział. Znów był spięty.

- Mów dalej - szepnęła, zaintrygowana jego opowieścią.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak cienka linia oddziela prywatę od piractwa, zwłaszcza w czasie wojny. Zaproponowano mi przejście na drugą stronę. Miałem popłynąć na Karaiby, by tam przejmować francuskie i hiszpańskie fregaty. Jedną piątą łupu miałem odprowadzać do skarbcza Jego Królewskiej Mości i w ten sposób wspierać fundusz wojenny. Tym, co zostało, mogłem dzielić się z załogą. Mój anonimowy dobroczyńca obiecał mi odpowiedni okręt i list uwierzytelniający, legalizujący proceder i zapewniający mi bezpieczeństwo, w razie gdybym wpadł w ręce Francuzów.

Wykrzywił się. Na jego twarzy dostrzegła pogardę do samego siebie.

- Naturalnie, ten zuchwały plan zrobił na mnie wrażenie, przemówił mi do wyobraźni. Przez całe życie byłem patriotą i marzyłem o służbie u króla. Z tajemniczym posłem

spotykaliśmy się na balach maskowych, w ciemnych alejkach, w kościelnych konfesjonalach. Nigdy nie widziałem jego twarzy. Nie znałem jego nazwiska. Zbyt późno zrozumiałem prawdziwe powody tak ścisłej tajemnicy.

- Pojmali cię ~ szepnęła Lucy.

- Zdradzili mnie! - krzyknął z rozgoryczeniem

Wzdrygnęła się, słysząc jego podniesiony głos. W Jonii nieraz doprowadzała go do rozpacz, zdenerwowania, a nawet wściekłości, nigdy jednak na nią nie krzyczał. Teraz zauważyła, że zacisnęła dłonie w pięści. Wiedziała, jaka siła w nich drzemie. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że ze strony tego mężczyzny może jej grozić coś więcej niż tylko złamane serce.

Gdy Gerard zorientował się, że patrzy na jego dłonie, rozprostował palce i wziął głęboki oddech.

- Pojmali mnie - dodał w końcu. - Niedaleko San Juan. Dwa dni wcześniej hiszpański statek handlowy poddał się bez walki. Wszedłem na pokład, pokazałem list i przystąpiłem do przejmowania załadunku. Trzy tysiące sztabek złota, srebro, przyprawy, bawełna, indy go, jedwab, cynamon. Takie skarby to miód na serce samego kapitana Kidda.

- Jestem pewna, że Jego Wysokości także.

- Tego nigdy się nie dowiedziałem. Pojmał nas francuski okręt wojenny. Przewieziono nas do fortecy w Santo Domingo. Kiedy zakuwali mnie w żelazne łańcuchy, śmiałem im się w twarz. Nie mieli przeciwko mnie żadnych dowodów. Przecież ciągle chronił mnie list uwierzytelniający. Poza tym byłem przezorny i gromadziłem łupy w San Juan.

- Ukryte skarby. Jakie to romantyczne. - Jej mina wskazywała, że wcale tak nie uważa.

- Następnego dnia zjawił się posłaniec od mojego pracodawcy.

Uzgodniliśmy, że w razie trudności przyjedzie na wyspę, by mnie bronić. W zamian zażądał, bym mu oddał mój list i zdradził miejsce, w którym przechowujemy łupy.

- I powiedziałaś mu? - Tym razem w głosie Lucy nie było sarkazmu.

Gerard spojrzał na nią pogardliwie.

- Wybacz moją naiwność. Wtedy jeszcze wierzyłem w ludzi.

Lucy popatrzyła mu łagodnie w oczy.

- Wydaje mi się, że sama do niedawna cierpiałam na podobną przypadłość.

Pierwszy odwrócił wzrok.

- Wtedy ostatni raz widziałem tego szczura na oczy. Bez listu nie potrafiłem udowodnić, że nie jestem piratem. - Urwał na moment. - Następnego dnia powiesili moją załogę. Wszystkich, nawet dziewięcioletniego chłopaczka na praktyce. Powiesiliby i mnie, ale

moje wcześniejsze zachowanie wzbudziło ich niepokój. Bali się zemsty angielskiego rządu. Lucy, czy ty wiesz, co dla kapitana znaczy śmierć załogi? - zapytał z chłodnym spokojem.

Lucy przypomniała sobie zamglony pokład „Retribution”, wyobraziła sobie załogę składającą się z duchów zdradzonych marynarzy.

Przeszły ją dreszcze.

- Tak mi przykro,
- Nie potrzebuję twojego współczucia - warknął.
- A czego potrzebujesz? - zapytała bliska płaczu. Czowała, że dłużej nie zniesie

tego znęcania się nad sobą.

Zrobił kilka kroków w kierunku łóżka. Lucy z trudem powstrzymała się przed ukryciem pod kołdrą.

- Nie chcesz wiedzieć, jak nazywał się statek, który wynajął mi mój pracodawca?

Piękna łajba, Francuzi zatopili ją u brzegów Santo Domingo.

- Nie jestem ciekawa - szepnęła. Zignorował jej

odpowiedź.

- „Annemarie”

Lucy zbladła. W dole brzucha poczuła bolesny skurcz.

- Tak nazywała się moja mama. Nigdy nie słyszałam o takim statku.

Gerard uniósł brew.

- Mój pracodawca zawsze miał cięty dowcip. To on nadał mi pseudonim kapitan Doom.

- Jej serce biło coraz szybciej. Gerard oparł ręce o ramę łóżka, tuż nad jej głową. – Widzisz więc, moja droga, że nie możesz mnie winić za to, że jestem łotrem. To twój ojciec mnie nim uczynił.

19

To kłamstwo! Lucy poderwała się z łóżka, by uciec jak najdalej od jego oskarżeń. Jeszcze przed chwilą była zbyt słaba, by ustać na nogach, lecz teraz gniew dodał jej sił. Teraz ona zaczęła nerwowo przemierzać kajutę.

- Kłamiesz - powtórzyła, patrząc na Gerarda jak tygrysica broniąca młodych. - Mój ojciec to szlachetny człowiek. Przez całe życie służył królowi i ojczyźnie.

- Przez całe życie służył samemu sobie! - warknął Gerard.

Patrzył na nią z nienawiścią. Lucy, ignorując ukłucie w sercu, próbowała skoncentrować się na logicznych argumentach. Odwróciła się do niego.

- Czy masz dowody, potwierdzające to absurdalne oskarżenie?

Wybuchnął śmiechem, rozbawiony jej odwagą, co rozdrażniło ją jeszcze bardziej niż jego wrogość.

- Twój ojciec miał świetny motyw. Zazdrość. Nie mógł znieść myśli, że młody, zdolny bohater wojenny robi tak oszałamiającą karierę. A poza tym chciwość. I desperacja.

Lucy parsknęła.

- Mój ojciec jest bogaty. Nie urodził się w majątnej rodzinie, ale król sownie wynagrodził mu lata wiernej służby.

- Temu nie przeczę. Nie wiem jednak, czy zdajesz sobie sprawę, że w dość niefrasobliwy sposób roztrwonił swój majątek.

- To śmieszne. Admirał to bardzo oszczędny człowiek. Zawsze żyliśmy wygodnie, choć skromnie.

Gerard roześmiał się. Nie potraktował jej słów zbyt poważnie.

- Twój ojciec to nadęty bufon. Zanim przyszedł na świat, każdą noc spędzał w kasynach Pall Mail i St. James. Kiedy White i Brook odmówili mu dalszego kredytu, przeniósł się do tych podejrzanych lokali w Covent Garden. Przed wypadkiem przegrał nie tylko wszystkie oszczędności, ale i dach nad twoją piękną główką.

Lucy oddychała niespokojnie. Splotła ręce na piersiach, by ukryć ich drzenie. Czuła, że cały jej świat za chwilę mnie.

- Kiedyś oskarżyłeś mnie o to, że fantazjuję, by usprawiedliwić własne postępowanie - odezwała się po namyśle. - Teraz ja zarzucam ci to samo. Mój ojciec nigdy nie pozwoliłby sobie na rozrzutność, tak jak nic pozwala sobie na pijaństwo, lenistwo czy... czy...

- Piractwo? - odpowiedział. - Nawet gdyby do drzwi pukali wierzyciele? Nawet stojąc w obliczu bankructwa i skandalu? -uśmiechał się złośliwie. - Oboje wiemy, jak twój ojciec nienawidzi skandali, prawda?

Lucy zignorowała jego uwagę, mimo że trafił w jej czuły punkt. Choć ponad wszystko szanowała logikę, próbowała odrzucić rozumowanie Gerarda.

Krażyła po kajucie, omijając go szerokim łukiem.

- Gdyby to, co mówisz, było prawdą, nie odważyłbyś się wkroczyć w nasze życie. Czy Gerard Claremont to twoje prawdziwe nazwisko? - zapytała cicho, przeczuwając straszliwą odpowiedź.

- Teraz tak. Richard Montjoy, człowiek, którego zniszczył Lucien Snow, zmarł w tamtej nadmorskiej fortecy. Przetrwał Gerard Claremont.

Lucy czuła się tak, jakby skradziono jej coś cennego.

- Dlaczego nikt w Londynie cię nie rozpoznał? Mój ojciec? Jego posłaniec? Któryś z gości lorda Howella?

- Twój ojciec wymyślił całą tę intrygę po swoim wypadku. Wtedy chodził już o kuli. Wiem, że nigdy mnie z bliska nie widział. Poza tym bardzo się od tamtej pory zmieniłem. Zapuściłem brodę.

Lucy opuściła wzrok. Zbyt dobrze pamiętała dotyk szorstkiego policzka kapitana Dooma.

- Miałem włosy dłuższe i jaśniejsze - mówił dalej. - Związywałem je w kucyk. Ściemniały, bo spędziłem pięć lat we francuskim lochu, obserwując, jak przemija moje życie i młodość - dokończył ponuro.

Lucy była wstrząśnięta. Tragiczny los załogi wydał jej się dużo znośniejszy od tego, co przydarzyło się jemu. Tym razem powstrzymała się przed okazaniem współczucia. Jasno dał jej do zrozumienia, że go sobie nie życzy.

Poza tym nie wygląda na męczennika, pomyślała, obserwując go spod rzęs. Był ucieleśnieniem siły i władzy. Okazał się znakomitym aktorem. Tak doskonale udawał służącego, przez cały czas trzymając na wodzy własne nerwy i dumę.

- A czego szukałeś w bibliotece admirała? Czy myślisz, że jest na tyle głupi, by przechowywać w domu dowody tak obrzydliwej zdrady?

- Nie głupi, lecz arogancki. Na pewno nie głupi. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, a zapewniam cię, że wkrótce tak się stanie, jedynie list uwierzytelniający będzie go chronił przed szubienicą. Dopóki twój ojciec posiada ten dokument, można go oskarżyć jedynie o oszustwa, ale nie o piractwo.

- To nie tłumaczy, dlaczego najął dla mnie ochroniarza.

- Dla ciebie? On chronił samego siebie. Odkąd dowiedział się z prasy o moim zmartwychwstaniu, ani raz nie wypłynął w morze. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Doom mógłby porwać ciebie. Może bał się, że jeszcze raz się z tobą skontaktuje i powie ci prawdę. Władze nie uwierzyłyby piratowi, ale jego własnej córce na pewno!

Lucy przypomniała sobie, że po tym, jak uratował ją „Argonauta”, ojciec ciągle katował ją przesłuchaniami. Pamiętała jego upokarzające podejrzenia i badawcze spojrzenia.

- To kompletne bzdury! - krzyknęła, próbując przekonać samą siebie, że tym razem przecucie ją myli. - Najął cię, bo się o mnie martwił. Jestem wszystkim, co ma. Potrzebuje mnie.

- Cholerna racja. Potrzebuje cię, ale tylko po to, by nadal upajać się rolą męczennika. By cię karać za brak rozwagi twojej matki. Była na tyle zuchwała, by umrzeć, lecz na szczęście zostawiła cię, byś płaciła za jej grzechy. Kochający tatuś, prawda?

Brutalne słowa Gerarda tak zabolowały, że pod Lucy ugięły się kolana. Na szczęście podtrzymał ją przed upadkiem.

Wyrwała mu się z objęć. Nie mogła znieść jego dotyku. Odraza, jaką do niego czuła, dodała jej sił. Nigdy mu nie wybaczy, że delikatność i troska, jaką jej okazywał, były jedynie zimną, wyrachowaną grą. Zmrużył oczy, ale nie zatrzymał jej siłą.

Musiała uciekać. Wiedziała, że tu, na statku, nie ma dokąd uciec, ale ślepy strach kazał jej ruszyć w stronę drzwi.

-To zamach. Protestuję! Żądam, by mnie natychmiast uwolniono! Proszę mnie wysadzić w najbliższym porcie, bo inaczej, przyrzekam, że...

Gerard zablokował jej drogę odwrotu. Lucy coraz szybciej oddychała. Jej nozdrza wypełnił znajomy zapach tabaki i mydła, pomieszany z intensywnym, słonym zapachem morza.

Napięcie między nimi rosło, jak w czasie letniej burzy. Nie dotknął jej nawet palcem. Nie było takiej potrzeby. Niema pogroźka wisiała w powietrzu. Lucy podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Człowiek, który kiedyś przyrzekał, że jej życie będzie mu

równie drogie jak jego własne, teraz był jej śmiertelnym wrogiem.

- Jeśli myśli pani o ucieczce, panno Snow - zwrócił się do niej oficjalnie, niszcząc subtelną nić bliskości, jaką zdołali nawiązać - niech się pani zastanowi dwa razy. Moi ludzie są niebezpieczni. I zupełnie brak im manier. Może mi pani zaufać. Lepiej trzymać się od nich z daleka.

A więc wrócili do początku, pomyślała. Nie on jeden potrafił odczytywać sygnały. Uniosła dumnie głowę.

- Pan wybaczy, sir, ale nie potrafię panu zaufać. Niech mi pan powie, panie Cla... kapitanie - poprawiła się, pogardliwie cedząc każdą sylabę - czy opłaciło się panu marnować tyle czasu w Jonii? Czy znalazł pan to, czego szukał pan w bibliotece admirała?

Przeszywał ją wzrokiem. Lucy nie potrafiła określić emocji malujących się na jego twarzy. Rozbawienie? Desperacja? Żal?

- Och, znalazłem więcej, niż się spodziewałem. Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię z nagrodą.

Otworzył drzwi, gotów znowu ją porzucić. Lucy sama już nie wiedziała, czy ma się bać, czy cieszyć, że uniknie jego towarzystwa. Postanowiła, że ostatnie słowo będzie należeć do niej.

- Kapitanie?
- Tak? - odpowiedział z zadziwiającą cierpliwością.
- Może pan obwiniać mojego ojca, jeśli uważa pan, że w ten sposób uciszy wyrzuty sumienia, ale niech pan nie zapomina, że każdy człowiek jest kowalem własnego losu.

Trzasnął drzwiami przed jej nosem. Usłyszała zgrzyt przekręcanego w zamku klucza i gruchy łomot drewnianej sztaby, blokującej wyjście od zewnątrz.

Oparła się o drzwi. Nogi znów odmawiały jej posłuszeństwa. Czyżby jedyną cechą, jaką odziedziczyła po ojcu, była skłonność do blefowania? Tak długo, jak Gerard Claremont będzie kapitanem tego okrętu, jej los spoczywa całkowicie w jego rękach.

Gerard zacisnął ręce na relingu i zapatrzył się przed siebie. Znów mógł być panem swego losu. Przyjemne uczucie, zwłaszcza po tym, jak całymi tygodniami pokornie spełniał rozkazy człowieka, którego nienawidził najbardziej na świecie. Upajające, prawie tak jak

pokusa, by nadużyć swej władzy.

Nie zważając na zimowy chłód, łapczywie wypełniał płuca rześkim morskim powietrzem. Po latach spędzonych w zamknięciu, w ciemnym, dusznym lochu, nadal nie mógł się nasycić słonym zapachem wody, otwartą przestrzenią, bezkresnym horyzontem.

„Każdy człowiek jest kowalem własnego losu”.

Na wspomnienie tej ponurej prawdy zacisnął mocniej dłonie, aż pobieleły mu kostki. Rozpieszczona panna Snow miała cholerny tupet, żeby stawiać mu taki zarzut. Jej losu nikt nigdy nie oddał w ręce innych ludzi. Okrutnych, pozbawionych litości łotrów, którzy zakuli go w kajdany i wtrącili do ciemnego, brudnego lochu.

Kiedy tak przechadzała się po kajucie, chciał wziąć ją w ramiona, ale jakoś nie miał do siebie zaufania. Nie wiedział, jak w nowej sytuacji zmienią się relacje między nimi. Obawiał się, że zbyt mocno jej pragnie, a w połączeniu z żądzą zemsty taka mieszanina emocji może wywołać burzę, która zniszczy ich oboje. Instynkt podpowiadał mu, że z tej drogi nie ma odwrotu.

Lucy już raz uratowała ojcu życie. Zanim dowiedział się o jej istnieniu, Gerard zamierzał w ostateczny sposób wyrównać rachunki z Lucieniem Snowem. To ona sprawiła, że zaczął mieć skrupuły. Po spotkaniu z nią ogarnęły go wątpliwości, więc postanowił zmienić plan i najpierw zakraść się do obozu wroga.

Do tej pory nie rozumiał, co go podkusiło, żeby sprowadzać ją na pokład „Retribution”. Blizny powoli zniknęły, ale te głębsze, psychiczne urazy, jakie pozostawiło na jego duszy więzienie, nadal bolały i doprowadzały go na skraj szaleństwa.

Dlaczego nie zostawił jej wtedy nieprzytomnej na podłodze biblioteki admirała? Nie dowiedziałyby się o jego prawdziwej tożsamości. Wymyśliłaby sobie jakąś romantyczną historię na temat tajemniczego zniknięcia ochroniarza. I nigdy nie poznałaby prawdy.

Kiedy wyszeptała jego imię i osunęła mu się w ramiona, poczuł nieodparte pragnienie, by się nią zaopiekować, prymitywny męski odruch, pasujący raczej do dzikiego jaskiniowca niż kapitana. Po prostu nie mógł znieść tego, że musi ją pozostawić w rękach wroga.

Przyniósł ją na szkuner, dopisując do listy swoich przewinień jeszcze jedno - porwanie. Wiedział, że tym razem admirał nie będzie milczał. Wkrótce Marynarka Królewska i cała londyńska prasa pozna jego prawdziwe imię, wygląd zewnętrzny i prawdopodobną wersję zdarzeń, a Lucien Snow jak zwykle wykaże się niezwykłym męstwem.

Nawet widok spokojnego, zamglonego horyzontu nie pomógł opanować rosnącej wściekłości. Niebawem zaroi się tu od okrętów Marynarki Królewskiej. Wszystkie działa będą mierzyć w „Retribution”.

Postawił na szali wszystko, co posiadał, okręt, życie załogi i swoje, tylko po to, by Lucinda Snow nim pogardzała.

Nie odwrócił się, kiedy usłyszał ciche kroki. Z mroku wyszedł Apollo i stanął obok niego jak zjawa.

- Kiedy przyprowadziłem ją tu za pierwszym razem, nie wiedziałem, że to kobieta. Przyjacielu, czy ty możesz powiedzieć to samo?

Gerard wyczuwał niepokój w melodyjnym głosie podoficera. Po pięciu latach spędzonych w jednym lochu potrafił rozpoznać nastrój towarzysza, nawet tak skrytego jak Apollo.

Gerard spojrzał na niego z wyrzutem.

- Gdyby załoga nie zagroziła, że odpłynie beze mnie, może miałbym więcej czasu, by zastanowić się nad konsekwencjami.

Z natury spokojny Apollo lekko się skrzywił.

- To nie nasza wina, kapitanie. Myśleliśmy, że postoiemy jeszcze z tydzień, ale po tym nieszczęśliwym wypadku z żoną księcia lepiej było odpłynąć, zanim będzie za późno. Musiałem posłać po pana Kevina.

- Cholerny lubieżnik! Sam powinienem był go wyprosić. -Gerard potarł w zamyśleniu lekko zarośnięty policzek. Nie mógł się już doczekać, kiedy znów odrośnie mu broda. Golenie się dwa razy dziennie było jednym z najbardziej zniechęcających obowiązków w Jonii. - I nie okazał najmniejszej skruchy. Nie wiem, dlaczego oddałem mu komendę. Gdybyś się zgodził...

Gerard, choć sam słusznego wzrostu, i tak był o głowę niższy od swojego podoficera. Kiedy kiwnął palcem, Apollo pospiesznie zrobił krok w tył.

- Wolałbym pozostać drugim oficerem, sir. Nie lubię podejmować decyzji.

Gerard przygładził włosy. Wątpliwości jedynie zwiększały jego frustrację.

- Na przykład, co zrobić z dziewczyną, tak?

Jedną z cech, która sprawiała, że Apollo był tak nieocenionym żeglarzem, była umiejętność wycofania się w odpowiednim momencie.

- Kapitanie, niech pan powie, czy całe to zamieszanie się opłacało? - wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

- Jesteś drugą osobą, która mnie dziś o to pyta - odparł z goryczą Gerard i

pochylił się, by podnieść z podłogi resztki sejfu admirała. - Nic, ani listu, ani wzmianki o agencie, który się ze mną kontaktował. - Podniósł plik pożółkłych papierów. -Kupa starych gazet z artykułami opiewającymi bohaterskie wyczyny admirała. - Pozwolił, by wiatr wyrwał mu kartki z ręki, po czym podniósł zniszczony zeszyt w aksamitnej okładce. -I pamiętnik jego zmarłej żony.

Początkowo zamierzał przeczytać wspomnienia Anne Marie Snow, ale coś go powstrzymało. Może jej dziewczęcy charakter pisma, tak różny od starannego pisma jej córki. Nie miał prawa do przeszłości Lucy. I tak zajął sporo miejsca w jej życiu. Zamknął oczy, poruszony wspomnieniem jej uległości. Ciągle nie mógł wymazać z pamięci obrazu jej smukłego ciała, poddającego się grze jego palców.

Kiedy otworzył oczy, Apollo przyglądał mu się z rozbawieniem, ale i współczuciem. Znał to spojrzenie - podoficer w ten sam sposób patrzył na niego, kiedy Lucy ugodziła go nożem w ramię, kilka centymetrów od serca.

Próbując opanować nagły przypływ sentymentalizmu, Gerard rzucił pamiętnik na podłogę.

- Daruj sobie. Może i nie udało mi się osiągnąć celu, ale zapewniam, że podczas następnego spotkania to nie Lucien Snow, lecz ja będę dyktował warunki.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. Teraz gramy w moją grę i to ja mam lepszą kartę.

Gerard wiedział, że teraz pozostało mu jedynie modlić się o siłę i odwagę, by użyć tej karty.

Samotność pomogła Lucy odzyskać równowagę. Niewola budziła w niej sprzeciw. Miotła się po kajucie jak ptak w klatce. Nawet nie zbliżała się do wielkiego łoża, które wywoływało zbyt wiele skojarzeń.

Próbowała nie myśleć o tym, co zaszło, aż z wysiłku i powstrzymywania łez rozboleła ją głowa. Powoli zaczęły ją ogarniać wątpliwości. Przemierzała kajutę coraz szybszym krokiem. Wiedziała, że powinna być wdzięczna, iż nie przykuł jej do ściany.

Albo do łóżka.

Odwróciła się, by dokładniej obejrzeć ogromne żłobione mahoniowe łoże. Co za rozpustnik pozwala sobie na takie luksusy na niewygodnym, ciasnym statku! Sama obecność

monstrualnego mebla obrażała jej poczucie przyzwoitości. Pewnie rozwalono ściany, by je tu wstawić. A może wybudowali statek wokół tego łóżka?

Jego kajuta w niczym nie przypominała skromnego pokoiku w domku przy furcie Jonii, a mężczyzna, który ją porwał, był całkowitym przeciwieństwem prostego człowieka, za jakiego uważała swojego ochroniarza.

Poczuła żal i rozgoryczenie. W tym momencie dotarło do niej, że straciła Gerarda na zawsze. Gorzej, tak naprawdę on nigdy nie istniał. Był wytworem jej wybujałej wyobraźni.

Nadal jednak przesładował go jego głos. „Gdybym to ja miał w rękach taką kobietę, nigdy nie pozwoliłbym jej odejść”.

Przeszły ją dreszcze. Teraz, gdy patrzyła na to łóżko, słowa Gerarda nabrały jeszcze bardziej grzesznego znaczenia.

Podeszła do bulaja, próbując zająć myśli czymś innym. Choćby jego oskarżeniami wobec ojca.

Miała dwanaście lat, kiedy admirał odniósł ranę i był zmuszony porzucić karierę. Dopuszczał do siebie tylko Smythe'a. Lucy dobrze pamiętała ten ponury okres, wrzaski ojca, szepty przerażonej służby. Do drzwi ich domu od rana do wieczora dobijali się jakiś obcy ludzie, żądając, by ich wpuszczono. Czyżby to byli wierzyciele? Zwęszywszy chorobę ojca, domagali się zwrotu długów.

Rozmywający się horyzont przywołał wspomnienia z dzieciństwa. Ojciec, niedbale machający na pożegnanie, przed wyjściem na posiedzenie admiralicji; niekończące się samotne wieczory, spędzane ze szkicownikiem pośród kamelii; gdzieś nad ranem dochodzący zza drzwi odgłos jego kroków.

Po raz pierwszy w życiu Lucy zastanawiała się, czyjej matka też czuła się z admirałem tak samotna jak ona.

Coś ścisnęło jej gardło, utrudniając oddychanie. Jakieś nieznane emocje sprawiły, że do oczu napłynęły łzy.

„Lucindo, nie marudź przy jedzeniu*¹.”

„Lucindo, kolana razem”.

„Wyprostuj się, Lucindo”.

Przypomniała sobie ponizające komendy ojca. A jeśli Gerard miał rację? Jeśli pobożność admirała była tylko wystudiowaną pozą? Może rzeczywiście miał wady? Może upokarzanie dziecka sprawiało mu przyjemność? Było zemstą za moralną słabość zmarłej żony?

Z rosnącym przerażeniem zauważyła, że strach i żal ustępują miejsca wściekłości.

Przez dziewiętnaście lat pokornie tłumiała gniew. Teraz zrozumiała, że wszyscy ją zdradzili. Gerard. Admirał. Wszyscy oprócz Smythe'a. Ale nawet on w swej powściągliwości nie wyciągnął do niej ręki, choć miał tyle okazji.

Zacisnęła zęby. Miała ochotę wykrzyknąć swą wściekłość. Zaskoczona prymitywnym odruchem, zamknęła usta dłonią.

Jeszcze bardziej zdziwił ją własny stłumiony chichot. Czuła, że wzbiera w niej histeryczna wesołość. Była wolna. Niezależna.

Nie musiała już zabiegać o niczyje względy. Od tej chwili będzie mogła marudzić przy jedzeniu, garbić się, siedzieć z rozsuniętymi kolanami. Będzie mogła robić wszystko, na co przyjdzie jej ochota. Nie musi dostosowywać się do wygórowanych standardów, spełniać niedorzecznych wymagań admirała. Nie będzie grzeczną dziewczynką tatusia.

Oszołomiona swoim odkryciem, upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Wygląda na to, że straciła wszystko, co miała, i odnalazła samą siebie.

20

Kiedy późnym popołudniem Gerard wszedł do swojej kajuty, odniósł wrażenie, że wpadł w gigantyczną pajęczynę. Dopiero po chwili zorientował się, że pod lampą wiszą znajome różowe pończochy Lucy. Światło sączyło się przez wilgotny jedwab, budząc najbardziej nieprzyzwoite myśli.

Uniósł ze zdziwieniem brwi. Skoro bielizna suszy się uwieszona pod sufitem, to co Lucy ma na sobie, zastanawiał się gorączkowo. Czy w ogóle coś włożyła? Kiwnął, by Apollo szedł za nim. Kiedy nieśmiało odsunął przed nosa koronkową halkę, jego oczom ukazała się kompletnie zrujnowana kajuta.

Opadła mu szczęka. W ciągu kilku godzin Lucy przewróciła jego sanktuarium do góry nogami. Wszystkie szuflady były odsunięte, a ich zawartość leżała na podłodze. Biurko tonęło pod stosem map i wykresów, a na szczycie papierowej góry wylądowało przewrócone pudełko po sucharach. Wszędzie pełno było okruszków. Wyglądało to na inwazję wielkiego szczura, a raczej myszki, poprawił się w duchu Gerard. Szarookiej myszki o różowych uszach.

Na widok walającego się po podłodze ukochanego pierwszego wydania *Kapitana Singeltona*, pokręcił z niedowierzaniem głową. Jedyne na łóżku nie było śladu bytności Lucy. Bordowy koc leżał nie tknięty i gładki, niczym morze w bezwietrzny dzień.

Bałagan, jaki robiła w Jonii, wydawał mu się uroczy, ale teraz, kiedy zawłaszczala sobie jego uporządkowany świat, ten nieład stawał się równie przykry, jak gorzki aromat cytryny, dominujący nad zapachem skóry i tabaki.

Usłyszał niecierpliwe mruczenie. Pod ścianą, w kącie na podłodze, klęczała Lucy i z zacięciem szperała w starym kufrze. Serce szybciej mu zabiło, kiedy uświadomił sobie, że ma na sobie jego stare spodnie. Wypłowiła ircha prowokacyjnie przylegała do jej szczupłych bioder. Wystarczył jeden rzut oka na bieliznę rozwieszoną nad żelaznym piecem, by domyślić

się, że pod obcisłymi znoszonymi spodniami była zupełnie naga. Ten obraz wywołał falę gorąca, która uderzyła mu prosto do głowy.

Kiwnął na Apolla, dziękując w duchu za jego obecność.

- Tego szukasz? - zapytał głośno, wyjmując z kieszeni nożyk do otwierania listów, który kiedyś należał do admirała.

Speszona Lucy poderwała się, uderzając głową w wieko kufra. Rozmasowała tył głowy, po czym odwróciła się i ze sztucznie słodkim uśmiechem spojrzała na Gerarda.

- Nie, nie będzie mi potrzebny. Nie zdążyłam zostawić nowego adresu.

Przez chwilę nie mogła złapać równowagi, a sylwetka Gerarda rozmazywała się jej przed oczyma, lecz w końcu stanęła pewnie na nogach. Ciągle nie potrafiła pogodzić sprzecznych wyobrażeń o tym mężczyźnie. Widząc znajomy, ironiczny błysk w jego oczach, miała ochotę rzucić mu się w ramiona i rozpłakać. Skrzyżowała ręce na piersi, próbując opanować prymitywną żądzę.

Niedawno odzyskana pewność siebie opuściła Lucy, kiedy zza suszącej się halki wyłonił się olbrzymi towarzysz Gerarda. Do tej pory widziała w życiu tylko dwóch mężczyzn o ciemnej skórze. Jednym był mały chłopiec, mieszkający na dworze księżnej Emmons, który sypiał na poduszkach, u stóp jej łoża, niczym piesek. Drugi to stary lokaj, zawsze dumny, choć zmuszano go do noszenia pudrowanej peruki i satynowej liberii.

Lucy wiedziała, że zachowuje się niegrzecznie, ale nie mogła oderwać od niego wzroku. Skóra tego człowieka przypominała barwę najwspanialszą kawę, nieskalaną nawet kroplą mleka. Łysina połyskiwała w świetle, a pod rozpiętą kolorową kamizelką rysował się pięknie umięśniony tors, Karmazynowe spodnie do połowy łydek opinały niezwykle długie nogi, wokół kostek widać było grube blizny. To właśnie te świeże, brzydkie ślady tak przykuły uwagę Lucy.

- Apollo, postaw tacę na stole - przerwał ciszę Gerard.

Żołądek Lucy skurczył się boleśnie. Nie powinna spodziewać się po nim zbyt wiele. W końcu to pirat. Przestępca. Pewnie nie robi mu różnicy, czy odbiera ludziom życie, grabi okręty, czy porywa kobietę, którą miał ochraniać. Nie powinna liczyć na wyrzuty sumienia, bo zapewne on takowego nie posiada!

Mimo że rozum racjonalnie przypominał jej całą prawdę o własnym położeniu, zastanawiała się, czy można umrzeć z rozczarowania.

Uniosła dumnie głowę i spojrzała z wyższością na Gerarda.

- Apollo, lepiej niech pan będzie posłuszny. Nie chciałabym, żeby pana wychłostał z powodu pańskiej opieszałości. W końcu oboje jesteśmy jego własnością, nieprawdaż?

Gerard westchnął, przewracając oczyma.

Apollo postawił tacę na stole i z gracją wskazał jej krzesło.

- Od jedenastu lat nikt nie był moim panem nawet przez godzinę, panienko. Jestem wolnym człowiekiem.

- Panno Snow, pozwoli pani, że przedstawię mojego zastępcę... mojego podoficera.

Lucy miała ochotę zapaść się pod ziemię. Nie wiedziała, co bardziej ją zawstydziło - łagodna uwaga Apolla, czy uśmiech wyższości na twarzy Gerarda.

- My już się spotkaliśmy - odezwała się łagodnie. – Nie zapominam głosu.

Nawet jeśli Apollo był tym faktem rozgoryczony, ukrył to pod anielskim uśmiechem, przy którym mina Gerarda nabrała jeszcze bardziej szelmowskiego wyrazu.

- Podczas rejsów poznaliśmy kilku białych handlarzy niewolnikami, co, Apollo? Jak myślisz, czy pasza nadal potrzebuje do haremu dumnych angielskich panienek?

Policzki Lucy zapłonęły. Nie spuściła wzroku, choć Gerard bezwstydnie gapił się na jej męski strój.

- Proszę mi powiedzieć, kapitanie, czy podczas pańskiego pobytu w Jonii to pański zastępca pływał po kanale, rozebrał oficerów marynarki i wygrał w karty złoto z Królewskiego Skarbca?

Gerard spojrzał znacząco na podoficera, ale nic nie odpowiedział.

Apollo chrząknął.

- Pójdę sprawdzić, co się dzieje na wachcie, sir.

Lucy zauważyła, że Apollo zwraca się do kapitana z szacunkiem, a nawet z poważaniem, ale na pewno bez służalczości. Gdyby nie zasugerowała się kolorem jego skóry, od razu by zauważyła, że obaj są sobie równi.

- Zostań - ku jej zaskoczeniu warknął Gerard. Apollo nie okazał najmniejszego zdziwienia, po prostu zatrzymał się w pół kroku przy drzwiach.

Lucy podniosła w górę ręce, jak gdyby zapraszając do rewizji osobistej.

- Nie mam broni, kapitanie. Niepotrzebny panu ochroniarz.

Ale tobie może być potrzebny, pomyślał Gerard, mrużąc oczy.

Zmieniła się. I nie była to kwestia stroju. Nie chodziło mu o płócienną koszulę, związaną w pasie, ani o rozpuszczone włosy. Zaszła w niej jakaś głęboka, wewnętrzna przemiana, której nie potrafił na razie określić. Trzeba znaleźć dla niej jakieś odpowiedniejsze ubranie, pomyślał. W tym wygląda zbyt pociągająco. Wskazał dłonią stół.

- Jedz. Jeśli myślisz, że dziecinnym głodzeniem się wzbudzisz moje współczucie...

Urwał, widząc, że Lucy bez sprzeciwu usiadła na krześle i zaczęła łapczywie pochłaniać jedzenie. Nie kryła radości na widok prostej stawy. Gerard dziękował w duchu, że Tam zdążył uzupełnić zapasy. Wątpił, by okazała taki entuzjazm na widok letniej owsianki i starego suchara, jakimi żywili się przez długie tygodnie na morzu.

Bez słowa zjadła talerz fasoli, pół bochenka ciemnego chleba i popiła kubkiem mleka. Gerard był usatysfakcjonowany. Skonfiskował ten drogocenny napój z prywatnych zapasów Pudge'a. Teraz widok arystokratycznych ust Lucy ozdobionych wąsami z mleka wynagrodził mu utyskiwania Pudge'a. Miał absurdalną ochotę pochylić się nad nią i zlizać mleko z jej twarzy.

Uwolniła go od pokusy, oblizując puszystą piankę czubkiem różowego języka. Gerard, dla odwrócenia uwagi od swojej słabości, usiadł na krześle naprzeciwko niej i wskazał głową chaos panujący w kajucie.

- Cieszę się, że podczas mojej nieobecności znalazłaś sobie zajęcie.

Lucy wzruszyła ramionami. Przemilczała fakt, że zrobiła to, bo chciała się dowiedzieć czegoś o charakterze kapryśnego gospodarza. Nie przyznała się, że nadal ją intryguje, i nawet pod groźbą tortur nie zdradziłaby, że zaczynała powoli wierzyć w jego oskarżenia pod adresem admirała.

- Szybko się nudzę - powiedziała lekko.

- Ach tak. Produktywne życie czyni człowieka szczęśliwym, nieprawdaż, panno Snow?

Prowokował ją swoją ironią.

- Piraci mają pewnie własny rozkład niegodziwości, który muszą co dzień realizować? Rabowanie statków. Terroryzowanie niewinnych ludzi.

Gerard nieświadomie bawił się nożykiem admirała.

- Nie zapominaj o picciu krwi noworodków i obcinaniu uszu. - Spojrzał na nią spod długich rzęs, przeciągając kciukiem po ostrzu noża. - Czy już ci mówiłem, że masz kształtne uszy?

Znowu ją zawstydził, przypominając bzdury, jakie wygadywała na temat kapitana Dooma. Musiał się wtedy niezłe bawić!

Zakłopotanie Lucy zamieniło się w gniew. Podniosła głowę i popatrzyła na niego pytająco.

- Skąd ta skromność, kapitanie? Czyżby zapomniał pan o zamienianiu zakładników w kamień i zniesławianiu dziesięciu dziewczyc w ciągu jednej nocy?

- I to przed północą - wtrącił. - Wydaje mi się, że ciekawszym zajęciem jest

dziesięciokrotne zniesławienie tej samej dziewicy. Która godzina, Apollo?

Lucy zamarła, porażona celnością jego odpowiedzi. Naiwnie sądziła, że może z nim wygrać.

- Ta, o której zawsze sprawdzam wachtę - odparł Apollo.
- No dobrze, możesz odejść.

Wychodząc, podoficer rzucił kapitanowi nieczytelne dla Lucy spojrzenie. Gdyby wiedziała, że zostanie sama, zdana na jego łaskę i niełaskę, nie szydziłaby z Gerarda.

Nie uspokoiła się nawet wtedy, gdy schował do kieszeni nóż. Lucy dobrze wiedziała, że ma do dyspozycji dużo subtelniejszą, a zarazem skuteczniejszą broń. Za jego plecami stało nadal nie tknięte łóżko.

Patrzył na nią, pocierając złocisty zarost na brodzie. Lucy żałowała, że nie nosi już okularów, które w jakiś sposób odgradzały ją od jego zagadkowych oczu. Jeszcze nigdy nie czuła tak silnej potrzeby zdradzenia wszystkich swoich tajemnic. Nawet ojciec swoją tyranią nie był w stanie jej do tego nakłonić. Teraz chciała opowiedzieć mu o wszystkim, wyznać najbardziej poniżające rzeczy.

Gerard odezwał się pierwszy. Jego głos był oschły, jak głos admirała.

- Nie przyszedłem tu, żeby się z tobą przekomarzać. Chcę ustalić zasady. Pomyślałem, że zwykła, ludzka dyskusja będzie prostsza i zabierze mniej czasu niż tatuowanie kodeksu pirackiego na twoich... - zawahał się, jego wzrok zatrzymał się na głębokim dekolcie koszuli - ...piersiach.

- Czyje zasady? Chyba nie te, które obowiązują w Koronie?

Wstał i zaczął krążyć wokół stołu. Lucy przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Choć teraz nie miała na oczach przepaski, wcale nie czuła się pewniej. Tym razem widziała, jak jest niebezpieczny. Ciekawe, jakim cudem zdołał przez tyle tygodni panować nad swoją pewnością siebie, zastanawiała się w duchu. Widać po nim, że to urodzony przywódca.

- Zasady obowiązujące na tym okręcie. Moje zasady - powiedział, zakładając ręce do tyłu. - Sugeruję posłuszeństwo. Jako kapitan, naturalnie odpowiadam za... - szukał odpowiedniego słowa - ...dyscyplinę.

- Naturalnie - powtórzyła, przełykając ślinę.

Zatrzymał się.

- Zasady ustanawia się po to, by chroniły tych, którzy ich przestrzegają. Ciebie obowiązuje tylko jedna. Pod żadnym pozorem nie wolno ci opuszczać tej kajuty. Ze względu na naturę tego przedsięwzięcia, załoga „Retribution” to najniebezpieczniejsi ludzie w Anglii. O tym, że tu jesteś, wie tylko Apollo, więc jeśli uciekniesz i wpadniesz w ręce któregoś z

moich ludzi... -dramatycznie zawiesił głos. Zrozumiała ostrzeżenie. - Nie odpowiadam za to, co się może stać.

- Oczywiście - wyszeptwała, z wysiłkiem opanowując drżenie.

Przestał za nią odpowiadać w chwili, kiedy odurzył ją w bibliotece. Ciekawe, co jeszcze jej zaproponuje? Ochronę, podszytą groźbą, że w razie sprzeciwu odda ją w ręce załogi?

W tym momencie w jej sercu zgasła ostatnia iskierka nadziei. Teraz pozostało jedynie czekać na śmierć. Jej odwaga gdzieś znikła. Lucy poczuła się zupełnie bezbronna i niebezpiecznie bliska łez.

Przyrzekła sobie, że nie będzie go o nic prosić. Bez względu na to, co z nią zrobi i do czego ją zmusi, nie będzie go błagać o litość. Był zwyczajnym łotrem, który udawał kogoś, kogo mogła pokochać.

- Lucy?

Jego łagodny głos wyrwał ją z zamyślenia. Wydało jej się, że przemówił do niej duch ukochanego mężczyzny. Jakież było jej zdziwienie, kiedy otarła zamglone oczy i zobaczyła, że u jej stóp klęczy Gerard i jest wyraźnie zatroskany.

- Źle się czujesz? Ten środek usypiający może jeszcze działać.

Wyciągnął dłoń, by dotknąć jej czoła, ale ona cofnęła głowę.

- Nic mi nie jest, dziękuję. W przeciwieństwie do ciebie, nie dokuczają mi ataki ślepoty ani choroby morskiej.

Wyprostował się. Jej uwaga mocno go zaboląła. Jak mogła mówić, że jej cierpienie jest większe? Od złamanego serca?

- Co zamierza pan ze mną zrobić, kapitanie? Sprzeda mnie pan handlarzowi żywym towarem? Zatrzyma dla okupu? A może odda temu, kto zaproponuje najwyższą cenę?

- Jeśli o mnie chodzi, admirał może się wypchać swoim majątkiem. Chcę odzyskać list uwierzytelniający i zeznanie oczyszczające mnie z zarzutów. Admirał musi się przyznać do tego, że mnie w to wrobił.

Lucy roześmiała się nerwowo.

- Niczego pan nie dostanie. Zniszczyłby pan jego reputację. Byłby skończony.

- A zatem czeka go trudna decyzja. - Przeraziła ją niewypowiedziana groźba. -

Nie musisz wstawać o świcie. Nie będę zajmował ci tyle czasu, co ojciec.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Niedbałym gestem odsunął z drogi jej halkę. Otworzyła usta, by go zawołać, ale w ostatniej chwili zawahała się. Nie może tego zrobić. Nie narazi swojej dumy.

Trzasnął drzwiami.

Przekreślił klucz.

Założył zasuwę.

- Dlaczego, ty wstrętny łotrze? - Zerwała się z krzesła i z całej siły kopnęła leżącą na podłodze książkę.

Wiedziała, że zachowuje się nedorzecznie. Przeraziła ją myśl, że mógł ją zniesławić, a jednocześnie była rozczarowana, że nawet nie spróbował.

Podeszła do okna i zapatrzyła się na ciemniejące niebo. Czyżby Gerard cierpliwie czekał na odpowiedni moment? A może znów udawał gentlemiana? Przecież w Jonii sama mu się oddała, a on się jej oparł.

Zamknęła oczy. Przypomniała sobie delikatne dłonie Gerarda czule pieszczące jej piersi, jego palce zmysłowo budzące jej kobiecość, a potem powstrzymujące okrzyk ekstazy. Natarczywe wspomnienia sprawiały, że ogarniało ją pragnienie, pomieszane z zawstydzeniem.

Czy jego wstrzemięźliwość wynikała z faktu, że jest córką największego wroga, czy po prostu zupełnie go nie pociągało? Z zawstydzeniem uświadomiła sobie, że bardziej ponura wydaje jej się ta ostatnia perspektywa.

Ojciec miał rację co do jednego: uczucia nie pozwalają myśleć logicznie. Zmęczona konfliktem między emocjami a rozumem, spojrzała na ogromne łożo. Nie wyglądało już tak groźnie. Przypominało raczej bezludną wyspę. Z westchnieniem zgasła lampę, ostrożnie położyła się na miękkiej kołdrze i szybko zasnęła.

Srebrny promień księżyca igrał na twarzy Lucy. Gerard stał przy łóżku i obserwował śpiącą dziewczynę. Utrzymywanie dystansu w Jonii było męczące, ale przebywanie z nią na pokładzie „Retribution”, gdzie jej los spoczywał w jego rękach, okazało się jeszcze trudniejszym wyzwaniem.

Zwinęła się w kłębek na samym środku łóżka, nie burząc idealnej gładkości satynowej kołdry. Choć w kajucie panował chłód, a ogień w piecyku prawie już wygasł, Lucy zrzuciła na podłogę oba koce i poduchy, jak gdyby uznała, że nie powinna korzystać z wygód.

Skulona, w męskim stroju, wyglądała jak bezbronna, słaba istotka potrzebująca

opieki. Gerard wyciągnął rękę, by dotknąć kosmyka szarych włosów, ale w ostatniej chwili się wycofał. Przypomniał sobie, że już nie jest jej ochroniarzem.

W słabym świetle księżycy dostrzegł cienie pod jej oczami. Nie miał wyboru, musiał ograniczyć jej wolność do tego jednego pomieszczenia. Przecież najważniejsza jest załoga. I rodzina. Z przerażeniem myślał jednak, że zamknięta pod pokładem, uschnie, jak pozbawiona światła i powietrza kamelia. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, co znaczy niewola. Znow się zawahał, zastanawiając się, czy koszty zemsty nie są zbyt wygórowane.

Jego dłoń sama znowu podążyła ku jej włosom. Zanurzył palce w ich srebrzystoszarym jedwabiu. Wzdrygała się, kiedy próbował jej dotykać, w jej oczach widział niechęć. Czego się spodziewał? Że usłyszawszy prawdę, potępi ojca i padnie mu w ramiona, ślubując wierność i lojalność? Z całą pewnością sobie na to nie zasłużył. Zdradził ją, tak samo jak admirał.

Uważała go za najgorszego łotra. Co zatem powstrzymywało go przed potwierdzeniem jej przypuszczeń? Dlaczego nie pochylał się nad nią, by pocałować jej lekko rozchylone usta? Dlaczego nie chwycił za rękę i nie przygniatał swym ciężarem jej szczupłego ciała? Powoli zaczynał wątpić w swój talent uwodziciela. Wprawdzie ćwiczył na najpiękniejszych kobietach Londynu, ale czy to wystarczy, by Lucy przestała myśleć, że wszyscy ją zdradzili? Kiedy się obudzi i zrozumie, co się dzieje, będzie się opierać i walczyć jak lwica.

A wtedy obydwójce przekonają się, jak mroczna jest jego dusza.

Jakaś dzika, egoistyczna częśćka niego, nadal domagała się, by pokonał własną słabość i zranił ją jeszcze silniej niż dotychczas. Co sprawiało, że tym razem nie potrafił zagłuszyć swego sumienia?

- Co z ciebie za pirat, Doom? Przynosisz wstyd swojej profesji - mruknął pod nosem, przykrywając ją kołdrą,

Poruszyła się przez sen. Gerard pochylił się nad nią. Teraz był już pewien, że musi oddać klucz do kajuty w ręce Apolla.

Następnego ranka obudził ją dziarski rytm francuskiej piosenki.

Otworzyła oczy i ze zdumieniem stwierdziła, że po kajucie kręci się olbrzym podoficer, trzymając w rękach tacę z dymiącym posiłkiem.

- Śniadanie? - zapytała, przecierając oczy.
- Lunch, panienko - poprawił ją grzecznie. - Godzinę temu minęło południe.

Południe! Lucy, wstrząśnięta własnym lenistwem, wyskoczyła z łóżka. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że przecież nie ma żadnych obowiązków i nikt nie skrytykuje jej za opieszałość. Wróciła więc pod kołdrę, by poprzeciągać się i ziewnąć niczym kotka. Apollo, pogwizdując, wyszedł z kajuty i zostawił ją samą.

Spowaźniała, kiedy przypomniał jej się sen, jaki miała tej nocy. W tym śnie Gerard, jej dawny Gerard, delikatnie otulił ją miękkim kocem i złożył na jej ustach ciepły pocałunek. Spojrzała na łóżko i uświadomiła sobie, że po przebudzeniu była okryta kołdrą.

Tym razem rozum zatriumfował nad emocjami. Szybko wytłumaczyła sobie, że pewnie w nocy zmarzła i sama się przykryła, logika nie ukoiliła jednak bólu serca.

W kajucie znów pojawił się Apollo. Z wyraźnym wysiłkiem przyciągnął wielki kufer z mosiężnymi okuciami.

- Kapitan przyszyła.

Lucy usiadła. Nie powiedział „Gerard”, tylko „kapitan”. Wszechmocny dowódca, w którego rękach spoczywa jej los. Z bijącym sercem wstała z łóżka i podeszła do kufra.

- Co jest w środku? - zapytała, nieudolnie udając obojętność. - Oskalpowane głowy zakładników?

Poznała Apolla na tyle, by wiedzieć, że nie jest zbyt rozmowny. Rzucił jej zimne spojrzenie, po czym otworzył walizę i wyjął sukienkę. Otrzeptał pognieciony materiał, rozprostował fałdy i przymierzył do ramion. Lucy w życiu nie widziała czegoś równie pięknego.

Westchnęła z podziwem. Choć nigdy nie była próżna, teraz, na widok eleganckiej sukni, ogarnęła ją nieodparta pokusa, by włożyć zwiewną turkusową satynę, by na własnym ciele poczuć kremowe koronki. Strojne ozdoby pamiętające inną, bardziej namiętną epokę, przyćmiły skromną biel jej sukienek w klasycznym greckim stylu.

- Boże, jaka piękna - wyszeptała.

Apollo uśmiechnął się, zachęcając, by dotknęła maleńkich perłowych guziczków, zdobiących bufiaste rękawy.

- Mogę? - zapytała nieśmiało.

Oddał suknię w jej niecierpliwe ręce. Od razu przyłożyła do ramion, by sprawdzić, czy będzie na nią pasowała.

Zachwyt minął równie szybko, jak się pojawił. Rozłożysta spódnica zasłaniała nie tylko stopy, ale i sporą część podłogi wokół nich. Sądząc po długości i wykroju stanika,

właścicielka sukni musiała być od niej wyższa i lepiej zbudowana.

„O ile wiem, Doom gustuje w kobietach, które oprócz kości mają trochę ciała”.

Zabolało ją wspomnienie ciętej uwagi Gerarda. Co ona sobie wyobrażała? Że przed porwaniem skompletował dla niej garderobę? Rzuciła okiem na zawartość kufra. Z pewnością ubrania należały do kobiet, które zabawiał na pokładzie swojego statku, a one spełniały wszystkie jego zachcianki. Jeśli tak ubierały się te damy, to ona istotnie musi mu się wydawać nieatrakcyjna.

Popatrzyła na siebie, na swoje niezgrabne, chude nogi w męskich spodniach.

Uniosła dumnie głowę i wypuściła z rąk sukienkę, która upadła u jej stóp.

- Proszę powiedzieć kapitanowi, że wystarczy mi mój własny strój. Nie interesują mnie kreacje jego dziwek.

Apollo tak się strapił, że przez chwilę miała wyrzuty sumienia. Otworzył usta, jak gdyby zamierzał coś powiedzieć, ale w końcu się rozmyślił.

Zraniona duma podsycala jej pogardę.

- Proszę mu przekazać, że jeśli myśli, że kupi mnie za kufer sukienek, to się grubo myli. Nie jestem przestraszona myszką, którą można przekupić kawałkiem sera.

Apollo chyba nagle przypomniał sobie, że ma coś ważnego do zrobienia, bo pospiesznie podniósł z podłogi sukienkę i wrzucił ją do kufra. Zamknął wieko, po czym zarzucił kufer na plecy i ruszył ku drzwiom.

- Oczywiście, panienko. Powtórzę pani słowa kapitanowi.

- Dziękuję, sir- odparła Lucy. Dygając w wąskich bryczesach, czuła się śmiesznie, ale liczyła, że duma doda jej gracji.

Apollo opuścił kajutę. Przez ułamek sekundy Lucy miała nadzieję, że może tym razem zapomni zamknąć drzwi, jednak zgrzyt przekręcanego w zamku klucza odebrał jej złudzenia.

Przewyciężanie własnych emocji poprawia apetyt, myślała, podchodząc do stołu. Poza tym, musi mieć siłę, jeśli chce przechrzyć kapitana Claremonta.

Podniosła serwetkę. Z jej gardła wyrwał się wściekły okrzyk, kiedy zobaczyła kubek parującego mleka i kilka sporych plastrów sera.

Istotnie, okazało się, że Gerard nie zajmuje jej czasu tak jak admirał. Gdyby nie fakt, że Apollo co rano przekazywał zapytania o jej samopoczucie, mogłaby sądzić, że zupełnie o

niej zapomniał.

Nudziła się w swoim towarzystwie. Godziny na morzu upływały monotennie, a kajuta z dnia na dzień zdawała się coraz mniejsza. Lucy próbowała zabić czas, śpiąc samotnie na środku olbrzymiego łóżka.

Kiedy nie spała, wyglądała przez okienko i obserwowała daleką linię horyzontu. Niestety, nie było widać śladu pościgu. Żadnego ratunku. Apollo nie dawał szans na ucieczkę. Za każdym razem dokładnie zamykał drzwi i zakładał blokadę. Powoli traciła panowanie nad sobą. Zauważyła jednak, że wyładowywanie się na podoficerze nie ma najmniejszego sensu. Jej złośliwości spływały po nim jak woda po kaczce. Zastanawiała się nawet, czy on i Smythe nie są przypadkiem braćmi.

Znudzona do granic wytrzymałości, postanowiła posprzątać bałagan, który sama zrobiła. Podniosła z podłogi książkę, by sprawdzić, jakąż to literaturą zaczytuje się ktoś taki jak Gerard Claremont.

Dotknęła skórzanej oprawy, przesuając palcem po tytule: *Kapitan Singelton* pióra Daniela Defoe. Wystarczył jeden rzut oka, by przekonała się, że to powieść o niesławnym piracie.

Uśmiechnęła się szyderczo. Admirał z wyjątkowym upodobaniem krytykował powieści, twierdząc, że coś, co nie wydarzyło się naprawdę, nie może mieć żadnego znaczenia. Na wspomnienie ojca uśmiech zniknął z jej ust. Przecież on wszystko krytykował, zwłaszcza własną córkę. Nagle zapłonęła w niej iskierka buntu. Lucy usiadła na podłodze i zaczęła czytać.

W tej pozycji zastał ją Apollo, który cztery godziny później przyniósł lunch. Zjadła suchary nie przerywając lektury. W jednej ręce trzymała kawałek suszonej wołowiny, drugą przewracała kartki. Przypadkiem odnalazła w książce coś, czego zupełnie się nie spodziewała - ucieczkę. Nawet nie zauważyła, kiedy minął dzień. Dzięki powieści przeniosła się w egzotyczny świat przygód dzielnego kapitana.

Skończyła czytać rankiem następnego dnia. Westchnęła z zadowoleniem i odłożyła książkę na półkę. Przeglądając zawartość biblioteczki Gerarda, znalazła jeszcze dwie powieści tego samego autora.

Połknęła pierwszą i leżąc na brzuchu na łóżku, zabrała się za drugą, kiedy pojawił się Apollo z kolacją. Ostrożnie odłożyła książkę na bok. Zauważyła, że podświadomie w wyobraźni nadaje bohaterom wygląd Gerarda. Jego ostatnie wcielenie, szlachetny rozbitek Robinson Crusoe, któremu towarzyszy wierny Piętaszek - Apollo, na pusty żołądek było nie do zniesienia.

Z uwagą obserwowała Apolla, stawiającego na stole tacę. Zaintrygowana burzliwymi losami postaci z kart powieści Defoe, zastanowiła się, dlaczego właśnie tak potoczyły się ich losy. Co skłoniło ich do obrania takiej, a nie innej drogi życiowej. Stopy Apolla jak zwykle były białe. Lucy spojrzała na wyraźne blizny na kostkach.

Kiedy odwrócił się, chcąc odejść, zerwała się na równe nogi.

- Zostań! - Uświadomiwszy sobie, że jej okrzyk musiał zabrzmieć jak rozkaz, złożyła pokornie ręce i uśmiechnęła się błagalnie. - Zostań, proszę. Zjedz ze mną kolację. Jestem taka... samotna. - Dopiero teraz, kiedy wypowiedziała to słowo na głos, dotarło do niej, jak bardzo doskwiera jej brak towarzystwa.

Apollo zawahał się, ale w końcu uklonił się dwornie.

- Jestem zaszczycony pani wspaniałomyślnym zaproszeniem - powiedział, siadając za stołem.

Dzieląc jedzenie, wyobrażała sobie minę ojca, gdyby zobaczył ją łamiącą się chlebem z człowiekiem, którego z całą pewnością uznałby za dzikusa. Rozbawiła ją ta myśl.

Apollo był oczarowany uroczym uśmiechem gospodyni. Nie widział jej tak pogodnej od nieporozumienia z kufrem kapitana. Kiedy opowiedział o wszystkim Gerardowi, ten uśmieł się do łez.

- Skąd jesteś, Apollo?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Do tej pory interesowała się tylko własnym nieszczęściem. Może po prostu stęskniła się za ludzkim głosem? Apollo dobrze wiedział, jak męcząca bywa cisza.

- Pochodzę z plemienia Zulusów - odpowiedział, łamiąc suchara i zanurzając go w białawej brei z wody i mąki, uchodzącej za sos. - Miałem dziewiętnaście lat, kiedy porwano mnie z wioski. Trafiłem na targ w Santo Domingo, a tam kupił mnie pewien francuski plantator.

Apollo miał dźwięczny głos i opowiadał jak urodzony gawędziarz. Miał doskonałą dykcję, posługiwał się piękną angielszczyzną, świadczącą o upodobaniu do języka, którego musiał się nauczyć jako dorosły mężczyzna. Lucy zapomniała o jedzeniu. Oparła łokcie na stole i zasłuchiwała się w opowieści.

- Mój pan był dobrym, oświeconym człowiekiem. Zamiast posyłać mnie do pracy w polu, nauczył mnie pisać i czytać. Potem nauczył mnie francuskiego, angielskiego i łaciny, wpoił dobre maniery. Godzinami rozmawialiśmy o sztuce i filozofii. - Apollo zaśmiał się. - Zgubił go Rousseau i Chrystus. „Człowiek, choć rodzi się wolny, zawsze pozostaje zakuty w łańcuchy”.

Słowa Apolla, te same, które niechcący roznieciły francuską rewolucję, poruszyły Lucy.

- Skoro ten jego Chrystus, do którego tak bardzo próbował mnie przekonać, zmarł, by przywrócić mi wolność, to dlaczego nadal byłem niewolnikiem? W końcu przekonałem go do mojego punktu widzenia. - Twarz Apolla nagle spochmurniała. - Niestety, za późno. Nim zdążył napisać w mojej sprawie do gubernatora, niewolnicy podnieśli bunt. Zamordowali go słudzy sąsiada. Zmarł na moich rękach.

Lucy siedziała na brzegu krzesła.

- I co zrobiłeś? Przyłączyłeś się do powstania?

Apollo pokręcił głową.

- Mój pan nauczył mnie jednego, że przemoc zawsze rodzi przemoc.

Dziwna filozofia jak na pirata, pomyślała Lucy, lecz zatrzymała to spostrzeżenie dla siebie.

- Bunt stłumiono. Zostałem aresztowany i trafiłem do więzienia. Wzbudzałem postrach zarówno u władz, jak i u niewolników. Jedni bali się mnie ze względu na gabaryty, u innych strach budziło moje wykształcenie. Gubernator chciał mnie powiesić, tak jak pozostałych rebeliantów, ale obawiał się, że zostanę uznany za męczennika, co wywołałoby kolejne, jeszcze bardziej krwawe powstanie. Zamknięto mnie w celi w nadziei, że świat o mnie zapomni.

- I zapomniał? - zapytała cicho Lucy. Kiwnął smutno głową.

- Tak, aż pojawił się on.

Lucy nie musiała pytać, o kim mówił. Podpowiedziało jej mocniej bijące serce. Nie chciała słuchać opowieści o wyczynach Gerarda. Nie mogła sobie pozwolić, by Apollo rozniecił jej sympatię do kapitana. Niestety, było już za późno.

- Jego śmiech był jak muzyka, jak balsam na moją duszę. Od pięciu lat nikt się do mnie nie uśmiechał.

Lucy odsunęła talerz. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz usłyszała ten sam zaraźliwy śmiech. Do tej pory nie mogła się od niego uwolnić.

- Pewnie polubiliście się od pierwszego wejrzenia? – zapytała ponuro.

Apollo aż zatrzęsł się ze śmiechu.

- Nienawidziłem skurczybyka! Pochyliła się nad stołem.

- Naprawdę?

- Byłem zbyt rozgoryczony, a on był biały, tak jak ci, którzy mnie uwięzili. Mało tego, cały czas paplał. Usta mu się nie zamykały nawet na chwilę. Powiedziałem mu nawet, że jak nie zamilknie, to go uduszę gołymi rękoma.

Lucy potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Ileż to razy sama chciała to zrobić! Dobrze rozumiała dylemat Apolla.

- Nie podziałało, prawda?

- Oczywiście, że nie. Dalej gadał, śmiał się, wygłupiał, podpuszczał mnie i szydził ze wszystkiego. W końcu sam zacząłem mówić, by zagłuszyć ten jego piekielny głos. Był jeszcze bardziej spragniony wiedzy niż ja. Nie miał wykształcenia, potrafił jedynie czytać mapy i listy załadunku. Okazało się, że ma niezwykłą zdolność do języków. W ciągu kilku miesięcy mówił biegle po francusku i w narzeczu mojego plemienia. Czy Apolla pociemniały.

- Tak dużo mówił. Ciągłe się śmiał. Ale to było, zanim odebrali mu głos.

Lucy, ku własnemu niezadowoleniu, zaczęła Gerardowi współczuć.

- Pewnie planował ucieczkę. Jakiś wyczyn graniczący z cudem. Trzęsienie ziemi? Trąby anielskie?

Apollo kręcił głową

- Nasza ucieczka nie była boskim cudem. - Widząc jego enigmatyczny uśmiech, domyśliła się, że wypytywanie o szczegóły byłoby nietaktem.

Lucy bacznie go obserwowała. Nie dziwiła się, że mężczyźni pochodzący z tak odmiennych środowisk żyli ze sobą. W pewnym sensie byli do tego zmuszeni. Ale dlaczego ten olbrzym, wielbiciel francuskich filozofów o skłonnościach pacyfistycznych, służył na pokładzie pirackiego statku?

- Świat nie był chyba zbyt przyjazny dla człowieka tak... - przerwała, zawstydzona własnym nietaktem - ...wykształconego. Podejrzewam, że nie miałeś innego wyboru, jak tylko przyłączyć się do pana Claremonta.

Apollo uniósł brwi, zdziwiony jej stwierdzeniem.

- To mój kapitan. Nigdy bym go nie zostawił.

Lucy spuściła wzrok, zmieszana jego prostolinijnością i tak niepodważalną lojalnością. Umierała z ciekawości, co też było jej źródłem. Nie zapytała, bo miała zbyt ściśnięte gardło.

Lucy wkrótce pożałowała, że nakłoniła Apolla do zwierzeń. Odkąd usłyszała jego historię, godziny znów zaczęły przeciągać się w nieskończoność.

Powieści pana Defoe nagle przestały ją interesować. Wyobrażenia podsuwała obrazy skutego łańcuchami Gerarda. Promienny uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca grymasowi rozgoryczenia. W jego oczach pojawiła się rezygnacja, poczucie bezsilności. Choć fizycznie go przy niej nie było, cały czas czuła jego duchową obecność. Zamieszkał w jej myślach. W jej sercu. W jej snach.

Przyśnił jej się pewnej nocy. Przyszedł do niej, jego twarz ukryta w cieniu wydawała się w jednej chwili surowa, w drugiej łagodnie uśmiechnięta. Kiedy się obudziła, policzki miała mokre od łez. Objęła się ramionami, próbując przepędzić rozdzierające poczucie osamotnienia.

Tamtej nocy nie mogła zasnąć. Do rana kręciła się niespokojnie w pościeli. Wiedziała, że musi znaleźć sposób, by uciec, nim jej prawdziwe uczucia przerosną pokłady gniewu i urażoną dumę.

Rankiem, kiedy otworzyła oczy, kajutę wypełniało mleczne światło. Na dalekim horyzoncie zauważyła skrawek lądu.

Przywitała Apolla z niewinnym uśmiechem.

- Dzień dobry, Apollo.

- Dzień dobry, panienko - odpowiedział, odsuwając ze stołu wielki atlas i stawiając tacę ze śniadaniem.

Lucy podeszła do niego na palcach i stanęła za jego plecami. Powoli podniosła butelkę, którą trzymała w drżącej dłoni. Przerazone serce waliło jak młot.

- Lepiej niech panienska tego nie robi - powiedział, nie odwracając się. - To ulubiona brandy kapitana.

Zmieszana, opuściła prowizoryczną broń. Odetchnęła z ulgą, kiedy podoficer uwolnił ją od tego nieprzyjemnego obowiązku. Na szczęście nie musiała rozbijać butelki na

jego głowie.

Druga próba ucieczki także nie wróżyła sukcesu. Nie mając lepszego pomysłu, po prostu zaczekała, aż Apollo otworzy drzwi, a wtedy rzuciła się ku wyjściu. Złapał ją na korytarzu i wciągnął do kajuty. Przez cały dzień milczała obrażona, ale on nic sobie z tego nie robił.

Następnego ranka zachowywała się spokojnie, licząc, że uśpi czujność swojego strażnika. Wieczorem postawiła przy drzwiach krzesło. Kiedy Apollo wszedł z kolacją, zarzuciła mu na głowę halkę, a gdy on szarpał się ze śliskim materiałem, wymknęła się między jego nogami z kajuty.

Nie przypuszczała, że złapie ją w ciągu kilku minut. Rzuciła się przed siebie, nawet nie sprawdzając, czy ją goni. Nie zastanawiała się, co zrobi po wyjściu z kajuty. Po prostu czuła, że musi zdać się na los. Może znajdzie prochownię? Wtedy następnym razem będzie wiedziała, dokąd biec.

Jeszcze nigdy nie widziała tak dziwacznie zaprojektowanego okrętu. Kręte korytarze wiły się jak labirynt. Zbyt późno uświadomiła sobie, że wybrała drogę wiodącą na dół, w głąb szkunera. Jedynym ratunkiem były lampy, wiszące przy każdym skrzyżowaniu.

Przystanęła, by złapać oddech. Nadal nie było słychać pościgu. Tylko złowrogie skrzypienie podłogi i kołysanie zmagającego się z falami okrętu.

Po drugiej stronie korytarza zauważyła solidne, żelazne drzwi. Wiedziała, że nie ma najmniejszej szansy, by ucieczka się powiodła, ale może uda jej się gdzieś zabarykadować i w ten sposób zmusić kapitana Claremonta do podjęcia dialogu. Nieśmiało dotknęła zimnej klamki. Nagle przypomniała sobie, co Gerard mówił o swojej załodze, i po chwili namysłu wycofała się.

Nie bądź śmieszna, upomniała samą siebie. On tylko chciał cię onieśmielić.

Miała nadzieję, że drzwi będą zamknięte na klucz, ale kiedy nacisnęła klamkę, z łatwością się otworzyły. Weszła do środka. W kajucie panowała zupełna ciemność, którą teraz złamało słabe światło lampy z korytarza.

Strach ścisnął jej gardło. W mrocznym pomieszczeniu musiał urzędować kat. Na samym środku stało łoże tortur, obok na kołku wisiały pejcze oraz trzy pary zardzewiałych kajdan. Wyobraźnia Lucy, pobudzona lekturą powieści pana Defoe, od razu podpowiedziała jej, do czego służą te przerażające przedmioty. Drzwi stojącej pod ścianą ciężkiej szafy nagle zaczęły się otwierać.

- Panienko! - z odrętwienia wyrwał ją głos Apolla.

Zatrzasnęła drzwi i przywarła do nich całym ciałem. Apollo stanął nad nią, w

półmroku wyglądał jeszcze straszniej niż za dnia.

- O co chodzi, Apollo? - zapytała ze sztuczną swobodą. -Czyżby kapitan trzymał w szafie szkielety?

- Można tak powiedzieć.

Apollo przyklęknął na jednym kolanie, bez ostrzeżenia chwycił ją w pasie i przerzucił sobie przez ramię. Nie związane włosy opadły jej na oczy, zasłaniając widok. Kiedy się odwrócił, poczuła, jak napiął mięśnie.

- Dobry wieczór, Apollo - odezwał się łagodny głos.

- Dobry wieczór... kapitanie.

22

Lucy zacisnęła powieki. Nie tak wyobrażała sobie spotkanie z Gerardem.

- Dokąd się pani wybrała, panno Snow? — zapytał chłodno.

- Donikąd, kapitanie - próbowała się nic wiercić, co okazało się dość trudne, bo przecież zwracał się do jej pośladek.

Po tych grzecznościach zapadła męcząca cisza. Gerard odezwał się pierwszy.

- Która to ucieczka naszego miłego gościa?

Tym razem to Apollo zaczął się wiercić. Lucy czuła jego rozgoryczenie.

- Postaw mnie na ziemi - rozkazała. Nie pozwoli, by tylko on poniósł konsekwencje.

W końcu i tak sama nie miała nic do stracenia.

Apollo usłuchał. Lucy odgarnęła z twarzy włosy, ale szybko tego pożałowała. Musiała spojrzeć Gerardowi w oczy. Cienie igrały na jego policzkach dokładnie tak, jak w jednym z jej Snow. Po raz pierwszy zastanowiła się, kim jest człowiek, który urządza sobie na statku tak przerażającą izbę tortur.

Zdenerwowana własnym strachem podniosła dumnie głowę.

- Zdaje się, że to moja trzecia nieudana próba odzyskania wolności - powiedziała z udawaną nonszalancją. - I co pan zamierza teraz ze mną zrobić? Zakuć w kajdany? - zapytała, wyciągając do niego złożone dłonie.

Pochylił się i spojrzał na nadgarstki, jak gdyby rozważając taką możliwość.

- Kusząca propozycja.

Lucy cofnęła ręce, nie wiedząc, jak daleko może się posunąć w ponurych żartach.

- Wyprowadź ją- rozkazał, odwracając się z pogardliwą obojętnością.

Lucy maszerowała między dwoma mężczyznami, jak skazaniec prowadzony na szubienicę. Była gotowa przyjąć swój los z pokorą, ale nie z milczeniem.

- Proszę wybaczyć moją zuchwałość, sir, ale chyba na tym polega rola więźnia. Trzymajmy się swoich ról. Pan jest kapitanem, a ja zakładniczką. Rutynowe próby uciezki

są moim świętym obowiązkiem, że nie wspomnę o...

Zamilkła, gdy tuż za jej plecami zatrzasnęły się drzwi. Wyglądało na to, że Apollo ją porzucił. Zostawił ją sam na sam z rozwścieczonym kapitanem.

Kiedy się odwrócił, przeszły ją dreszcze. Bardzo się zmienił w ciągu tego tygodnia. Skóra mu pociemniała od słońca i wiatru, sprawiając, że orzechowe oczy stały się jeszcze bardziej wyraziste. Włosy nabrały płowego odcienia i lekko się skręciły. Miała ochotę ich dotknąć, pogłodzić jego kark. Lekki zarost ocieniał jego chłopięcą twarz, która teraz wydawała się szalenie poważna.

Wyglądał na zmęczonego, jak gdyby cierpiał na bezsenność. Po raz pierwszy zastanawiała się, gdzie sypiał, podczas gdy ona zajmowała jego łóżko. Napięcie malujące się na jego twarzy w jakiś nieokreślony sposób dodawało mu uroku.

Jej ochroniarz był przystojny, ale temu mężczyźnie nie potrafiłaby się oprzeć.

Nie była przygotowana na to spotkanie, lecz jeszcze bardziej zaskoczyły ją niepokojąco słodkie skurcze żołądka i przyspieszone bicie serca.

- Zdejmij sukienkę.

Jego słowa uderzyły w nią niczym piorun z jasnego nieba. Gdy tylko na nią spojrział, Lucy poczuła, że opuszcza ją odwaga.

- Przepraszam - wybełkotała. - Już nie będę uciekać.

- Och, z pewnością. Oddaj sukienkę.

Stał przed nią z dziką determinacją w oczach. Lucy mimowolnie zrobiła krok w tył. Nie poznała się na ojcu, co znaczyło, że zupełnie nie zna się na ludziach, ale żeby aż tak pomylić się w ocenie tego człowieka?

- Nie możesz mnie winić za to, że próbowałam uciekać. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo. - Szybko pożałowała, że to powiedziała. Przecież spędził tyle lat w dużo cięższych warunkach niż ona. - Jeśli to jest według ciebie dyscyplina...

Zrobił krok w jej kierunku.

- Lucy, nie zmuszaj mnie, żebym cię rozebrał. Wiem, że to twój jedyny strój.

- Och błagam, ja... - Zacisnęła zęby, przypomniawszy sobie wcześniejszą przysięgę, że nie będzie go o nic prosić. Sylwetka Gerarda rozmazywała się. Oczy zasły jej łzami. - Nie zasłużyłam sobie na to.

Jej ciche wyrzuty nie zrobiły na nim wrażenia. Przez chwilę wahała się. Przypomniała sobie, że nie włożyła nawet halki, która osłoniłaby ją przed jego przenikliwym wzrokiem. Może to kara za to, że zarzuciła ją na głowę podoficera?

Zrezygnowana zdjęła sukienkę i stanęła przed nim półnaga, próbując opanować

drżenie. Miała na sobie jedynie cienką koszulkę i jedwabne majtki. Wbiła palce w zwiniętą w kłębek sukienkę z silnym postanowieniem, że nie będzie się ponizać i wstydliwie zakrywać rękami.

Zanim do niej podszedł, patrzył na nią w zamyśleniu. Lucy zamknęła oczy, z przerażeniem czekając na moment, kiedy jej dotknie, chwyci za ramię, popchnie w stronę łóżka i odbierze jej niewinność.

Stał tuż przed nią. Czuła na skroniach jego oddech, ciepło jego ciała. Niepewnie nabrała powietrza w płuca. Pachniał wiatrem, morzem, solą, wolnością. Po tylu dniach odosobnienia czuła się oszołomiona jego zapachem.

Zdawało jej się, że lada chwila straci panowanie nad zmysłami. Bała się nawet oddychać.

Gerard bez ostrzeżenia wyrwał sukienkę z jej zaciśniętych dłoni. Otworzyła oczy. Jakież było jej zaskoczenie, kiedy zobaczyła, że jest już przy drzwiach. Z wściekłością popchnął je tak, że odskoczyły odbite od ściany, po czym wyrzucił sukienkę na korytarz.

Z rosnącym zdziwieniem patrzyła, jak mruczając złowrogo pod nosem, wyrzucą zawartość szafy i kufra na podłogę. Zdjął z łóżka oba koce i pościel, pozostawiając jedynie materac i poduszki. W ciągu kilku sekund wszystko wylądowało na korytarzu.

Zatrzasnął wieko pustego kufra.

- Teraz, moja mała myszko, pomyślisz dwa razy, zanim zdecydujesz się na ucieczkę z pułapki. Kiedy moi ludzie zobaczą cię w tym...— przełknął głośno ślinę- ...frywolnym stroju, rozszarpia cię na kawałki. Jeśli wpadniesz w ich ręce, nie zostanie z ciebie nic, nawet przynęta na rekiny.

Choć z wyczuciem wcielał się w rolę okrutnego pirata, nie zrobił na Lucy należytego wrażenia. Wbił wzrok w jakiś punkt tuż nad jej ramieniem. Dłonie zacisnął w pięści. Chciał ją nastraszyć czy ukryć własne zdenerwowanie?

Podbudowana jego chwilową słabością, nagle uświadomiła sobie, że nie jest tak do końca bezbronna. Może uda jej się odzyskać ubranie w inny sposób.

Odgarnęła włosy na plecy i jak gdyby od niechcienia podeszła do łóżka. Robiła wrażenie osoby przywykłej do paradowania przed mężczyznami w samej bieliźnie.

- To mało szlachetne z pana strony, kapitanie. Noce na morzu bywają bardzo zimne.

Przez ułamek sekundy Gerard nie był pewien, czy Lucy Snow próbuje go zawstydzić, czy uwieść. Patrzyła na niego z wyrzutem, a jednocześnie jej wydęte wargi zdawały się go zapraszać. Kurczowo trzymał się swojej złości. Złości racjonalnej, bo podjęła tak głupią próbę ucieczki. I nieracjonalnej, bo choć nie dał jej żadnych powodów, sądziła, że

mógłby ją skrzywdzić. Rozproszone światło lampy w magiczny sposób wydobywało spod cienkiej bielizny zarys jej sylwetki, zupełnie go dekoncentrując.

Powinien był przysłać po jej ubrania Apolla, ale o pewne przysługi kapitanowi nie wypada prosić podoficera. Nawet najbardziej zaufanego.

- Uważasz, że jestem nie najlepszym gospodarzem, prawda? Zatrzepotała rzesami.

- Dziwisz się? W końcu więzisz mnie od tyłu dni.

- Dla twojego dobra.

- To ty tak uważasz. Pamiętaj, że w negocjacjach z ojcem nie będziesz miał ze mnie pożytku, jeśli przeziębę się i umrę.

Usiadła na brzegu łóżka, prowokacyjnie preżąc małe piersi, ukryte pod cieniutkim jedwabiem. Gerard przypomniał sobie, jak podniecająco reagowały na dotyk jego dłoni. Jego wzrok zatrzymał się na jej leniwie kołyszącej się stopie. Czy zawsze miała takie długie nogi? I takie powabne?

Zaschło mu w gardle. Skąd u niej ten nagły przypływ śmiałości? Skłamałby, gdyby powiedział, że mu się to nie podoba. Może pora zmusić ją do odkrycia kart?

Gerard pewnym krokiem podszedł do łóżka. Lucy z coraz większym trudem panowała nad zdenerwowaniem. Straciła głowę, kiedy wyciągnął rękę i wsunął ją w jej włosy. Jego palce delikatnie dotknęły jej karku. Po raz pierwszy, odkąd była na statku, pozwoliła mu się dotykać, ale przecież nie miała innego wyjścia. Sama go sprowokowała swoim lekkomyślnym zachowaniem. Zbyt późno przypomniała sobie, że wyzwalała na pojedynkę mistrza tej gry.

- Pani drzy, panno Snow! — wykrzyknął podnosząc brwi. - Czyżby już zdążyła się pani przeziębć?

Kiedy patrzyła w jego orzechowe oczy, nie czuła chłodu. Było jej gorąco, ogarniał ją paraliż. Jego dotyk wywoływał gorączkę, rozpalającą jej zziębnięte ciało.

- Nie, sir. Zawsze cieszyłam się wyśmienitym zdrowiem - z trudem zdołała wyszeptać.

Potrząsając smutno głową, osunął się przed nią na kolana.

- Nie oszukuj się, kochanie. Spójrz na siebie. - Odgarnął włosy z jej czoła. - Masz wypieki, chrypkę - przybliżył usta do jej ust i wyszeptał. - Płytki oddech.

Nie zdążyła zastanowić się, czy jej oddech rzeczywiście jest płytki, bo w tym momencie jego wargi przylgnęły do jej warg. Objął ją i od razu wsunął rękę pod koszulkę, szukając jej nagiej gładkiej skóry. Lucy była przygotowana na brutalność. Zaskoczył ją i

oszołomił swoją łagodnością. Jego delikatny pocałunek był zadatkami przyjemności, jakich mógł jej dostarczyć.

Poddała się bez walki. Nie protestowała, gdy jego język zagłębił się w jej ustach. Przyłgnęła do niego całym ciałem, oczarowana szorstkością jego kilkudniowego zarostu, słonym smakiem skóry, zapachem morza i męczyzny, zmysłowym kołysaniem wąskich bioder.

Jego dłonie zsunęły się po jej plecach i wśliznęły pod majtki, by dotknąć jędrnych pośladków. Rozsunął jej kolana i usadowił ją sobie na udach, tak że przez ułamek sekundy była przekonana, że zaraz przebije się przez cienki jedwab bielizny, by ją osiąść.

Pocałował ją tak namiętnie, że była gotowa oddać mu wszystko, po czym wycofał się, zostawiając ją drżącą z podniecenia, bezwładną, dyszącą.

W jego oczach dostrzegła szydercze iskiarki, ale jego urywany oddech świadczył, że jego obojętność była jedynie pozą.

- Jest gorzej, niż myślałem. Szkliste oczy, zwiotczałe mięśnie. Nie sądzę, by było to zwyczajne przeziębienie. To klasyczne objawy apatii.

Lucy zeszytniała. Szybko wycofała się z jego objęć.

- Szkoda, że to nieuleczalne - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Obawiam się, że niedługo umrę.

Chwycił palcami jej podbródek.

- Kochanie, nie musisz się bać przeziębienia. Tam, dokąd płyniemy, noce są dużo cieplejsze.

Kiedy wstał, by odejść, Lucy myślała już o szumiących palmach, słonecznych, piaszczystych plażach, nagich ciałach lśniących od potu. Jej serce biło w rytmie plemiennych bębnow.

- Jeśli obiecuję, że nie będę próbować uciekać, czy oddasz mi ubranie?! - zawołała, otrząsnąwszy się z rozmarzenia.

Zatrzymał się przy drzwiach.

- Obawiam się, panno Snow, że pani słowo znaczy dla mnie tyle, co słowo pani ojca.

Wyszedł, przekręcił w zamku klucz i założył blokadę.

Lucy, próbując zdusić frustrację, rzuciła poduszką w drzwi, po czym położyła się na łóżku. Jeszcze jedno takie spotkanie, a nie będzie musiał sprzedawać jej handlarzom żywym towarem. Tak długo będzie ją trzymał zamkniętą w kajucie, na wpół nagą, na wpół oszalałą, aż sama poprosi, by dokończył tę zmysłową grę.

Zwinęła się w kłębek, czując, że trawi ją gorączka, która nie ma nic wspólnego z

przeziębieniem.

Nazajutrz, jak zwykle, obudził ją radosny śpiew Apolla. Drażnił ją jego dobry nastrój. Żałowała, że nie może schować się pod kocem i tam przeczekać wizyty. Po nieprzespanej nocy bolała ją głowa, a oczy miała czerwone i zapuchnięte od płaczu.

Usłyszała przekręcany w zamku klucz i zdejmowaną blokadę. Drzwi otworzyły się, pieśń nabrała mocy. Lucy zacisnęła powieki, by nie patrzeć na zadowoloną twarz podoficera.

Z otchłani rozżalenia wyrwał ją potężny huk, który wstrząsnął całym statkiem. Pieśń nagle się urwała.

- Apollo? - szepnęła.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, otworzyła oczy i usiadła na łóżku. Apollo leżał na podłodze, twarzą do ziemi. Olbrzym potknął się na poduszce, którą wczoraj w napadzie gniewu rzuciła o drzwi.

„Ile razy mam powtarzać tej głupiej dziewczynie, żeby nic rozrzucała swoich rzeczy? Nie nauczy się porządku, dopóki nie skręcę sobie karku!”, usłyszała głos admirała. Po raz pierwszy, odkąd dowiedziała się o zdradzie, pomyślała o ojcu.

- Dobry Boże! Zabiłam go! - zawołała, wyskakując z łóżka. - Gerard nigdy mi tego nie wybaczy.

Nie zastanawiając się, dlaczego zależy jej na jego wybaczeniu, podbiegła do nieprzytomnego Apolla. Spodziewała się najgorszego.

Drżącą dłonią dotknęła jego gardła. Pod ciepłą skórą wyczuła wyraźny puls.

Odetchnęła z ulgą. Usta Apolla wykrzywiły się lekko w uśmiechu, jak gdyby śnił o czymś miłym.

- Dzięki ci, Panie - mruknęła, podnosząc w górę oczy.

Pan nagroził jej modlitwy. Drzwi kajuty stały otworem, zapraszając do skorzystania z okazji.

Lucy spojrzała na Apolla. Potem na drzwi. To niemożliwe, by po tych wszystkich klęskach ucieczka okazała się tak prosta. Serce łomotało jej jak oszalałe. Zerknęła na swój strój. Majtki i koszulka nie zakrywały zbyt wiele. Przypomniało jej się ostrzeżenie Gerarda. Co robić?

Musi wykorzystać taką okazję. Podniosła się z podłogi. Po wczorajszym spotkaniu z Gerardem nabrała pewności, że nie ma na tym statku osoby bardziej niebezpiecznej niż kapitan.

- Słodkich Snow, Apollo - szepnęła, przekręcając w zamku klucz.

Pamiętając o błędach, jakie popełniła podczas poprzedniej ucieczki, Lucy ruszyła w przeciwnym kierunku. Wiedziała, że nie ma szansy, by przemknąć się niepostrzeżenie do szalupy. Całą nadzieję pokładała w tym, że marynarka królewska ruszyła w pościg. Gdyby jakimś cudem zdołała zatrzymać statek lub dostać się na niższy pokład i wysłać sygnał, który naprowadziłby ich na trop „Retribution”...

O ile Gerard wcześniej jej nie zastrzeli.

Odpędziła ponurą myśl i ruszyła przed siebie. Lucy знаła wszystkie zakamarki na klasycznych siedemdziesięcioczerodziałowych okrętach wojennych, na jakich pływała królewska marynarka, ale ten szkuner pozostawał dla niej zagadką. Tak jak jego kapitan.

Dwa razy omal nie upadła, potknąwszy się na schodach, pomalowanych na kolory niespotykane na okrętach. Po chwili zorientowała się, że krąży w kółko po zawiłym korytarzu. Serce mało nie pękło jej z przerażenia, kiedy przypadkiem zauważyła swoje odbicie w lustrze, wiszącym w zupełnie zaskakującym miejscu.

Czas nieubłaganie uciekał, a ona nadal nie znalazła tego, czego szukała. Powoli opadała z sił. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie wrócić do kajuty i sprawdzić, co z Apollem. Zrezygnowała z tego pomysłu, gdy uświadomiła sobie, że i tak nie znalazłaby powrotnej drogi.

Straciła już nadzieję, że znajdzie wyjście. Oparła się o ścianę, rozważając, czy nie lepiej usiąść na środku korytarza i czekać, aż Gerard ją znajdzie. Zawiódł jej zaufanie, złamał serce, pozbawił ubrania, czyż może ją spotkać coś gorszego?

Owszem.

Zrozumienie tej gorzkiej prawdy dodało jej sił. Nagle wydało jej się, że w każdym mrocznym zaułku czają się okrutni piraci z załogi „Retribution”. Po lekturze powieści pana Defoe bez trudu wyobraziła sobie, co ją czeka, jeśli wpadnie w ich ręce. Przywiążą ją do masztu, wleją do gardła tyle rumu, by straciła przytomność, i wyrzucą za burtę.

Taki los spotykał mężczyzn. O tym, co zrobią z kobietą, nie chciała nawet myśleć.

Kiedy po raz drugi natknęła się na swoje odbicie w lustrze, zaniósł się płaczem i sfrustrowana uderzyła w nie pięścią.

Odskoczyła, bo w tym momencie lustro przesunęło się, a jej zdumionym oczom ukazała się drabina, wiodąca w górę ciemnego korytarza.

Nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Szybko wspięła się na pierwszy szczebel.

Przecież nikt nie zadawałby sobie trudu i nie ukrywał drabiny prowadzącej donikąd!

Na górze, na końcu mrocznego tunelu, natknęła się na wąską klapę. Ledwo powstrzymała okrzyk radości. Czowała, że jest bliska zwycięstwa. Znalazła rozwiązanie zagadki.

Wspięła się najwyżej, jak mogła, i oparła spocone dłonie na klapie. Liczyła, że w razie spotkania z załogą zdobędzie przewagę dzięki zaskoczeniu.

Nabrała w płuca powietrza i z całej siły popchnęła klapę.

Oślepiły ją promienie słońca. Jeszcze bardziej zaskoczył ją powiew ciepłego wiatru. Zachłysnęła się wilgotnym, nieco mdłym powietrzem, zastanawiając się, gdzie podziła się mroźna angielska zima.

Kiedy oczy Lucy przywykły do jasności, okazało się, że znalazła się twarzą w twarz z najpaskudniejszym potworem, jakiego nie wyobrażała sobie nawet w najczarniejszych snach.

Zaczęła krzyczeć.

Potwór krzyczał jeszcze głośniejsze. Był jeszcze bardziej przerażony niż Lucy.

Zasłoniła uszy, by nie pękły od nieznośnego hałasu. Uprzytomniła sobie, że zamiast do zbrojowni, trafiła na tylny pokład, w najbardziej widoczne miejsca na okręcie. Choć przerażenie zamgliło jej wzrok, dostrzegła postaci, które w tym momencie zamarły w bezruchu, obserwując dziwne zajście. Nad ich głowami łopotały czarne żagle.

Potwór nie rzucił się na nią, czego się spodziewała. Zatoczył się do tyłu i z hukiem upadł na plecy. Musiał się dobrze poturbować, bo natychmiast przestał krzyczeć.

- Niech mnie kule biją, Pudge - wymamrotał z silnym irlandzkim akcentem. - Syrena! - Brudną ręką nakreślił na piersi znak krzyża.

Jeden z mężczyzn stojących za jego plecami podszedł bliżej, pochylił się i badawczo spojrzał na Lucy.

- To nie syrena, Tam. To Walkiria po nas przyszła. Wszyscy święci, miejcie nas w swej opiece, bo jesteśmy przeklęci!

Lucy jeszcze bardziej się zdenerwowała, słysząc ich bezsensowną paplaninę. Jej strach ustąpił miejsca zmieszaniu. Wykaraskała się na pokład i ruszyła w kierunku uzbrojonego w pistolet Irlandczyka.

Odskoczył w tył jak poparzony.

- Nie zostawiaj mnie, Pudge! Tyle razem przeszliśmy! Jego kompan podniósł się z ziemi i powoli cofał się ku burcie. Widząc, że obleciał ich strach, Lucy wyrwała pistolet z ręki roztrzęsionego chłopaka.

- Słodkie nieba! Ona chce mnie zabrać ze sobą! - wołał, przewracając oczyma, jak gdyby wpadł w trans.

Pudge przełożył nogę przez burzę.

- To diablica! Wiedziałem, że to diablica!

- Piękna i straszna! - Irlandczyk jęknął.

Rosnącą histerię uciął spokojny, wręcz rozbawiony głos.

- Masz rację, Tam. Aż dziwne, że sam na to nie wpadłem.

Zaskoczona Lucy odwróciła się i skierowała lufę pistoletu prosto w serce kapitana.

23

Gerard leniwie oparł się o maszt. Był wcieleniem marynarskiej elegancji. Obcisłe czarne bryczesy podkreślały jego smukłą sylwetkę, rozpięta pod szyją luźna biała koszula kontrastowała z granatową marynarką, którą prawdopodobnie skonfiskował jakiemuś oficerowi marynarki królewskiej. W lśniących guzikach odbijały się promienie słońca, oślepiając Lucy.

- Dzień dobry, panno Snow -powiedział z beztróskim uśmiechem, jak gdyby nie zauważył, że dziewczyna mierzy do niego z pistoletu. - Czyżby powietrze pod pokładem przestało odpowiadać pani wyrafinowanym gustom?

Krzyk Tama tak ją wystraszył, że omal nie wypuściła broni z ręki.

- Niech pan uważa, kapitanie! To diablica. Przyszła po nasze dusze. Niech pan nie podchodzi zbyt blisko, bo i pana porwie!

- Nawet nie śmiem o tym marzyć - odparł z ironicznym błyskiem w oczach.

Lucy prawie zapomniała o mężczyźnie czającym się przy burcie.

- Sir, może faktycznie to nie diablica- wymamrotał nieśmiało. - Może to... syrena? Jeśli otworzy usta, lepiej zatkać uszy. Syrena ma tak piękny głos, że doprowadzi pana do szaleństwa.

- Milczcie, na miłość boską! - Cierpliwość Lucy w końcu się wyczerpała. - Natychmiast przestańcie opowiadać takie brednie! Dość tego! Słyszycie?

Jej nie znoszący sprzeciwu głos zmroził roztrzęsionych marynarzy. Jeśli ojciec nauczył ją czegokolwiek, to właśnie wydawania rozkazów. Przez chwilę panowała cisza, którą mącił jedynie łopot czarnych żagli.

Lucy miała tego wszystkiego dosyć. Zmęczyły ją żarty na jej temat, których nie rozumiała, brak lojalności, męska tyrania.

Miotła wściekłym wzrokiem po twarzach stojących przed nią mężczyzn, w końcu wycelowała lufę pistoletu w głowę Irlandczyka.

- Wstawaj! Natychmiast! Przestań się czołgać! Gdzie twoja duma, człowieku?

Skulony pirat nieśmiało podniósł się z podłogi. Lucy zwróciła się do mężczyzny uczeplonego burty.

- Ty! W tej chwili wracaj na pokład! I żadnego chlipania, bo mnie popamiętasz - warknęła ostrzegawczo.

Posłuchał, choć nadal wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać.

Znow wymierzyła w kapitana. Podczas gdy ona próbowała opanować rosnącą histerię załogi, Gerard bezszelestnie się do niej przysuwał. Zupełnie jak zjawa.

Głos Lucy był śmiertelnie poważny.

- Ani kroku dalej, kapitanie.

Gerard wskazał głową broń w jej dłoni.

- To dużo niebezpieczniejsze niż nożyk do otwierania listów. Tu każdy błąd może mieć śmiertelne skutki.

Uwagi Gerarda nie przyciągał pistolet czy groźba śmierci, ale sama Lucy. Była zbyt rozwścieczona, by zdawać sobie sprawę z własnego wyglądu. Cieniutka koszulka przylegała do jej ciała. Każdy, najlżejszy nawet podmuch wiatru, podkreślał krągłości jej figury. Pudge, niepoprawny wielbiciel mitologii, był bliski prawdy. Nagie uda, jasne włosy powiewające na wietrze i gniewne błyski w oczach sprawiały, że przypominała germańską posłankę bogów, zwiastującą śmierć.

Gerard nie mógł oderwać od niej wzroku. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak porywająco. Szkoda, że admirał nie mógł zobaczyć tego wybuchu emocji, których mimo wszystko nie udało mu się okiełznać. Choć trzymała Gerarda na muszce na oczach jego ludzi, nie czuł wściekłości, tylko dumę.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że pistolet nie jest naładowany? - zaryzykował. - Myślisz, że pozwalałam takiemu szaleńcowi jak Tam paradować z nabitą bronią w spodniach?

Lucy zawahała się, szybko jednak przypomniała sobie, że Gerard potrafi być niesamowicie przekonujący, kiedy w grę wchodzi osiągnięcie celu.

- Skoro nie jest naładowany, nie będziesz miał nic przeciwko temu, bym pociągnęła za spust?

Niepewny uśmiech na jego twarzy potwierdził jej przypuszczenie.

- Panowie, jeśli zależy wam na życiu waszego kapitana, radzę wykonywać moje polecenia - zwróciła się do załogi. - Opuścić żagle i rzucić kotwicę. Zaczekamy, może pojawi się tu jakiś okręt marynarki królewskiej. - Nikt nawet nie drgnął. Lucy poprawiła w dłoni pistolet. - Wykonać, bo poślę mu kulę.

Mężczyźni spoglądali niepewnie to na nią, to na kapitana. Gerard nieznacznie pokręcił głową.

- Przykro mi, Lucy, ale moi ludzie wypełniają tylko moje rozkazy - powiedział z rozbijającą uprzejmością.

- Więc ty powtórz im moje polecenia.

Założył ręce na piersi i uśmiechnął się współczująco. Lucy drgnęła, kiedy na pokładzie pojawił się Apollo z mokrym okładem na głowie.

- Sir, panienska jest niewinna. To przez moją nieuwagę. Nadal leżałbym nieprzytomny na podłodze, gdyby nie Ke...

Oczy Gerarda gniewnie się zwężyły. Apollo od razu zrozumiał ostrzeżenie. Szybko zorientował się, że to nie kapitan mierzy z pistoletu do zakładniczki, lecz na odwrót. Podoficer spochmurniał, jak gdyby rozczarowało go zachowanie Lucy. Stanął za Gerardem niczym wierny strażnik.

Zdenerwowała się, widząc ten zjednoczony front. Może gdyby wybrała kogoś słabszego...

- Ty! - krzyknęła, wskazując mężczyznę, który jeszcze przed chwilą próbował wyskoczyć za burtę. - Jesteś bosmanem, prawda? Ty spuścisz żagle.

Opuścił głowę i zaczął przebierać nogami jak głodny gołąb, ale nie odpowiedział na jej rozkaz. Było w nim coś niepokojąco znajomego. Patrząc na okulary w stalowych oprawkach, czuła dziwną nostalgię.

- Dobrze, wobec tego ty! - zwróciła się do młodego piegowatego Irlandczyka. - Zajmiesz się... - Urwała, zauważywszy wałki brudu na jego szyi. - To ty - powiedziała cicho. - To ty starałeś się o posadę mojego ochroniarza. To ciebie Smythe zrzucił ze schodów. - Z pistoletem zwisającym bezradnie w jej dłoni uważnie rozglądała się po twarzach zgromadzonych na pokładzie mężczyzn. Jej wzrok zatrzymał się na niewysokim marynarzu o orientalnych rysach. - Ty rozbiłeś popiersie kapitana Cooka! A ty ukradłeś srebra z zastawy! - Roześmiała się histerycznie. - Apollo, a co ty robiłeś tego dnia? Jestem pewna, że bym cię zapamiętała.

- Potrafię doskonale fabrykować dokumenty - przyznał skromnie. - Podrobiłem referencje dla kapitana. No i powstrzymywałem prawdziwych kandydatów, dopóki nie dostał pracy.

A więc te wszystkie legendy okazały się prawdziwe, pomyślała Lucy. Załoga „Retribution” składała się z duchów, dzięki którym ich kapitan wdarł się w jej życie. Po tylu kandydatach nieudacznikach admirał musiał się zachwycić pewnym siebie panem

Claremontem.

Tam był równie zaskoczony jak ona.

- Choroba, panienko, nigdy bym panienki nie rozpoznał! Ostatni raz, kiedy panienkę widziałem, była panienka...

- Ubrana? - odpowiedziała Lucy.

Zarumienił się.

- No tak, to też. Oczywiście byłem wtedy trochę skołowany, bo tak mnie panienka waliła po łbie parasolką.

- Tam! - warknął Gerard. Za późno.

Lucy uważnie przyjrzała się chłopcu. Dopiero teraz skojarzyła, że to on próbował ukraść jej torebkę. To odkrycie podsunęło mrożące krew w żyłach wnioski.

Cofnęła się myślą do deszczowego popołudnia w karczmie. Przypomniała sobie ciepłe ramiona Gerarda, kiedy całował jej posiniaczoną szyję. To najbardziej bolesna zdrada, jaka ją do tej pory spotkała.

Oczy zaszyły jej łzami. Podniosła głowę i spojrzała na Gerarda. Nie potrafiła ukryć bólu, przeszywającego jej serce. Zrobił krok w jej kierunku, potrząsając głową, jak gdyby zaprzeczał nie wypowiedzianym jeszcze oskarżeniom.

Odbezpieczyła pistolet.

- Kapitanie? - szepnął ostrzegawczo Apollo.

Po jej policzkach spłynęły łzy. Wiedziała już, że nie spełnią jej rozkazów. Byli zwykłymi bezlitosnymi tyranami. Tak samo jak jej ojciec. Jak ci trzej, brutale, którzy chcieli ją obrabować i zgwałcić w ciemnej ulicy. Tak jak mężczyzna, który ich wynajął.

Ból, jaki zadał jej Gerard, zamienił się w palącą nienawiść.

- Wiem, o czym myślisz, Lucy. Uwierz mi, oni nie pracowali dla mnie. Przysięgam.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? Udowodniłeś, że zrobisz wszystko, byle utrzymać posadę. - Nawet udając uczucie, którego do mnie nie żywiłeś, pomyślała.

Wyciągnął do niej rękę, bez strachu wystawiając się na cel.

- Jedyne, co mogę zrobić, to dać ci moje słowo. Po prostu musisz mi zaufać.

Lucy parsknęła śmiechem i przystawiła mu lufę do serca, lecz szybko zrozumiała, że nie potrafiłaby go skrzywdzić.

Podniosła broń i wystrzeliła w niebo. Gerard nawet nie drgnął. Z jej bezwładnej dłoni wypadł pistolet.

Lucy usiadła na zwoju lin. Wiedziała, że przegrała.

Gerard po raz pierwszy nie cieszył się ze zwycięstwa. Zarzucił jej na plecy marynarkę, osłaniając przed ciekawskimi spojrzeciami zdumionej załogi. Marynarze wiedzieli, że swoim zachowaniem zasłużyli na chłostę, a nawet na wysadzenie na najbliższej bezludnej wyspie.

Z ulgą rozbiegli się po pokładzie, kiedy kapitan zlitował się i rzucił serię rozkazów. Nie wszyscy byli tak przesądni jak Tam i Pudge. Tam podniósł swój pistolet i wymknął się razem z resztą załogi, Pudge ciągle się wahał.

Otarł pot z czoła, po czym nieśmiało wyciągnął do Lucy rękę.

- Przepraszam... panienko. Nie powinienem tak o panience mówić. To nieładnie.

Lucy otrząsnęła się z oszołomienia i zaczęła uważnie przyglądać się jego okularom. Znała te oprawki. Brązowe oczy patrzyły na nią z taką szczerością, że nie mogła mu odmówić. Uścisnęła jego dłoń.

- Wybaczam panu, sir. I ja nie powinnam tak pana straszyć.

- Pudge, marsz do żagli. - Gerard delikatnie popchnął go w kierunku masztów.

- Tak jest, sir. - Marynarz zasalutował z powagą i oddalił się na swój posterunek.

- Pudge jest wyjątkowo nieśmiały wobec kobiet - powiedział cicho Gerard. - Żona go biła. Kiedy złamała mu pogrzebaczem nogę, uciekł na morze.

Lucy nie chciała słuchać jego historii, nie chciała nikomu współczuć. Otuliła się marynarką i podeszła do burty. Ciepły, pachnący słońcem wiatr rozwiewał jej włosy. Miła niespodzianka, bo przecież spodziewała się mroźnej zimy. Choć po raz pierwszy od tyłu dni poczuła powiew wolności, miała wrażenie, że jej serce zakuto w najcięższe łańcuchy.

Gerard podszedł do niej i stanął za jej plecami.

- To były jego okulary, prawda? - zapytała, z góry znając odpowiedź.

Kiwnął głową.

- Cholernie bolała mnie w nich głowa.

- A Tam?

- Kiedy „Retribution” wypływał w morze, zostawał w Londynie i czekał na moje rozkazy. Zagroziłaś, że każesz mnie zwolnić, więc... - Urwał. Po namyśle podjął wyjaśnienia. - Zawsze chciał być księdzem, ale nigdy nie potrafił wytrwać w celibacie. W końcu przyłapano go w łóżku z dwiema nowicjuszkami...

- A więc to są ci twoi groźni londyńscy kryminaliści? - dopiekła mu Lucy. - W rzeczy samej, bezwzględni bandyci. Ekskomunikowany ksiądz, filozof amator, który nie wierzy w przemoc, i bosman, bojący się własnego cienia.

Wzruszył ramionami.

- Nie poznałaś jeszcze Fidgeta. Zamordował teściową. Oczywiście wszyscy twierdzą, że ponoć była okropną jędzą i zasłużyła na swój los.

- Trzeba było przedstawić go żonie Pudge'a - mruknęła.

- Wybacz, jeśli rozczarował cię brak prawdziwych bandytów. Wbrew powszechnej opinii, większość piratów to zwyczajni żeglarze, tyle że kochający wolność. Nie zgadzają się, by dowodził nimi ktoś, kto miał więcej szczęścia i urodził się w bogatej rodzinie. Na mój okręt zaciągnęło się sporo zbiegów z ukochanej floty twojego ojca.

Rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

- Czy to znaczy, że tylko ty jesteś tu praktykującym bandytą?

- Bynajmniej. W końcu każdy mężczyzna, postawiony wobec pokusy, której trudno się oprzeć, byłby zdolny do zbrodni.

Zauważywszy Apolla krzątającego się przy głównym maszcie, Lucy odwróciła wzrok.

- Pan wybaczy, kapitanie, ale poproszę podoficera, by odprowadził mnie do mojej... celi.

- Lucy? - Zatrzymała się, słysząc jego proszący ton. Nie powiedział „panno Snow”, zwrócił się do niej czule i łagodnie. - Teraz, kiedy nie masz już pistoletu, możesz wierzyć, w co chcesz. Nie najałem tych ludzi, przysięgam. I do końca moich dni będę żałował, że zostawiłem cię wtedy samą.

Pochyliła głowę. Tak bardzo chciała mu wierzyć, ale bała się, że jeszcze raz uznają za naiwnego głuptasa.

Gerard widział jej milczące zmaganie z własnym rozsądkiem. Dlaczego tak mu zależało na jej przychylności?

W końcu spojrzała na niego z naburmuszoną miną. Poczul ulgę, widząc w jej oczach dawny błysk.

- Nie powiem, że ci wierzę, ale też nie mam podstaw, by sądzić, że kłamiesz. Gdybym miała, Pudge zszywałby teraz ciebie, a nie żagiel.

To powiedziawszy odwróciła się na pięcie i pomaszzerowała do podoficera. Apollo zerknął na kapitana, który nieznacznie kiwnął głową. Przez ułamek sekundy Gerard widział na jego twarzy zdziwienie, jednak Apollo natychmiast zasalutował, zapewniając kapitana o swym bezwzględnym posłuszeństwie.

Lucy okazała się na tyle wspaniałomyślna, by mu zaufać, więc chciał odwdzińczyć jej się tym samym. Nawet za cenę spokoju.

Długonogi Apollo tak szybko i pewnie poruszał się w labiryncie korytarzy, że Lucy musiała prawie biec.

- Apollo, czy głowa bardzo cię boli? Tak mi przykro z powodu tego wypadku. Przyrzekam, że już nigdy nie będę rzucać poduszką w drzwi.

Potał tył głowy, psując symetrię gładkiej fryzury.

- Nie chodzi mi o poduszki, panienko. Wolałbym, żeby panienka już nie straszyla, że zastrzeli kapitana.

- Zastanowię się - mruknęła. Nie była jeszcze gotowa na składanie takich obietnic.

Odprowadził ją do kajuty, a kiedy weszła do środka, zamknął za nią drzwi i odszedł. Lucy uchyliła drzwi i wystawiła głowę.

- Apollo?

- Tak, panienko?

- Nie zapomniałeś o czymś?

Zmarszczył czoło, a po chwili namysłu uśmiechnął się szeroko.

- Lunch! Zaraz przyniosę.

Lucy dopiero teraz uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Nie spodziewała się, że próba morderstwa aż tak zaostrza apetyt.

- Nie chodzi mi o lunch. Drzwi, zapomniałeś zamknąć drzwi.

- Nic ma potrzeby - rzucił przez ramię. - Kapitan pozwolił pani poruszać się po całym okręcie.

Lucy oparła się o framugę, czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Apollo może tego nie zauważył, ale otrzymała od kapitana coś znacznie cenniejszego niż pozwolenie na wędrowanie po szkunerze.

Wystarczyło kilka zaszewek i zakładek, wstawionych zręczną ręką Pudge'a, by bryczesy i koszula Gerarda leżały na Lucy tak ułał. Załoga „Retribution” szybko przywykła do jej obecności na pokładzie.

Kiedy w końcu Tam przestał się bać, że Lucy przetrzepie mu skórę parasolką, zostali najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Pusząc się dumnie jak paw, Tam oprowadzał ją po okręcie. Lucy podejrzewała, że nieczęsto miał okazję popisywać się swoją wiedzą przed kimś mniej obeznanym z marynarskim rzemiosłem niż on sam.

Okręt wyglądał tak, jakby zaprojektował go szalony geniusz o przewrotnym poczuciu humoru. Od dziobu po rufę pod pokładem pełno było wąskich i krętych korytarzy. Lucy cały czas się bała, że wystarczy jeden nieuważny krok, a wypadnie przez jakąś zamaskowaną klapę lub przypadkowym muśnięciem łokcia rozwinięte żagle.

Choć kapitan nadal pozostawał dla niej zagadką, szkuner wkrótce odkrył przed nią swe tajemnice.

Życie załogi okrętu pirackiego zależało od jego szybkości, zwrotności i lekkości. „Retribution” miał te trzy cechy. Co więcej, świetnie się maskował. Kadłub i pokład pomalowane były na ciemny kolor. Zamiast tradycyjnych płóciennych żagli Gerard założył podwójny czarny jedwab. Dzięki tej ekstrawaganckiej, ale niesamowicie skutecznej metodzie nocą, na tle granatu nieba i wód, fregata stawała się zupełnie niewidoczna. Na rufie stała olbrzymia replika kuchni okrętowej, która w razie pościgu produkowała kłęby pary, by zmylić przeciwnika.

Na deku statku można było rozłożyć fałszywy pokład, pod którym ukrywała się załoga. Lucy przypomniała sobie, że kiedy po raz pierwszy zobaczyła „Retribution”, odniosła wrażenie, że okręt jest opustoszały. Dzięki tej sprytnej, przenośnej atrapie nawet w wypadku zmasowanego ataku załoga mogła bezpiecznie wykonywać swoje obowiązki, posługując się skomplikowanym systemem luster.

Te modyfikacje pozwoliły Gerardowi na zmniejszenie o połowę liczby załogi, dlatego na fregacie pływało tylko dziewięćdziesiąt osób. Pudge był bosmanem i sam reperował żagle. Apollo był jednocześnie podoficerem i pisarzem. Pomagał Gerardowi prowadzić dziennik okrętowy. Tylko nawigator miał jedną rolę. Jego zadanie polegało na utrzymaniu tajemniczego kursu, obranego przez kapitana.

Tam wyjaśnił jej, że okręt zaprojektowano, by umożliwić szybki atak i jeszcze szybszą ucieczkę, ale najskuteczniejszą bronią „Retribution” i tak był kapitan. Na sam dźwięk jego nazwiska większość statków handlowych, nieuzbrojonych, ale za to objuczonych towarami, poddawała się bez walki.

Słyszając takie argumenty, Lucy, wychowana w atmosferze bezwzględnej uwielbienia dla marynarki Jego Królewskiej Mości, uniosła się dumą.

- To jeszcze nie znaczy, że mógłby stawać w zawody z królewskimi okrętami wojennymi. Jedna salwa burtowa i ten pływający cyrk zamieniłby się w przetak.

W zielonych oczach Tama błysnęły iskierki podziwu.

- I tu się panienka myli. Nasz kapitan jest najlepszy. W młodości studiował strategię wojenną. Zawsze wie naprzód, co zrobi przeciwnik.

Lucy z zażenowaniem pomyślała, że Gerard miał przed sobą wspaniałe perspektywy. To jej ojciec pozbawił go wolności i zniszczył jego karierę.

Tu, pod lazurowym niebem, patrząc na niekończący się horyzont, Lucy często zastanawiała się, czym jest wolność. Stojąc na dziobie i pozwalając, by wiatr rozwiewał jej włosy, a ciepłe promienie słońca pieściły skórę, Lucy ku własnemu zdumieniu czuła się wolna jak nigdy dotąd. Jak to możliwe, by bezbronno więźnia rozpierała taka radość?

Mogła cały ranek czytać książki lub po prostu korzystać ze słońca. Mogła patrzeć, jak marynarze uwijają się przy swoich zajęciach, lub słuchać niezwykłych afrykańskich opowieści Apolla.

Zycie na pokładzie „Retribution” zaskakiwało swoją spontanicznością. Z wyjątkiem dzwonka oznajmiającego zmianę wachty, czas zdawał się tu nie istnieć. W przeciwieństwie do posłusznych mrówek, którymi dowodził jej ojciec, załoga Gerarda żyła własnym rytmem. Każdy odczuwał wewnętrzną potrzebę doskonalenia się i jak najsprawniejszej pracy dla dobra ich zwinnego szkunera.

Ludzie ci śmiali się, kiedy mieli na to ochotę, często śpiewali, przerywali szycie żagli, by łyknąć z beczułki rumu lub zatańczyć. Nikt nie cenzurował ich żartów ani opinii. Chętnie wdawali się w przyjacielskie bójki, jednocześnie nie zapominając, że za wyciągnięcie broni grozi tradycyjne czterdzieści batów.

Lucy najbardziej zaskoczyło to, jak ją traktowano. W żadnym londyńskim salonie nie znalazłaby wśród gentlemanów większego szacunku. Niektórzy, jak Pudge, byli nieśmiali, inni, jak Tam, odważnie zabiegali o jej względy. Nawet groźny Fidget, kiedy ich sobie przedstawiono, pochylił swą kudłatą głowę i pocałował Lucy w rękę.

- No, no- mruknęła do Tama, gdy jej nowy przyjaciel morderca wrócił do szorowania pokładu. - Musieli słyszeć o moim ojcu. Wiedzą, że jeśli coś mi się stanie, zemsta admirała będzie straszna.

Tam parsknął.

- Na pewno nie straszniejsza od tej, którą zapowiedział kapitan. Obiecał, że jeśli któryś z nas choć mrugnie okiem na jego kobietę, własnoręcznie obetnie mu nos. „Kobieta kapitana”.

- Ale ja nie jestem... - zawahała się. Może lepiej nie rozwiewać tej pogłoski? A jeśli Gerard wymyślił to, by chronić ją przed swoimi ludźmi?

Ale z drugiej strony, jak oni mogli w coś takiego uwierzyć? Przecież kapitan unikał jej towarzystwa jak ognia, a to niełatwe na pokładzie trój masztowego szkunera.

Kątem oka dostrzegła błysk światła w górze, na bocianim gnieździe. Kiedy

podniosła głowę, zauważyła, że stojąca tam dziwnie znajoma postać, zamiast wypatrywać na horyzoncie wrogich statków, bez skrępowania przygląda się jej przez lornetkę.

Nim zdążyła wyrazić niezadowolenie, Tama już przy niej nie było. Ze zręcznością małpy wdrapywał się na maszt.

Mimo że kapitan zapewnił załogę o zawieszeniu broni, marynarze i tak znikali, gdy Gerard i Lucy pojawiali się w pobliżu. Wiedzieli, że na wszelki wypadek lepiej zejść z linii ognia.

W Jonii, gdy tylko Lucy mogła, chowała się przed jego badawczym wzrokiem i szczerze zasłaniała okna. Teraz ogarnęła ją dziecinna ochota, by pokazać mu język i zaprezentować obraźliwy gest, jakiego nauczył ją Digby, jeden z kanonierów. Tak do końca nie rozumiała jego znaczenia, ale czuła, że dla Gerarda będzie to oczywiste.

Miała rację.

- Z przyjemnością bym to zrobił - mruknął Gerard, opuszczając lornetkę.

Przyglądał jej się, gdy spacerowała z Tamem. Właściwie lornetka nie była mu do tego potrzebna, bo każdy szczegół jej sylwetki zdążył boleśnie wryć mu się w pamięć.

Choć to prawie niemożliwe, słońce rozjaśniło jej włosy o pół tonu. Skóra nabrała zdrowego, brzoskwiniowego koloru, a rysy twarzy złagodniały. Trudno powiedzieć, czyja to zasługa -świeżego morskiego powietrza czy braku ojcowskiego nadzoru.

Zastanawiał się nad tym, czy mądrze zrobił, dając jej tyle swobody. Zamknął ją w kajucie, by trzymać z dala od siebie, a teraz musiał na każdym kroku uważać, by się na nią nie natknąć.

Była wszędzie, gdziekolwiek się obrócił. Ćwiczyła z Pudge'em skomplikowane węzły, czytała na głos powieści Defoe, podczas gdy jego ludzie siedzieli wokół niej niczym dzieci przy matce, stała przy burcie, podziwiając zachód słońca.

Niepokoili go łatwość, z jaką oschła panna Snow oczarowała załogę. Wiedział, że brakowało im damskiego towarzystwa, ale teraz, gdy się pojawiło, on sam najbardziej cierpiał z tego powodu. Jej uroda nie dawała mu spokoju. Całymi nocami prześladował go jej radosny śmiech. Powoli zaczynał żałować, że zwrócił jej wolność.

Zamknął lornetkę. Wiedział, że jest tylko jedno miejsce, gdzie może rozładować zdenerwowanie. Schodząc z gniazda, nie widział pary oczu, obserwujących go zza mostka kapitańskiego.

Lucy po cichu skradała się w kierunku drzwi uzbrojonych w żelazną zasuwę, wspominając ostatnią próbę zbadania tajemniczego pomieszczenia. Gerard przed pięcioma minutami zniknął w środku, a ona od tej pory próbowała zebrać odwagę, by wejść tam za nim.

Dlaczego się boi? Przecież sam pozwolił jej zaglądać do każdego zakamarka. Nie może jej teraz zarzucić, że go szpieguje. Przełknęła głośno ślinę.

Ostrożnie przyłożyła ucho do drzwi. Z ulgą stwierdziła, że nie słyhać żadnych jęków ani błagania o litość. Zza drzwi dobiegał podniesiony, nieco zdenerwowany męski głos.

Między urywanymi słowami słyhać było skrzypienie podłogi. Drugi głos był wyraźniejszy. Lucy zmarszczyła czoło. To nie Apollo, Tam ani Pudge. Z kim się kłócił? Skoncentrowała się, próbując wychwycić strzępki rozmowy.

- ...nikogo obwiniać, tylko siebie... - mówił Gerard. - Gdyby nie twoja ciekawość, ciągle tkwiłaby w swoim łóżku.

Otworzyła ze zdumienia usta. O ile jej wiadomo, była jedyną kobietą w promieniu tysiąca węzłów.

Zafascynowana faktem, że to ona jest tematem dyskusji, pilnie nasłuchiwała.

- O tak, ale czy byłaby tam sama? O ile wiem, w swoim czasie uwiodłeś kilka znudzonych zamężnych arystokratek.

Gerard odpowiedział coś wulgarnego. Kanonier Digby posługiwał się dość nieprzyzwoitym językiem, ale czegoś takiego jeszcze nie słyszała.

Towarzysz kapitana nie wystraszył się prawie niemożliwą do zrealizowania groźbą.

- ...bezpieczeństwa mnie tu zamknąłeś. Jej czy mojego? - zapytał z sarkazmem.

Rozległy się szybkie kroki zmierzające w kierunku drzwi. Lucy ledwo zdążyła odskoczyć, kiedy się otworzyły. Przykucnęła w cieniu. W progu pojawił się Gerard. Nic był zdenerwowany, co ją mocno zdziwiło. Czyżby tylko ona tak działała mu na nerwy?

Zamknął za sobą drzwi i schował kluczyk do kieszeni. Lucy jeszcze długo nie mogła się poruszyć. A więc nie była jedynym więźniem na pokładzie „Retribution”.

Późnym wieczorem Lucy leżała na stercie zwiniętych żagli i patrzyła na rozgwieżdżone niebo. Admirał nauczył ją postrzegać świat w czarno-białych kategoriach i

teraz zagubiła się w niezliczonych odcieniach szarości. Nie przybliżyła się do rozwiązania zagadki ani o krok. Kapitan Doom nadal pozostawał dla niej nieodgadniona tajemnicą.

Czy ten mężczyzna, który przysięgał bronić jej życia, był delikatnym, cierpliwym, opiekuńczym człowiekiem? A może to chory z nienawiści, zgorzkniały, cyniczny i popędliwy pirat? Po raz pierwszy Lucy uświadomiła sobie, że oba te opisy odnoszą się do jednej osoby.

Jego ludzie szczerze go lubili, a nawet otaczali pewną czcią. Trzymał na pokładzie żelazną dyscyplinę, a jednocześnie nie ograniczał wolności, która tak wiele dla nich znaczyła. Admirał zawdzięczał swą reputację batom, jakich nie szczędził załodze, natomiast Gerard ciągle straszył represjami za złamanie prawa i na tym zwykle się kończyło. Marynarze zbyt go szanowali, by nadużywać jego cierpliwości. Wyglądało na to, że bardziej cieszą się z pochwał, niż, obawiają kar.

Lucy poznała ich na tyle, by wiedzieć, że niełatwo zdobyć ich lojalność. Na szkunerze nie było człowieka, który w razie konieczności nie poświęciłby życia za swojego kapitana. Żaden z nich by się nie wahał, co więcej, każdy z marynarzy uznałby to za zaszczyt.

„Lucy, czy ty wiesz, co dla kapitana znaczy śmierć załogi?”

Miała pewność, że takiej ofiary Gerard nigdy od nich nie zażąda.

Zmęczona ponurym rozmyślaniami, Lucy zamknęła oczy i oddała się wspomnieniom. W pamięci pojawił się Gerard wydmuchujący jej w nos pachnący dym z cygara. Patrzył na nią zza okularów Pudge'a i uśmiechał się ironicznie. Dotknął palcem jej ust, a w następnej chwili była w jego ramionach. Wirowali w rytm walca i jego silna dłoń zsuwała się po jej plecach.

Pochłonięta wizjami nie zdziwiła się, kiedy otworzywszy oczy ujrzała pochylającego się nad nią Gerarda. By się upewnić, czy to sen, czy jawa, wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

Mrugnęła zmieszana. To sen. Stał przed nią jakiś inny Gerard. W jego jasnych oczach nie było cynizmu. Patrzył na nią śmiały, zadowolony z życia człowiek. Tego Gerarda musiała stworzyć jej wybujała wyobraźnia. Byłby takim człowiekiem, gdyby nie zdrada jej ojca.

Nie protestowała, gdy jego usta zbliżyły się do jej ust. Nie czekając na zachętę, rozchyliła wargi i poddała się prowokacyjnemu pocałunkowi.

I to był błąd.

Całował jak prawdziwy artysta, który całymi godzinami doskonalił technikę, ale brakowało mu dojrzałości. Jego pocałunek okazał się ciepłym letnim deszczem w angielskim ogrodzie, zamiast sztormem na rozszalałym morzu, o jakim marzyła. Dziwne, ale zupełnie jej

nie poruszył.

Otworzyła ze zdumieniem oczy, słysząc znajomy głos.

- Lucy, miałem zamiar przedstawić ci mojego brata, ale widzę, że już się znacie.

24

Patrzyła to na jednego, to na drugiego z nich i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Gerard stał oparty o burtę, pod maską zwykłej obojętności czaiło się napięcie. Drugi mężczyzna pochylał się nad nią. Uśmiechał się promiennie, a wtedy w jego policzkach pojawiały się czarujące dołeczki.

Przerażona Lucy strząsnęła z ramienia jego rękę.

- Nie dotykaj mnie, lubieżniku! Jak śmiesz!

- Nie działaj pochopnie, Lucy - zbeształ ją Gerard. - Jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że się dobrze bawisz.

- To dlatego, że myślałam... - Lucy ugryzła się w język. To, o czym myślała, było jeszcze gorsze niż całowanie się z obcym mężczyzną. Nie da mu tej satysfakcji i nie przyzna się, że wyobrażała sobie, że to on ją całuje.

Jego brat zgrabnie poderwał, się na nogi. Lucy usiadła na piętach i nerwowo próbowała poprawić rozwichrzone włosy.

- Braciszku, jestem gotów wziąć na siebie całą winę. Nigdy nie potrafiłem oprzeć się pięknej dziewczynie w świetle księżyca.

Gerard rzucił mu groźne spojrzenie.

- Ty nigdy nie potrafiłeś się oprzeć żadnej dziewczynie w żadnym świetle. Czy muszę ci przypominać, że ta pani może teraz donieść władzom, że na statku znajduje się kapitan Doom? Jak myślisz, po co zamykam na klucz drzwi do twojej kajuty?

- Jeszcze nie wynaleziono zamka, którego bym nie otworzył. Gdyby nie ja, nadal byś gnił w Santo Domingo.

- A ciebie zastrzeliłby jakiś zazdrosny mąż - odciął się Gerard.

Lucy domyśliła się, że spór między braćmi trwa nie od dziś.

Ciągle nie mogła się pogodzić ze swoją pomyłką. Teraz, kiedy obaj przed nią stali, zaczynała dostrzegać subtelne różnice. Gerard, choć niższy, był lepiej zbudowany od brata.

Jego włosy były o ton ciemniejsze, a oczy brata bardziej zielone. Drobne zmarszczki wokół oczu Gerarda świadczyły, że był co najmniej o kilka lat starszy.

- Czy on ma jakieś imię? - zapytała, kiedy obaj na chwilę zamilkli.

Gerard spojrzał na nią gniewnie.

- Mogłaś zapytać, zanim padłaś mu w ramiona.

Nim zdążyła odpowiedzieć, młodszy z braci porwał jej dłoń i złożył na niej czuły pocałunek.

- Kevin ... - Zawahał się. Spojrzał na Gerarda, szukając jego pomocy.

- Doom? - podpowiedziała Lucy.

- Claremont - warknął Gerard.

- Kevin Claremont, pani uniżony sługa.

Pochlebstwo może by ją ucieszyło, gdyby nie pewność, że w ten sposób wita się z każdą kobietą. Za jego plecami stał Gerard i poruszał ustami, przedrzeźniając jej sposób mówienia. „Lucinda Snow. Przyjaciele nazywają mnie Lucy, ale pan może się do mnie zwracać...”

- Lucy - powiedziała, uśmiechając się słodko do młodszego Claremonta.

Kevin wyduł usta i odwrócił się do brata.

- Nieładnie przemycać na pokład tak uroczą damę. Zwłaszcza po tym, jak w Dover kazałeś wysiąść mojej przyjaciółce aktorce.

- Nie była aktorką, lecz prostytutką - poprawił go Gerard. - Chyba nie myślałeś, że uwierzę, że jest twoją pokojówką.

Lucy przyglądała się jasnym włosom Kevina.

- Dziwne, ale mam wrażenie, że skądś pana znam, sir — powiedziała, wstając.

Gerard parsknął.

- Powinnaś. Kiedy tkwiłem w Jonii, przez cały czas rysowałaś jego idiotyczne portrety. Miałem cholerne szczęście, że mój okręt jeszcze na mnie czekał.

- Kapitan Doom! - zawołała Lucy. - To pan pojawił się na balu maskowym u Howellów w tym absurdalnym przebraniu!

Kevin chwycił się za serce.

- Pani mnie rani. Myślałem, że mój kostium zrobił lepsze wrażenie.

- Mój młodszy braciszek nie jest zbyt subtelny - wtrącił Gerard. - Pokładowa izba tortur to też jego pomysł.

Zanim zareagowała, Kevin złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- A mój duży braciszek nie jest zbyt gościnnie. Słyszałem, że panią zaniedbuje. -

Spojrzał na brata z wyrzutem. – Czasami ci, którzy zbyt wcześnie się zestarzelili, nie pamiętają o tym, że młodzi szybko się nudzą.

Gerard otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zawahał się.

- Wybaczcie, drogie dzieci, ale w moim wieku łatwo się męczę. Zostawiam was waszym... - wbił zimne oczy w Lucy i uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby - ...przyjemnościom.

Wyprostował dumnie plecy i zniknął w mroku. Lucy zaczęła się wiercić. Chciała wyrwać się z uścisku Kevina i biec za jego bratem.

- Puść mnie. Ja...

- Nie - uciął ostro. - Nie traktował mnie poważnie, dopóki nie przestałem deptać mu po piętach. Wystarczy mu uwielbienie załogi. Od nas oczekuje czegoś innego.

Lucy przestała się szarpać. Patrząc w zielone oczy Kewina odnosiła wrażenie, że odnalazła serdecznego przyjaciela, o którego istnieniu dotąd nie wiedziała.

Gniazdo bocianie przestało być dla Gerarda bezpiecznym schronieniem. Widok Lucy, spacerującej po pokładzie, sprawiał mu ból, ale teraz, patrząc, jak spędza czas w towarzystwie Kevina, myślał, że pęknie mu serce. Ich jasne głowy zawsze razem, ich beztroski śmiech ciągle rozbrzmiewa na pokładzie, jak gdyby żarty były zrozumiałe tylko dla nich.

Jeszcze nigdy tak mocne nie odczuwał swojego wieku. Nie mógł się pogodzić z tym, że zmarnował najlepsze ze swoich trzydziestu jeden lat. Nie zmarnował, przypomniał sobie gorzko. Te lata zostały mu ukradzione.

W tym czasie mały, słodki braciszek, którego zostawił, zmienił się w przebiegłego, zatwardziałego rozpustnika. Szybko roztrwonił pieniądze, które Gerard z takim trudem zaoszczędził, by wysłać go do szkoły. Pił, hulał, grał w karty i zadawał się z najgorszymi londyńskimi bandytami. Miał świetną pamięć do liczb, ale hazard pochłonął niemalą fortunę.

Przez trzy lata takiego rozpasania czekał, aż przy karcianym stole usiądzie z nim jakiś pijak, który będzie wiedział, co się stało z jego bratem.

Łaskawy los postawił mu na drodze Luciena Snowa. Słyszając, jak admirał rozprawia o oszukaniu „Kapitana Dooma” i pozbawieniu go fortuny gwarantowanej przez króla, szybko skojarzył fakty.

Gerard wiedział, że jego porywczy brat chciał jak najszybciej działać, ale bał się, że

jeśli admirał zwęszy próbę porwania, przeniesie go do innego więzienia albo, co gorsza, od razu powiesi. Kevin po prostu wstał od stołu, wsiadł na statek i popłynął do Santo Domingo.

Przez kilka dni po ucieczce Gerard był nieprzytomny. Pamiętał jedynie delikatne ręce brata zwilżające mu usta, jego ciepły, niski głos namawiający, by zjadł choć łyżkę rosółu. To dzięki Kevinowi z powrotem stał człowiekiem. Od tamtej pory sens jego życia nadawała żądza zemsty.

Dlatego tak trudno było mu pogodzić się z tym, co zobaczył, spacerując pewnego wieczoru po pokładzie.

Wszystkie lampy zgaszono o ósmej. Okręt tonął w srebrnej poświacie księżyca. Lucy siedziała otoczona mężczyznami, po jednej stronie stał Kevin, po drugiej Tam. Wszyscy co chwilę wybuchali śmiechem. Wesolą rozmowę od czasu do czasu przerywał stukot kości.

Gerard podszedł bliżej. Zatrzymał się w cieniu, za plecami rozbawionej grupki. Źle się czuł, kiedy Lucy wykluczyła go ze swojego życia w Londynie, ale tu, na jego własnym okręcie, stawało się to nie do zniesienia. Czuł, jak rośnie w nim wzburzenie. Chciał chwycić ją za te jej idiotyczne warkoczki, zaciągnąć do kajuty i przypomnieć, kto tu rządzi.

- No, Lucy - zawołał Tam, podając jej obtłuczony kubek. - Napij się, na szczęście!

Lucy posłusznie pociągnęła łyżeczkę. Wykrzywiła się, wzbudzając tym ogólną wesołość.

- Do diabła, człowieku, czegoś ty tam dodał? Cykuty?

- Ginu, sherry, rumu, przypraw korzennych... - wyliczał na palcach Tam.

- Nie zapomnij o surowych jajkach - podpowiedział cicho Pudge.

Lucy zakrztusiła się i splunęła z obrzydzeniem. Kiedy śmiech ucichł, Kevin pochylił się nad nią i podał jej kości.

- Potrzebne nam szóstki. Kochanie, całus na szczęście.

Dłonie Gerarda zacisnęły się w pięści. Wstrzymał oddech, nie wiedząc, co zrobi, jeśli Lucy rzeczywiście pocałuje przystojnego Kevina. Przez dwadzieścia dwa lata ani razu nie uderzył brata, teraz chciał go udusić gołymi rękami.

Odetchnął z ulgą, kiedy podniosła dłoń do ust i delikatnie pocałowała kości. Ten widok sprawił, że krew zawrzała w jego żyłach.

Miał dość chowania się w cieniu. Zrobił krok do przodu.

- Wspaniale wytresowałeś naszą małą zakładniczkę. Słyszałem, że na niektórych statkach załoga trzyma dla rozrywki psa, a nawet świnki, ale nigdzie nie mają córki admirała.

Jego nagłe pojawienie się wytrąciło Lucy z równowagi. Jej palce zeszytywniały, jak gdyby nagle zamieniły się w sople lodu. Kostki wypadły na stół, potoczyły się, by w końcu

nagrodzić ją dwiema szóstkami. Po chwili martwej ciszy mężczyźni wybuchnęli radością.

Ich entuzjazm ostudziła powściągliwość kapitana. Ostatnio miewał bardzo dziwny nastrój.

- Ma dziewczyna szczęście. Żyłka do hazardu chyba po tatusiu?

Jej nerwy, napięte do granic możliwości udawaną wesołością, nie wytrzymały. Lucy poderwała się na równe nogi.

Tam błyskawicznie sprawdził, czyjego pistolet tkwi na miejscu. Pudge zrobił krok w tył. Fidget drapał się po brodzie, a Digby zaklął pod nosem. Kevin ciągle jeszcze patrzył na kości, jak gdyby chciał wyczytać przyszłość.

- Kapitanie, jak pan śmie potępiać mojego ojca za upodobanie do hazardu? - zapytała Lucy, wskazując na niego palcem. - A pan co robi? Czy pływanie w kółko i czekanie na marynarke królewską to nie ryzyko? Czy stawanie w zawody z większymi, lepiej uzbrojonymi i szybszymi okrętami to nie hazard? Jest pan większym hazardzistą niż mój ojciec! Pan stawia na szali życie i przyszłość tych ludzi. Nic obchodzi pana ich los, panu zależy jedynie na własnym zwycięstwie.

Patrzył na nią z godnością, czym dotknął ją jeszcze bardziej, niż gdyby wybuchnął gniewem.

- Może powinniśmy zdecydować się na świnkę? - powiedział cicho, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Marynarze, jeden po drugim, bezszelestnie wycofywali się z pokładu. Spojrzała na Kevina, szukając w jego oczach aprobaty, tymczasem on patrzył na nią z niezadowoleniem. Usiadła i oparła brodę na podkurczonych kolanach. Nagle pomyślała, że pod żadnym pozorem nie wolno się jej teraz rozplakać. Już dość łez przez niego wylała.

- Przeklnij go za jego upór, Lucy, za ambicję, by być najlepszym bez względu na cenę - odezwał się łagodnie Kevin - ale nie podawaj w wątpliwość jego umiejętności. Zwłaszcza w obecności załogi.

Lucy pociągnęła nosem.

- Powinnam wiedzieć, że będziesz go bronił. W końcu ten łotr jest twoim bratem.

- I ojcem. To on przyjął mnie na ten świat i pochował naszą mamę, kiedy było już po wszystkim. Nie porzucił mnie, gdy ruszał w morze, tylko znalazł kapitana, którego żona zgodziła się mnie wychowywać. Nie byli bogaci, ale mieli przytulny domek na wsi. On tego nigdy nie doświadczył. Mógł mnie tam zostawić na zawsze, nie zrobił tego. Nie było go całymi miesiącami, ale zawsze, kiedy wracał, przywoził mi egzotyczne prezenty. Aż pewnego

dnia nie wrócił.

Lucy odwróciła głowę, ale Kevin przykucnął przed nią, zdecydowany powiedzieć jej to, co chce.

- Ojciec Gerarda był na tyle szlachetny, że poślubił naszą mamę. Niestety, wkrótce uciekł na morze, a ona musiała iść na ulicę. Moim ojcem mógł być każdy. Jestem bachorem, Lucy. Bez względu na to, jakie nazwisko nosi, Gerard zawsze dzieli się nim ze mną.

Lucy podniosła głowę. Wiatr osuszył jej łzy.

- Powinieneś się cieszyć. Ja tego szczęścia nigdy nie zaznam.

Lucy aż do późnego popołudnia następnego dnia próbowała zebrać siły, by go przeprosić. Gerard stał na dziobie i w skupieniu wpatrywał się w horyzont, jak gdyby chciał siłą woli ściągnąć jakiś okręt wojenny.

Lucy przystanęła obok niego.

- A jeśli nikt nie przyplynie? - powiedziała cicho. - Czy nie przyszło ci do głowy, że ojciec chętnie się mnie pozbył?

Spojrzał na nią surowo.

- Cały czas mi to chodzi po głowie.

Nim zdążyła wymyślić jakąś ciętą ripostę, już go nie było. Bez słowa zniknął w korytarzu wiodącym do jego kajuty.

Tego dnia nie tylko Lucy miała okazję przekonać się o złym nastroju kapitana. Wszyscy zawsze uważali go za opanowanego, spokojnego człowieka, ale ostatnimi czasy coraz częściej miewał ataki chandry. Warczał na załogę, nikomu nie szczędząc złośliwości. Marynarze bez sprzeciwu wypełniali jego rozkazy, obawiając się, że najdrobniejsze przewinienie wywoła burzę.

Kiedy pod wieczór Apollo ogłosił, że kapitan udał się do swojej kajuty, by przejrzeć tygodniowe zapiski w dzienniku okrętowym, Lucy zaproponowała, że dla rozluźnienia atmosfery narysuje karykatury marynarzy. Kevin zaofiarował swoje plecy jako sztalugi.

Lucy kończyła właśnie szkicować ogromne okulary na nosie Pudge'a, kiedy ktoś wyrwał jej z ręki kartkę. Przez chwilę patrzyła na umięśnione plecy Kevina. W sercu poczuła ostrzegawcze ukłucie. Zapadła martwa cisza. Lucy wyprostowała się i spojrzała na Gerarda, trzymającego w ręce jej rysunek.

- Uderzające podobieństwo, co, Pudge? - zapytał łagodnie.
- T...t...tak jest, sir. - Pudge zsunął pięty.
- Będzie świetnie wyglądał na murach Newgate. Wręczył Pudge'owi portret, po

czym zwrócił się do Tama.

Nim marynarz zdążył ukryć rysunek w spodniach, kapitan wyciągnął rękę. Tam pokornie oddał podobiznę. Gerard zmarszczył czoło, a wszyscy, łącznie z Lucy, wstrzymali oddechy. Tylko Kevin pozostał niewzruszony. Przyglądał się bratu z mieszaniną niepokoju i rozbawienia.

- Za dużo piegów - ogłosił wyrok Gerard. - Obawiam się, że urzędnicy będą mieli problem z rozpoznaniem.

Kapitan podniósł głowę i spojrzał na twarze swoich ludzi.

- Fidget - po namyśle wybrał kolejną ofiarę. - Zdaje się, że rankiem widziałem, jak objaśniasz panie Snow zasadę działania naszej maszyny parowej?

Powieka Fidgeta drgała nerwowo.

- Tak, sir.... Panienska... była ciekawa.
- A ty, Digby, zdawało mi się, czy pokazywałeś, jak nabija się działo?

Starszy kanonier podrapał się po łysiejącej głowie.

- Niech mnie cholera, kapitanie. Właśnie przechodziła obok i... do diabła, nie zaprzeczę.

Gerard pokiwał smutno głową. Jego głos był tak spokojny, że po plecach Lucy przeszły dreszcze.

- Nawet ty, Apollo. Czy to ty byłeś tak uczynny, że nauczyłeś pannę Snow obsługi fałszywego pokładu?

- Tak, sir. To ja.

Gerard krążył między nimi, zaciskając dłonie za plecami. W końcu rozpętała się burza.

- Dlaczego, do jasnej cholery, nie daliście jej planu szkunera? Mojego szkunera! Mogłaby przewiązać go wstążką i dać w prezencie lordowi admirałowi!

Marynarze patrzyli na niego z rosnącym zdumieniem. Jeszcze nigdy nie widzieli swojego opanowanego kapitana w takim stanie. Jego oczy miały gniewne pioruny.

- Czyście całkiem rozum postradali? Do diabła, jesteście kryminalistami! Bandytami, wyjętymi spod prawa! Tak was opętała, że pozwoliliście jej rysować wasze podobizny? Nie wiecie, jakie to niebezpieczne? Nie będziecie zachwyceni jej talentem, kiedy wasze portrety pojawią się na pierwszej stronie „Timesa”. Wyznaczą zdrowe nagrody za wasze puste łby!

Lucy nie mogła pozwolić, by karał ich za jej winę.

- Kapitanie - odezwała się nieśmiało. - To nie była ich wina. Oni próbowali mnie rozer...

- Ty! - Gerard obrócił się na pięcie i wskazał na nią palcem - Ty wścibska mała...

Lucy zrobiła krok do tyłu. Gerard szedł w jej kierunku, zmuszając do dalszego cofania się. Od tamtej nocy, kiedy pchnęła go nożykiem do otwierania listów, nie widziała go tak wzburzonego. Ale wtedy przecież jej nie zamordował, przypomniała sobie. Pocałował ją. Dwa razy.

Oblizwała wyschnięte usta. Nie wiedzieć czemu, zamiast strachu, ogarnęła ją wesołość. Cofając się, dotarła w końcu do burty. Nic było już gdzie uciekać.

Odważnie spojrzała mu w oczy.

- Śmiało, wyrzuć mnie za burtę. W końcu to nie pierwszy raz, prawda, kapitanie Doom?

Chwycił ją za ramiona.

- Powinienem. Dobrze ci idzie szpiegowanie. - W skupieniu obserwował jej twarz. Patrzył to na oczy, to na usta, które nieświadomie rozchyliła. - Wystarczy, że zatrzepoczesz tymi swoimi jedwabistymi rzęsami, spojrzysz tak niewinnie i zakołyszysz tyłeczkiem, a moi ludzie zdradzą ci każdą tajemnicę.

- Zbyt dużo wiem - zgodziła się Lucy. - Nie możesz sobie pozwolić, by darować mi życie.

Przyciągnął ją ku sobie. W tym geście nic było przemocy, tylko czysta desperacja. Jej jędrne piersi przylgnęły do jego muskularnego torsu. Kolba pistoletu gniotła ją w brzuch.

Jego usta były tuż przy jej ustach, kiedy nagle potrząsnął nią tak mocno, że omal nie rozplotły jej się warkocze.

- Niech cię diabli, Lucy, jeśli myślisz, że dam się nabrać na sztuczki afektowanej, niedożywionej dziewczyny! Przeliczyłaś się. Pewnie nawet byś mi się tak bardzo nie podobała, gdyby nic to, że od sześciu lat nie miałem kobiety!

Zapadła cisza. Gerard wypuścił Lucy z uścisku i odszedł, poprawiając z wściekłością włosy. Lucy oparła się o burtę, by nie upaść.

Marynarze otoczyli ją kołem.

- Panienko Lucy, proszę nie płakać. - Pudge łagodnie głaskał ją po ramieniu. - No, już. Kapitan na pewno nie chciał pani dokuczyć.

Lucy opanowała się i po chwili cicho zapytała:

- Apollo, do kogo należały te ubrania z kufra?

Kevin wszystko jej wyjaśnił.

- Do jednej prosty... - Urwał. Odchrząknął. - Eee, do mojej przyjaciółki aktorki. Nie zdążyła się ubrać, zanim Gerard wysadził ją na ląd.

Lucy podniosła głowę. Oczy jej błyszczały, ale nie od łez, jak się spodziewali, lecz z radości. Roześmiała się serdecznie i uściśniła rękę Pudge'a.

- Mój drogi, czy szyleś kiedy damskie sukienki?

Gerard, pogrążony w rozmyślaniach, patrzył niewidzącym wzrokiem na leżący przed nim dziennik okrętowy. Od czasu do czasu podnosił z niepokojem głowę, kiedy nad sufitem rozlegał się dziwny łomot. Odkąd Lucy pojawiła się na pokładzie, dziwnie się zachowywał. Pewnie jego ludzie mają go już dosyć i planują bunt. Kapitan Lucy, pomyślał gorzko. Musiał przyznać, że to miało sens. Pudge, cudem odkryty talent krawiectwa, uszyje nową flagę - pastelworóżową, może nawet wyhaftuje na niej kobiecą dłoń ściskającą serce. Serce głupca.

Przelknął łyk brandy, żalując, że ze względu na dużą ilość prochu na pokładzie, zabronił palenia. Tak bardzo tęsknił za cygarem. Alkohol, zamiast uspić, niepotrzebnie zaostrił ból, targający jego duszą. Zrobił z siebie dumia i to przy załodze, a jedyne, o czym wtedy myślał, to jak dobrze znowu mieć ją w ramionach.

Sięgając po butelkę brandy, zauważył zakurzony zeszyt. Przysunął go do siebie. W tym tygodniu z dziesięć razy brał się do przeczytania dziennika Annemarie Snow, ale zawsze coś go powstrzymywało. Ogarniał go jakiś dziwny niepokój, nie pozwalający wtargnąć w przeszłość tej kobiety.

Pogładził wyżartą przez mole aksamitną okładkę. Może powinien oddać go Lucy? Lektura zajęłaby ją przez jakieś... dziesięć minut.

W drzwiach pojawił się Apollo. Ukłonił się i czekał.

- Nie wiedziałem, że nosisz koszulę, kiedy nie ma śniegu. Co to za okazja? Czyżby na pokładzie gościł sam król?

Apollo nie odezwał się ani słowem. Wręczył kapitanowi własnoręcznie zapisaną karteczkę.

Panna Snow ma zaszczyt zaprosić pana na kolację. Gerard ukrył palące emocje pod maską cynizmu.

- Znalazła skuteczniejszy sposób, by się mnie pozbyć? Trucizna?

- W menu nie zauważyłem cykuty, sir.

Gerard wahał się, po czym zamknął dziennik.

- A co mi tam, u diabła. Nie mam na dzisiejszy wieczór żadnych innych zaproszeń. Moi ludzie i tak uważają, że oszalałem.

Kiedy wstawał zza biurka, Apollo bez słowa zniknął.

Zatrzymał się przed drzwiami do swojej kajuty, zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. W końcu kapitan nie powinien błagać o pozwolenie, chcąc wejść do własnego gabinetu.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy zamiast bałaganu i gospodyni w męskim stroju, zastał w gabinecie idealny porządek. Nawet ukochane powieści Defoe stały na swoim miejscu, na półce. Nim zdołał otrząsnąć się z szoku, z cienia wyłoniła się dziewczyna.

Nie dziewczyna, ale kobieta, poprawił się w duchu. Ledwo ją rozpoznał. Zamiast bryczesów Tama czy swojej klasycznej białej sukni, miała na sobie oszalamiającą kreację z koronek i wstążek. Pod kremową, lekką jak pajęczyna siecią koronek pyszniła się lśniąca turkusowa satyna. Spod łagodnie podniesionej spódnicy wystawały czubki palców.

Król może nie był najmodniejszy, ale soczysty odcień turkusa, złagodzony koronkową mgłą, znakomicie pasował do jej porcelanowej cery. Przez chwilę Gerard miał wrażenie, że przeniósł się w czasie. Zdawało mu się, że znowu ma dwadzieścia cztery lata, a przed nim stoi jedna z tych londyńskich piękności, które z takim zapalem oddawały mu swe ciała, chcąc zrobić z niego mężczyznę.

Skromny dekolt, zasłaniający jej smukłą szyję, rozpałił jego wyobraźnię. Dawna tęsknota ścisnęła mu gardło. Widać Lucy nie chce zamordować go tak od razu, ale zamierza sprawić, by długo i straszliwie cierpiał. By umarł z pożądania.

- Dziękuję, że przyjąłeś zaproszenie na kolację – powiedziała chłodno.

Gerard pragnął usłyszeć w jej głosie namiętność, z jaką mówiła do niego tamtej nocy w domku przy furcie.

- Nie jestem głodny - odburknął, nie przejmując się tym, że zabrzmiało to niegrzecznie. - Nie gram w kości i nie zamówię u ciebie portretu.

Patrzyła na niego wyzywająco.

- To po co przyszedłeś?

- Po to - odparł, ruszając w jej kierunku.

Przeszedł obok jej elegancko zastawionego stołu i wziął ją w ramiona. Lucy wiedziała, że szykowna suknia wzbudzi jego namiętność, ale nie spodziewała się, że wybuch będzie tak gwałtowny. Ścisnął ją tak mocno, jak tylko było można. Tuląc się do jego piersi,

zastanawiała się, czy powinna mu się oddać, tak jak tego pragnęła, czy wyrzucić go, nim jeszcze raz ją zrani.

- Czy nie dlatego mnie zaprosiłeś? - wyszeptał, wtulając twarz w jej włosy.

Znajomy zapach wypełnił jej nozdrza. Oddychała coraz szybciej.

- Nie wiem. Myślałam, że może porozmawiamy, spokojnie, bez awantur...

Całował jej szyję.

- Przecież się na awanturuję, prawda?

Nawet gdyby tak było. Lucy i tak niczego by nie słyszała. Jego cudowne usta sprawiły, że w uszach jej pulsowało, a serce biło coraz szybciej. Jej palce wsunęły się pod jego koszulę, szukając ciepłej skóry muskularnego torsu i delikatnych włosów.

Gerard westchnął, obudzony jej delikatnym dotykiem. Pospiesznie rozplótł jej włosy, które rozsypały się na ramiona jedwabistą kaskadą. Wziął w dłonie jej twarz, nachylił się i pocałował w rozchylone usta. Tym razem pieszczota nie miała nic z drwiny. Całował jak mężczyzna uwielbiający kobiety.

Och, gdybyż to ją tak uwielbiał, pomyślała smutno Lucy. Sam przyznał, że po sześciu latach celibatu każda kobieta roznieciłaby jego pożądanie. Nawet córka największego wroga.

Smakował brandy i zakazaną pokusę, tak jak tamtego jesiennego wieczoru, kiedy tak niewiele brakowało, by oddała nie tylko ciało, ale i duszę kapitanowi Doomowi.

Nagle pukanie do drzwi wyrwało ich z odmętu namiętności.

- Kapitanie, na horyzoncie widać siedemdziesięcioczerodziałowy okręt admirałski, „Argonauta” - obwieścił spokojne Apollo.

25

Lucy nigdy nie miała skłonności do wpadania w gniew, ale teraz złośliwość ojca sprawiła, że chciała tupać i krzyczeć.

Spojrzała w oczy Gerarda. Przez ułamek sekundy dostrzegła w nich żal, który szybko ustąpił miejsca bojowemu podnieceniu.

Chciała go dotknąć, ale on już był przy drzwiach.

- Nie opuszczaj kajuty, dopóki cię nie wezwę. Może być niebezpiecznie.
- Gerard?

Odwrócił się dopiero po chwili, jak gdyby bał się popatrzeć w jej oczy. Obejrzał się nieśmiało, jak mały chłopiec przyłapany na zabawie w marynarza podczas kąpieli. Poczwała w piersiach dziwne ciepło.

- Tak?
- Uważaj na siebie. To niełatwy przeciwnik. Uśmiechnął się.
- Tak jak i ja.
- Wiem - odparła, kiedy wyszedł.

Popatrzyła z żalem na zapomnianą kolację, którą Tam z takim trudem przygotował. Wyglądało na to, że ledwo gra rozpoczęła się na nowo, ona już poniosła klęskę.

Sylwetka „Argonauty”, rysująca się na dalekim horyzoncie, przypominała ogromnego ukrytego we mgle smoka. Gerard kurczowo ścisnął reling, jego nozdrza poruszały się, jak gdyby wyczuwał zapach wroga. Lucien Snow był gdzieś tam, niedaleko. Tym razem Gerard nie wypuścił go tak łatwo z rąk. Zbyt długo na niego czekał. Nadszedł czas, by admirał spłacił swoje długi. Również wobec córki.

Załoga w milczeniu czekała na jego decyzję. Marynarze dobrze wiedzieli, że duma królewskiej floty może w jednej chwili roznieść ich szkuner. Na majestatycznym okręcie wojennym pływało sześciuset świetnie wyszkolonych żołnierzy.

Gerard miał świadomość, że jego ludzie darzą go całkowitym zaufaniem. Nawet

nieśmiały Pudge gotów był spełnić każdy rozkaz. Piękna dziewczyna zawsze wprawiała go w zakłopotanie, ale gdy przyszło stanąć do boju, Pudge odważnie stawał w pierwszym szeregu.

Tym razem Gerarda ogarnęły wątpliwości. Załoga „Annemarie” też w niego ślepo wierzyła. Gerard zmarszczył czoło. Samotny, nieruchomy okręt na horyzoncie nie wróżył niczego dobrego.

- Przygotować szalupę - powiedział pewnym siebie tonem. - O świcie zawiozę im nasze żądania.

Kevin i Apollo natychmiast zaprotestowali. Przekrzyczał ich Digby, którego głos, po latach wydawania komend kanonierom, dudnił głośniejsz od salwy armatniej.

- Do diabła, kapitanie, nie chcę pana obrażać, ale to największa bzdura, jaką w życiu słyszałem. - Digby podrapał się po łysiejącej głowie. - Nie jestem geniuszem, sir, ale z tego, co wiem, to pan jest dla tego piernika równie ważny jak nasza panienka. Co zrobimy, jak pana uwięzi? Będziemy tu siedzieć i drapać się po tyłkach?

- Ma rację - poparł go Kevin. - Nie powinieneś się z nim spotykać.

Patrząc na twarze marynarzy, Gerard uświadomił sobie, że Kevin nie jest jego jedynym bratem.

- To moja wojna. Nie chcę was w nią wciągać.

- Sir, ja pójdę - zaoferował się Apollo. - Jako pański zastępca. Digby zaklął siarczyście. Odepchnął łokciem olbrzymiego

Afrykańczyka i stanął przed Gerardem.

- Kapitanie, mam sześćdziesiąt pięć lat. Od dwunastego roku życia jestem kanonierem, żyję pod pokładem, a armata jest moją jedyną towarzyszką. Sir, ile jeszcze zwycięstw mnie czeka?

Gerard spojrział w przekrwione oczy żeglarza, w których znów pojawiły się iskierki młodzieńczej brawury.

- Panie Digby, czy zgłasza się pan na ochotnika?

- Tak jest, sir.

- Dobrze. Spotkamy się o świcie przy szalupie.

Digby uśmiechnął się, wyszczerzając połamane zęby. Kiedy załoga poklepywała kanoniera po plecach, gratulując odważnej postawy. Gerard podszedł do relingu i zapatrzył się w dal, próbując otrząsnąć się ze złych przeczuć i wykrzesać w sobie chęć walki. Jego ludzie dołączali do niego w milczeniu. Nie było na ziemi takiej ceny, której nie zapłaciliby dla swojego kapitana.

Lucy przemierzała kajutę, umierając z niepokoju. Okręt stał na kotwicy, wszystko wokół zamarło w oczekiwaniu. Choć zasłoniła uszy, w głowie ciągle dudniło jej nieubłagane tykanie chronometru. Piasek w klepsydrze przesypywał się bezlitośnie.

Przystanąła na chwilę, próbując opanować rozszalałe myśli. Zastanawiała się, czy jej matka też się tak czuła. Czy targał nią niepokój? Czy rozum zmagał się z emocjami?

Lucy zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów, opadający jej na oczy. Musi uspokoić wzburzone uczucia. Potrafi przecież myśleć logicznie. Admirał ją okłamał. Gerard też ją okłamał. Prawda jest taka, że nie powinno jej obchodzić to, czy się pozabijają.

Dlaczego zatem nie potrafiła przestać kochać ich obu? Mimo swej perfidii, admirał ciągle był jej ojcem. Żadna zdrada nie wyleczy jej ze ślepego uwielbienia.

A Gerard? Na samą myśl o nim jej serce zaczynało szybciej bić. Nie chciała sobie nawet wyobrażać, że mogłaby mu się stać jakaś krzywda.

Wiedziała, co robić. Nie była taka bezbronna wobec mężczyzn, jak wmawiał jej ojciec. Jeśli Gerard ją czegoś nauczył, to tego, że kobiety posiadają własną broń. Skuteczniejszą niż pistolety i działa. Tą bronią jest delikatność, czułość, wybaczenie.

Powstrzyma machinę, zanim stanie się coś strasznego. Poświęci się, nim któryś z nich zginie. Jej miłość jest wystarczająco silna, by pokonać nienawiść Gerarda. Uspokoi go, będzie delikatna, odda mu swe ciało, by zaspokoił żądzę zemsty.

Drżącymi rękoma poprawiła sukienkę i spięła włosy. Była gotowa na spotkanie z kapitanem „Retribution”. Ofiaruje mu swoją niewinność i miłość.

Lucy niepewnym krokiem szła w kierunku kajuty, w której tymczasowo urzędował kapitan. Bała się, ale nie żałowała, że podjęła taką decyzję. Czuła, że Gerard doceni wartość daru, który chce mu ofiarować. Odda mu to, co ma najcenniejszego, a co zamierzała oddać mężowi.

Ogarnął ją rozdzierający smutek. Nie z powodu tego nieznanego mężczyzny, ale dlatego, że nie będzie to Gerard. Nie wsunie obrączki na jej palec. Nie będą mieć dzieci o orzechowych oczach i kasztanowych włosach. Otarła z policzka łzę i zmusiła się do uśmiechu. Może tak miało być. Nawet niestrudzony Smythe nie zniósłby takiego napięcia.

Zza uchylonych drzwi sączyło się światło. Słyszac spokojny głos Gerarda, zatrzymała się, oczarowana, jak za pierwszym razem, kiedy się do niej odezwał. Zerknęła do

środku. Gerarda nie było widać. Przy biurku siedział Apollo i w skupieniu coś notował.

Gerard chodzi po kajucie i dyktuje list, uświadomiła sobie po chwili. Jego cień przesunął się obok wiszącego w rogu hamaka. A więc to tam sypiał, od kiedy odstąpił jej swoją przestronną kajutę. Malutki pokoik bardziej przypominał celę niż mesę kapitana. Z przerażeniem zastanawiała się, jak on to znosi. Pewnie przez cały czas pali się tu światło.

Jej współczucie osłabło, kiedy wsłuchiwała się w to, co mówi.

- ...nauczyłem się grać w pańską grę, admirał Snow, dlatego pańska ukochana córeczka pozostała do tej pory nietknięta. Jeśli do jutra rana nie spełni pan moich żądań, zniszczę ją.

Słyszając tę straszną groźbę, Lucy zasłoniła usta dłonią, by nie krzyknąć. Czyżby jej niewinność miała dla niego jedynie wartość przetargową?

Nagle Gerard, w zamyśleniu drapiąc się po brodzie, zatrzymał się przy drzwiach. Lucy nie mogła oderwać od niego wzroku, podziwiała jego drapieżny urok, wspaniale zbudowane ciało, zmysłowe usta. Bardzo chciała wierzyć, że tak naprawdę nie jest tym człowiekiem, którego śmiertelnie się bała.

- Co pomyśli londyńskie towarzystwo, kiedy dowie się, że pozwolił pan, by pańska jedyna córka została dziwką kapitana Dooma? - Jego sardoniczne słowa raniły serce.

Potwierdziły się jej najgorsze obawy. Gerard chce odebrać jej siłą to, co ona była gotowa oddać mu z miłości. Tym razem nie zdążyła zasłonić ust, z których wyrwał się okrzyk rozpacz.

Gerard podniósł głowę. Ich spojrzenia się spotkały. W jego oczach początkowo dominowało zdziwienie, które szybko ustąpiło miejsca żalowi, a potem cierpieniu. Nie próbował się bronić. Wiedział, że i tak nie zdoła się przebić przez mur nieufności, który nagle ich rozdzielił.

Lucy, zanosząc się płaczem, rzuciła się do ucieczki, choć instynkt podpowiadał jej, że Gerard nie pójdzie jej śladem.

26

Wczesnym rankiem, choć niebo było jeszcze różowe, Gerard stał już przed drzwiami do kajuty Lucy. Dziwne, ale szybko przywykł do myśli, że to jej kajuta. Zastanawiał się, czy po jej powrocie do Londynu zdoła na powrót przyzwyczać się do tego miejsca. Czy do końca życia będzie go prześladować zapach cytryny, jakim na pewno przesiąkła pościel?

Patrząc na drzwi, drapał się po brodzie. Przez całą noc nie zmrużył oka. Czuwał na pokładzie, obserwując migoczące w oddali światła „Argonauty”, ale tak naprawdę przed oczami miał rozczarowaną twarz zdradzonej Lucy. Ciągłe słyszał jej szloch.

Dyktując list, od początku wiedział, że nigdy nie spełni tych straszliwych gróźb. Lucy nie chciała przyjąć do wiadomości, że admirałowi bardziej zależy na własnej reputacji niż na jej bezpieczeństwie. Nie pozwoli, by ktoś zszargał jego opinię, zniesławiając córkę.

Londyńscy hipokryci zrzucą całą winę na Lucy. Potępiają za moralną słabość, oskarżają, że sama sprowokowała pirata do gwałtu. W końcu to Ewę obwiniano o to, że Adam wziął od niej jabłko.

Przed zapadnięciem zmroku Lucy będzie bezpieczna na pokładzie „Argonauty”. Wróci w ramiona ojca. Gerard poczuł ukłucie w sercu. Siłą woli, która w więzieniu przez pięć lat trzymała go przy życiu i zdrowych zmysłach, opanował palące rozgoryczenie,

I tak nie miał wyboru. Bez względu na to, jak szybko zdołała się zaadaptować, dziewczyna tak delikatna i wrażliwa jak ona nigdy nie byłaby szczęśliwa na pirackim statku. Snw, zwracając mu list i przyznając się do winy, oczyści go z dawnych zarzutów, ale tych ostatnich grzechów nic nie wymaże. Gerard wiedział, że jedyne, co może jej oferować, to życie włóczędzy i przestępcy, wieczną ucieczkę przed katem.

Delikatnie zapukał i trzymając dłoń na klamce, czekał. Nie przejmował się, że nie przyniósł bukietu róż i pudełka czekoladek. Lucy nie jest kobietą, którą można oczarować pustymi, sentymentalnymi gestami.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnął klamkę i wszedł do kajuty. W środku panowała wroga cisza. Łóżko było puste, a pościel nietknięta, jak gdyby tej nocy gospodyni

wcale nie kładła się spać.

Lucy stała przy okienku. Przebrała się w spodnie Tama, włosy splotła w dwa warkocze. Patrzyła na nieruchomą sylwetkę „Argonauty”. Nigdzie nic było śladu wytwornej sukni ani uroczej kobiety, która jeszcze wczoraj tak ciepło go witała.

Gerard chrząknął.

- Jestem zmuszony zamknąć cię w kajucie. Oczywiście, dla twojego dobra - powiedział z bólem większym, niż chciałby się przyznać.

Nie drgnęła. Jak gdyby mówił do posągu albo figury z lody, pomyślał z irytacją.

Niedbale rzucił na stolik pamiętnik jej matki.

- Pomyślałem, że lektura uprzyjemni ci oczekiwanie. Znalazłem to w sejfie twojego ojca. Nie przeczytałem - dodał, choć wiedział, że i tak mu nie wierzy.

Nie okazała najmniejszego zainteresowania. Gerard miał wrażenie, że w kajucie robi -;e coraz zimniej. Mimo okazanej mu obojętności, uklonił się, choć na niego nie patrzyła.

- Do widzenia, panno Snow.

Był już przy drzwiach, kiedy usłyszał jej cichy głos.

- Do widzenia... kapitanie.

Zamykając zasuwę, modlił się, by choć w połowie udało mu się zwieść admirała tak, jak zwiódł jego córkę.

Lucy jeszcze długo po jego odejściu stała przy oknie. Z rozzaleniem patrzyła na zapierający dech w piersiach widok.

„Morze o wschodzie jest jak katedra, Lucy”.

Ochryply głos Gerarda obudził wspomnienia, które wolałaby pogrzebać na dnie pamięci.

- Hipokryta - mruknęła.

Morze jest katedrą, a Gerard chce poświęcić ją na ołtarzu. Serce boleśnie zabiło, kiedy kątem oka zauważyła oddalającą się od statku szalupę. Miała nadzieję, że Gerard nie jest tak głupi, by osobiście dostarczyć żądania.

Uspokoila się, kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca odbiły się od łysiny Digby'ego. Odwrócił się, by pomachać załodze „Retribution”. Lucy przez chwilę żałowała, że nie było jej na pokładzie, by go pożegnać. Kanonier wiosłował w kierunku „Argonauty” z

zadziwiającym spokojem. Nad jego głową tańczyła mewa. Lucy pomyślała, że muszą być blisko lądu.

Kiedy maleńka szalupa wtopiła się w sylwetkę masywnego okrętu wojennego, Lucy odwróciła się od okna.

Jej uwagę przykuł leżący na stole zeszyt. Wahala się, nic była w stanie wykrzesać ani odrobiny entuzjazmu dla żadnej z propozycji Gerarda. Oprawiony w aksamit pamiętnik leżał tam, gdzie go położył. Skoro znalazł go w sejfie admirała, pewnie nie zawierał nic poza szczegółowym opisem jego zwyczajów i być może kilku wycinków z prasy. Zdumiał ją ten nagły przypływ pogardy dla ojca.

Ostatecznie zwyciężyła ciekawość. Wzięła do ręki pamiętnik i delikatnie pogładziła zniszczoną okładkę. Przeszył ją dreszcz. Otworzyła zeszyt i spojrzała na pierwszą stronę. 26 maja 1780. Lucy zmarszczyła czoło, zaintrygowana ozdobnym, szalenie kobiecym charakterem pisma.

- *Piszę po angielsku, by sprawić mu przyjemność –przeczytała na głos. - Sprawianie mu przyjemności stało się jedynym pragnieniem i obsesją mojego biednego zaślepionego miłością serca.*

Lucy wsłuchiwała się w brzmienie tych słów. Kiedyś uznałaby je za sentymentalne bzdury, ale teraz, kiedy i jej serce było złamane, odnalazła w nich prawdę i szczerść.

Czytała dalej.

- *Powiadają, że jest bohaterem, najmężniejszym wojownikiem, największym żeglarzem w tym kraju. Nie dbam o to. Żyję tylko dla jego łagodnego uśmiechu, którym tak rzadko mnie obdarza.*

Poczuła skurcz żołądka. Ciężko opadła na krzesło, uświadomiwszy sobie ironię losu. Te słowa brzmiały tak, jakby sama je napisała.

Drżącymi dłońmi ułożyła poźółkłe kartki w odpowiedniej kolejności. Zrozumiała, że to jedyny sposób, by choć trochę zrozumieć kobietę, która dała jej życie i zostawiła samą na jego pastwę.

Tego popołudnia morze było zadziwiająco spokojne, co wprawiało Gerarda w jeszcze większe rozdrażnienie. Nerwowym krokiem przemierzał pokład, chyba setny raz, i co chwilę wycierał pot z czoła i karku. Załoga na wszelki wypadek schodziła mu z drogi,

wiedząc, że lepiej nie prowokować kolejnej awantury. Ostatnio wybuchy gniewu zdarzały mu się coraz częściej. Stawały się tak przewidywalne, jak dzwonek obwieszczający zmianę wachty.

- Dlaczego pozwoliłem mu jechać? Boże, dlaczego sam tego nie zrobiłem?

Wiedział, że Tam, czuwający na bocianim gnieździe, zawiadomi ich natychmiast, gdy zauważy szalupę, ale i tak nie mógł się uspokoić. Zabrał Kevinowi lornetkę i sam w napięciu obserwował horyzont. Między „Retribution” a „Argonautą” poruszały się jedynie leniwe fale. Ani śladu szalupy.

- Kapitanie, dał im pan czas do zmierzchu - przypomniał mu Apollo, wychylając się zza głównego masztu.

Twarz Kevina była równie poważna. W zielonych oczach malowała się gorycz, dodająca dojrzałości jego chłopięcym rysom.

- Znam go, grałem z nim w karty, pamiętasz? Błefuje. Chce, żebyśmy się ugotowali we własnym pocie. Zobaczysz, że się pokaże. Nie ma wyjścia, jeśli chce odzyskać córkę.

Gerard powoli opuścił lornetkę. Słowa Kevina sprawiły, że jego zdenerwowanie rosło. Admirałowi nie zależy na córce nawet w połowie tak bardzo jak jemu, a i tak, kiedy Digby wróci z odpowiedzią, będzie musiał odesłać mu Lucy.

Jeśli Digby wróci...

Gerard nawet nie chciał myśleć, że znowu posłał swojego człowieka na pewną śmierć. Oddał bratu lornetkę i wrócił do rozmyślań.

Ktoś, kto ma taką władzę jak admirał Snow, powinien dysponować całą flotą kanałową. Dlaczego więc na spotkanie z najgroźniejszym bandytą przyplłynął tylko jeden okręt?

Gerard zatrzymał się przy relingu. Modlił się, by odpowiedź nie nadeszła zbyt późno.

Admirał sir Lucien Snow wytarł usta lnianą serwetką.

- Wczesne kolacje zrujniają mi żołądek.

Kiedy pyzaty lokaj uprzętnął za stołu pusty talerz, Smythe podszedł do admirała. Próbował nie patrzeć na leżącą gdzieś na brzegu stołu kartkę papieru. Admirał bez pośpiechu delectował się swoją ulubioną sherry.

- Czy mogę coś powiedzieć, sir? - zapytał wyjątkowo oficjalnym tonem.

Admirał spojrział na niego z rozbawieniem.

- Mów.

Smythe zerknął w stronę pokładu, gdzie dwóch znudzonych marynarzy trzymało na muszce posłańca Claremonta.

Smythe oparł ręce na stole i pochylił się, by mieć pewność, że jego słowa nie dotrą do nikogo poza admirałem.

- Sir, czy muszę panu przypominać, że słońce już zachodzi? Z każdą chwilą życie panienci Lucy jest w coraz większym niebezpieczeństwie.

Admirał wziął do ręki srebrny nożyk i zaczął dłubać w zębach.

- A czy ja mam ci przypomnieć, że to twoja wina? W końcu to ty wywiodłeś w pole moich prawników. Uganiali się za człowiekiem, który mieszkał pod naszym dachem. Nadal nie pojmuję, jak mogłeś nie poznać tego łajdaka!

Smythe nie dał się sprowokować.

- Sir, nie jestem już taki młody. Wzrok mi słabnie.

- Szkoda.

Snow rzucił nóż na stół i wstał. Miał tak wściekłą minę, że Smythe od razu pożałował, że w ogóle zaczął rozmowę.

Wiedział, że marynarze zgromadzeni na pokładzie czekają na decyzję. Admirał wybrał do tej misji najlepszych i najbardziej zaufanych oficerów. Takich jak Smythe.

Admirał krążył wokół swego kamerdynera. W końcu odezwał się głosem spokojnym, ale nie znoszącym sprzeciwu.

- Co mam zrobić, Smythe? Claremonta nie interesuje złoto, a sam wiesz najlepiej, że nie mam żadnego listu.

- Może powinien pan się do wszystkiego przyznać na piśmie, sir - kamerdyner był równie opanowany. - Gdyby pan to ujął w odpowiednie słowa i ubarwił wspomnieniem o licznych zasługach, może szkody dałoby się jakoś naprawić, a pańska reputacja nie byłaby stracona?

- Ach tak, moja reputacja w zamian za reputację Lucy? Czy to sugerujesz?

Cierpliwość Smythe'a miała swoje granice.

- Pańska reputacja w zamian za jej życie - warknął. – To sugeruję.

Admirał uśmiechnął się, jak gdyby ucieszył go ten wybuch.

- Claremont jej nic zabije. Jeśli jest tak chętna jak jej matka, będzie trzymał ją przy życiu. Przynajmniej dopóki mu się nie znudzą jej sztuczki.

Smythe patrzył na niego z niedowierzaniem. Jego dłonie zacisnęły się w pięści. Miał

ochotę rozwalić admirałowi nos, zetrzeć ironiczny uśmiezek z jego ust. Paraliżowało go poczucie winy. W końcu to nic admirał pozwolił, by jego ukochana Lucy wpadła w lubieżne ręce Claremonta.

Admirał wziął do ręki list z żądaniami pirata i nie namyślając się zbyt długo, zmiął i wyrzucił.

- Obawiam się, że mamy tylko jedno wyjście. Czytałeś gazety, te podłe insynuacje i zawołowane oskarżenia. Nasza mała Lucy przez trzy tygodnie była zdana na łaskę i niełaskę okrutnych piratów. Jej reputacja już dawno legła w gruzach. - Smythe słuchał słów admirała z rosnącym przerażeniem. - Jestem pewien, że każda kobieta, którą spotkał taki los, wybrałaby szlachetną śmierć, zamiast życia w wiecznym upokorzeniu.

Pieść Smythe'a, jak pocisk, trafiła prosto w usta admirała.

- Ty skończony łajdaku!

Admirał zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Wylał krew z kącika ust. Smythe rzucił się na niego z wściekłością, ale powstrzymali go oficerowie.

- Zabrać pana Smythe'a pod pokład. Zakućcie go w łańcuchy. - W głosie admirała słychać było złośliwą satysfakcję. - Obawiam się, że cierpi na nieuleczalne zapalenie mózgu.

Smythe, podtrzymywany przez oficerów, miotał się jak ryba w sieci. Kątem oka widział, jak admirał bierze do ręki nóż i sprawdza jego ostrość,

- Proszę do mnie, panie Digby! - zawołał. - Mam wiadomość dla pańskiego kapitana.

Krzyk Smythe'a zagłuszył wystrzał z pistoletu. Pod powiekami eksplodował wulkan światła. Wybacz, Annemarie, tak mi przykro, pomyślał, nim stracił świadomość. Lucy, przemknęło mu jeszcze przez myśl i padł nieprzytomny.

27

Kapitanie! Kapitanie! Szalupa! Bogu niech będą dzięki! Wraca!

Słyszając radosne okrzyki Tama, cała załoga „Retribution” rzuciła się w stronę burty. Kevin westchnął i oddał bratu lornetkę.

Gerard odgarnął włosy z czoła i ustawił ostrość. Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi.

Nie wiedział, czy cieszyć się ze zwycięstwa, czy raczej opłakiwać nadchodzącą stratę. Jakoś nie miał odwagi myśleć o tym momencie. Przyszłość bez Lucy była mglista i ponura, szara i mroźna jak Morze Północne zimą. Bez wątplenia przez resztę życia będzie go nienawidzić za to, że sprzedał ją ojcu za trzydzieści srebrników i kawałek papieru. Żalodne zwycięstwo.

Radość załogi minęła, kiedy okazało się, że szalupa jest pusta.

- Sir, nie ma Digby'ego!

Jeszcze zanim Tam powiadomił wszystkich o swoim odkryciu, Gerard opuścił lornetkę i dał znak podoficerowi. Z rosnącym przerażeniem patrzył, jak Apollo i Fidget opuszczają drugą łódź ratunkową. Mężczyźni natychmiast zaczęli wiosłować, kierując się ku dryfującej szalupie. Kiedy podплыnęli w pobliże najeżonego działami „Argonauty”, napięcie Gerarda sięgało już zenitu. Czuł, że admirał pozwoli im podziwiać swe dzieło, nim ich zniszczy.

Apollo pilnował, by łódź nie zeszła z kursu, a Fidget zręcznie zaczepił liną szalupę i pociągnął.

Coś leżało na dnie. Z oddali wyglądało to jak kupa szmat, ale Gerard wiedział swoje.

Zamknął oczy, próbując opanować ogarniającą go rozpacz. Otworzył je dopiero, kiedy na pokładzie usłyszał kroki Apolla. Podoficer stał przed nim, trzymając na rękach bezwładne ciało Digby'ego.

Pudge zdjął mu okulary i zaczął je czyścić chustką. Tam, mamrocząc pod nosem *Pater Noster*, zsunął z głowy czapkę. Kevin zaklął tak siarczyście, że stary kanomer byłby z niego dumny. Tylko kapitan nadal stał w bezruchu. Wyglądał tak, jakby i z niego uszło życie.

- Nóż w brzuchu - odezwał się chłodno, patrząc na sterczące srebrne narzędzie zbrodni. - Śmierć powolna i cholernie bolesna.

Nie mrugnawszy nawet okiem, wyrwał spod noża kartkę. Marynarze podeszli bliżej, ale Gerard nie zaspokoił ich ciekawości. Nie przeczytał na głos listu. Był przeznaczony tylko dla niego.

Przez całe życie ani raz nic poniżyłem się do pertraktacji z ludźmi pańskiego pokroju. I nic zamierzam tego robić.

Gerard zniszczył kartkę. Oczywiście wyobraźni widział twarz admirała wykrzywioną w uśmiechu wyższości. *Ludzie pańskiego pokroju*. Co za absurd! Śmiechu warte, kiedy pada z ust takiego łajdaka. Ale Gerard Claremont się nie śmiał. Stracił poczucie humoru.

Zapadający zmrok sprowadził na niego dziwny spokój. Już nie bał się ciemności. Teraz nie mógł się na nią doczekać. Z czułością po raz ostatni dotknął czoła Digby'go. Zamykając jego niewidzące oczy, przypomniał sobie, jak w ten sposób zegnał matkę. Czymże jest jeszcze jedna śmierć na sumieniu kogoś tak potępionego jak on?

Kiedy podniósł głowę, jego ludzie aż zrobili krok w tył.

- Nadszedł czas, by pokazać dumnej pannie Snow, do czego jest zdolny człowiek mojego pokroju.

Marynarze, zrozpaczeni śmiercią przyjaciela, mruknęli zachęcająco. Tymczasem ich kapitan, zamiast wydać rozkaz ataku, ruszył w stronę korytarza wiodącego pod pokład.

Kevin jako jedyiny odważył się stanąć mu na drodze.

Bracia w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Śmiertelną ciszę przerwał Gerard.

- Nie rób tego - powiedział łagodnie. - Nie jest tego warta.

- Myślę, że jest - odparł z przekonaniem Kevin.

Gerard, mrużąc oczy, przez chwilę patrzył na młodszego brata. Jeszcze nigdy go nie uderzył i nie zamierzał tego teraz robić.

- Zejdź mi z drogi, człowieku - warknął. - To rozkaz.

Bezosobowe słowa zraniły bardziej niż uderzenie. Kevin poczuł się tak, jak gdyby dostał od brata policzek.

- Tak jest, sir- powiedział i splunął, odsuwając się z przejścia.

Gerard zniknął w korytarzu.

Zamiast bawić się w odblokowywanie zasuw, Gerard wściekłym kopniakiem otworzył drzwi kajuty.

Lucy podniosła wzrok znad zeszytu. Była zbyt zamyślona, by przestraszyło ją jego gwałtowne wtargnięcie. Tak pochłonął ją pamiętnik matki, że nie tylko nie zauważyła, że się ściemniło, ale zupełnie nie słyszała, co się wokół niej dzieje.

W jej oczach dostrzegł ślady łez. Gerard uodpornił się na jej oszalamiającą urodę. Jego współczucie umarło razem z Digbym.

Trzasnął za sobą drzwiami, odcinając ich od reszty świata. Lucy wstała zza biurka i przycisnęła do piersi pamiętnik. Poczul złośliwą satysfakcję. To nie tyran, ukrywający się za bezimiennym emisariuszem i znęcający się nad dziećmi, ale prawdziwa kobieta, która potrafi mu się przeciwstawić. Oto godny przeciwnik!

Wyprostowała się i uniosła dumnie brodę. Patrzyła na niego z niemym wyzwaniem. Podziwiał jej śmiałość od chwili, gdy w tej kajucie odważyła się wyzwąć go na słowny pojedynek, w którym stawką było jej ciało i jego dusza.

Kiedy podszedł do niej, obojętny i obcy, zeszyt wysliznął się z jej zeszytniały eh palców i upadł na podłogę. Nie drgnęła. Musi pokazać, że jest dla niego równym przeciwnikiem. Spojrzała na jego wylaniającą się z mroku twarz i westchnęła. W uwodzicielskich rysach dostrzegła nieodparty, demoniczny urok. Jego oczy, pozbawione śladu współczucia, patrzyły na nią pożądliwie. Wziął w dłoń jej twarz. Zadrzała pod jego czułym dotykiem.

- Jeden okrzyk, a cała załoga przybiegnie tu bronić twojej cnoty. Zadowolona?
- Jeszcze nie tak dawno temu jeden okrzyk wystarczył, byś ty przybiegł bronić mojej cnoty.

Wybaczenie za grzech, którego nie popełnił, przyszło zbyt późno. Jego kciuki lekko naciskały jej usta. Czowała, że przypominanie mu tych dni, kiedy odgrywał rolę jej chłopca na posyłki, może się źle skończyć.

- Zdaje się, że admirał przestał się interesować twoim losem.

Tego się spodziewała. Pokiwała głową; tym razem zdrada admirała nie bolała tak jak dawniej. Przez chwilę czuła klucie w sercu, żal, że zmarnowała życie na marzenia, które nigdy się nie spełnią. Przez dziewiętnaście lat była więźniem, tak jak Gerard, więźniem kaprysów, próżności, egoizmu admirała. Nadszedł kres poświęceń. Od tej chwili będzie żyła

tylko dla siebie. Odrzuciła w tył głowę, śmiało patrząc Gerardowi w oczy.

- Kapitanie, czy przyszedł pan mnie zniesławić?

Wypuścił ją z uścisku. Wykorzystała jego zaskoczenie i odsunęła się o krok.

- Jeszcze nigdy nie robiłam tego z żadnym piratem. Czy mam upaść na kolana i błagać o litość?

Wbił wzrok w jej wilgotne wargi. Zaróżowiły się pod jego dotykiem.

- Całkiem niezła myśl... jak na początek.

Lucy przyłożyła dłoń do czoła.

- A może raczej osunę się zemdlona na łóżko? - rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. -

Oczywiście, oprzytomnieję, gdy będzie już po wszystkim.

W zamyśleniu pokiwał głową.

- Znakomity pomysł, choć wolałbym, żebyś oprzytomniała w trakcie.

Słyszając jego zmysłowy głos, poczuła, że robi jej się gorąco. Krew zaczęła szybciej krążyć, dodając jej siły. Zdecydowanym krokiem podeszła do niego i zamachnęła się, by wymierzyć mu policzek. Chwycił jej rękę, tak jak się tego spodziewała. Jego uścisk był zdecydowany, choć nie brutalny.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Mam nadzieję, że cię nie obraziłam. Myślałam, że spodoba ci się popis brawury.

Miałbyś okazję do zaprezentowania swej wyższości i władzy.

Triumfowała, widząc wściekłość w jego oczach. Przyciągnął ją do siebie i ścisnął w pasie.

- Kobieto, o co ci chodzi, do cholery? Chcesz mnie sprowokować do morderstwa.

Lucy potrząsnęła głową.

- Nie muszę prowokować, sir. Przecież to pan jest zmorą całego Morza Północnego, wrogiem wszystkiego, co dobre i szlachetne. Na sam dźwięk pańskiego nazwiska najdzielniejszych marynarzy oblatuje strach, a dziewice umierają z przerażenia. Chcę tylko, aby pan udowodnił, że to, co mówią, to prawda. Kapitanie, niech pan pokaże, jakim jest potworem.

Jej szydercze słowa nie korespondowały z potulną postawą. Zamiast wrywać się z jego uścisku, ona przylgnęła do jego twardego ciała niczym kotka, która ma ochotę na pieszczoty. Jej miękkie piersi delikatnie ocierały się o jego muskularny tors. Poruszała biodrami, próbując wcisnąć się w jego biodra, jak gdyby szukała dowodu jego władzy i pożądania.

Oskarżała go o hazard, a sama podjęła właśnie najniebezpieczniejszą grę, w której

stawką było jej życie. Odchyliła głowę i przysuwając usta do jego ust, wyszeptała:

- Niech pan będzie bezwzględny, kapitanie Doom.

Zareagował inaczej, niż się spodziewała. W orzechowych oczach zapłonęła zazdrość. Lucy przestraszyła się. Czyżby wymawiając to nazwisko, niechcący wezwała jakieś niebezpieczne monstrum? Wbił palce w jej plecy.

- Czy tego chcesz. Lucy? Twojego ukochanego ducha? Kapitana Dooma?

Potrząsnęła bezbronną głową i wyciągnęła rękę, by dotknąć jego zarośniętego policzka. Powstrzymał jej wyciągniętą dłoń.

- Z kim chcesz się kochać. Lucy? Ze mną czy z Doomem? Jej głos drżał.

- Z tobą.

- A kim jestem? - wyszeptał z powagą, jak gdyby od jej odpowiedzi zależało jego istnienie.

Patrzyła na jego twarz, na której malowała się czułość i okrucieństwo, cynizm i nadzieja, nienawiść i miłość. Może się nazywać jak chce, ale dla niej już na zawsze pozostanie tym jednym, jedynym. Mężczyzną, którego pokochała za siłę i słabość jego charakteru.

Jej palce zacisnęły się na jego dłoni. Zwolnił uścisk. Podniosła ich splecione ręce i pogładziła go po brodzie.

- Gerardem - wyznała, po czym westchnęła z czułością, która wymazała zło, jakie sobie wyrządzili. - Och, Gerard...

Oszłomiła go jej delikatność, miłość, z jaką zaakceptowała go takim, jakim był. Poczuł, że odzyskał coś, co utracił dawno temu, siedząc w ciemnym ponurym więzieniu. Nie imię. Nie dumę ani wolność. Kiedyś powiedziała mu, że dusza jest nieśmiertelna, ale on w to nie wierzył. Aż do teraz.

Obrócił jej dłoń i zaczął całować każdą kostkę. Jego oczy zasłyły mgłą, kiedy pochylił się, by dotknąć jej ust. Zamiast potępienia, którego szukał, odnalazł zbawienie.

Kiedy jego usta dotknęły jej ust, Lucy od razu zrozumiała, czego brakowało pocałunkowi Kevina. Delikatności. Namiętności. Pożądania, które sprawiało, że silne ciało Gerarda drżało. Przypomniała sobie, jaką czułość okazał jej w domku przy furcie, nie żądając niczego w zamian.

Oplotła ręce wokół jego bioder i wtuliła twarz w jego koszulę.

- Nie musisz... mnie uwodzić. Wiem, że czekałeś na to przez sześć lat.

Spojrzał w jej szczerze oczy.

- Czekałem trzydzieści jeden lat. Lucy. Czekałem na ciebie.

Na ciebie, powtórzyła w duchu. Nie na jakąś piękność, która z pewnością potrafiłaby wynagrodzić mu jego celibat, ale na nią, nieśmiałą, wystraszoną, niedoświadczoną Lucy. Jego wyznanie dodało jej pewności siebie. Nagle jej serce zaczęło wygrywać melodię wiedeńskiego walca.

- Jesteś pewien?

Rozbroił ją uśmiechem.

- Czekałem sześć lat. Niech mnie diabli, jeśli teraz będę się spieszył.

Na potwierdzenie swoich słów, wypuścił ją z objęć i oddalił się, by zapalić światło. Obserwując jego kocie ruchy, poczuła, jak jej gardło ścisną tęsknota.

Tym razem nie kierował nim strach przed ciemnością, ale świadomość czekającej go nagrody. Chciał widzieć każde zagłębienie i krągłość, każdą linię jej pięknego ciała. Chciał patrzeć na jej twarz, kiedy w chwili ekstazy będzie wołać jego imię.

Stała nieruchomo, gdy zaczął ją rozbierać. Bała się drgnąć, by nie spłoszyć jego czarodziejskich dłoni. Jego ciepłe usta muskały jej skronie, a zręczne palce rozplatały warkocze. Rozpinał guziki koszuli Tama, jak gdyby były to koronkowe troczki jedwabnego stanika.

Jego dłonie zsunęły się niżej, ku bryczesom.

- Wolalem cię w moich spodniach - szepnęła jej do ucha. - Wyobrazałem sobie, że materiał pieści wszystkie te miejsca, których ja nie mogłem. - Prowokacyjnie ścisnął jej pośladek. - Tutaj. - Wsunął dwa palce między jej uda. - I tutaj.

Szorstki materiał zmysłowo łaskotał. Wzdychając, przylgnęła do ciała Gerarda.

Szybko uwolnił ją od ubrania. Chłodne powietrze muskało jej rozgrzaną skórę. Sutki stwardniały, nie mogąc się doczekać pieszczoty jego języka.

Gdy tylko pozbyła się męskiego stroju, Gerard pożałował pochopnej obietnicy. Z trudem wytrzymywał na widok jej różowych piersi, wąskiej talii i delikatnie zaokrąglonych bioder. Kiedy bryczesy Tama spadły na podłogę, Gerard omal nie oszalał. Jego własne spodnie nagle zaczęły sprawiać mu nieznośny ból.

Lucy Snow była blondynką.

Wszędzie.

Nawet w najbardziej wyuzdanych marzeniach nie wyobrażał sobie tak doskonałej kremowej bladości. Chciał zatopić się w jej nieziemskich krągłościach. Wzdychając ciężko, padł na kolana i wtulił twarz w jej piersi.

Wystraszyła ją gwałtowność jego jęku. Położyła dłoń na jego karku i pogładziła zmierzwiłone włosy.

- Nic ci nie jest? Coś cię boli? Czy cię zraniłam?

- Śmiertelnie. - Zadrżała, kiedy poczuła na brzuchu, tuż pod piersiami, jego szorstką brodę. - Chcę umrzeć w twoich ramionach.

Gorące usta odnalazły jej nabrzmiałe piersi. Jak mogła przypuszczać, że ta pieszczota ukoi zmysły? Jego czułe wargi rozpały jeszcze większą żądzę, jej sutki boleśnie domagały się jego dotyku. Między udami czuła języki ognia.

Kiedy zaczął pieścić delikatną skórę pod jej kolanami, oparła się na nim, a po chwili osunęła i usiadła na jego udach. Gerard nie ukrywał radości.

- Na moich niegodnych kolanach usiadła naga, rumiana, przyzwoita panna Lucinda Snow. Czy to Boże Narodzenie?

- Nie zasłużyłeś w tym roku na prezenty. Byłeś bardzo niegrzecznym chłopcem - wymamrotała Lucy, przytulając się do niego, by ukryć swą nagość, lecz nic jej to nie pomogło. Szorstki materiał jego spodni drażnił jej wrażliwą skórę.

- Och, ale ty byłeś w tym roku wyjątkowo grzeczna, prawda? Nie ma sensu, byśmy oboje cierpieli z mojego powodu.

To powiedziawszy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Bez niego zionęło pustką. Z nim stało się zapowiedzią oszalamiającej zmysłowej rozkoszy. Kiedy oboje zanurzyli się w puszystym oceanie pościeli, Lucy zdarła z ramion Gerarda koszulę.

Jej rozchylone usta pieściły jego szyję, bark, zsuwały się niżej, ku bliźnie, którą pozostawiła rana zadana jej ręką.

- Nie - wyszeptał Gerard, podnosząc jej głowę. - Zasłużyłem na coś dużo gorszego. Na szczęście fatalnie wycelowałeś.

- Wycelowałam bezbłędnie - wyznała. - Nie potrafiłabym ugodzić cię w serce.

Położył jej dłoń na ciepłej piersi. Wyczuła bicie jego serca.

- Trafiłabyś w próżnię, bo sama mi je ukradłaś.

Zręczne palce Lucy pospiesznie rozpięły pozostałe guziki. Przyłgął nagim torsem do jej jędrnych piersi, łaskocząc jej sutki delikatnymi włoskami. Lucy westchnęła ochryple.

Gdy ich usta złączyły się w upojnym pocałunku, dłonie Lucy powędrowały w dół płaskiego muskularnego brzucha. Zawahała się, natrafiwszy na brzeg bryczesów. Pewnie uległaby własnej ciekawości, gdyby w panice nie chwycił jej nadgarstków.

- Jeszcze nie teraz, aniele. Lepiej nie sprawdzaj, czy potrafisz się kontrolować.

Gerard nie miał oporów przed sprawdzaniem jej opanowania. Kiedy jego zarost zaczął delikatnie drapać jedwabistą skórę po wewnętrznej stronie ud, była bliska obłędu.

Rozdarta między rozkoszą a przerażeniem, bezradnie mierzwiła jego włosy.

- Proszę, nie. Nie wolno ci tego robić.

Jego ciepłe dłonie czule gładziły jej uda, próbując je rozsunąć.

- Kochanie, muszę to zrobić. Czyż nie prosiłaś, bym był bezwzględny?

Namiętny pocałunek rozpałił jej zmysły. Lucy zapomniała o wstydzie i nieśmiałości. Jego język miał nad nią całkowitą władzę, doprowadził ją do granic rozkoszy. Jęcząc, wyprężyła się błagalnie. W odpowiedzi nagroził ją zręcznym dotykiem palców. Śmiało wsunął je w to wilgotne miejsce, głęboko, tam gdzie nie sięgał jego język.

Ciało Lucy zaczęło się rytmicznie wibrować jak w ekstatycznym delirium. Kiedy w końcu drgawki minęły, Gerard chwycił ją w swe silne ramiona i scałował łązy z zarumienionych policzków.

W jego oczach płonął ogień. Położył ją pod sobą i zsunął z bioder spodnie. Nie pozwolił jej zaspokoić ciekawości. Wziął w dłonie jej twarz i pocałował z taką pasją, że poczuła zbliżające się zaspokojenie.

Gerard obawiał się, że wystarczy jedno jej spojrzenie, by stracił kontrolę nad swoim ciałem. Był zbyt blisko granicy, by składać kolejne obietnice. Nie okłamał jej. To nie był jego pierwszy raz od sześciu lat. Coś takiego zdarzyło mu się pierwszy raz w życiu.

Jej oczy zaszyły mgłą pożądania. Sięgnął niżej, by upewnić się, czy jest dla niego gotowa. Już wystarczająco mocno ją zranił. Nie pozwolił sobie, by jeszcze raz zawieść jej zaufanie. Obawy okazały się bezpodstawne. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie była tak gotowa jak ona. Pożądanie sączyło się słodkim nektarem. Jęknął ocierając się o wnętrze jej ud.

Kiedy poczuła to, czego nie pozwolił jej zobaczyć, otworzyła oczy i spojrzała na niego z przerażeniem, a jednocześnie pragnieniem.

Uśmiechnął się, oczarowany jej niewinnością. Oparł dłonie na łóżku i uniół się nad nią. Próbował, ale nie zdołał oprzeć się pokusie. Musiał zobaczyć, jak powoli i ostrożnie bierze w posiadanie jej wilgotne, płowe łono.

Lucy jęknęła z bólu. Wyczuła jego natychmiastowe wahanie. Wiedziała, że zatrzymał się u wrót raju.

- Już dobrze - uspokoiła go drżącym szeptem. - Naprawdę. To całkiem przyjemne... Podoba mi się...

- Kłamiesz, mała oszustko. Nie lubisz tego. - Patrzył jej w oczy z wyzywającym błyskiem. - Ale polubisz.

Zaskoczył ją, delikatnie się wycofując. Myślała, że poczuje ulgę, tymczasem ogarnęła ją bolesna pustka, którą tak bardzo pragnęła wypełnić. Zaplotła nogi wokół jego bioder, błagając, by wszedł głębiej.

Uśluchał, wrócił, wywołując jej gwałtowny jęk.

- Och, proszę - szepnęła.

- Jak sobie pani życzy. Żyję, by pani służyć. Zadowolili ją kolejnym, jeszcze mocniejszym pchnięciem.

- Lepiej? - zapytał zduszonym szeptem.

Jej rozmarzony uśmiech był dla niego wystarczającą odpowiedzią. Od początku wiedział, że pod maską chłodu drzemie wulkan namiętności. Nie zawiódł się. Wpadli w rytmiczny trans. Lucy całkowicie się przed nim otworzyła. Prowokacyjne ruchy jej bioder sprawiły, że zmienił pierwotny plan, by traktować jej dziewicze ciało z największą czułością i delikatnością.

Odrzucił w tył głowę i wyszeptał przez zaciśnięte zęby:

- Boże, Lucy, czy wiesz, co ze mną robisz?

Czuła, że za jego nieziemską cierpliwością czai się coś jeszcze - gwałtowność, której źródłem na pewno nie była brutalność. Choć początkowo wystraszyła ją intensywność jego emocji, była gotowa dać mu coś więcej niż niewinność. Postanowiła, że za wszelką cenę zaspokoii jego najbardziej nawet egoistyczne pragnienia.

W ciągu ostatnich tygodni poznała go lepiej, niż sobie życzył. Troszczył się o załogę. Opiekował się bratem. Dbał o nią, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Nadszedł czas, by ktoś zatroszczył się o niego.

Objęła dłońmi jego policzki.

- Nie powstrzymuj się. Nie ze mną. Nigdy. Chcę wszystkiego, co możesz mi dać.

Nagle tama pękła, jej czułe zaproszenie uwolniło jego skutą lodem duszę. Uścisk Lucy był mroczny, prymitywny, prawie bestialski. Gerard przestał myśleć, stał się istotą kierującą się wyłącznie instynktem, który ona tak namiętnie zbudziła.

Jego biodra zaczęły się poruszać w rytmicznym tańcu. Lucy zamknęła oczy, gotowa przyjąć wszystko, co zechce jej dać. Zrobił to. I jeszcze więcej. Kiedy myślała, że jej ciało osiągnęło już szczyt rozkoszy, wsunął dłonie pod jej pośladki, podniósł ją i jednym pchnięciem wszedł w nią tak głęboko, że poczuła bicie jego serca. Z jej ust wyrwał się cichy jęk, zapowiadający zbliżającą się rozkosz.

Tak jak przypuszczał, wszystko skończyło się zdecydowanie zbyt szybko. Ich drżące ciała połączyły się w jedno w spazmatycznym uniesieniu. Oddał jej wszystko, a ona przywitała jego prezent ekstatycznym krzykiem.

Wyczerpany, oparł się na łóżku, obok niej.

- Zraniłem cię? - wyszeptał, wtulając twarz w jej jedwabiste włosy.

Objęła go i pogładziła muskularne ramię.

- Śmiertelnie. Chcę umrzeć w twoich ramionach.

Próbowała wysunąć się spod niego i ułożyć w mniej krepującej pozycji, ale Gerard trzymał ją mocno i nie puszczał.

- O, nic z tego. Jeszcze nie skończyłem. - Uśmiechnął się, a na jego chłopięcej twarzy po raz pierwszy nie było śladu cynizmu. - Do diabła. Nawet jeszcze dobrze nie zacząłem.

Pochylił się nad nią i pocałował z czułością. Lucy westchnęła, oczarowana jego nieprzerwaną obecnością.

Jego rozpalone wargi pieściły płatek jej ucha.

- Słyszałeś, Gerard? Zagrzało.

- Bzdura - szepnął, nie odrywając się od niej. - To moje serce tak mocno bije.

Lucy ciężko westchnęła, kiedy wsunął język do jej ucha. Gdy zamykała oczy, wydało jej się, że pod powiekami eksploduje światło.

- Och, to chyba pioruny.

- Pochlebiasz mi, najdroższa. Może sprawdzimy, czy potrafię przywołać trąby anielskie?

Pewnie by mu się udało, gdyby nie nagły rozdzierający niebo huk, który wstrząsnął całym okrętem, zrzucając ich na podłogę razem z pościelą.

- A to skurwysyn! - Gerard poderwał się na równe nogi, pospiesznie naciągnął spodnie i podbiegł do okna.

Następny wystrzał był celniejszy. Ułamek sekundy później wszystkie działa „Argonauty” plunęły w ich kierunku pomarańczowym ogniem. Gerard chwycił się ściany, ratując się przed upadkiem, kiedy „Retribution” przechylił się na prawą burtę.

- Co za łajdak! - wybuchnął. - Ten bydlak strzela do własnej córki! Co to za ojciec?

Jego uwagę przykuł dźwięk, którego nie spodziewał się usłyszeć. Odwrócił się, nie wierząc własnym uszom. Lucy, zasłaniając dłonią usta, chichotała, jak gdyby postradała zmysły. W zmierzwionych włosach i z rumieńcami na policzkach wyglądała jak anioł. Czyżby miała sprawdzić się jej przepowiednia o śmierci w jego ramionach?

- Wybacz - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. - Nie wiem, co mnie napadło. Zazwyczaj się tak nie zachowuję.

Strach przed tym, że ją utraci, odbierał mu rozsądek. Upadł na kolana i wziął ją w ramiona.

- Nie rozumiesz? Ten żaloszny skurwysyn, ten... - Zacisnął zęby, próbując opanować

ogarniającą go panikę. - Twój ojciec do nas strzela.

Ze zdumieniem patrzył, jak odchyła w tył głowę i zanosi się śmiechem.

- Chodzi o to, że ten „żałosny skurwysyn” nie jest moim ojcem!

28

Lucy wyobrażała sobie, jak Gerard zareaguje na tę nowinę, ale on i tak ją zaskoczył. W zdumieniu graniczącym z szokiem usiadł na piętach i patrzył na nią w milczeniu.

Choć było już za późno na skromność, naciągnęła na plecy kołdrę i otarła łzę z policzka. Ledwo skończyli się kochać pierwszy raz w życiu, a już ich zaatakowano. Dzwoniąc zębami, zmusiła się do uśmiechu.

- Mamy z Kevinem więcej wspólnego, niż myślałam. Oboje jesteśmy bękartami.
- Skąd wiesz?
- Przeczytałam pamiętnik mojej matki - powiedziała, pociągając nosem.

-Najstraszniejsze jest to, że ona kochała admirała tak samo jak ja. W końcu jednak pogodziła się z tym, że on już nigdy do niej nie wróci. Była jego przelotną miłością, chwilową słabostką, kolejnym zwycięstwem nad Francją. Kiedy to zrozumiała, znalazła sobie innego mężczyznę. Powinniśmy to uczcić. Nie jestem córką twojego wroga - pod maską wesołości próbowała ukryć ból, jaki sprawiły jej te słowa. - Nie jestem niczyją córką.

Myślała, że poznała już granice jego delikatności, ale kiedy Gerard z czułością pogładził jej twarz, wydało jej się, że jego kochające palce potrafią uśmierzać cierpienie.

Kolejna salwa wstrząsnęła statkiem. W jego oczach dostrzegła przerażenie.

- Boże, co ja narobiłem?

Pospiesznie włożył koszulę i nie oglądając się na drżącą Lucy, wybiegł z kajuty.

Zmarznięta Lucy okręciła się szczerzej kołdrą i podeszła do okna. Spowity w zasłonę dymną „Argonauta” posłał w ich kierunku następną serię. Zastanawiała się, czy admirał, wykrzykując rozkazy, przechadza się po idealnie wyszorowanym pokładzie. Rozkazy, które mają zniszczyć „Retribution” i kobietę, której dał swoje nazwisko i wychował jak córkę.

Gniew sprawił, że jej krew zaczęła szybciej krążyć. Całe życie wierzyła, że jeśli będzie dobrą córką, ojciec w końcu ją pokocha. Teraz, kiedy dzięki Gerardowi skosztowała

smaku prawdziwej miłości, zrozumiała, że admirał był zwyczajnym tyranem, kochającym tylko siebie.

Dym opadał. Zmrużyła oczy, obserwując wyłaniającą się sylwetkę „Argonauty”. Tonący w świetle księżyca okręt stał nieruchomo, przygotowując się do zadania śmiertelnego ciosu. Na morzu zapanowała nerwowa cisza.

W głowie Lucy zrodziło się straszliwe podejrzenie.

- Nie - szepnęła, po czym dodała głośniejszym głosem: - Nie!

Odrzuciła koldrę i szybko włożyła koszulę Tama. Nie tracąc czasu na wciąganie jej do spodni, rzuciła się ku drzwiom, modląc się, by nie było za późno.

Tym razem kołysanie „Retribution” nie uspokoiło jej zdenerwowania. Na statku panowała ciemność, paliły się tylko nieliczne lampy. Biegła na ślepo. Miłość, jaką darzyła kapitana, wskazywała jej drogę.

Bezbłędnie odnalazła lustro, za którym znajdowało się tajne przejście. Nacisnęła, ale nie ustąpiło. Ukryte drzwi musiały się zatrzasnąć, kiedy w okręt trafiła jedna z kul „Argonauty”. Oparła czoło o chłodne szkło, próbując opanować cisnące się do oczu łzy. Odgarnęła z twarzy włosy, rozejrzała się wokół siebie i zauważyła drewnianą belkę, na tyle lekką, by mogła ją podnieść. Nie namyślając się zbyt długo, wzięła zamach i roztrzaskała lustro na tysiąc kawałków.

Odgarnęła na bok odłamki i wspięła się po drabinie. Kiedy podniosła klapę, blokującą wyjście na pokład, otoczyły ją kłębu dymu. Zakrztusiła się.

Bliska omdlenia, zaczęła kaszleć i machać rękoma, by rozwiać dym. Po chwili oczy przestały łzawić i przywykły do pieczenia. Lucy zauważyła przed sobą dymiące strzepy żagli.

Za późno.

Na najwyższym maszcie, na tle księżyca powiewała biała flaga. Załoga nie protestowała, kiedy Gerard wydał rozkaz, by się poddać. Stali w milczeniu i kiwali smutno głowami.

Lucy wyszła na pokład. Przechodząc między nimi, czuła się jak widmo. Choć wiedziała, że po spotkaniu z Gerardem wyglądała niezbyt przyzwoicie, a na jej ciele ciągle widać było ślady jego miłości, czuła, że przed załogą nie musi niczego udawać. Marynarze akceptowali ją, nie osądzając, kochali, nie stawiając warunków. Byli ludźmi szlachetnego

serca.

Zatrzymała się przed Gerardem.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała drżącym głosem. - Słyszysz? Nie pozwalam ci tego zrobić!

Patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, jak gdyby oślepl i ogłuchł pod ciężarem dramatycznego wyboru. Lucy, widząc, że nic tu nie wskóra, zwróciła się do Tama.

- Tam, nie pozwól mu. Zabraniam!

Blady Irlandczyk odwrócił wzrok i zapatrzył się na horyzont. W drżących palcach przesuwał paciorki różańca.

Lucy podbiegła do Pudge'a. Serce zabolalo ją, kiedy zauważyła pęknięcie na prawym szkle jego okularów. Poczula, ze to największa zniewaga ze wszystkich.

- Błagam, Pudge, porozmawiaj z nim. Powiedz mu, że robi bład. - Pudge tylko smutno potrząsnął głową. - Po to uciekleś? Żeby twoja podła żona mogła zobaczyć, jak zawisniesz w Newgate?

Wytarla rękawem lzy i podeszła do Apolla. Z brzydkiej rany na skroni sączyła się strużka krwi. Lucy ścisnęła go za ramię.

- Och, Apollo, mój drogi Apollo, jeśli ktokolwiek może go powstrzymać, to ty! Mój ojciec nie dopuści do procesu. Od razu go zabije. Jeszcze dziś. A wy wszyscy skończycie w więzieniu albo na szubienicy. Tego chcesz? Spędzić resztę życia zakuty w łańcuchy?

Apollo stał nieporuszony jak hebanowy posąg. Lucy dostrzegła postać opierającą się leniwie o reling. Pobiegła w jego kierunku.

- Kevin! To twój brat! - wołała, bliska hysterii. - Przecież potrafisz go przekonać. Nawet jeśli się poddamy, admirał i tak mnie skutecznie uciszy. Wie, że teraz znam jego przeszłość i mogę go zgubić. Zniszczyć jego reputację! - Spod jasnych włosów Kevina po czoło wypłynęła strużka krwi. Lucy wytarla ją drżącymi palcami.

Kevin odepchnął jej rękę i spojrzal na nią chłodnym wzrokiem. Tak bardzo przypominał brata, że aż przeszedł ją dreszcz.

Miotala się po pokładzie, podchodząc po kolei do milczących marynarzy. Jeszcze nic tak dawno temu, stojąc w tym samym miejscu, domagała się, by zdradzili swojego kapitana. Teraz chciała, by uratowali mu życie.

- Nie rozumiecie? On uciszy was wszystkich. Jak myślicie, dlaczego przyplynał sam? Bo, do cholery, nie chce mieć żadnych świadków!

Kiedy już zaczynała tracić nadzieję, poczuła na ramionach czyjeś ciepłe dłonie. Więc jednak ktoś zdecydował się jej pomóc przekonać kapitana! Niestety, głos, który

usłyszała, należał go Gerarda.

- Nie mogę podejmować walki z tobą na pokładzie. W ten sposób przynajmniej ty będziesz miała szansę. Jeśli wysadzi nas w powietrze, zginiesz razem z nami. Ci ludzie sami wybrali takie życie. Wiedzieli, że mogą zginąć. Nawet Digby miał los w swoich rękach.

Ugięły się pod nią kolana. Na szczęście Gerard był tuż obok i podtrzymał ją przed upadkiem.

Jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach. Przyciągnął ją do siebie, by zasłonić przed wiatrem.

- Lucy, ty jesteś inna. To ja zabrałem cię z twojego bezpiecznego uporządkowanego świata i siłą sprowadziłem na mój okręt. Nie miałaś wyboru.

Lucy wyrwała się z jego objęć, i spojrzała mu w oczy. Determinacja pomogła jej opanować histerię.

- Teraz wybieram - powiedziała zdecydowanym, prawie spokojnym głosem. - Nie rób tego. Nie jestem tego warta.

Gerard odrzucił w tył głowę i roześmiał się nerwowo. W jego oczach dostrzegła uwielbienie.

- Boże, Lucy, jesteś tego warta! Jesteś aniołem.

W jej sercu zapłonęła iskierka nadziei. Złapała go za koszulę i potrząsnęła nim.

- A więc nie pozwól mu wygrać! - zawołała z przekonaniem. - Walcz! Walcz o mnie!

29

Gerard spojrział na jej małe piąstki, zaciśnięte na jego koszuli. Lucy nie była już maskotką admirała. Postanowiła walczyć o swoje marzenia. Wybrała jego nad mężczyznę, z którym spędziła całe życie i którego uważała za ojca. Jego wróg stał się jej wrogiem?

Udowodniła, że potrafi błagać, walczyć o niego. Była gotowa za niego umrzeć. Czyż mógłby nie ofiarować jej teraz tego samego?

Podniósł głowę. Widząc znajomy błysk w jego oczach, marynarze popatrzyli po sobie z nadzieją.

- Panowie, co wy na to? - zapytał Gerard. - Czy pozwolimy, by ta pani nazywała nas bandą tchórzy?

Załoga zaprotestowała.

- Za nic na świecie, kapitanie! - krzyknął Tam, uśmiechając się od ucha do ucha.

Lucy, piszcząc radośnie, rzuciła się Gerardowi na szyję. Podniósł ją i obrócił w powietrzu.

- Czy mam ściągnąć flagę, sir? - zapytał Pudge, salutując.

Gerard spojrział w górę, na łopoczący na wietrze symbol ich kapitulacji. Jego usta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Nie... Jeszcze nie.

- Panie Claremont! Jak pan może? - zapytała z oburzeniem.

- Jestem piratem, pamiętaj o tym. Nie gram uczciwie.

- On także.

Jego uśmiech powoli zniknął, kiedy uświadomił sobie, co ryzykuje. Oto stawia na szali swój okręt, życie oddanych mu ludzi, subtelną nić uczucia, które go z nią połączyło. Kiedy pochylił się, by ją pocałować, wszyscy marynarze natychmiast znaleźli sobie jakieś pożyteczne zajęcia i z entuzjazmem zaczęli przygotowywać się do bitwy.

Z trudem oderwał się od jej ust.

- Zejdiesz pod pokład i tam zostaniesz. Pod żadnym pozorem nie wychodź na górę.

- Kapitanie, czy to rozkaz?

- Do diabła, jak najbardziej. Spodziewam się bezwarunkowego posłuszeństwa.

Lucy zrobiła krok w tył i zsalutowała tak, że Smythe byłby z niej dumny.

- Tak jest, sir. To cel mojego życia.

Widząc jego zadowolenie, rzuciła mu się w ramiona, by uścisnąć go na pożegnanie. Gerard pocałował ją tak namiętnie, jak gdyby czuł, że to doda mu sił do walki z admirałem. Przytulił ją i czule pogłaskał po plecach.

Kiedy odeszła i zgodnie z jego rozkazem udała się pod pokład, poczuł rozdzierającą pustkę.

Dotarła pod pokład, gdzie natknęła się na kanonierów przygotowujących się do bitwy i pięciu młodziutkich pomocników sprzecających się o to, który z nich powinien zająć miejsce zmarłego dowódcy.

- Nie ma nawet osiemnastu lat - dowodził jasnowłosy młodzieniec, ze śladami po ospie na twarzy. - Do tej roboty potrzeba prawdziwego mężczyzny, a nie takiego żółtodzioba – mówiąc to, wskazywał palcem chudego kolegę.

Jego towarzysz nie poddał się tak łatwo.

- Może i jesteś starszy, ale to ja pierwszy się zaciągnąłem do służby u kapitana. Jestem na tym okręcie od pierwszego rejsu.

Przyjacielska sprzeczka szybko zamieniła się w poważną awanturę, podczas której wszyscy wykrzykiwali coś na temat męskości, stanu cywilnego i zawodu swoich szanownych matek, co oczywiście nie miało najmniejszego sensu, jako że większość z nich była od urodzenia sierotami.

- Panowie! - zdecydowany głos Lucy uciął ich dyskusję. - Nie mamy zbyt dużo czasu. Czy te kłótnie są konieczne?

Spojrzeli na nią ze strachem w oczach, wiedząc, że kobieta kapitana, choć subtelnej budowy, zawsze postawi na swoim.

Lucy odezwała się łagodnie, tonem, jakim zwracała się do młodszych braci Sylvie, kiedy chciała, by przynieśli jej szal lub szklanekę lemoniady.

- Jestem przekonana, że pan Digby szybko załagodziłby wasz spór.

Zerknęli po sobie niepewnie. „Pan” Digby w życiu niczego nie załagodził.

- No, dobrze - westchnęła, wskazując na młodzieńca, który jako jedyny nie odgrażał się użyciem przemocy. - Sir, mianuję pana kanonierem.

Podczas gdy pozostali mamrotali coś z niezadowoleniem, nowo mianowany kanonier drapał się po jasnej głowie.

- No tak, ale teraz brakuje nam pomocnika. Kto będzie podawał proch?

Lucy zerknęła na żelazne kule wielkości smoczych jaj, poukładane na stosie w odległym kącie prochowni, i uśmiechnęła się blado.

Jeremiah Digby może i pogardzał światem, ale swoje ukochane działa otaczał szczególną troską. W wypucowanych mahoniowych lufach odbijały się promienie księżyca, wpadające do prochowni przez niewielkie okienka. Lucy na tyle poznała subtelności zawodu pirata, by wiedzieć, że jest mało prawdopodobne, by kapitan kazał strzelać. Los musiałby im wyjątkowo nie sprzyjać.

Patrząc, jak majestatyczny „Argonauta” sunie w ich kierunku po atramentowych falach, nie mogła sobie wyobrazić bardziej niesprzyjających okoliczności.

- Jasna cholera, na co on jeszcze czeka? - niecierpliwił się jeden z kanonierów. - Na zaproszenie?

Lucy nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie, bo paniczny strach ścisnął jej gardło.

Żołądek skurczył się boleśnie, kiedy wrogi okręt wojenny urósł na jej oczach do monstualnych rozmiarów, przesłaniając horyzont i niebo. Na pokładzie nagle zapanowała ciemność. Lamy, zamiast rozjaśniać mrok, rzucały przeraźliwe cienie.

- Zróbcie coś - szepnęła.

Nagle, jak gdyby spełniając jej lekkomyślną prośbę, szkuner przechylił się na burzę, sprawiając, że wszystkie działa obróciły się wokół własnej osi. Kanonierzy, jak na komendę, złapali się uchwytów w ścianie, by nie stoczyć się razem z działami. Lucy, próbując zachować równowagę, upadła na kolana.

Wyglądało na to, że Gerard rozwinął wszystkie żagle i pełną parą ruszył na spotkanie z „Argonautą”.

- Chryste, kapitan zwariował - jęknął wystraszony chłopiec, wyglądający raczej na piętnaście niż, jak twierdził, siedemnaście lat.

Lucy oburącz trzymała się najbliższego działa. Nie zamknęła oczu, bo chciała być świadkiem zbliżającej się tragedii. Ogarnęło ją niezrozumiałe dla niej samej radosne podniecenie. Gerard zginie, ale przynajmniej do końca będzie panem własnego losu, będzie walczył, nie podda się. Oczy zaszyły jej łzami. Była z niego dumna.

Coraz szybciej zmniejszał się dystans dzielący ich od masywnego okrętu wojennego. Byli już tak blisko, że Lucy widziała maleńkie postaci w panice miotające się po pokładzie. Za późno. „Argonauta” nie zdąży już podjąć negocjacji ani się wycofać. Był zbyt ciężki i miał zbyt skomplikowany system ożaglowania, by wykonać taki manewr. To koniec.

Lucy nie doceniła „Retribution”. Na ułamek sekundy przed czołowym zderzeniem, kiedy do gardła podchodził jej paniczny krzyk, lekki, zgrabny szkuner przechylił się na burtę i zwinnie przemknął obok „Argonauty”, zahaczając przy tym o jego kadłub. Hałas był tak nieznośny, że Lucy zatkała uszy. Sprytny manewr udał się, choć nie obyło się bez strat. Złamał się jeden z masztów i z hukiem runął na pokład.

- Ognia!

Lucy spojrzała na twarze towarzyszy, zastanawiając się, czy i ona ma tak komiczną minę. Z zamyślenia wyrwał ją oślepiający błysk i wystrzał z działa. Plan Gerarda był genialny, ale i niebezpieczny. Podpływając dokładnie pod prochownię „Argonauty”, pozbawił okręt możliwości strzelania. Duma królewskiej floty była bezbronna jak kociak bez pazurów. Strzelając z tak bliskiej odległości, Gerard sporo ryzykował, ale wszyscy wiedzieli, że nim podjął decyzję, dokładnie przemyślał wszystkie za i przeciw.

Staliby tak przez całą wieczność, gdyby nagle nie wypaliło pokładowe działo.

- Halooo! Spicie tam na dole, czy co? - zadudnił znajomy głos.

Kanonierzy i ich pomocnicy uwijali się jak w ukropie, szykując się do równoczesnego odpalenia wszystkich dział.

- To za Digby'ego, ty cholerny łajdaku! - krzyknął jeden z marynarzy, przystawiając do lontu płonąca zapalkę.

Lucy pomyślała, że pan Digby byłby zachwycony, słysząc, że armaty ryczą na jego część.

Szybko wczuła się w rytm potyczki: najpierw zapach prochu, potem ogłuszający huk dział, a na końcu wstrząs protestującego szkunera. Lucy przestała już liczyć, ile razy wystrzały armatnie rzucały nią to w przód, to w tył.

Ramiona rozboleły ją od ciężaru żelaznych kul i beczek z prochem. Dym szczypał w

oczy, proch brudził ręce i ubranie, a żar parzył palce, ale nie ustawała. Tyle lat zmarnowała na biernym czekaniu po to, by teraz odkryć coś, o co warto walczyć.

Niczym Dawid, miotający w Goliata z procy, „Retribution” nie przestawał zasypywać kadłuba „Argonauty” gradem kul. Lucy dźwigała właśnie w stronę działa kolejną beczkę prochu, kiedy jeden z kanonierów złapał ją za ramię.

Jego usta poruszały się, ale Lucy nie mogła zrozumieć, co chce powiedzieć. Widząc jej rozterkę, kanonier wyjął z zaciśniętych dłoni beczkę i podprowadził ją do okienka.

„Argonauta” wycofywał się, nawet raz do nich nie wystrzeliwszy.

Kanonierzy i pomocnicy zaczęli podskakiwać radośnie wokół swoich dział, poklepując się po plecach i gratulując sobie zwycięstwa. Lucy chciała do nich dołączyć, ale nagle okazało się, że z wyczerpania ledwo stoi o własnych siłach. Usiadła na podłodze, ziewnęła, po czym oparła głowę o lufę i w tym samym momencie zasnęła.

Sześć godzin później Gerard znalazł ją dokładnie w tej samej pozycji.

Tyle czasu zajęło mu doprowadzenie zniszczonego okrętu do cichej zatoki przy brzegu Teneryfy. Oddał komendę podoficerowi, a sam postanowił resztką sił dowlec swe umęczone ciało do kajuty, gdzie miała czekać na niego Lucy.

Wyobrażał sobie, jak śpi, nie mogąc się doczekać na jego powrót. Jakież było jego zdziwienie, kiedy po wejściu do kajuty okazało się, że jest pusta. Koce i pościel leżały zwinięte na podłodze, tak jak je zostawili przez bitwę. Szalejąc z niepokoju, przeczesał okręt od dziobu po rufę.

Kiedy w końcu dotarł pod pokład, do prochowni, i znalazł zwinięte w kłębek ciało, serce mu stanęło.

Widząc nagłą błądź kapitańską, jeden z kanonierów podszedł do niego i podał mu butelkę whiskey.

- Zmęczyła się. I miała prawo, sir. Świetnie się spisała. - W zaczerwienionych oczach marynarza widać było szczery podziw. - Może pan być z niej dumny.

Serce Gerarda zaczęło bić trochę szybciej. Do tej pory nie mógł zrozumieć, co się stało. Człowiek, którego Lucy przez dziewiętnaście lat uważała za swojego ojca, próbował ją zamordować, a ona, zamiast wpaść w histerię, włączyła się do walki, i to po stronie Gerarda!

Upadł na kolana i z czułością liczył każdy jej oddech. Odgarnął włosy z umorusanego czoła. Na widok jej niewinnej twarzyczki ogarnęło go wzruszenie i zawstydzenie. Oto, do czego doprowadziła jego egoistyczna żądza zemsty.

To ona nauczyła go radości. Jej duma i dziecięca niewinność rozjaśniły mrok jego duszy. Przypomniała mu, że na tym zepsutym świecie istnieje coś ważniejszego niż wendeta.

A on czym jej odplacił? Odrzuceniem. Zdradą. Porwaniem. Jak mógł wmówić jej, że jest mu potrzebna tylko po to, by rozgrzać jego puste łóżko? Kogo właściwie próbował oszukać, zastanawiał się z rozgoryczeniem.

Dotknął dłonią czubka jej nosa. Poruszyła się lekko. Brudny, wilgotny pokład to nie miejsce dla kogoś takiego jak ona. Lucy pasuje do eleganckich londyńskich salonów. Zamiast strzelać z działa, powinna pić herbatę w towarzystwie bogatych adoratorów. Gerard spojrzał na jej czarne paznokcie i podrapane kostki. Zanim wtargnął w jej życie, te delikatne dłonie kryły się w rękawiczkach. Policzki pokryte były pudrem, nie prochem strzelniczym, a koronkowa parasolka chroniła przed słońcem jej mlecznobiałą skórę.

Dobry Boże, co on najlepszego narobił?

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się na jego widok.

Poczuł tak wielką ulgę i radość, że od razu chciał ją porwać w ramiona. Przytulił ją do piersi.

- Ty cholerna mała wariatko! Dlaczego to zrobiłaś? - Na wpół śpiąca, oparła głowę na jego torsie. Odsunął ją, czekając, aż odzyska całkowitą przytomność. - Kiedy kazałem ci zejść pod pokład, nie miałem na myśli pieprzonej prochni.

Spojrzała na niego.

- Co?

- Nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiesz, o czym mówię.

- O co ci chodzi?

- I przestań na mnie krzyczeć! Jeśli myślisz, że przestraszysz mnie tym swoim władczym tonem, to się grubo mylisz.

Nagle uświadomił sobie, że choć tym razem bardzo niewiele brakowało, by ją utracił, wkrótce i tak do tego dojdzie. Przyciągnął ją do siebie i przytulił jak desperat. Zaczął obsypywać ją pocałunkami, nie zważając na to, że była usmarowana prochem.

Ponieważ nie zrozumiała ani jednego jego słowa, nie przejmowała się jego dziwnym zachowaniem. Jeszcze nigdy nie widziała tak czerwonej twarzy, ale nie dbała o to, dopóki trzymał ją w ramionach i całował.

Wziął ją na ręce i wyniósł na pokład. Wyczerpani marynarze przezornie przestali się uśmiechać i przyglądać się temu przedstawieniu. Gerard nie odrywał ust od Lucy. Całował ją, wchodząc do płytkiej wody.

Nie widząc różowego wschodu słońca i kołysania palm, przeniósł ją na ląd. Zatrzymał się dopiero, kiedy dotarli do przytulnej osłoniętej od wiatru zatoczki.

Postawił ją na ziemi. Oszołomiona Lucy patrzyła na Gerarda, który na przemian

potrząsał nią i całował. Nadal nie rozumiała, co do niej mówi. Wydawało jej się, że w kółko powtarza to samo zdanie.

Pokręciła głową na znak, że nie rozumie, i wtedy nagle odzyskała słuch.

- ...kocham cię, do diabła!

Wzdrygnęła się, słysząc jego krzyk. Dopiero po chwili dotarły do niej jego słowa. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę?

Jej szept natychmiast go uspokoił. Patrzył na nią tak żałośnie, że poczuła absurdalną ochotę, by go przytulić i zapewnić, że to wszystko było tylko złym snem, majakiem człowieka w gorączce.

- Na miłość boską, przestań tak na mnie patrzeć! - krzyknął. - Jesteś wyczerpana. Musisz coś zjeść, napić się, odpocząć. Jeśli nie przestaniesz, będę zmuszony znowu się z tobą kochać.

Kiedy całkowicie odzyskała słuch, usłyszała ciężki oddech Gerarda, łagodny szum morza, a w oddali śpiew egzotycznych ptaków.

- Mam ochotę na coś innego - powiedziała cicho i rozpięła guzik koszuli Tama. - Na kąpiel.

Gerard nie miał nic przeciwko temu. Westchnął, kiedy koszula zsunęła się z jej ramion, ukazując różowe piersi, których bladość kontrastowała teraz z brudnymi plamami na szyi i rękach.

Podszedł do niej, nieprzytomny z pożądania. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale zamiast tego nabrał w dłonie wody i polał jej piersi. Wilgotne sutki zamigotały w promieniach wschodzącego słońca jak diamenty. Pochylił się, by je zlizać. Wplotła palce w jego włosy i odrzuciła w tył głowę, oddając mu we władanie ciało i duszę.

Nie tak dawno temu powiedział jej, że tam, dokąd się udają, noce są ciepłe, ale nie wspomniał nic o porankach. Kiedy jego dłonie pieściły pod wodą najgrzeszniejsze zakamarki jej ciała, krew zawrzała w jej żyłach. Trawiła ją podniecająca gorączka, rozpalająca jej ciało bardziej niż tropikalne słońce. Leniwie zaplotła uda na biodrach Gerarda, zapraszając go do podjęcia gry.

Tym razem postanowił się nie spieszyć. Wykorzysta każdą erotyczną sztuczkę, by przedłużyć rozkosz. Wziął ją na ręce, wyniósł na brzeg i położył na złocistym piasku. Nie odrywając wzroku od jej rozchylonych warg, niecierpliwie zrzucił resztki ubrania.

Zaschło jej w ustach, kiedy ujrzała opalone ciało Gerarda. Gdy kochali się po raz pierwszy, nie pozwolił jej nacieszyć sobą oczu, ale teraz, w promieniach słońca, mogła

podziwiać jego piękne muskularne ciało.

Tym razem to ona westchnęła z zachwytem, kiedy wysliznął się ze spodni. Podziw zamienił się we współczucie, gdy obnażył kostki, wokół których dostrzegła grube blizny. Ich oczy się spotkały - w jej wzroku ciekawość, w jego zawstydzenie, jak gdyby spodziewał się, że go odrzuci. Uświadomiła sobie, że to, co Apollo uważał za powód do dumy, Gerard traktował jako symbol upokorzenia. Choć łańcuchy pękły, nadal prześladowało go ich wspomnienie.

Uklękła przed nim i wilgotnymi włosami otarła piasek z jego blizn. Kiedy skończyła, jej dłonie zaczęły czule gładzić jego łydki, posuwały się coraz wyżej, aż do muskularnych ud. Jego przyspieszony oddech i namiętne westchnienia zachęciły ją do dalszych poszukiwań. Jej dłonie odnalazły twardą, drżącą męskość Gerarda. Lucy dotknęła go czubkiem języka.

Gerard, poruszony niema akceptacją jego niedoskonałości, delikatnie chwycił ją za włosy i odchylił w tył jej głowę. Jej oczy błyszczały, a na prawym policzku pojawił się uwodzicielski dołeczek.

- Panno Snow - wykrztusił. - Jeśli nie powściągnie pani swojego ciekawskiego języka, zabawa skończy się, zanim jeszcze zdąży się zacząć.

Gerard położył ją na piasku i z uwielbieniem patrzył na jej ciało, cierpliwie czekające na jego dotyk. Zaczął bardzo powoli, od kilku nieśmiałych muśnień. Wkrótce roztopiła się i zmysłowo drżąc, błagała, by ją posiadał.

Jęczała pożądliwie, kiedy jego sylwetka zasłoniła słońce. Wypełnił ją jednym mocnym pchnięciem. Nie była przygotowana na tak nagłą rozkosz. Jak gdyby tego było mu mało, wsunął dłoń między jej pulsujące uda i rytmicznie poruszając kciukiem, doprowadził ją do najwyższej ekstazy. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz.

Kiedy w namiętym uniesieniu wykrzyczała jego imię, Gerard dał jej to, o co błagała. Rozkoszne spazmy wstrząsnęły nie tylko jego ciałem, ale i duszą.

Leżeli skąpani w słońcu, wtuleni w siebie, a ich serca powoli powracały do normalnego rytmu.

- Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia - wyszeptała.

- Romantyczne bzdury! Nie znosiłaś mnie. Byłem potwornym gburem.

Pogładziła jego zmierzwione włosy.

- Nadal jesteś. A ja ciągle tak samo cię kocham.

Ścisnął ją w ramionach. Mimo upału, poczuła chłód. Otrząsnęła się ze złych przeczuć. Może w końcu jej cierpliwość zostanie nagrodzona, może i on wyzna jej miłość i obieca dożgonną wierność.

- Boże, umieram z głodu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem coś w ustach. - Gerard usiadł i otrzepał się z piasku.

Lucy zmarszczyła czoło. Czowała się tak, jak gdyby ją porzucił. Gerard, unikając jej wzroku, naciągnął bryczesy. Kiedy zapinała guziki swojej koszuli, stanął po kostki w wódzie, oparł ręce na biodrach i zapatrzył się w dal. Zastanawiała się, czy myśli o zacumowanym za palmami szkunerze.

Ciepły wiatr rozwiewał jej włosy.

- Szkoda, że nie możemy tu zostać na zawsze - westchnęła z rozmarzeniem.

- I pluskać się nago w morzu jak Adam i Ewa? - Początkowo myślała, że podjął jej żart, ale kiedy się odwrócił, w jego oczach nie było rozbawienia. - Nawet tam był wąż.

- Admirał - bardziej stwierdziła, niż zapytała Lucy.

Kiwnął głową.

- Teneryfa nie jest już takim rajem dla piratów, jak sto lat temu. Tylko patrzeć, jak wróci tu uzbrojony po zęby, przyprowdzi więcej okrętów, więcej ludzi. Do tej pory miałem na sumieniu kilka drobnych przewinień, ale zmuszając mnie do ostrzelania okrętu brytyjskiej admiralicji, zapewnił mi dożywotnie więzienie, o ile nie stryczek. Nie ustanie, dopóki nie dopnie swego.

Poderwała się na nogi, widząc rezygnację w jego oczach.

- Ucieknijmy w jakieś bezpieczne miejsce. Jeśli trzeba, to na koniec świata.

Potrząsnął smutno głową.

- Kochanie, już Kolumb udowodnił, że ziemia jest okrągła.

Choćbyś nie wiem jak daleko uciekła, w końcu zawsze trafisz w to samo miejsce.

- Boże - szepnęła. - Chcesz mnie odstawić do domu, prawda?

Jego milczenie było dostatecznie jasną odpowiedzią. Próbowała powstrzymać płacz.

- Świetny pomysł! Odprowadź mnie pod drzwi jego domu. Zastanawiam się, ile czasu upłynie, nim przypadkiem potknę się i spadnę ze schodów lub udławię ością wędzonego śledzia.

- Nie oddam cię ojcu, ale Smythe'owi. On będzie wiedział, jak cię chronić. To człowiek godny zaufania.

Lucy czuła, że już dłużej nie pohamuje łez. Odwróciła się, kiedy poczuła na policzku gorącą strużkę. Nim podniosła głowę, wytarła mokre oczy.

- Dobrze, Gerardzie Claremont, zabierz mnie z powrotem. Nie każdy oficer królewskiej marynarki jest tak skorumpowany jak mój oj... - Słowa ugrzęzły jej w gardle. Zamknęła na chwilę oczy, by zebrać myśli. - Jak Lucien Snow. Między nimi muszą być też uczciwi ludzie. Odnajdę ich i oczyszczę twoje imię. Jeśli będzie trzeba, pójdę do najwyższego

lorda admirała!

Gerard chwycił ją za ramiona. Na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Niczego takiego nie zrobisz! Chyba że chcesz skończyć w Newgate za współudział w spisku przeciwko brytyjskiemu rządowi. Wiesz, co w Newgate robią z kobietami takimi jak ty? A jeśli wcześniej wpadniesz w ręce admirała, już on będzie wiedział, jak cię uciszyć. Sama widziałaś, do czego jest zdolny.

- To co, do stu diabłów, mam robić?! - krzyknęła, wspominając pana Digby'ego i kilka poręcznych zwrotów z jego osobistego słownika. - Mam siedzieć na moim zgrabnym tyłeczku, cerować pończochy i czekać, aż po mnie przyjdiesz?

W tym momencie gniew zniknął z jego twarzy, zmieniając się w żal. Lucy nagle wszystko zrozumiała. Uświadomiła sobie coś tak strasznego, że ugięły się pod nią kolana. Gerard, zamiast podtrzymać ją przed upadkiem, pozwolił jej uklęknąć na piasku i zaczął ją czule głaskać. Czowała jego potworną rozpacz.

Gdyby choć przez jeden ułamek sekundy wierzyła, że jej nie kocha, że po prostu wykorzystał jej ciało, a potem wysadził na nieznanym brzegu, padłaby na kolana i błagała o litość, walczyłaby o przyszłość u jego boku.

Ale ona wiedziała. Gerard Claremont był człowiekiem, który, nie bacząc na koszty, dotrzymywał danego słowa. Jedyne, co jej pozostało, to patrzeć, jak oddala się po piaszczystej plaży.

30

Zimny wiatr ślizgał się po spienionych falach przybrzeżnych północnego Atlantyku. Przedzierał się przez gruby wełniany płaszcz Lucy, ale ona tego nie czuła. Przywykła do chłodu, który wydawał jej się bardziej szczerzy od przytulnego ciepła kajuty.

Zacisnęła pobielające palce na skutym cienką warstwą lodu relingu. Chciała przestać odczuwać ból, ale jak na złość, mimo przeszywającego zimna, jej emocje wrzały. Skurczony żołądek cały czas dokuczał tępym bólem. Od poranka na plaży Teneryfy Lucy nie uroniła ani jednej łzy.

Szarość i ponure wycie wiatru na północnym Atlantyku przynosiły ulgę zmysłom, rozbudzonym słonecznym, bezchmurnym niebem i lazurowym błękitem morza wokół Wysp Kanaryjskich. Lucy całymi godzinami stała przy relingu, obserwując, jak kolejny dzień przechodzi w ponury wieczór.

Gerard uparł się, że powinna wrócić do Londynu, nim admirał zbierze ludzi i wróci, by się zemścić. Pod czujnym okiem kapitana załoga „Retribution” w ciągu trzech dni przysposobiła zniszczony szkuner do rejsu. Marynarze wyciosali i zamontowali nowy maszt, uprzątnęli z pokładu ślady bitwy, pozszywali resztki czarnych żagli. Tu, na tej przyjaznej piratom wyspie, w ciepłej, piaszczystej ziemi pochowali starego kanoniera.

Gerard przez cały czas trzymał się od niej z daleka. Za każdym razem, kiedy przypadkowo spotkali się na pokładzie czy w wąskim korytarzu, grzecznie pytał o jej samopoczucie, po czym pospiesznie się oddalał. Nie patrzył jej w oczy, by nie wyczytała w nich tego, czego nie zdradziły jego usta.

Załoga zaraziła się milczeniem kapitana. Im bliżej kanału, tym marynarze popadali w coraz większą apatię. Tam i Kevin mijali Lucy bez słowa. Apollo, zamiast radosnych wyspiarskich melodii, śpiewał pieśni gospel o domu, do którego nigdy nie wróci. Lucy czuła, że przez jakiś czas będą za nią tęsknić, ale szybko zapomną. Może kapitan kupi im świnkę.

Skapana w świetle księżycy, nadal stała przy relingu, kiedy „Retribution” wpłynął na

wody kanału. Na rozkaz kapitana na statku zgaszono wszystkie lampy.

Senną ciszę na pokładzie mącił ruch na lewej burcie. Lucy, choć próbowała, nie mogła nie zwracać na to uwagi. Zerknęła w tamtą stronę. Apollo i Gerard stali przy burcie, Kevin opierał się o maszt. Na widok szerokich ramion Gerarda, rysujących się na tle czarnego nieba, jej serce mocniej zabiło.

- Kapitanie, niech pan na to spojrzysz - powiedział Apollo, wręczając mu lornetkę.

Lucy nie potrzebowała lornetki, by dostrzec w oddali wyraźne błyski ognia.

- Wygląda na to, że marynarka królewska dostała się pod ostrzał dwóch francuskich okrętów korsarskich - wyjaśnił Apollo, kiedy Gerard przyglądał się zajściu.

- Masz na myśli okręty pirackie - poprawiła go ponuro Lucy, która właśnie do nich podeszła. - Od zawarcia pokoju w Amiens nie toczyliśmy wojny z Francją. Pewnie to żołnierze Napoleona, udający zwyczajnych złodziei.

Gerard milczał.

- Proponuję przyłączyć się do Francuzów – zasugerował Kevin. - Sami powiedzcie, czy marynarka królewska wyświadczyła nam kiedyś jakąś przysługę?

Gerard bez słowa podał lornetkę Lucy. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, jego palce musnęły jej dłoń.

Lucy spojrzała we wskazanym kierunku. Dwa bliźniacze szkunery brutalnie ostrzeliwały bezbronną fregatę. Kiedy kłęby dymu nieco opadły, a mrok rozjaśnił kolejny wystrzał, Lucy jęknęła, bo w tym momencie rozpoznała sylwetkę znajomego okrętu wojennego.

- O co chodzi? - zapytał Gerard.

Opuściła lornetkę i spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

- To „Courageous”, okręt lorda Howella. Objął dowództwo po zwycięstwie w bitwie pod Kopenhagą. Chciał patrolować kanał, by w spokoju pisać wspomnienia i mieć więcej czasu dla dzieci.

Apollo pokiwał głową.

Ogarnęło ją przerażenie. Wyobraziła sobie Sylvie, zarzucającą ręce na szyję ojca, małego Gilligana dosiadającego go jak konika, starszych chłopców obserwujących, jak lord Howell wiąże apaszkę. Teraz, kiedy Lucy sama została bez ojca, strata kogoś tak wspaniałego wydała jej się tragiczną niesprawiedliwością.

- Dzieci... - szepnęła ze smutkiem.

Gerard wyjął lornetkę z jej sparaliżowanych palców.

- Armaty?

Wzruszyła ramionami, nie rozumiejąc, jakie znaczenie dla tonącego okrętu ma miała liczba dział.

- Dwadzieścia? Może dwadzieścia pięć.
- Załoga?
- Około stu ludzi.

Kevin poderwał się, jak gdyby ktoś nadepnął mu na odcisk.

- Ani słowa! Nie widzisz, że tylko popychasz go do szaleństwa? Już wiem, co mu chodzi po głowie! .

Kiedy spojrzała w niespokojne oczy Gerarda, od razu domyśliła się, co chce zrobić. I ile go to może kosztować.

Zacisnęła palce na relingu i zapatrzyła się na bitwę. Było oczywiste, że „Courageous” przegrywa. Lada chwila Francuzi wejdą na pokład, by przed zatonięciem wynieść cenny ładunek.

Każdy jest kowalem własnego losu.

Prześladowały ją te słowa. Może to ostatnia szansa, by Gerard spełnił swe marzenie o służbie u króla. Porzucił je, bo zmusili go do tego zdrajcy, ludzie służący tylko sobie.

Wiedziała, że nie zdoła go nakłonić do zmiany planu. Nawet nie będzie się ponizac i prosić. Skoro stać go na to, by przepłynąć obok tonącego „Courageous”, ignorując rozgrywającą się na pokładzie tragedię, nie jest człowiekiem, którego mogłaby kochać.

Widząc błysk w jej oczach, Kevin zaklął pod nosem. Lucy stanęła na baczność i dumnie zasalutowała.

- Sir, pomocnik kanoniera, Snow, melduje swoją gotowość.

Okręt widmo bezszelestnie wyłonił się z mroku. Żagle groźnie łopotały na wietrze, niczym skrzydła czarnego anioła. Choć noc była bezchmurna, opustoszały pokład spowijała mgła.

Niespodziewane pojawienie się dziwnego okrętu wzbudziło postrach na obu francuskich pokładach. Prerażeni marynarze rzucili się do burt, by dokładniej obejrzyć zjawisko.

Później co bardziej przesądni francuscy żeglarze przysięgali pierwszemu konsulowi, że zaatakował ich nie jeden okręt, ale cała flota z piekła rodem. Czarne fregaty wyłoniły się wprost z piekielnych czeluści, a ich kapitan, szatan, odgrażał się, że odbierze Napoleonowi

władzę nad światem.

Zapomnieli o łupach, czekających na brytyjskim statku, i w panice rzucili się do ucieczki. Sunęli po falach, ale czarna zjawa nie odstępowała, płynąc między nimi. Przerażony francuski kanonier nabił działo, ale nim zdołał wypalić, okręt widmo majestatycznie wysunął się do przodu. Błędna kula armatnia rozbiła burtę siostrzanego okrętu. Kiedy wstrząs złamał maszt, sunące obok siebie okręty z hukiem zderzyły się dziobami.

Nie czekając na ponowne pojawienie się niszczycielskiego widma, poturbowane jednostki, zebrawszy resztkę sił, salwowały się ucieczką ku brzegom Francji.

Tymczasem Brytyjczycy, którzy na pokładzie tonącego „Courageous” zdążyli się już pogodzić z Panem Bogiem, przyjęli pojawienie się widma z mieszanymi uczuciami. Skrzypiący pokład wydawał im się bramą niebios, która właśnie otworzyła się dla grzeszników.

Stojąc po kolana w wodzie, zastanawiali się, czy będzie im dane opowiedzieć wnukom o cudownym pojawianiu się „Retribution”. Co kryje się na jego pokładzie, zbawienie czy potępienie ich dusz?

W odpowiedzi niebios rzuciły im sznurkowy trap. Przerażeni marynarze chwycili go i zaczęli wspinać się, nie dbając już o to, czy przywita ich miłosierny, czy mściwy Bóg.

Nie mogę uwierzyć, że to robisz. Do cholery, rozum ci odjęło? - mruczał z niezadowolaniem Kevin.

- Nie mam wyboru - syknął Gerard, patrząc na przechodzących po trapie marynarzy. Na pokładzie panował już ścisk, a zanosilo się na jeszcze większy. - Po tak spektakularnej akcji ratunkowej nie możemy przecież pozwolić, by zatonęli.

Kevin wzruszył ramionami. Wiedział, że jego brat nie jest aż tak żądnym krwi łotrem, na jakiego pozował. Kevin po prostu się o niego martwił.

Gerard poczuł podobny niepokój, kiedy na pokładzie pojawiła się Lucy. Ruszył w jej kierunku, by osłonić ją przed ciekawskimi spojrzeniami nowych pasażerów, lecz słysząc radosny okrzyk, zatrzymał się w połowie drogi.

- Lucy! Lucy, moje dziecko, to naprawdę ty?

Jak na dowódcę przystało, lord Howell opuścił tonący statek jako ostatni. Czekającemu na ratunek kapitanowi woda sięgała już do ramion. Jego ludzie wciągnęli go na

pokład za epolety. Lord Howell kichnął, po czym wyciągnął rękę i ruszył w stronę Lucy.

Wzdrygnęła się w jego mokrych ramionach. Nawet własnej córki nie witałby z większym entuzjazmem. Czując, że zaraz się rozplacze, Lucy wtuliła się w jego i tak przemokniętą pierś.

- No już, już dobrze, moja kochana Lucy - mruczał, próbując uspokoić jej szloch. - Stań no tu, niech ci się przyjrzę.

Usłuchała. Wycierając nos w rękaw, zrobiła krok w tył. Lord Howell ze zdumieniem spojrzał na jej męski strój, po czym uśmiechnął się promiennie.

- Przynajmniej nic gorszego ci się już nie przydarzy. Twój biedny ojciec omal nie oszalał z niepokoju. Bez pozwolenia Jego Królewskiej Mości zabrał jeden z okrętów i ruszył na ratunek. Na szczęście król sam jest ojcem, więc wybaczył mu ten desperacki krok, kiedy wrócił zrozpaczony po nieudanej próbie odbicia cię z rąk piratów.

Zrozpaczony? Chyba raczej wściekły) i to z zupełnie innego powodu.

Nim zdążyła wymyślić jakąś odpowiedź, coś odwróciło uwagę lorda Howella.

- Claremont? Czy to rzeczywiście pan? Myślałem, że po porwaniu ze wstydu zapadł się pan pod ziemię. Na Boga, nie wiedziałem, że Lucien pana wynajął. Świetna robota. Gratuluję. Jest pan bohaterem.

Lucy powstrzymała oddech. Nie chciała, by ktoś zauważył, jak bardzo się boi. A więc admirał nie zdradził prawdziwej tożsamości ochroniarza. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić, by Gerard wyszedł cało z tej konfrontacji.

Zaschło jej w ustach, kiedy otworzyła oczy i zobaczyła, że Gerard pewnym krokiem podchodzi do lorda Howella.

- Sir, proszę oszczędzić mi swoich pochwał. Gerard Claremont byłby pod wrażeniem, ale zapewniam pana, że kapitana Dooma zupełnie one nie interesują.

Lucy zatkała usta, by powstrzymać okrzyk przerażenia.

- Claremont, czy chce mi pan wmówić, że to pan jest kapitanem Doomem? - Lord Howell nie był zaskoczony, lecz dotknięty.

Do rozmowy dołączył Kevin.

- Bzdury! To oszust. Ja jestem kapitan Doom!

Nawet na niego nie patrząc, Gerard jednym celnym ciosem w szczękę zwałił brata z

nóg.

- Ja jestem Doom, on jest nieprzytomny - powiedział z ponurym uśmiechem.

Westchnął, widząc, że Lucy zamierza włączyć się do dyskusji. Nie chciał uciszać jej w ten sam sposób. Wystarczy, że lord Howell raz spojrzy w jej przerażone oczy, a wszystkich każe zakuć w łańcuchy. Nie czekając, aż gość sam uzna, że to on jest powodem jej zdenerwowania, Gerard chwycił Lucy za rękę, wyciągnął pistolet i przystawił jej do skroni.

- Lepiej bądź przekonująca - mruknął jej do ucha.

Lucy nie musiała niczego udawać. Była autentycznie wściekła. Gerard okazał się takim samym tyranem jak admirał. Podejmował decyzje dotyczące jej przyszłości, nie pytając jej o zdanie.

- Ty idioto, dlaczego się przyznałeś? - syknęła w odpowiedzi, szamocząc się w jego żelaznym uścisku.

- To mądry człowiek - odpowiedział przez zaciśnięte zęby, próbując uwolnić stopę spod jej wwiercającego się obcasa. - Wkrótce sam by się domyślił. Cholera, uspokój się i słuchaj! Nie mamy zbyt dużo czasu. Kiedy dotrzemy do Londynu, od razu idź do Smythe'a.

- A ty do samego Belzebuba! - warknęła Lucy.

Gdyby przez roztargnienie zwróciła się do niego po imieniu, byłby zgubiony. Bojąc się, że może ściągnąć podejrzenia na samą siebie, Gerard odbezpieczył pistolet.

Lucy zeszytniała ze strachu. Zastanawiała się, czy jej obcas doprowadził go do aż takiej wściekłości, że gotów ją zastrzelić na oczach tylu świadków. Uzmysłowiwszy sobie absurdalność własnych podejrzeń, wybuchnęła nerwowym śmiechem.

Zanosilo się na to, że lada chwila na pokładzie zapanuje totalny chaos. Załoga „Courageous”, aby zrekompensować sobie brak broni palnej, która zamokła, wyciągnęła noże. Widząc, że kapitan jest zagrożony, gospodarze zaczęli się denerwować. Apollo w milczeniu podszedł do jednego z chłopców. Wystarczyło, że na niego spojrzał, by tamten schował nóż. Załoga „Retribution” może nie była liczna, ale z pewnością okazała się lepiej wychowana.

Władczy głos Gerarda uspokoił zamieszanie.

- Poddamy się pod jednym warunkiem, lordzie Howell. Książę patrzył z niepokojem na Lucy.

- Jaki to warunek, sir?

- Proszę, by docenił pan poświęcenie, z jakim moja załoga udzieliła pomocy „Courageous” i rozważył możliwość amnestii dla każdego z nich.

Lord Howell pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Zapiszę to w dzienniku pokładowym. A co z tobą, synu? Czy dla siebie o nic nie poprosisz? O łagodniejszy wymiar kary? O szybką i w miarę bezbolesną śmierć?

Gerard czuł, że Lucy drży. Nawet lord Howell nie mógł mu zagwarantować tego, czego potrzebował - czasu. Nie zdąży już zaprowadzić tej kobiety przed ołtarz. Nie przysięgnie jej wierności. Nie zdąży zobaczyć, jak nosi jego dziecko. Nie będzie bawił się z wnukami, a co najgorsze, nie zdąży jej wyjaśnić, że po prostu zmęczyło go to ciągle uciekanie. I że bez niej u boku i tak nie ma dokąd uciekać.

- Powiem panu, czego chcę, sir. Chcę się pozbyć tej małej zepsutej dziwki. - Gerard pchnął Lucy z całej siły, modląc się, by tym razem nic nie stało jej na drodze do normalnego życia. Upadła u stóp lorda Howella. Podniosła się na kolana i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Gerard z trudem zdobył się na uśmiech zadowolenia.

- Nie ma takiego okupu, który wynagrodziłby czas zmarnowany w towarzystwie tej kobiety na moim szkunerze.

Lord Howell położył rękę na ramieniu Lucy.

- Obawiam się, że to już nie jest pański szkuner, sir. Brać go.

Lucy z bólem serca patrzyła, jak załoga „Retribution” dobrowolnie składa broń i pokornie schodzi pod pokład, by poddać się przesłuchaniom. Gerard, podtrzymywany przed dwóch rosłych marynarzy, zniknął w korytarzu.

Lord Howell pochylił się nad Lucy, by pomóc jej wstać.

- Nie martw się, moje dziecko. Ten łajdak wkrótce trafi za kraty. Nawet sobie nie wyobrażam radości, z jaką przywita cię twój ojciec - próbował pocieszyć roztrzęsioną dziewczynę.

Lucy odwdzięczyła mu się wymuszonym uśmiechem.

- Ja także, sir.

Ponad sto lat wcześniej ciało kapitana Williama Kidda, zakonserwowane w smole i zakute w żelazne kajdany, zawisło na haku nad wodami przy Tilbury Point. Ludzie powiadali, że w wietrzne noce ciągle można usłyszeć szcęk łańcuchów, przypominający ucziwym żeglarzom, że ścieżka do piekła wybrukowana jest szlachetnymi intencjami.

Kiedy „Retribution” płynął Tamizą w kierunku Greenwich, na brzeg wyległy tłumy londyńczyków, ciekawe widoku człowieka, który zlekceważył to ostrzeżenie.

Cały Londyn trząsł się od plotek, jakoby piracki szkuner bił na głowę przepychem i dostojenstwem okręty samego króla. Sześć lat temu marynarz, który teraz nazywał się Gerard Claremont, przybywał do Londynu jako bohater narodowy. Miasto, jednakowo kochające grzeszników, jak i świętych, gotowe było przywitać kapitana Dooma z równym entuzjazmem.

Ludzie tłoczyli się wzdłuż brzegu. Biedni, spragnieni romantyzmu i bogaci, tęskniący za niebezpiecznymi przygodami, wszyscy jednakowo nie mogli się doczekać pojawienia się legendarnych piratów. Niektórzy wyglądali przez uchylone okienka luksusowych powozów i zasłaniali delikatne nosy, nieprzywykłe do przykrego zapachu gnijących ryb, spracowanych kupców, prostytutek i handlarzy starociami.

Tuż przed wybiciem południa ktoś zauważył zbliżający się okręt. Tłum zamarł z wrażenia. Nawet reporterzy przestali robić notatki i zapatrzyli się na majestatyczny szkuner piratów. Po chwili podniósł się aplauz. Dziennikarze ze zdwojoną szybkością wrócili do notatek, próbując na gorąco ująć w słowa zapierający dech w piersiach widok.

Podniecenie nie słabło nawet wtedy, gdy okręt zacumował i ustawiono zejście. Marynarze zaczęli w pośpiechu opuszczać pokład, jak gdyby mieli dość swojego towarzystwa. Nawet niezbyt bystry obserwator mógł się domyślić, że w czasie krótkiego wspólnego rejsu nie zawarto nowych przyjaźni.

Piegowaty chłopak z podbitym okiem niespokojnie rozglądał się wokół siebie. Jego tęgi kompan, w czerwonej chustce i rozbitych okularach na nosie, spoglądał na grupkę eleganckich dam, chichoczących pod koronkowymi parasolkami. Ich śmiech urwał się nagle, kiedy na ląd w milczeniu zszedł ciemnoskóry olbrzym.

Zejście opustoszało, ale tłum jeszcze nie zaspokoił swojej ciekawości. Ludzie nadal wyciągali szyje w oczekiwaniu na buntownika, którego czas dobiegał końca. Ich życie znów będzie bezpieczne. I nudne. Żadni sensacji widzowie nie zwrócili uwagi na drobną postać ukrytą pod marynarską peleryną.

W końcu na pokładzie ukazał się mężczyzna prowadzony przez czterech uzbrojonych strażników. Kroczył dumnie, nic sobie nie robiąc z ich obecności. Głowę trzymał wysoko, szedł z godnością i świadomością własnej siły, jak urodzony władca mórz i oceanów.

W pierwszej chwili Gerarda oślepiło światło i ogłuszył niespodziewany ryk tłumu. Lord Howell, obawiając się, że na okręcie może dojść do buntu, przez cały rejs trzymał go skutego pod pokładem. Na widok wiwatujących londyńczyków Gerard poczuł, że odzyskuje otepiałe zmysły.

Pospieszany ostrzem muszkietu, ruszył ku zejściu. Jeden ze strażników rzucił mu

ostrzegawcze spojrzenia, kiedy zauważył, że zbliża się jego brat.

Głos Kevina przedzierał się przez ryk tłumu.

- Słyszysz? A jeszcze nie wiesz, że uratowałeś „Courageous”! Jesteś stworzony do tego, by być bohaterem.

- Robin Hood mój, co? - prychnął ponuro Gerard. - Mają zmienne upodobania. Będą tak samo wrzeszczeć, kiedy zawisnę.

- Ja też powinienem. - Kevin dotknął opuchniętej twarzy. - Złamałeś mi nos.

- Wyjdzie ci to na dobre. Może teraz znajdziesz dziewczynę ładniejszą od ciebie.

- Okłamałem cię, wiesz? Ja byłem kapitanem Doomem. Przez krótkie, upojne dwa miesiące.

Gerard nie chciał przypominać sobie, jak on spędził te upojne miesiące. Dla człowieka, który nie ma przed sobą żadnej przyszłości, rozpamiętywanie przeszłości to strata czasu. Kiedy dochodzili do zejścia, nie wytrzymał.

- Co z Lucy? - szepnął przez zaciśnięte zęby.

W głosie Kevina zabrzmiała nutka udawanej lekkości.

- Trzyma się. Dzielnie próbuje grać rolę, jaką jej wyznaczyłeś, ale coś mi się zdaje, że jest bliska załamania.

- Ojczel!

Poderwali się, słysząc radosny okrzyk. Lucy przebiegła obok nich jak na skrzydłach. Wyciągnęła ręce, jak gdyby chciała objąć cały Londyn. Tłum, zafascynowany przedstawieniem, rozstał się przed nią. Kaptur spadł jej z głowy, kiedy rzuciła się w ramiona dostojnego admirała floty. Tylko najbardziej spostrzegawczy obserwator mógłby zauważyć, jak przez ułamek sekundy zawahał się, nim wyciągnął do niej ręce.

Gerard jeszcze silniej zacisnął zęby, walcząc z ogarniającym go gniewem.

- Całkiem przekonywająca, co? - syknął.

Z zazdrością patrzył, jak siwa głowa ojca pochyla się nad opaloną córką, by zdobyć aplauz oczarowanego tłumu. Admirał nie oparł się pokusie i rzucił Gerardowi zwycięskie spojrzenie.

- Ruszaj, Doom - warknął eskortujący go oficer, klując go przy tym muszkietem w bok. - Masz rendez-vous z katem.

Gerard spojrzał na niego z lodowatym uśmiechem.

- Nie martw się. Beze mnie nie zacznie.

Zanim wszedł do powozu, który miał go zawieźć do ciemnego lochu Newgate,

jeszcze raz spojrzął na Lucy. Chłodny profil dziewczyny pojawił się w oknie karety jej ojca.

Lucy siedziała sztywno naprzeciwko ojca. Żałowała, że nie ma mufki, by ukryć drżenie rąk. Nie mogła przestać wspominać chwil spędzonych w tym samym powozie w towarzystwie jej ochroniarza.

Zerknęła ukradkowo na admirała, przypominając sobie, że ten człowiek nie jest już jej ojcem. Teraz wzbudzał w niej jeszcze większy strach. Jak to możliwe, że przez tyle lat nie dostrzegала rozpuśnego błysku jego oczu, nie słyszała nienawiści w jego głosie?

Chyba nigdy nie przestała go ślepo uwielbiać, a teraz nie wiedziała, czy mu współczuć, czy go nienawidzić.

Admirał z obojętnością patrzył na przesuwany się za oknem krajobraz. Czekał na odpowiedni moment jak orzeł, szykujący się do ataku na bezbronną myszkę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ostre zęby ma jego ofiara. Lucy nauczyła się walczyć! Kiedy admirał to zrozumie, będzie za późno.

Odwrocił twarz w jej stronę,

- Czy dobrze się czujesz, córko?

A więc to tak? Dalej będą odgrywać swoje role? On znowu będzie opiekuńczym ojcem, ona posłuszną córeczką. Czego się po niej spodziewa? Że wróci do pracy nad jego wspomnieniami, jak gdyby nic się nie stało? Uda, że nie próbował z zimną krwią jej zamordować? Próżność tego człowieka była zadziwiająca! Teraz należało obrócić ją na swoją korzyść. Zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, ojczu - odparła, próbując ukryć palące rozgoryczenie. - Nasz oddany pan Claremont okazał się wyjątkowo przebiegły. Wiedział, że za uszkodzony towar nie będzie obiecanej nagrody. Wydaje mi się, że spodobało mu się odgrywanie roli szarmanckiego kawalera. Dla tych, którzy się tacy nie urodzili, musi to być prawdziwe wyzwanie.

Admirał parsknął z dezaprobatą. Lucy już zapomniiała, jak przerażający potrafi być, kiedy jest niezadowolony. Chyba jednak nie był orłem, ale wściekłym bykiem, rozgrzebującym ziemię przed atakiem. Ukryła rozbawienie, kaszląc w dłoń.

Przeszył ją zimnym wzrokiem.

- Mimo tego nalegam, by zbadał cię mój lekarz. Możesz cierpieć na coś, o czym nie wiesz.

Lucy wzdrygnęła się na wspomnienie lodowatych dłoni doktora. Tym razem wynik oględzin może nie być dla niej korzystny. Ciekawe, jak zareagowałby na wiadomość, że nosi

dziecko Gerarda?

- Oczywiście, ojcze, jeśli tego sobie życzysz - odparła, patrząc mu w oczy.

Uspokojony, rozparł się wygodnie na miękkim siedzeniu. Sprężyny zaskrzypiały pod jego ciężarem.

- Czy ten łotr zabawiał cię opowieściami o łajdactwach twojego ojca?

Z pewnością nie spodziewał się, że usłyszy perlisty śmiech Lucy.

- Och, nigdy w życiu nie słyszałam takich bzdur! Królewska nagroda, która rozplynęła się w powietrzu. Ukryte skarby. Szlachetny i niewinny żeglarz niesprawiedliwie osadzony w lochu. Ojcze, myślałam, że jestem bohaterką jednej z tych powieści, przed którymi mnie ostrzegałeś. Brakowało tylko, byś ruszył w morze z przepaską na oku i butelką rumu w ręce. Wyobraź sobie, że nie przedstawił najmniejszego dowodu, a chciał, bym uwierzyła w te szalone historie. Ten człowiek postradał rozum!

Admirał uśmiechnął się do niej. Jeszcze kilka tygodni temu za taki uśmiech była gotowa oddać życie.

- Najwyraźniej zapomniał, z czyją córką ma do czynienia.

Ciekawe z czyją?

Jego oblicze nagle spochmurniało. Lucy przez chwilę obawiała się, że coś zauważył.

- Muszę ci się przyznać, że bardzo niepokoiła mnie pewna kwestia, które wymaga wyjaśnień.

- O co chodzi, ojcze? Twój niepokój napawa mnie głębokim smutkiem.

- Ludzie, którzy dźwigają brzemień władzy, często zmuszani są do olbrzymich poświęceń. W takiej sytuacji znalazłem się u brzegu Teneryfy. - Westchnął ciężko. - Nic mogłem ulec szantażowi. Nie mogłem też wypuścić tego łajdaka z rąk i pozwolić, by nadal uprawiał swój nieczny proceder. Nie miałem wyboru. Musiałem ostrzelać jego szkuner, choć wiedziałem, że jesteś na pokładzie. Mam nadzieję, że mi to kiedyś wybaczysz.

Gdyby nie fakt, że grając w karty z Kevinem, Lucy sporo nauczyła się o strategii blefu, z pewnością by się zdradziła.

- Ojcze, nie muszę ci niczego wybaczać. Nikt lepiej ode mnie nie mógłby zrozumieć, ile poświęciłeś w imię obowiązku. Nic mi się nie stało, tato. Nie mówmy o tym więcej.

Początkowo wydało jej się, że przesadziła. Jeszcze nigdy nie nazwała go tatą.

Ku jej zaskoczeniu, wyciągnął rękę i pogładził jej zaciśniętą dłoń.

- Jesteś dobrą dziewczyną, Lucy. Wspaniałą córką.

Słyszając pochwałę, wygłoszoną zbyt późno i z niewłaściwego powodu, Lucy omal się nie zakrztusiła.

Kiedy brukowanym podjazdem zbliżali się do drzwi Jonii, Lucy przyspieszyła kroku, nie mogąc się już doczekać, by uwolnić się od napięcia. Wzięła admirała pod rękę, by mieć pewność, że przed niego nie wybiegnie. Dziwne, ale odniosła wrażenie, że opiera się na niej, a nie na swojej lasce.

Drzwi wejściowe zaskrzypiały. Przepelnione nadzieją serce Lucy omal nie wyskoczyło z piersi.

Zamarła, kiedy w progu ujrzała postać w satynowej liberii i upudrowanej peruce.

- Dzień dobry, sir - odezwał się łagodnie mężczyzna, w niczym nie przypominający Smythe'a. - A to musi być pańska urocza córka.

Lucy czuła, że ugięły się pod nią kolana.

- Nie rozumiem. Gdzie...? - Nagle domyśliła się odpowiedzi. Po raz pierwszy opuściła ją odwaga.

Admirał pokiwał smutno głową.

- Nie chciałem psuć ci radości, kochanie, ale jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

32

Oddział szpitala dla marynarzy w Greenwich okazał się przestronny i słoneczny. Przez dwa tygodnie, w ciągu których admirał nie spuszczał z niej oka, Lucy wyobrażała sobie najstraszniejsze rzeczy, zwłaszcza po tym, jak Sylvie niezwykle barwnie opisała szpital dla obłąkanych w Moorfields i okropności, jakie się tam dzieją.

- A tak, jesteśmy dumni z naszych chłopców - ogłosiła pani Bedelia Teasley, prowadząc Lucy szerokim korytarzem, po którym snuli się senni mężczyźni. - W tygodniu dajemy im baraninę, w niedzielę wołowinę i ćwiartkę piwa na lepsze trawienie. Kochacie piwo, co, Willie?

Niewidomy marynarz wyszczerzył się w bezzębnym uśmiechu. Zatrzymała się przed ciężkimi drzwiami, by wyłowić z kieszeni fartucha klucz.

- Oczywiście, dla pana Smythe'a mamy wszystko, co najlepsze. Najczystsza pościel, świeże jedzenie, większą dawkę laudanum. - Wsunęła klucz do dziurki i przekreśliła. - Takie było życzenie admirała. Miły człowiek z tego pani ojca.

- Tak, to prawda - odparła Lucy, z niepokojem przełykając ślinę.

Sala była czysta i duża, ściany białe, podłoga dokładnie wyszorowana, w oknach żelazne kraty. Pod ścianą, na wózku inwalidzkim, siedział drobny, pokurczony człowiek z opatrunkiem na głowie.

Lucy, poruszona tym widokiem, zrobiła krok do przodu, by się przywitać.

- Kochanie, może pani nie poznać - wyszeptła z przejęciem pani Teasley. - Całymi godzinami tak siedzi i patrzy nie wiadomo na co. Żle sypia. Mamrocze pod nosem albo wola jakiejś kobiety. Czasami Annę, kiedy indziej Marię. - Potrząsnęła smutno głową. - Mamy tu wielu takich jak on. Zwykle nie doczekują wiosny.

- Czy mogę przez chwilę zostać z nim sama?

Kobieta zerknęła na korytarz.

- Admirał zabrania. Nie pozwala go męczyć. - Mrugnęła porozumiewawczo do

Lucy. - Myślę, że chwila z taką ładną dziewczyną mu nie zaszkodzi.

Pani Teasley oddaliła się, ale Lucy nadal stała nieruchomo w miejscu. Ta dobra kobieta nie mogła wiedzieć, jak bardzo Lucy już mu zaszkodziła. Może to ona podała kulę, która tak go okaleczyła?

Lucy ciężko westchnęła i z opuszczoną głową podeszła do wózka. Nie pamiętała, że Smythe jest tak siwy. Jego zmierzwiłone włosy wystawały spod bandaża. Choć wiedziała, że mu się to nie spodoba, wyciągnęła rękę i nieśmiało go pogłaskała. Miał na sobie jedną ze starych jedwabnych koszul nocnych admirała. Koc na nogach chronił go przez zimnem. Na udach spoczywały bezwładne ręce. Lucy dopiero po chwili odważyła się spojrzeć na jego twarz.

W jego niewidzących oczach była pustka.

- Och, Smythe. - Upadła u jego stóp, przytłoczona poczuciem straty. Odebrano jej nie tylko ukochanego mężczyznę, ale i ostatnią nadzieję. Wzięła jego zimne ręce i dotknęła nimi swojego mokrego od łez policzka.

- Lucy.

Szept był tak cichy, że właściwie nic była pewna, czy to słyszała. Podniosła głowę. Smythe próbował na nią patrzeć. Jego usta smutno drgnęły.

- Wybacz. Lucy. Te wszystkie błędy...

Westchnął. Wystraszyła się, że mógł uznać ją za sen lub zjawę i za chwilę wróci do swojego świata. Smythe nie zamknął oczu. Odwrócił się w stronę okna i zapatrzył na słońce.

„Dla pana Smythe'a wszystko co najlepsze... najczystsza pościel... większą dawkę laudanum... Miły człowiek z tego pani ojca.”

Lucy poderwała się na równe nogi. Drżącymi z pośpiechu dłońmi zdjęła z jego głowy bandaż. Odgarnęła opadające na czoło włosy. Głęboka rana ładnie się goiła. Nie było śladu uszkodzenia czaszki. Położyła rękę na jego czole. Chłodne i suche. Smythe z pewnością nie cierpiał na śmiertelną gorączkę mózgu, którą stwierdził u niego admirał.

Chwyciła go za ramiona i potrząsnęła.

- Smythe! Spójrz na mnie! To ja, Lucy. Jestem tutaj, Smythe. Spójrz na mnie!

Kiedy już myślała, że jej błagania nie odniosą skutku, Smythe podniósł wzrok i poparzył na jej twarz. Nagrodziła go promiennym uśmiechem. Wyciągnął dygoczącą rękę, próbując dotknąć jej policzka.

- Myślałem, że nie żyjesz - wymamrotał. - Myślałem, że cię zabiłem.

- Nie, Smythe. Żyję i mam się dobrze. Posłuchaj. Admirał faszeruje cię narkotykami. Nie chce, byś mu wchodził w drogę, przynajmniej dopóki nie powiesz

Gerarda. Rozumiesz? -Zacisnęła palce na jego koszuli. - Zamknęli go, Smythe. Zakuli w łańcuchy. Powieszę go, jeśli nie udowodnimy, że jest niewinny. Musisz mi pomóc!

Smythe zamknął oczy. Dopiero teraz Lucy zrozumiała, że cierpi nie tylko z powodu ran i laudanum. To jego dusza jest chora. Lucy była przerażona. Nie mogła pogodzić się z tym, że przebyła tak daleką drogę tylko po to, by na końcu przegrać.

Jeśli nie poskutkowało błaganie, spróbuje groźby. Zrobiła surową minę i odezwała się groźnym tonem.

- Nie bądź tchórzem! Wiem, że to ty. Ty go zdradziłeś. To ty byłeś posłańcem od mojego ojca. Wszystko mu odebrałeś. Do cholery, jesteś mu coś winien!

Smythe kręcił głową, próbując uciec przed bolesną prawdą. Lucy musiała się pochylić, by usłyszeć, co mówi.

- ...że wyrzuci cię na ulicę. Byłaś tylko dzieckiem... nie mógł znieść.

Z trudem zachowała spokój.

- Więc wrobiłeś niewinnego człowieka?

Smythe otworzył oczy. Tym razem skupił się na czymś innym niż swój ból.

- To dobry człowiek. Młody. Zdolny. Chce służyć ojczyźnie. Całe życie przed nim.

- Czy dlatego nie wydałeś go, kiedy pojawił się w Jonii?

Smythe pokiwał głową. Obliznął spierzchnięte usta.

- Zawsze wierzyłem, że los daje każdemu drugą szansę. Byłem zmęczony, myślałem, że jest na tyle sprytny, by pokonać admirała. Nie przypuszczałem, że ten człowiek okaże się zdolny do porwania... że cię skrzywdzi...

Lucy uściśnęła jego rękę.

- Nie skrzywdził mnie. Nie potrafił. Chyba nie miał takiego zamiaru. Nie myliłeś się. To uczciwy, szlachetny człowiek. Admirał chce przeciwko niemu zeznawać. Chce go ukarać nie za porwanie, ale za to, co stało się sześć lat temu. Jeśli nie odzyskamy tamtego listu, na pewno go powieszę.

- Nie ma. - Głowa Smythe'a opadła na piersi. - Zniszczony.

Serce Lucy zamarło. Zrozpaczona usiadła na piętach i rozejrzała się wokół siebie błędnym wzrokiem.

Drobnym ciałem Smythe'a wstrząsnął kaszel. Niepokój Lucy zamienił się w szok, kiedy okazało się, że Smythe się śmieje.

- Myślał, że jestem takim durniem i go zniszczę. Ten arogancki bydlak nigdy mnie nie doceniał. Ten list był moim jedynym atutem, na wypadek gdyby znów chciał cię wyrzucić z domu.

Smythe kiwnął palcem, by się zbliżyła. Przysunęła ucho do jego ust. W skupieniu wysłuchała, co miał jej do powiedzenia, po czym uśmiechnęła się na znak, że zrozumiała.

Wyprostowała się. Chciała dać mu w zamian coś równie cennego, ale wiedziała, że to niemożliwe. Z kieszeni płaszcza wydobyła podniszczony zeszyt, który położyła mu na kolanach. Jego ręce zaczęły się trząść, kiedy wyjął pierwszą stronę pamiętnika Annemarie Snow.

Lucy patrzyła mu w oczy, próbując zebrać odwagę i zadać to najważniejsze pytanie.

- Smythe, czy jesteś moim ojcem?

Żal na jego twarzy był tak autentyczny, że domyśliła się odpowiedzi, jeszcze zanim ją usłyszała.

- Na Boga, chciałbym. Byłem przyjacielem i jedynym powiernikiem twojej matki, ale nie kochankiem.

Rozczarowanie ścisnęło jej gardło. .

- A zatem to prawda. Sama nie wiedziała, kto jest moim ojcem.

- Ani o to dbała. - Widząc cierpienie na jej twarzy, Smythe przełknął ślinę, próbując zdobyć się na delikatność. – Zależało jej tylko na tobie. Admirał rzucił ją zaraz po ślubie, a ona bardzo chciała mieć dziecko. Wiedziała, że Lucien nigdy nie da jej rozwodu, ale ze strachu przed skandalem będzie się troszczył o nią i dziecko. Od początku uważałem, że to szalony pomysł.

Smythe wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Nie oceniaj jej zbyt surowo. Kochała cię. Dla ciebie ryzykowała wszystko, nawet życie. Nigdy nie zapomnę radości w jej oczach, kiedy pierwszy raz wzięła cię na ręce.

Lucy pochyliła głowę. Drugi dar, jaki otrzymała dziś od Smythe'a, był bezcenny. Dał jej miłość matki, cudowne, gorące uczucie, które nie podlegało prawom fizyki i przekraczało granice czasu i śmierci.

Rzuciła mu się na szyję. Odwzajemnił jej uścisk. Czują, że z każdą chwilą wracają mu siły.

- Nawet nie wiesz, ile razy chciałem cię wziąć w ramiona. Bałem się, że admirał mnie zwolni. Stałem z boku i patrzyłem, jak próbuje zniszczyć w tobie ducha walki.

Na wspomnienie okrucieństwa admirała Lucy odzyskała poczucie rzeczywistości. Odsunęła głowę i spojrzała mu w oczy. Wydało jej się, że odnalazła w nich ślad dawnego błysku.

- Udawaj, że bierzesz leki, ale ich nie połykaj. Lepiej niech dalej myślą, że twój stan się nie poprawił. Wrócę po ciebie. Obiecuję.

Chwycił jej dłoń.

- Uważaj na siebie, kochanie. On nie umie przegrywać. Lucy spochmurniała.
- A więc mamy ze sobą więcej wspólnego, niż mu się wydaje.

Lucien Snow obudził się z przeraźliwym bólem głowy. Tego dnia Gerard Claremont, alias kapitan Doom, miał stanąć przed sądem, oskarżony o piractwo, porwanie panny Lucindy Snow oraz zdradę Jego Królewskiej Mości.

Nastrój admirała jeszcze się pogorszył, kiedy lokaj, nie dość, że znowu spóźnił się ze śniadaniem, to zaserwował zimne śledzie. Okazało się też, że nie wypolerował medali, które miały zdobić mundur admirała podczas składania zeznań.

Cholerny Smythe, zaklął pod nosem admirała, odsuwając tacę. Przeklęty zdrajca pracował za dziesięciu. Jego nieobecność powodowała dramatyczne zmiany w porządku dnia.

Może gdy Claremont zawiśnie, zaproponuje kamerdynerowi powrót do służby. Do tej pory powinien zmienić się w potulną owieczkę. Trzeba tylko podawać mu odpowiednią dawkę laudanum, by zapewnić sobie jego lojalność. Poza tym będzie się mógł do woli zamartwiać o Lucy. A może podać mu opium?

Pocieszywszy się wizją jasnej i uporządkowanej przyszłości, admirał postanowił ubrać się bez pomocy tego durnia, którego zatrudnił jako kamerdynera. Kiedy był już gotowy, wyjął z szuflady pistolet i przez chwilę układał go w dłoni.

Dziś sprawiedliwość zatriumfuje. Jeśli nie wymierzy jej sąd, on sam to zrobi. Przekupił w tym celu dwóch strażników z Newgate. W razie gdyby orzeczenie sądu go nie zadowoliło, dojdzie do dramatycznej próby ucieczki.

Wsunął pistolet do kabury i zerknął do lustra, by jeszcze raz ucieszyć oczy swoim odbiciem.

Kiedy Claremont uwolni się z łańcuchów i rzuci się do ucieczki, nie będzie miał wyjścia. Będzie musiał go zastrzelić. W końcu, jako bohater, ma jakieś obowiązki wobec ojczyzny.

33

Kevin Claremont okazał się wspaniałym znawcą ludzkiej natury.

Tego dnia wszystkie miejsca na sali sądowej były zajęte, a galerie pękały w szwach. W Old Baily pojawiły się tłumy wielbicieli, wśród których zaskakującą większość stanowiły kobiety. W całym Londynie nie było jednej gazety, która nie opublikowałaby relacji o dramatycznej akcji ratunkowej oraz o tym, jak Gerard Claremont poświęcił swą wolność dla dobra kraju i króla. Nieodparty romantyzm tej historii sprawił, że kapitana Dooma okrzyknięto bohaterem.

- Jest, widzę go!
- Boże, jaki przystojny!

Kobieta machała jego portretem, kupionym za ciężko zarobione pieniądze.

- Kapitanie, następnym razem niech pan porwie mnie! Nie będę tak bronić cnoty, bo jej nic mam!

Tłum trząsł się ze śmiechu, kiedy dwóch uzbrojonych strażników wprowadziło Gerarda. On też znał się na ludziach nie gorzej od Kevina. Wiedział, że jutro przed południem ci sami widzowie, wyposażeni w koszyki z jedzeniem i butelki ginu, zjawią się na dziedzińcu Newgate, by popatrzeć, jak zawiśnie.

Gerard, odwzajemniając gorące powitanie, uklonił się z gracją. Postanowił do końca odgrywać rolę skazanego na potępienie bohatera. Ryk, jaki podniósł się na galeriach, wywołał jego szczerzy uśmiech. Jego ludzie wybrali doskonale miejsca, by obserwować zajście.

- Kapitanie, niech im pan pokaże! - krzyczał Tam.

Pudge pomachał mu czerwoną chustką.

Uspokoił go widok znajomych twarzy. Tym razem miał pewność, że gdy spełni się jego los, nie pociągnie za sobą załogi. Król, wdzięczny za bohaterskie uratowanie „Courageous”, w odpowiedzi na prośbę kapitana zagwarantował marynarzom wolność, pod jednym wszak warunkiem, że już nigdy nie wrócą do piractwa.

Brakowało tylko Apolla. Pomysł Gerarda, by wysoki Afrykanin reprezentował go przed sądem, spotkał się z pogardliwym przyjęciem. Urzędnicy nie wierzyli, że ciemnoskóry „dzikus” jest w stanie skłecić zdanie, nie wspominając już o mowie końcowej. Wyproszono go z sali sądowej w obawie, że jego groźny wygląd i nieprzewidywalny temperament może wywołać zamieszki. Na jego miejsce wyznaczono myszowatego, zalatującego ginem obrońcę w wyliniałej peruce,

Gerardowi było wszystko jedno. Wiedział, że i tak ani on sam, ani jego obrońca nie będą mogli zadawać pytań świadkom. Proces był tylko zwyczajną formalnością, poprzedzającą egzekucję.

Kiedy usiadł w ławce, okazało się, że jego brat zajął miejsce tuż za nim. Tym lepiej. Będzie dobrze słyszał jego uszczypliwe komentarze.

- O, nie wiedziałem, że skazańcy mają takie powodzenie u kobiet - szepnął. - Zaraz zaczną rzucać w ciebie majtkami.

- Nie tak prędko. Jeszcze mnie nie skazali.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na salę wszedł admirał, sir Lucien Snow, dumnie preżąc obwieszoną medalami pierś. Gerard czuł, że zbliża się jego koniec. Admirał zajął miejsce, przywitany gwizdami i złowrogim buczeniem galerii.

Publiczność zaczęła tupać, korzystając ze sposobności, by wywołać zamieszanie.

Sędzia uderzył młotkiem w stół.

- Cisza! Nie pozwalam na takie hałasy w sądzie królewskim!

Jednak to nie zarządzenie drobnego staruszka uspokoiło widzów, ale niespodziewane pojawienie się jeszcze jednej postaci. Wszyscy, jak jeden mąż, wyciągnęli szyje w kierunku drzwi. Nawet sędziowie nie kryli ciekawości.

W progu sali sądowej stała odziana w biel Lucinda Snow. Na elegancką satynową sukienkę narzuciła wełnianą pelerynę, w ręce trzymała zgrabną małą torebkę w tym samym kolorze co rękawiczki. Na jej widok Gerard poczuł ukłucie w sercu.

Na szczęście nikt nie odważył się gwizdać i komentować, kiedy dostojnym krokiem podeszła do admirała i zajęła miejsce obok niego. Admirał nie wyglądał na zadowolonego, ale przecież on nigdy nie był zadowolony z towarzystwa córki.

- A prasa? - zapytał brata Gerard, nie odrywając od niej wzroku. - Jak ją potraktowali?

Kevin, ignorując ostrzegawcze spojrzenia strażników, pochylił się, by nikt nie podsłuchał jego szeptu.

- Z początku pisano, że jej reputacja jest zrujnowana, ale kiedy Lucy zaczęła

pokazywać się publicznie, bywać na rautach i w teatrze, przekonała ich, że pozostała niewinna. Jak widzisz, zachowuje się jak dama, która nie ma nic do ukrycia. Zrobiła na nich dobre wrażenie. Teraz uważają, że opierając się, narażała własne życie. Ogłoszono ją wzorem dziewic, obrończynią cnoty, strażniczką...

- Zamknij się - przerwał mu zniecierpliwiony Gerard. - Rozumiem, o co chodzi.

Co za ironia! Podczas gdy Lucy obnosiła się po londyńskich salonach ze swą nieskalaną moralnością, on, pogrążony w mroku więzienia, cały czas miał przed oczyma jej zmysłowe ciało, skąpane w promieniach słońca Teneryfy. Tylko marzenia o niej pozwoliły mu przetrwać ten koszmar.

Teraz, na sali sądowej, nie było śladu tej namiętnej kobiety. Lucy sprawiała wrażenie oziębłej piękności, która chętnie zobaczyłaby go... na stryczku.

Westchnął. Dopiął swego - Lucy bezpieczna wróciła do domu, obyło się bez skandalu. Teraz poślubi jakiegoś przyzwoitego mężczyznę, który będzie miał przed sobą więcej niż dwanaście godzin życia. Dlaczego zatem chciał jej teraz ukreć tę łabędzią szyję?

- Przestań tak na nią patrzeć - szepnął Kevin - Bo zniszczysz jej reputację.

Gerard z trudem oderwał od niej oczy. Podrapał się po brodzie, kiedy do złożenia zeznań wezwano admirała. Zastanawiał się, czy bez filiżanki kawy zdoła dotrzeć do końca napuszonego przemówienia.

Było gorzej, niż przypuszczał. Przez dwie godziny, podczas których admirał rzucał przeciwko niemu fałszywe oskarżenia, Gerard próbował zachować spokój. Ten człowiek zrobił z niego potwora, który dla żartu postanowił zniszczyć całą flotę i pozbawić admirała wszystkiego, do czego doszedł ciężką pracą w służbie dla ojczyzny. Nastrój panujący na sali zaczął się zmieniać. Nawet sędziowie coraz częściej spoglądali na oskarżonego z niechęcią i pogardą.

- Łatwo nimi manipulować, co? - zapytał Kevin. Po raz pierwszy Gerard wyczuł w jego głosie niepokój. Właśnie tego zawsze najbardziej się obawiał. Nie chciał, by Kevin w tak brutalny sposób przekonał się, że jego wspomniały brat tak naprawdę nie jest nieśmiertelny.

- A nie mówiłem? - zapytał, zmuszając się do wesołości. - Zanim skończy, sami mnie zlinczują.

Lucy w milczeniu wysłuchiwała oskarżeń ojca, nawet raz na niego nie spojrzawszy. Kevin szturchnął brata. Znow się uśmiechał.

Gerard odetchnął z ulgą, kiedy admirał, wołając o wymierzenie sprawiedliwego wyroku, zakończył tyradę i ciężko usiadł. Przemówienie było tak teatralne, że sam oskarżony miał ochotę bić brawo. Uspokoił się, gdy Lucy łagodnie się do niego uśmiechnęła.

Oskarżyciel przez chwilę przekładał na stole papiery, szukając okularów. W końcu włożył je na nos i powiedział:

- Wzywam świadka oskarżenia. - Chrząknął. - Pannę Lucinę Snow.

34

W Gerarda jakby piorun trafił. Chryste, to już stryżek byłby lepszy. Nawet brat, który poklepał go po ramieniu, nie zdołał go uspokoić.

- Współczuję - odezwał się rozczarowany Kevin. – Jeśli chodziło ci o to, by cię znienawidziła, świetnie się spisałeś.

Szum na sali nagle się urwał. Lucy usiadła na krześle dla świadków, jak gdyby była królową, czekającą na hołd gawiedzi. Gerard z wściekłością spojrział na admirała, spodziewając się, że ujrzy go purpurowego z dumy. Tymczasem admirał wydawał się równie zdziwiony jak on sam.

A jakżeby inaczej, pomyślał Gerard, przecież on nigdy nie pozwalał, by córka robiła z siebie publiczne widowisko. Sama musiała wpaść na pomysł takiej zemsty. Potrząsnął smutno głową, bo nawet teraz, kiedy złamała mu serce, on nadal ślepo ją uwielbiał.

- Panno Snow - zaczął oskarżyciel. - Czy może pani wskazać człowieka, który w październiku ubiegał się o posadę pani ochroniarza?

- Oczywiście. - Bez najmniejszego śladu emocji wskazała palcem Gerarda. Z nienawiścią popatrzył jej w oczy.

- Jest pani inteligentną i szanowaną kobietą - mówił dalej oskarżyciel. - Proszę powiedzieć, od początku podejrzewała pani, że ten człowiek jest zdolny do takich czynów, nieprawdaż?

- Nie, sir. - Lucy mówiła tak cicho, że publiczność ledwo mogła ją zrozumieć. - Pan Claremont od początku był wobec mnie bardzo szarmancki. Przysiągł, że moje życie będzie mu równie drogie, jak jego własne.

Gerard nie wierzył własnym uszom, choć wiedział, że sędziowie są jeszcze bardziej zaskoczeni. Nic takich odpowiedzi się spodziewali. Co innego kazano jej mówić.

Choć w sali było chłodno, na czole oskarżyciela pojawiły się kropelki potu.

- No tak, eee... nie chciałem pani obrazić, ale sądowi wydaje się, że ten łajdak zabawiał się pani kosztem.

Lucy rzuciła mu niewinne spojrzenie.

- Och, nie, sir. Pan Claremont zawsze okazywał mi szacunek, co więcej, dwukrotnie bez wahania pospieszył mi na pomoc, kiedy zostałam brutalnie zaatakowana.

Do Gerarda powoli zaczęło docierać, że coś jest nie tak. Admirał był blady jak ściana. Oskarżyciel wyjął z rękawa chustkę i nerwowo wycierał czoło.

- A może próbował w ten sposób zdobyć pani zaufanie, panno Snow - podjął jeszcze jedną próbę. - Żeby potem móc panią porwać?

Lucy spojrzała na Gerarda. Myślał, że umrze, kiedy ujrzał w jej wielkich szarych oczach bezmiar czułości i miłości. Co za piekielną karę dla niego wymyśliła?

I nagle, z przerażeniem, wszystko zrozumiał. Poderwał się na równe nogi i nie bacząc na szarpiących go za ubranie strażników, zawołał:

- Nie rób tego. Lucy! Do diabła, nie jestem tego wart! W tym momencie admirał nie wytrzymał.

- Lucindo! Milcz, ani słowa więcej!

Jej usta drgnęły w uśmiechu. Wiedziała, że wszyscy wstrzymali oddechy.

- Pan Claremont mnie nic porwał - skłamała. – Poszłam z nim z własnej woli. Byliśmy kochankami jeszcze w domu mojego ojca.

Na sali wybuchła wrzawa. Nim sędzia zdołał przywrócić porządek, Lucy sięgnęła do torebki i wyjęła z niej starą, zniszczoną kopertę.

- Dokumenty są nieco sfatygowane, bo przez sześć lat były ukryte pod doniczką z kamelią. Posiadam też list, który dowiedzie, że pan Claremont rozpoczął karierę jako szanowany kupiec nazwiskiem Richard Montjoy. To Lucien Snow zmienił go w kapitana Dooma, którego wszyscy znamy.

- Kłamiesz, mała dziwko! - admirał wyciągnął coś spod płaszcza i gwałtownie wstał.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się bardzo szybko, pozostawiając w pamięci niewyraźne obrazy. Lśniaca lufa pistoletu, mierząca w serce Lucy. Krzyk Tama. Oskarżyciel chowający się pod ławą. Kevin desperacko rzucający się na admirała.

Nie zdążył. Odgłos odbezpieczanego pistoletu dudnił w głowie Gerarda jak burza.

Strażnicy nie spodziewali się, że więzień nagle poczuje przyływ tak nadnaturalnej siły. Skoczył, wrywając im z rąk łańcuchy. Gdyby nie był zakuty, może i zdążyłby odepchnąć Lucy z drogi pocisku. Niestety, jedyne, co mógł zrobić, to zasłonić ją własnym ciałem.

Kula trafiła prosto w piersi. Zatrzymał się. Łańcuchy były tak ciężkie, że nie mógł

zrobić kroku. Lucy rzuciła się, by złagodzić jego upadek. Dziwne, pomyślał, kiedy ich splecione ciała osuwały się na podłogę, głupi przypadek pomógł mu wrócić tam, gdzie jego miejsce. W ramiona Lucy.

Oparła jego głowę na kolanach, próbując zatrzymać krwotok. Po jej policzkach spływały łzy. Pochyliła się i zaczęła szaleńczo całować jego czoło, włosy, usta.

- Niech cię diabli, Gerardzie Claremont - wyszeptała gniewnie. - Jesteś najbardziej upartym człowiekiem, jakiego znam.

Ból powoli odchodził. Wszystko pogrążyło się w szarej mgle, znikła gdzieś sala sądowa, tłum gapiów. Pozostała tylko jej piękna twarz.

Słabnąc, chwycił jej dłoń i uśmiechnął się. Żałował, że nie miał siły, by otrzeć jej łzy.

- Tylko bez kazań, panno Snow - wymamrotał z trudem. -Po prostu... na tym... polega moja... praca.

Nie zdążył dotknąć jej twarzy, bo w tym momencie zemdlął. Nie usłyszał już jej rozpaczliwego krzyku.

35

Krzyk mewy odbijał się echem od skał w zatoczce. Przez chwilę ptak krążył po błękitnym niebie, po czym odleciał ku otwartemu morzu. Lucy zazdrościła mu wolności.

Pierwsze ciepłe promienie słońca oznaczały, że i w Kornwalii niebawem nastanie wiosna. Lucy nie mogła się już doczekać, kiedy powietrze wypełni się upojnym zapachem pierwszych kwiatów.

Szła bospo po plaży. Chłodny wiatr próbował zerwać jej z głowy kapelusz, więc podtrzymawała go ręką. Morze było wyjątkowo spokojne. Tak spokojne jak ona, odkąd schroniła się tu, w miejscu, gdzie jako dziecko spędzała wakacje.

W końcu się poddała. Zdjęła kapelusz, by złośliwy wiatr nacieszył się zwycięstwem. Kiedy odgarnęła z twarzy kosmyki włosów, zauważyła, jak w oddali, ścieżką po klifie schodzi na plażę jakiś mężczyzna.

Mimo odległości, od razu go poznała. Serce mocniej zabiło na widok jedynej w swoim rodzaju sylwetki, pewnego kroku i szerokich ramion. Wiatr rozwiewał jego jasne włosy, które w słońcu nabrały rudozłotego połysku.

Nie była zaskoczona. Przez cały ten czas miała pewność, że przyjdzie. Jeszcze nigdy nie spotkała człowieka, który by tak nienawidził niedokończonych spraw jak Gerard Claremont.

Stanął przed nią w milczeniu i ze śmiertelną powagą w oczach. Zaniepokoiła ją ta nieśmiałość.

- A gdzie twoja broda? - zapytała, jak gdyby zginęła mu w czasie podróży.

Potarł ogolony policzek.

- Powinienem ci za to podziękować. Smythe ją zgolił, kiedy spałem. Czy sama wpadłaś na pomysł, żeby tak uciec i zostawić mnie w rękach twojego skrupulatnego kamerdynera? Trzeba było odesłać mnie do celi admirała w Bedlam, tam szybko wróciłbym do zdrowia. Nie spodziewałem się, że się będziesz mścić.

- Smythe chciał się tobą opiekować. Chciał ci wynagrodzić... -urwała niepewnie.
- Och, wiem, co zrobił. Wszystko wyznał, wlewając mi do gardła rosół.

Lucy, unikając jego wzroku, kreśliła stopą linię na piasku.

- I nie zastrzeliłeś go?
- Nie mogłem, nie po tym, gdy wyjaśnił motywę. Jak on to ujął? „Zrobiłem to” -

Gerard położył rękę na sercu - „z miłości do Lucy”.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Sama już nic wiedziała, czy z niej kpi, czy mówi poważnie. Opuścił rękę.

- A ty jakie miałaś motywę? - zapytał. - Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego mnie porzuciłaś, gdy dowiedziałaś się, że niestety przeżyłem?

Lucy odwróciła wzrok i zapatrzyła się na morze.

- Wstyd, było mi strasznie wstyd. Byłam na ciebie wściekła, bo się poddałeś. Chciałam udowodnić, że potrafię sama podejmować decyzje. - Jej palce nerwowo plątały wstążki u kapelusza. - Omal nie przypłaciłeś życiem mojego głupiego, dziecinnego uporu, by publicznie zdyskredytować admirała. Myślałam, że nie zechcesz mnie więcej widzieć. Wydawało mi się, że już zawsze będę ci przypominać o porażkach z przeszłości.

- Więc zapomnijmy o przeszłości. Lucy. Zacznijmy wszystko od nowa.

Lucy westchnęła, zastanawiając się, czy zdoła przezwyciężyć swój lęk przed nadzieją.

- Dobrze - podała mu rękę i uśmiechnęła się, próbując ukryć strach. - Nazywam się Lucinda Snow, przyjaciele mówią mi Lucy, ale pan, jeśli chce, może się do mnie zwracać pani Claremont.

Uniósł brwi.

- Panno Snow, czy to oświadczyń? Co za bezpośredniość! Jestem w szoku. Nie chcę być powodem kolejnego skandalu.

Lucy cofnęła rękę. Publiczne przyznanie się do tego, że jest się kochanką pirata, to jedno, ale podjęcie tej roli to co innego.

- Jeśli wolisz mniej przyzwoite wyznanie...

Spowaźniał. Ciepłymi palcami ujął jej brodę. Podniósł jej głowę i spojrzał głęboko w oczy.

- Mam tylko jedną kochankę. - Wskazał głową morze. - To zazdrośna jędza, ale ją uwielbiam.

Lucy wypuściła z rąk kapelusz i odwróciła się plecami.

- Czytałam o decyzji - powiedziała, z trudem zdobywając się na oschły ton.

- Jego Wysokość uznał, że pięć lat, które odsiedziałem, to wystarczająca kara. Admiralicja chce naprawić zło, jakie mi wyrządził jeden z nich. Obiecali mi stanowisko. Oczywiście, nie kapitana, ale będę mógł zdać egzamin oficerski i służyć na ich najlepszym okręcie flagowym.

Lucy przełknęła swój ból, otarła z policzka łzę i zmusiła się do uśmiechu.

- To wspaniale. Moje gratulacje.

Położył dłoń na jej ramieniu. Zadrżała. Miała ochotę go odepchnąć, powiedzieć, że nie potrzebuje jego litości. We włosach poczuła jego ciepły oddech.

- Tak się składa, że znam pewnego Claremonta, któremu dobrze zrobi zdrowa porcja dyscypliny. Kevin będzie znakomitym oficerem, nie sądzisz? O ile zdoła wytrzymać bez spódniczek.

- Kevin? - Lucy zmarszczyła czoło. - A co z tobą? Delikatnie pieścił jej ramiona.

- No cóż, muszę ich zawieść. Niestety, na okrętach wojennych nie ma miejsca dla żony.

Lucy schyliła się po swój kapelusz, a kiedy się wyprostowała, ujrzała widok, od którego zapało jej dech w piersiach. Zza klifu wyłonił się majestatyczny szkuner o żaglach bielszych niż śnieg. Z wyjątkiem śmiejącego się obok niej mężczyzny, nie było na świecie nic równie pięknego.

Spojrzała na Gerarda. Oczy zaszyły jej mgłą, kiedy uświadomiła sobie, że już nigdy żadne z nich nie wypłynie w morze samotnie,

- Muszę cię ostrzec - powiedział uczciwie. - Zona zwykłego kupca nie wie tak ekscytującego życia jak kochanka pirata.

Rzuciła mu się na szyję i obsypała go pocałunkami.

- Och, panie Claremont, jest pan najbardziej niezwykłym mężczyzną, jakiego znam!

Gerard porwał ją w ramiona i zaczął obracać się z nią jak szalony. Ze statku dobiegły ich radosne okrzyki. Serce Lucy całkiem stopniało, kiedy na bocianim gnieździe zauważyła rudą głowę Taifta. Pudge machał z pokładu swoją nieodłączną czerwoną chustką. Obok niego lśniła łysina Apolla. O maszt opierał się człowiek, którego obecność w towarzystwie byłych piratów mogła na pierwszy rzut oka dziwić, a który poruszał się po pokładzie z taką pewnością, jak gdyby się tam urodził. Oczy zaszyły jej łzami, kiedy zerwał z szyi wykrochmaloną apaszkę kamerdynera i rzucił ją w morze, na zawsze żegnając się z przeszłością.

Kapelusz Lucy także odpłynął, kiedy oboje, śmiejąc się i całując, wbiegli do wody, gotowi ruszyć w najpiękniejszą podróż ich życia.